

KIM STANLEY  
ROBINSON



UCIECZKA  
Z  
KATMANDU

ZYSKISKA

**Kim Stanley Robinson**

**UCIECZKA Z KATMANDU**

**Tłumaczył Piotr Sitarski**

# **Spis treści**

[Podziękowania](#)

[Część 1 Ucieczka z Katmandu](#)

[Część 2 Bogini Matka Świata](#)

[Część 3 Cała prawda o Szangri-La](#)

[Część 4 Królestwo podziemi](#)

Jak zobaczymy, istnieją również przekonujące dowody historyczne na istnienie ogromnych sieci tuneli podziemnych zarówno w Ameryce Północnej, jak i Środkowej oraz Południowej; nie zamierzam jednak omawiać tutaj tych faktów, gdyż uniemożliwiłoby to wyciągnięcie pewnych wniosków, do których doszedłem w moich rozważaniach; do sprawy tej powrócę w następnych rozdziałach.

Alec Maclellan, Zagubiony świat Agharty



# Podziękowania

Wyprawa do Everestu jest swego rodzaju pielgrzymką, chciałbym więc podziękować niektórym z naszych współpielgrzymów, którzy wnieśli mnóstwo do atmosfery tej książki. Są to: Lahure Tenzing, Bahadim Bahadur i Dol Bahadur, Tenzing Sherpa i Pemba Sherpa, Larry i Chet oraz Karny i Roger, Bob i Karla, Tron i Thor-Erik, Kim i Lisa, Ernest i Christine, Mishka i Melka, Barb i Sarah, Trevor i Tom, John, Tom, Ivan, Thomas, Kitty i Joe, Ray, Anna i Kya, Len, Gilbert i ekipa francuska, Pasang Kami, Bob i Lorraine, Brent i Sue oraz wszyscy ludzie z hotelu Gwiazda.

Podczas pisania tej książki wspomagali mnie moi przyjaciele:

Patrick Delahunt, Gardner Dozois, Pat Murphy, Beth Meacham, Lisa Noweli, Paul Park i Ian Watson. Dziękuję im.

Jeszcze specjalne podziękowanie dla człowieka, który pomógł mi na 524 sposoby, i dla Kabira Saxeny, który pewnej nocy w pensjonacie Błękitny Księżyc w Junbesi opowiedział nam o Szambhali.

Ta książka jest dla was.



# Część 1

## Ucieczka z Katmandu

### I

Przeważnie nie zwracam większej uwagi na cudze listy. Jeśli już o to chodzi, to prawdę mówiąc, nawet moje własne niezbyt mnie obchodzą. Większość z nich to makulatura albo rachunki, a nawet te normalne, jak nowiny od mojej bratowej, przychodzą odbite na ksero dla całej rodzinki. W najlepszym razie trafi się czasem od kumpla alpinisty jakiś list, który brzmi jak artykuł do "Magazynu Alpinistycznego dla Analfabetów". Męczyć się, czytając coś podobnego, i to jeszcze od obcej osoby? Chyba żartujecie.

Było jednak coś intrygującego w nie odebranej poczcie z hotelu Gwiazda w Katmandu. Po kilka razy każdego dnia uciekałem od zgiełku i kurzu Zaczarowanego Miasta Alicji, przemierzałem wybrukowane słońcem podwórze Gwiazdy, wchodziłem do holu, brałem swój klucz od jednego z zaćpanych hinduskich portierów, zresztą miłych facetów, i po koślawych schodach wspinałem się do swojego pokoju. A na szczycie tych schodów wisiała przybita do ściany drewniana skrzynka na listy, całkowicie zapchana pocztą. Upchnięto tam pewnie ze dwie setki listów i pocztówek.

Grube pakiety, błękitne przesyłki lotnicze, obszarpane widokówki z Tajlandii czy Peru, zwyczajne koperty pokryte zawilgconymi adresami i purpurowymi stemplami - wszystko to było wciśnięte między poprzeczki skrzynki, wszystko było szare od kurzu.

Z drukowanej tkaniny nad skrzynką, smutnym, słoniowatym wzrokiem spoglądał w dół Ganesia, niczym symbol wszystkich nadawców tych listów, które nie miały nigdy dotrzeć do celu. To była naprawdę najdłużej nie odebrana poczta.

Dotarło to do mnie dopiero po chwili. Obudziła się moja ciekawość. Dziesięć razy w ciągu dnia mijałem ten smutny widok, który w dodatku nie zmieniał się nigdy: żadnych listów nie zabierano, żadne nie przybywały. Jakie mnóstwo zmarnowanego wysiłku! Dawno temu ci ludzie wyruszyli do Nepalu, szmat drogi, bez względu na to, skąd pochodzili. Tam w domu jakiś krewny, przyjaciel albo ukochana poświęcali swój czas, żeby usiąść i napisać list, co dla mnie jest taką mniej więcej rozrywką, jakby spuścić komuś cegłę na nogę. Naprawdę, czysty heroizm.

"Drogi George'u Fredericksie! Gdzie jesteś, jak Ci się wiedzie?"

"Twoja bratowa urodziła dziecko, a ja wracam do szkoły. Kiedy będziesz w domu?" Podpisano: Stale Pamiętający, Oddany Przyjaciel. Ale George ruszył w Himalaje albo przeniósł się do innego hotelu i nie wpadł ani razu do Gwiazdy, a może był już w drodze do Tajlandii, Peru czy jeszcze gdzie indziej i płynący z serca trud, żeby się z nim porozumieć, poszedł na marne.

Pewnego dnia wróciłem do hotelu trochę wstawiony i zauważyłem ten list do George'a Fredericksa. Po prostu rzuciłem okiem, wiecie, z ciekawości. Ja też mam na imię George - George Fergusson. A list do George'a był najgrubszy ze wszystkich kopert normalnego formatu, cały zakurzony i przełamany na pół.

"George Fredericks - Hotel Gwiazda - Dzielnica Thamel - Katmandu - NEPAL". Były na nim trzy nepalskie znaczki - z królem, z Cho Oyo i jeszcze raz z królem - a stempel był nieczytelny, jak zawsze.

Powoli, z ociąganiem, wcisnąłem list z powrotem do skrzynki. Spróbowałem zaspokoić swoją ciekawość, czytając pocztówkę z Koh Samui: "Cześć! Pamiętasz mnie? Musiałem wyjechać w grudniu, jak skończyły mi się pieniądze. Wrócę w przyszłym roku. Pozdrowienia dla Franza i Badim Badura - Michel".



Nie, nie. Odłożyłem kartkę i powlokłem się na górę. Wszystkie pocztówki są do siebie podobne. "Pamiętasz mnie?" No właśnie. Za to ten list do George'a... Gruby na jakiś centymetr!

Chyba z piętnaście albo dwadzieścia deko - na pewno jakaś epopeja. I najwyraźniej napisany w Nepalu, przez co oczywiście był dla mnie jeszcze ciekawszy. Widzicie, większość ostatnich lat spędziłem w Nepalu, wspinając się, prowadząc wyprawy trekkingowe i wałęsając się, a w tym czasie reszta świata zaczęła nabierać dość nierzeczywistego wyglądu. Teraz czuję taki sam podziw dla dziennikarzy z "The International Herald Tribune", jaki kiedyś czułem dla tych z "The National Enquirer". Jezu! - myślałem sobie, przeglądając "Tribbie" przed księgarnią w Thamelu i czytając o dziwnych wojnach, nieprawdopodobnych konferencjach, ekscentrycznych porwaniach. Jak im się udaje wymyślić takie historie?

Za to epopeja z Nepalu... to była rzeczywistość. W dodatku zaadresowana do jakiegoś "George'a F." Może coś przekręcili w nazwisku, co? Zresztą po tym, jak list był złożony i jak poszarpana była koperta, na pierwszy rzut oka można było poznać, że tkwi tam już całe lata. Świat straci okropnie dużo, jeżeli ktoś tego listu nie uratuje i nie przeczyta go. Wszystkie te porywy uczuć, całe napięcie komórek mózgu, mięśni palców, wszystko na marne. To byłby cholerny skandal.

No więc wziąłem go.

## II

Mój pokój, jeden z najprzyjemniejszych w całym Thamelu, znajdował się na trzecim piętrze Gwiazdy. Okno wychodziło na wschód, na wysokie, obsiadłe przez nietoperze drzewa pałacu królewskiego, górujące nad mrowiem thamelskich sklepów. Galimatias budynków upstrzony był przez liczne, wielkie, wiecznie zielone rośliny; z mojej wysokości wyglądało to wręcz jak las drzew. Dalej widać było zielone wzgórza, które otaczały dolinę Katmandu, a rankiem, zanim jeszcze uformowały się chmury, mogłem nawet dojrzeć białe szpice Himalajów na pomocy.

Sam pokój był skromny: łóżko i krzesło oświetlone jedną jedyną nagą żarówką, zwisającą z sufitu. Ale czego tak naprawdę poza tym potrzeba? To prawda, że łóżko było zapadnięte, ale kiedy rozłożyłem na nim karimatę z mojego ekwipunku alpinistycznego, żeby je wyrównać, stawało się znośne. I miałem własną łazienkę. To prawda, że toaleta bez sedesu okrutnie przeciekała, ale ponieważ prysznic lał się wprost na podłogę i również przeciekał, nie miało to znaczenia. Trzeba też przyznać, że prysznic składał się z dwóch części: kurka na wysokości bioder i węża z końcówką zawieszoną pod sufitem, a ta końcówka była popsuta, więc żeby wziąć prysznic, musiałem siadać na podłodze pod kurkiem. Ale to było w porządku - jak zresztą wszystko - bo prysznic był gorący. Terma do wody znajdowała się wprost nad łazienką, we wnęce, więc spływająca stamtąd woda była tak gorąca, że kiedy brałem prysznic, musiałem jeszcze odkręcać dodatkowo zimną wodę. Już samo to sprawiało, że była to jedna z najwspanialszych łazienek w Thamelu.

Tak czy owak, ten pokój z łazienką był moim pałacem od jakiegoś miesiąca, kiedy to czekałem na przybycie następnej grupy trekkingowców z Zabierzemy Cię Wyżej Sp. z o. o. Gdy więc wszedłem do środka z rąbnętym listem w ręku, musiałem utorować sobie drogę przez ubrania, sprzęt alpinistyczny, śpiwór, jedzenie, książki, mapy, sterty "Tribune", potem trzeba było zrzucić cały stos tego wszystkiego z krzesła i zrobić miejsce przy parapecie. Wtedy dopiero usiadłem i spróbowałem otworzyć zgiętą, starą kopertę, nie rozrywając jej przy tym.

Nie dało rady. To nie była koperta nepalska i na skrzydełku miała trochę prawdziwego kleju. Zrobiłem, co mogłem, ale CIA nie byłoby ze mnie dumne.

Wreszcie się udało. Osiem kartek papieru w linie, złożonych jak większość listów na pół, a

potem zgiętych jeszcze raz przez poprzeczki skrzynki. Zapisane po obu stronach. Pismo było mikroskopijne i neurotycznie regularne, tak wyraźne jak w książce.

Na pierwszej stronie widniała data: 2 lipca 1985. To tyle, jeśli chodzi o moje zgadywanie wieku listu, ale przysiągłbym, że koperta wyglądała na cztery albo pięć lat. Taki jest kurz w Katmandu. Na samym początku jedno zdanie podkreślone było grubą kreską: "Me wolno Ci mówić o tym NIKOMU!!!" Jej! Wyrzałem nawet przez okno. List z tajemnicami! Znakomicie! Przechyliłem się na krześle do tyłu, rozprostowałem kartki i zacząłem czytać.

li

2 lipca 1985

Drogi Freds!

Wiem, że to cud dostać ode mnie choćby kartkę, a co dopiero taki list jak ten. Przydarzyła mi się jednak rzecz zdumiewająca, a ty jesteś jedynym przyjacielem, któremu mogę zaufać, że zachowa to dla siebie. Nie wolno Ci mówić o tym NIKOMU!!!

Zgoda? Wiem, że tego nie zrobisz; odkąd mieszkaliśmy w jednym pokoju w akademiku, jesteś jedynym, z kim mogę rozmawiać w zaufaniu o wszystkim. I cieszę się, że mam takiego przyjaciela, bo jest tak, że naprawdę muszę o tym komuś powiedzieć, albo zwariuję.

Pamiętasz może, że napisałem pracę magisterską z zoologii na Uniwersytecie Kalifornijskim w Davis niedługo po tym, jak Ty odszedłeś, a potem jeszcze spędziłem tam nad doktoratem więcej lat, niż miałbym ochotę pamiętać, aż wreszcie poczułem obrzydzenie i rzuciłem to. Nie zamierzałem mieć z tym kiedykolwiek do czynienia, ale zeszłej jesieni dostałem list od koleżanki, z którą dzieliłem gabinet, niejkiej Sarah Homsby. Planowała wziąć udział w ekspedycji zoologiczno-botanicznej w Himalaje, w pewnym obozie wzorowanym na ekspedycji Cronina, gdzie grono specjalistów z różnych dziedzin instaluje się na skraju piętra drzew, w najbliższej głuszy. Chcieli, żebym ze względu na znajomość Nepalu zabrał się z nimi, co miało znaczyć, że chcą mnie na serdara, a mój stopień naukowy nie ma nic do rzeczy.

Dla mnie bomba. Przyjąłem tę robotę i zacząłem przedzierać się przez biurokratyczne zarośla Katmandu. Ty zrobiłbyś to lepiej, ale i ja jakoś sobie poradziłem. Urząd Imigracyjny, Ministerstwo Turystyki, Lasy i Parki, Królewskie Linie Lotnicze Nepalu, czyli RNAC, wszystkie te okropne formalności wymyślone przez kogoś, kto najwyraźniej naczytał się za dużo Kafki. W końcu jednak się z tym uporałem i wczesną wiosną wystartowałem z czwórką specjalistów od zachowania zwierząt, trójką botaników oraz toną zapasów. Poleciliśmy na północ. Na lądowisku dołączyło do nas dwudziestu dwóch miejscowych tragarzy z prawdziwym serdarem i zaczęliśmy trekking. Nie będę Ci pisał dokładnie, gdzie doszliśmy. Nie chodzi o Ciebie; po prostu zbyt niebezpiecznie byłoby zapisywać to na papierze. Dotarliśmy jednak w pobliże wierzchołka jednego z działów wodnych, niedaleko grani Himalajów i granicy z Tybetem. Wiesz dobrze, jak kończą się takie doliny: dopływy biegną coraz wyżej, a z samego krańca wychodzi ostatnia grupa stromych, podobnych do kanionów dolin, które rozgałęziają się w górę, sięgając aż do najwyższych szczytów. Naszą bazę założyliśmy w miejscu, gdzie zbiegały się trzy takie ślepe doliny, więc członkowie zespołu mogli posuwać się w górę lub w dół strumienia, w zależności od ich projektu badawczego. Do obozu biegł szlak, był też mostek nad pobliską rzeką, ale trzy górne doliny były naprawdę dzikie, tak że trudno było przedostać się przez las, żeby do nich dotrzeć. Ale to było właśnie to, czego im było potrzeba - nietknięta dzicz. No, prawie.

Kiedy obóz był już rozbity, tragarze odeszli i została nas ósemka. Moja dawna koleżanka Sarah Hornsby zajmuje się ornitologią; jest w tym świetna i sporo czasu pracowaliśmy razem.

Sarah zabrała ze sobą swojego chłopaka, mammologa (nie, nie to, o czym myślisz, Freds), Phila

Adrakiana. Od samego początku niezbyt go lubiłem. Był przywódcą wyprawy i w każdym calu Panem Specjalistą od Zachowania Zwierząt - ale możesz być pewien, że zdrowo się namęczył, szukając tam jakichkolwiek ssaków. Dalej Valerie Budge, entomolog - nietrudno znaleźć dla niej przedmiot badań, co? (Owszem, ona też mnie wkurzała.

Następna specjalistka.) Armaat Ray był herpetologiem, ale skończył, pomagając sporo Philowi przy nocnych czuwaniach w kryjówkach. Botanicy to Kitty, Dominiąue oraz John, którzy większość czasu spędzali we własnym gronie, w dużym namiocie wypełnionym próbkami roślin.

No więc - życie w obozie z ekspedycją zoologiczną. Nie sądzę, żebyś tego kiedyś doświadczył. W porównaniu z wyprawą himalaistyczną to dużo mniej podniecające, mówię Ci. Tutaj pierwszy tydzień czy dwa zeszyły mi na przechodzeniu przez mostek i wytyczaniu najlepszych szlaków przez las do trzech wysokich dolin, potem przeważnie pomagałem Sarah w jej badaniach. Ale cały czas bawiłem się, obserwując ekipę; byłem, że tak powiem, specjalistą od zachowania zwierząt dla specjalistów od zachowania zwierząt.

Ja już raz tego spróbowałem i uznałem, że szkoda zachodu, więc ciekawi mnie, dlaczego inni się tym zajmują. Biegać za zwierzętami, potem wyjaśniać każdy szczegół, który zobaczysz, a później klócić się zawzięcie z każdym na temat tych wyjaśnień - co to za kariera? Po jakiego diabła ludzie to robią?

Rozmawiałem o tym z Sarah pewnego dnia, kiedy poszliśmy w górę, do środkowej doliny, szukając gniazd pszczoł. Powiedziałem jej, że stworzyłem system klasyfikacyjny.

- Taksonomia! - wybuchnęła śmiechem. - Nie uciekniesz od swojego wykształcenia. - I poprosiła mnie, żebym jej

O tym powiedział.

Po pierwsze, zacząłem, są ludzie, którzy szczerze i gorąco fascynują się zwierzętami. Powiedziałem jej, że tak właśnie jest z nią; kiedy zobaczyła lecącego ptaka, jej twarz przybierała taki wygląd... to było tak, jakby patrzyła na cud.

Sarah nie była pewna, czy to pochwała. Wiesz, naukowiec musi być bezstronny. Przyznała jednak, że taki typ na pewno istnieje.

Dalej, ciągnąłem, są tropiciele. Tacy ludzie uwielbiają czołgać się po krzakach i śledzić inne stworzenia, jak bawiące się dzieciaki. Tłumaczyłem, dlaczego myślę, że to taki silny popęd.

Wydaje mi się, że prowadzi to do życia bardzo podobnego do tego, jakie przez cały milion lat wiedli nasi prymitywni przodkowie. Mieszkanie w obozowiskach, tropienie zwierząt po lasach; powrót do takiego trybu życia może dawać ogromną satysfakcję.

Sarah zgodziła się z tym i zauważyła, że dzisiaj, kiedy ma się już dosyć obozowiska, można się stamtąd wyrwać, wejść do wanny z gorącą wodą i popijając koniak, słuchać Beethovena, jak to ujęła.

- Racja! - przytaknąłem. - W obozie istnieje nawet całkiem niezłe życie nocne, macie tam waszego Dostojewskiego i dyskusje na temat Edwarda Wilsona... to najlepszy z obu światów. Taa, myślę, że do pewnego stopnia większość z was to tropiciele.

- A ty zawsze mówisz "wy" - wytknęła mi Sarah. - Dlaczego siebie wyłączasz, Nathan? Dlaczego zrezygnowałeś?

I tu się zaczęła poważna rozmowa. Przez kilka lat byliśmy na jednym wózku, ale potem to się skończyło, bo ja odszedłem.

Myślałem głęboko, jak się wytłumaczyć.

- Może to przez trzeci typ, teoretyków. Musimy przecież pamiętać, że zachowanie zwierząt jest Wielce Poważaną Dziedzina Akademią! Musi mieć własne uzasadnienie intelektualne, nie można

po prostu wejść na posiedzenie senatu uniwersytetu i powiedzieć: "Szanowni koledzy, robimy to, bo podoba się nam sposób latania ptaków i przyjemnie jest czołgać się po krzakach!"

- To prawda. - Sarah wybuchnęła śmiechem.

Wspomniałem o ekologii i równowadze naturalnej, biologii populacyjnej i ochronie ginących gatunków, teorii ewolucji i o tym, w jaki sposób życie osiągnęło obecny poziom, o socjologii i zwierzęcych przyczynach, warunkujących zachowania społeczne. Ona jednak sprzeciwiła się, stwierdzając, że wszystko to są rzeczywiste problemy.

- Socjologia? - spytałem. Skrzywiła się. Przyznałem więc, że istnieją wprawdzie pewne punkty widzenia usprawiedliwiające badania zwierząt, ale twierdziłem, że dla niektórych ludzi stały się one najważniejszą częścią ich dziedziny. Jak to ująłem, "dla większości ludzi na naszym wydziale teorii stały się ważniejsze niż zwierzęta. To, co obserwują w terenie, to po prostu więcej danych do ich teorii! Interesuje ich tylko to, co jest na papierze albo na konferencji, wielu z nich zajmuje się badaniami terenowymi wyłącznie dlatego, że trzeba udowodnić, że się to potrafi".

- Och, Nathan - odparła. - To, co mówisz, brzmi cynicznie, tyle że cynicy są po prostu rozczarowanymi idealistami.

Pamiętam cię przecież - jesteś urodzonym idealistą!

Wiem, Freds, że się z nią zgodzisz. Nathan Howe, idealista.

Może i jestem idealistą. Tak też jej powiedziałem: "Może i jestem idealistą. Ale, Jezu, od tej atmosfery na wydziale było mi niedobrze. Teoretycy wbijający sobie nawzajem noże w plecy z powodu jakichś teoryjek, gadający tak naukowo, jak tylko potrafią, chociaż sprawa w ogóle nie jest naukowa! Nie można zweryfikować tych teorii, wymyślając doświadczenie i badając jego powtarzalność, nie można wyizolować parametrów ani ich zmienić, ani użyć próbki kontrolnej - to tylko obserwacja i niesprawdzalne hipotezy, w kółko to samo! A oni mimo wszystko zachowują się jak solidni uczeni, z modelami matematycznymi i tym wszystkim, jak chemicy albo ktoś taki. To po prostu scjentyzm".

Sarah pokręciła tylko głową.

- Za wielkim jesteś idealistą, Nathan. Chcesz, żeby wszystko było doskonałe. A przecież to nie jest takie proste. Jeśli chcesz badać zwierzęta, musisz iść na kompromisy. A co do twojego systemu klasyfikacyjnego, to powinieneś napisać o tym do "Przeglądu Socjologicznego"! Ale pamiętaj, że to tylko teoria. Jak o tym zapomnisz, sam wpadniesz w pułapkę.

Trafiła w sedno, a poza tym zauważyliśmy parę pszczoł i musieliśmy się pospieszyć, żeby za nimi nadażyć, kiedy leciały w górę rzeki. Rozmowa więc się skończyła. Ale podczas następnych wieczorów w namiocie, gdy Valerie Budge wyjaśniała nam, że społeczeństwo ludzkie zachowuje się z grubsza tak samo jak mrówki, albo kiedy chłopak Sarah, Adrakian, sfrustrowany brakiem obserwacji, wpadał w długie, analityczne ciągi, jakby był najostrzejszym teoretykiem od czasów Roberta Triversa, Sarah posyłała mi spojrzenie i uśmiech, a ja wiedziałem, że mam rację. Tak naprawdę, to chociaż Adrakian mówił okropnie dęcie, nie sądzę, żeby był aż tak dobry. Wszystkie jego publikacje nie przygięłyby tragarza do ziemi, rozumiesz. Nie miałem pojęcia, co Sarah w nim widzi.

Po paru dniach Sarah i ja wróciliśmy do środkowej doliny, jeszcze raz polując na gniazda pszczoł. Poranek był bezchmurny, typowa leśna wspinaczka w Himalajach: najpierw przez mostek, potem między głazami w korycie strumienia i w górę, od jednego rozlewiska do drugiego, potem jeszcze wyżej, przez wilgotne drzewa i zarośla, po sfalowanych łąkach mchu. Dalej na szczyt ściany dolnej kotliny i na dno górnej, gdzie w lesie wielkich rododendronów było znacznie słoneczniej i jaśniej. Kwiaty rododendronów migotały jeszcze na każdej gałęzi; intensywność ich różowej barwy,

długie promienie światła przebijające się przez liście i oświetlające szorstką, czarną korę, pomarańczowe grzyby, jasnozielone paprocie - wszystko to było jak wędrowanie we śnie. A tysiąc metrów nad nami wisiała śnieżna podkova szczytów. Himalaje - sam wiesz.

Byliśmy więc w dobrych nastrojach, wędrując wzdłuż strumienia w górę tej wysokiej doliny. Powyżej niewielkiego zakrętu i spiętrzenia potok rozszerzał się w długie, wąskie rozlewisko; od południa wznosiło się nad nim urwisko z prądkowanym, żółtawego granitu, pokryte poziomymi pęknięciami. Wyłaziły z nich gniazda pszczoł. Miejscami urwisko zdawało się pulsować na czarno, unosiły się przed nim chmury pszczoł, a przez cichy szum strumienia słyszałem niskie buczenie owadów, zajętych swoją pracą. Podnieceni usiedliśmy na głazie, w pełnym słońcu, wyjęliśmy lornetki i zaczęliśmy przyglądać się ptasiemu życiu. Goraki na śniegu w górze doliny, orłosep szybujący ponad szczytami, jakieś zięby popiskujące jak zwykle dookoła - i wtedy go zobaczyłem, żółty błysk, tylko odrobinę większy od kolibra.

Mały ptaszek huśtający się na gałązce zwisającej przed urwiskiem z pszczelimi gniazdami. Sfrunął na dół, do kawałka wosku, który spadł na ziemię; dziobnął parę razy i połknął grudkę.

Miodowód himalajski. Trąciłem Sarah łokciem i pokazałem jej, ale ona dostrzegła go już wcześniej. Długo siedzieliśmy bez ruchu, obserwując.

Edward Cronin, kierownik poprzedniej takiej ekspedycji w Himalaje, jako pierwszy przeprowadził rozległe badania nad miodowodem himalajskim i wiedziałem, że Sarah chciała sprawdzić jego obserwacje i kontynuować tę pracę. Miodowody to niezwykle ptaki, gdyż żywią się woskiem z plastrów miodu; pomagają im w tym jakieś bakterie w układzie żołądkowo-jelitowym. Taki wyczyn trawienny udał się niewielu stworzeniom na ziemi. Dla miodowoda jest to oczywiście zřejne posunięcie, bo oznacza ono, że ptak ma niezwykle bogate źródło pokarmu, którym nikt inny nie jest zainteresowany. To właśnie sprawia, że warto go badać, choć jak na razie nikt jeszcze nie doszedł do sedna problemu. I to chciała zmienić Sarah.

Kiedy szybki, żółty miodowód odleciał i zniknął z oczu, Sarah wreszcie się poruszyła - wzięła głęboki oddech, przeciągnęła się i objęła mnie. Pocałowała mnie nawet w policzek.

- Dzięki, że mnie tu przyprowadziłeś, Nathan.

Poczułem się nieswojo. Ten jej chłopak, wiesz - a Sarah była osobą bez porównania sympatyczniejszą od niego... Poza tym przypomniałem sobie, jak wtedy, kiedy dzieliliśmy gabinet, przyszła kiedyś wieczorem załamana, bo jej ówczesny chłopak zostawił ją dla jakiejś innej, i co z tym zrobić - no, nie chcę o tym mówić. W każdym razie, byliśmy wtedy dobrymi przyjaciółmi.

I teraz czułem, że wiele z tego zostało. Więc dla mnie to nie było tylko cmoknięcie w policzek, sam rozumiesz. Tak czy owak, jestem pewien, że poradziłem sobie z tym niezręcznie i oficjalnie, czyli tak jak zazwyczaj.

Oboje ucieszyliśmy się z naszego odkrycia i wracaliśmy potem do tego urwiska codziennie przez tydzień. Było to naprawdę przyjemne. Później Sarah chciała dokończyć jakieś badania na gorakach, które zaczęła wcześniej, więc parę razy poszedłem do Miodowego Urwiska sam.

I właśnie w taki samotny dzień to się wydarzyło. Miodowód się nie pokazywał, więc poszedłem w górę strumienia, żeby się przekonać, czy zdołam znaleźć jego źródła. Poniżej, w dolinie, kłębiły się chmury i miało się na deszcz, ale tam, gdzie się znajdowałem, ciągle świeciło słońce. Dotarłem do początku strumienia - zasilanej zdrojem sadzawki u stóp osypiska - i stałem, przyglądając się, jak spływa w świat. Jedną z tych cichych chwil w Himalajach, kiedy świat wygląda jak przeogromna świątynia.

Wtedy moją uwagę przykuł jakiś ruch po drugiej stronie rozlewiska, w cieniu dwóch sękatych dębów. Zamarłem, ale byłem na samym środku otwartej przestrzeni, każdy mógł mnie zobaczyć. Z

najgłębszego cienia pod jednym z dębów przyglądała mi się para oczu. Były mniej więcej na wysokości mojej twarzy.

Pomyślałem, że może to być niedźwiedź, i w myślach oceniałem łatwość wspięcia się na drzewa, które były za moimi plecami, kiedy oczy znów się poruszyły - mrugnęły. Wtedy spostrzegłem, że wokół tęczówek widać było białka. Jakiś wieśniak wyruszył na polowanie? Raczej nie. Serce zaczęło we mnie łomotać i nie mogłem się powstrzymać przed przełknięciem śliny. Tam, w tych cieniach była chyba jakaś twarz? Twarz brodata?

Oczywiście przyszło mi do głowy, z kim być może wymieniam spojrzenia. Yeti, człowiek z gór, nieuchwytna istota z krainy śniegów. Odrażający Człowiek Śniegu, na miłość boską! Moje serce nigdy jeszcze nie waliło szybciej. Co robić? Białka jego oczu... pawiany mająbiałe powieki, których używają do grożenia przeciwnikom, więc jeśli patrzysz wprost na nie, widzisz białą barwę oczu i sądzisz, że ci grożą. Mając słabą nadzieję, że to stworzenie posługuje się podobnym kodem zachowania, pochyliłem głowę i spojrzałem na niego pod pewnym kątem. Przysięgam, wyglądało, jakby on też kiwnął do mnie głową.

Potem jeszcze jedno mrugnięcie, ale tym razem oczy się już nie pokazały. Brodata twarz i sylwetka poniżej zniknęły. Wciągnąłem powietrze i nasłuchiwałem z całej siły, ale nie usłyszałem nic z wyjątkiem chichotu strumienia.

Po minucie czy dwóch przeszedłem potok i obejrzałem ziemię pod dębem. Była omszała, a w niektórych miejscach mech został wydeptany przez coś przynajmniej mojej wagi, ale oczywiście nie było żadnych wyraźnych śladów. I nigdzie wokoło nic poza tym.

Oszołomiony powędrowałem w dół do obozu. Dookoła nie widziałem prawie nic, za to podskakiwałem przy najmniejszym odgłosie. Możesz sobie wyobrazić, jak się czułem - taka obserwacja!

Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy próbowałem po cichu zjeść swój gulasz i nie dać po sobie poznać, że cokolwiek się wydarzyło, ogólna rozmowa zeszła na temat yeti. Prawie upuściłem widelec. Znowu zaczął Adrakian, sfrustrowany przez fakt, że udało mu się zobaczyć tylko jakieś wiewiórki i jedną czy dwie małpy z daleka. Byłoby oczywiście lepiej, gdyby częściej nocował w kryjówkach. Tak czy owak, chciał z czymś wyskoczyć, znaleźć się w centrum zainteresowania, być na scenie jako specjalista.

- Wiecie, że właśnie te wysokie doliny są strefą, gdzie zamieszkuje yeti? - spytał ze spokojem.

To wtedy o mało nie wypadł mi widelec.

- Oczywiście, to niemal pewne, że one istnieją - ciągnął Adrakian z komicznym uśmiechem.

- Och, Philip - rzuciła Sarah. Często mu to wtedy mówiła, a ja się tym ani trochę nie martwiłem.

- To prawda. - I przeszedł do wykładu, który oczywiście wszyscy znaliśmy: ślady na śniegu sfotografowane przez Erica Shiptona, poparcie George'a Schallera dla tej koncepcji, odciski, które znalazła grupa Cronina, wiele innych obserwacji... - Tu są tysiące kilometrów kwadratowych niezbadanej dziczy, o czym sami wiemy z autopsji.

Mnie, rzecz jasna, nie trzeba było przekonywać, pozostali zaś z największą ochotą zgodzili się z tą teorią.

- To by było coś, gdybyśmy takiego znaleźli! - stwierdziła Valerie. - Zrobili jakieś dobre zdjęcia...

- ...albo znaleźli ciało - dokończył John. Botanicy myślą w kategoriach obiektów nieruchomych.

- Albo gdybyśmy schwytali go żywcem. - Phil wolno skinął głową.

- Bylibyśmy sławni - uznała Valerie.

Teoretycy. Może nawet zlatynizowano by ich nazwiska i zrobiono z nich część nazwy nowego

gatunku. Gorilla montani adriakianias-budgeon.

Nie mogłem już dłużej wytrzymać, musiałem się odezwać.

- Gdybyśmy znaleźli wyraźne dowody na istnienie yeti, naszym obowiązkiem byłoby pozbyć się ich i zapomnieć o wszystkim - powiedziałem, może odrobinę zbyt głośno.

Wszyscy wlepili we mnie wzrok.

- A dlaczego to? - spytała Valerie.

- Dla dobra yeti, to oczywiste - odparłem. - Jako specjaliści od zachowań zwierząt, powinniście z założenia troszczyć się o dobro zwierząt, które badacie, prawda? I ekosfery, którą zamieszkują? A przecież gdyby istnienie yeti zostało potwierdzone, to byłaby to tragedia i dla jednego, i dla drugiego. Zwaliliby się tu mnóstwo wypraw, turystów, kłusowników: yeti w zoo, w klatkach z małpami, pod nożem laboratoryjnym, wypchane w muzeach - zaczynałem się denerwować.

- Bo przecież jaką yeti ma właściwie dla nas wartość? - Gapili się na mnie: wartość? - Ich wartość tkwi w tym, że są nieznane, że są poza nauką. Są częścią dzikości, której nie możemy dotykać.

- Rozumiem, o co chodzi Nathanowi. - Ciszę, która nastąpiła po moich słowach, przerwała Sarah, patrząc na mnie tak, że straciłem wątek myśli. Jej zgoda znaczyła tysiącrotnie więcej, niż bym się spodziewał...

Inni potrząsali głowami.

- Miłe sentymenty - powiedziała Valerie. - Ale naprawdę, badania nie zrobiłyby im prawie żadnej szkody. A pomyśl, ile mogłyby wnieść do naszej wiedzy o ewolucji naczelnych!

- Znalezienie go byłoby wkładem w rozwój nauki - dodał Phil, spoglądając na Sarah. I naprawdę w to wierzył, muszę mu to przyznać.

- Nie zaszkodziłoby to też naszym szansom na ciepłą posadę - zauważył chytrze Armaat.

- Owszem - przyznał Phil. - Ale sedno sprawy tkwi w tym, że trzeba się trzymać prawdy. Gdybyśmy znaleźli yeti, byłibyśmy zobowiązani to ogłosić dlatego właśnie, że to się stało - i nie ma znaczenia, co w związku z tym czujemy. W przeciwnym wypadku zabrnąłbyś w zatajanie informacji, zmienianie informacji i inne takie rzeczy.

- Istnieją wartości ważniejsze niż rzetelność naukowa - pokręciłem głową.

I spór trwał dalej, argumenty na ogół się powtarzały.

- Jesteś idealistą - w którymś momencie powiedział do mnie Phil. - Nie można uprawiać zoologii, nie niepokojąc do jakiegoś stopnia badanych okazów. - Może dlatego zrezygnowałem z tego - odparłem. I musiałem powstrzymać się przed rozwijaniem tego tematu. Jak miałem mu powiedzieć, nie popadając przy tym w chamstwo, że niesamowita presja zawodowa w tej dziedzinie zepsuła go do tego stopnia, że dla zdobycia rozgłosu zrobiłby wszystko? Westchnąłem tylko. - No więc co z badanym okazem?

- Uśpiłoby się go, zbadało i z powrotem dostarczyło do jego środowiska - Valerie odrzekła z oburzeniem. - Może zachowałyby się jeden w niewoli, gdzie żyłby bez porównania wygodniej niż na dziko.

Zupełne zepsucie. Nawet botanicy wyglądali teraz na skrepowanych.

- Myślę, że nie musimy się martwić - znów włączył się Armaat ze swoim chytrym uśmiechem. - Ten stwór prowadzi prawdopodobnie nocny tryb życia.

Rozumiesz, chodziło o to, że Phil nie był entuzjastą nocnego czuwania w kryjówkach.

- Dlatego właśnie zaczynam nocne obserwacje w górze doliny - odpalił Phil, zmęczony docinkami Armaata. - Nathan, będę cię potrzebował, żebyś poszedł ze mną i pomógł ustawić kryjówkę.

- I pokazał drogę - dokończyłem. Inni dalej się spierali, Sarah przyjęła moje stanowisko, a

przynajmniej z nim sympatyzowała. Ja się wycofałem, zaniepokojony postacią, którą tego dnia dojrzałem w cieniu drzew. Kiedy wychodziłem, Phil przyglądał mi się podejrzliwie.

Zatem Adrakian postawił na swoim i ustawiliśmy małą kryjówkę w górnej dolinie, na zachód od tej, gdzie dokonałem swojej obserwacji. Kilka nocy spędziliśmy na jakimś dębie, mnóstwo razy widzieliśmy jelenia aksisa, a o świcie trochę małp. Phil powinien być zadowolony, ale zamiast tego sposepniał. Z tego, co mruczał pod nosem, dotarło do mnie, że przez cały czas miał nadzieję znaleźć yeti, że przyjechał tu z żądzą tego wielkiego odkrycia.

I pewnej nocy to się zdarzyło. Księżyc dochodził do pełni, a rzadkie chmury przepuszczały większość jego światła. Jakies dwie godziny przed świtem zdrzemnąłem się, kiedy nagle Adrakian dźgnął mnie łokciem. Bez słów wskazał na daleki brzeg niewielkiego rozlewiska na potoku.

Przesuwające się cienie. Promień księżyca na wodzie, a dalej, wyraźna na jego tle, wyprostowana postać. Przez moment widziałem dokładnie jej głowę z długą, dziwnie ukształtowaną, pokrytą sierścią czaszką. Wyglądała prawie jak ludzka.

Miałem ochotę krzyknąć, żeby go ostrzec, ale zamiast tego przeniosłem ciężar swojego ciała na ambonie. Platforma skrzypnęła delikatnie, a sylwetka zniknęła w mgnieniu oka.

- Ty idioto - wyszeptał Phil. W świetle księżyca wyglądał jak morderca. - Idę za nim!

Zeskoczył z drzewa i ze swojej puchowej kurtki wyciągnął coś, co uznałem za pistolet ogłuszający.

- Nic tam nie znajdziesz po nocy - szepnąłem, ale jego już nie było. Zszedłem na dół i ruszyłem za nim, nie bardzo wiedząc, w jakim celu to robię.

Cóż, sam wiesz, jaki jest las nocą. Nie ma mowy o zobaczeniu zwierząt ani o poruszaniu się z łatwością. Muszę przyznać Adrakianowi, że był szybki i cichy. Zgubiłem go natychmiast, a potem słyszałem już tylko od czasu do czasu jakiś daleki trzask gałęzi.

Minęła ponad godzina, a ja tylko łąziłem między drzewami.

Księżyc zaszedł i na niebie zaczynał się już znaczyć świt, kiedy wróciłem do strumienia.

Okrzyknąłem wielki głaz, który leżał na brzegu, i niemal zderzyłem się z yeti, który nadchodził z przeciwka, jak byśmy byli na tłoczonym chodniku i obaj skręcili w tę samą stronę, żeby się ominąć. Był trochę niższy ode mnie; jego ciało i głowę pokrywało ciemne futro, ale nie wchodziło na twarz, plamę różowawej skóry, która w przyćmionym świetle miała całkiem ludzki wygląd. Nos miał na poły ludzki, na poły taki, jak inne naczelne:

szeroki, ale wystający z twarzy jak przedłużenie grzebienia potylicznego, który biegł przez jego czaszkę od czoła do potylicy.

Usta były szerokie, a porośnięta sierścią żuchwa - wręcz bardzo szeroka. Nic jednak nie wykraczało poza możliwe parametry ludzkie. Gęste brwi biegły wysoko nad oczami, co nadawało mu wyraz nieustannego zdumienia, jak u kota, którego kiedyś miałem.

Pewien jestem, że w tej chwili naprawdę był zdumiony. Obaj staliśmy nieruchomo jak drzewa, kołysani lekko wiatrem naszego spotkania, poza tym jednak bez ruchu. Wstrzymałem nawet oddech. Co robić? Zauważyłem, że niósł ostrugany patyk, a w futrze na szyi miał jakieś przedmioty na sznurku. Jego twarz, narzędzia, ozdoby; ta część mnie, która nie poddała się szokowi, myślała:

(w głębi duszy ciągle jestem zoologiem, jak przypuszczam) to nie są tylko naczelne, to są hominidy.

Jakby na potwierdzenie tej myśli przemówił do mnie. Mruknął krótko, kwiknął i kilka razy głośno wciągnął powietrze.

Potem uniósł wargę (ukazał się solidny kiel) i bardzo cicho gwizdnął. W jego oczach widać



było pytanie, zadane tak łagodnie, delikatnie i inteligentnie, że ledwie mogłem uwierzyć, że nie potrafię go zrozumieć ani na nie odpowiedzieć.

Bardzo wolno uniosłem rękę i spróbowałem powiedzieć:

"Cześć". Wiem, że to głupie, ale co się mówi przy spotkaniu z yeti? Zresztą, odpowiedzią było tylko zduszone: "Hun".

Z zaciekawieniem kiwał głową na boki i powtarzał to: "Hun, hun, hun".

Nagle wyrzucił głowę naprzód i utkwiał wzrok ponad moim ramieniem, w górze strumienia. Otworzył szeroko usta i stał tak, nasłuchując, potem spojrzął na mnie, próbując mnie ocenić.

(Przysięgam, że mogłem to wszystko rozróżnić!)

W oddali rozległ się trzask gałęzi. Yeti chwycił mnie za ramię i już byliśmy na brzegu strumienia, w lesie. Szast-prast przez drzewa i zaraz leżeliśmy na brzuchach za wielką, zwaloną kłodą, jeden obok drugiego, w lepkim, wilgotnym mchu. Bolało mnie ramię.

Poniżej, w korycie strumienia pojawił się Phil Adrakian w porządnie stłamszonym ubraniu. Przeciskał się pewnie przez jakieś krzaki i rozdarł w kilku miejscach swoją puchową kurtkę, więc kiedy szedł, puszyste, białe pierze fruwało wokół niego. Wpadł też gdzieś w błoto. Yeti mrużył oczy, przyglądając mu się, najwyraźniej zaintrygowany wylatującym pierzem.

- Nathan! - wrzeszczał Phil. - Naaaathaaan! - Wyglądało na to, że ciągle jest pełen energii. - Widziałem go! Nathan, gdzie jesteś, do cholery! - Krzyczał tak, idąc w dół strumienia, a yeti i ja leżeliśmy i patrzyliśmy, jak nas mija.

Chyba nigdy nie spotkało mnie bardziej satysfakcjonujące przeżycie.

Kiedy Phil zniknął za zakrętem strumienia, yeti usiadł i oparł się o kłodę jak zmęczony turysta. Słońce wstawało, a on ciągle pokwikał, gwizdał i oddychał powoli, nie spuszczając ze mnie wzroku. O czym myślał? W tej chwili nie miałem pojęcia. Zacząłem się nawet bać, nie wiedziałem przecież, co może się jeszcze wydarzyć.

Jego ręce, dłuższe i chudsze od ludzkich, szarpały moje ubranie. Pociągnął za swój własny naszyjnik i ściągnął go przez głowę. Na pleciony, konopny sznurek nawleczone było coś, co wyglądało jak pełne muszle. Były to skamieliny muszli przypominających pokrywy małży - dowód, że Himalaje pokrywało kiedyś morze. Co yeti z nimi robili? Nie miałem pojęcia. Najwidoczniej jednak były cenne, stanowiły część kultury.

Przez długą chwilę przyglądał się po prostu temu swojemu naszyjnikowi. Potem bardzo ostrożnie przełożył mi go przez głowę i zawiesił na szyi. Skóra poczerwieniała mi nagle, łyzy przysłoniły wszystko, w gardle mnie piekło - czułem się tak, jakby Bóg wyszedł zniecka z drzewa i pobłogosławił mnie, bez żadnego powodu, rozumiesz? Nie zasłużyłem na to.

Bez dalszych ceregieli yeti zerwał się i odszedł na krzywych nogach, nie oglądając się. Byłem sam w świetle poranka, nie zostało mi nic oprócz naszyjnika, który wisiał na mojej piersi.

I bolącego ramienia. A więc to się naprawdę zdarzyło, to nie był sen. Spotkało mnie błogosławieństwo.

Pozbierałem myśli i ruszyłem w dół strumienia, z powrotem do obozu. Zanim tam dotarłem, naszyjnik był już schowany głęboko w jednej z watowanych kieszeni mojej puchowej kurtki, a ja miałem gotową historyjkę.

Phil już tam był i paplał do całej grupy.

- Nareszcie jesteś! - krzyknął. - Gdzieś ty był do cholery? Zaczynałem już myśleć, że cię dostali!

- Szukałem cię - odparłem. Udawanie złości okazało się bardzo łatwe. - Jacy "oni"?

- Yeti, idioto! Ty też go widziałeś, nie zaprzeczaj. A ja pobiegłem za nim i widziałem go jeszcze raz, w górze potoku.

- Niczego nie widziałem.-Wzruszyłem ramionami i spojrzałem na niego podejrzliwie.

- Bo byłeś w złym miejscu! Trzeba było być ze mną. Po cichu przeniesiemy obóz na kilka dni tam, w górę - zwrócił się do pozostałych. - To niesłychana okazja.

Valerie kiwała głową, tak samo Armaat, nawet Sarah wyglądała na przekonaną. Botanikom podobało się ogólne podniecenie.

Sprzeciwiłem się, mówiąc, że przemieszczanie tak wielu osób w górę doliny byłoby skomplikowane i szkodliwe dla wszelkich stworzeń, jakie mogły tam żyć. Zasugerowałem też, że to, co widział Phil, to był niedźwiedź, ale Adrakianowi nie spodobał się ten pomysł.

- To, co widziałem, miało wielki grzebień potyliczny i chodziło wyprostowane. To był yeti.

Tak więc pomimo moich protestów, zaplanowano przeniesienie obozu do górnej doliny i rozpoczęcie intensywnych poszukiwań yeti. Nie wiedziałem, co robić. Gdybym się bardziej sprzeciwiał, wyglądałbym podejrzanie, tak jakbym widział to samo co Phil.

Nigdy nie miałem wielkiego sprytu do wymyślania podstępów, żeby przeszkodzić innym w ich zamiarach, zresztą przede wszystkim dlatego rzuciłem uniwersytet.

Byłem naprawdę w kropce, kiedy pogoda zesłała wczesną, monsunową ulewę. Nasunął mi się pewien pomysł. Zlewisko naszej doliny było duże i strome, więc jeden dzień porządnego deszczu, jaki właśnie się trafił, szybko podniósłby poziom wody w naszej rzece. Żeby wyruszyć do trzech górnych dolin, musielibyśmy najpierw przejść przez mostek, a żeby dostać się z powrotem do lądowiska, musielibyśmy przekroczyć jeszcze dwa inne.

Miałem więc szansę. W środku nocy wymknąłem się i zszedłem do mostku. Zrobiony był zwyczajnie, po wiejsku: sterta kamieni na każdym brzegu podpierała trzy przepołowione kłody, przewieszane nad potokiem. Woda już teraz podmywała dolne kamienie, a po podważeniu długą gałęzią, sterta po naszej stronie zawaliła się. Dziwnie się czułem, niszcząc most, jedno z najcenniejszych dzieł ludzkich w Himalajach, ale robiłem to z zapalem.

Kłody osunęły się prędko i poleciały na wszystkie strony, a jedna odpłynęła z biegiem strumienia.

Także dwie pozostałe zaraz poszły jej śladem. Kiedy już to zrobiłem, wślizgnąłem się z powrotem do obozu i wróciłem do łóżka. To było wszystko. Następnego dnia pokręciłem z żalem głową na widok odkrycia, zauważyłem też, że w dole rzeki przybór będzie większy. Dodałem, że chyba mamy zbyt mało żywności, żeby przetrwać monsun, bo oczywiście mieliśmy jej za mało. Kolejna godzina porządnego deszczu wystarczyła, żeby przekonać Armaata, Valerie i botaników, że sezon dobiegł końca.

Jęczące protesty Phila zdały się na nic, złożyliśmy obóz i następnego ranka wyruszyliśmy z powrotem w jasnej mgiełce, która do południa zmieniła się we wspaniałą, wilgotną i słoneczną pogodę. Do tego czasu uszliśmy jednak kawał drogi i byliśmy zupełnie zdecydowani.

Masz więc wszystko, Freds. Czytasz to jeszcze? Okłamałem ekspedycję złożoną z dawnych współpracowników, którzy mnie wynajęli, ukryłem przed nimi informacje, a na koniec ich przepłoszyłem. Ale sam widzisz, że musiałem to zrobić. Tam mieszka istota inteligentna i życzliwa. Cywilizacja zniszczyłaby ją. A ten yeti, który się ze mną ukrywał - on jakimś cudem wiedział, że jestem po ich stronie. Oddałbym życie, żeby nie zawieść tego zaufania, naprawdę. Czegoś takiego nie można zdradzić.

W drodze powrotnej Phil nadal upierał się, że widział yeti, a ja ciągle z tego kpiłem, aż Sarah zaczęła mi się dziwnie przyglądać. Z przykrością muszę też napisać, że ona i Phil znowu się pogodzili, kiedy zbliżyliśmy się do J. i jednocześnie do końca naszej podróży. Może go żałowała, może jakimś sposobem widziała, że działałem w złej wierze. Nie wykluczałbym tego, znała mnie

całkiem nieźle. Bez względu jednak na powód, było to przygnębiające. I nic nie można było na to poradzić. Musiałem kłamać i ukrywać to, co wiedziałem, nie bacząc na to, jak psuła się przez to nasza przyjaźń, i jak bardzo to bolało. Kiedy więc przybyliśmy do J., pożegnałem się z nimi wszystkimi. Byłem raczej pewien, że panujące endemicznie w biologii kłopoty z funduszami przez długi czas utrzymają ich daleko stąd, ta sprawa była więc załatwiona. Co do Sarah - no, cholera... z pewnym wyrzutem powiedziałem jej do widzenia. I powędrowałem pieszo do Katmandu, zamiast lecieć samolotem, żeby się od niej uwolnić i pozwolić rzeczom trochę się uleżeć.

Noce podczas tej powrotnej wędrówki były tak długie, że w końcu zdecydowałem się napisać ten list, żeby zająć czymś umysł. Miałem nadzieję, że spisanie tego pomoże, ale prawda jest taka, że nigdy nie czułem się bardziej samotny. Pocieszało mnie, kiedy wyobrażałem sobie, jak świrujesz nad moją opowieścią - prawie Cię widzę, jak skaczesz po pokoju i na całe gardło krzyczysz: "ŻARTUJESZ CHYBA!", jak to kiedyś robiłeś. Mam nadzieję, że dopowiem Ci wszystkie szczegóły na jesieni, kiedy zobaczymy się osobiście w Katmandu. Trzymaj się, Twój przyjaciel, Nathan

### III

No, замуrowało mnie. Kiedy skończyłem czytać ten list, mogłem powiedzieć tylko "Jej!" Wróciłem do początku i zacząłem czytać wszystko jeszcze raz, ale szybko przeskoczyłem do przodu, do lepszych kawałków. Spotkanie ze słynnym Odrażającym Człowiekiem Śniegu! To jest wydarzenie! Oczywiście temu gościowi, Nathanowi, udało się wydostać z niego tylko

"hun". Okoliczności były jednak niezwykle i przypuszczam, że postarał się najlepiej, jak mógł. Sam zawsze chciałem spotkać yeti. Przez niezliczone poranki w Himalajach wstawałem przed świtem i szedłem, żeby się wylać i zobaczyć, jaki będzie dzień, i prawie za każdym razem, zwłaszcza w górskich lasach, rozglądałem się i zastanawiałem, czy błysk w moim sklejonym od snu oku nie oznacza czegoś odrażającego, ruszającego się.

O ile wiem, nigdy tak nie było. Stwierdziłem, że jestem trochę zazdrosny o tego Nathana i jego niesamowite szczęście. Dlaczego ten yeti, członek najbardziej nieuchwytniej rasy w Azji Środkowej, był przy nim taki swobodny? Zastanawiałem się nad tą zagadką przez kilka następnych dni, zajmując się własnymi sprawami. Chciałem jednak jakimś cudem móc zrobić w tej sprawie więcej. Sprawdziłem rejestr gości Gwiazdy, szukając zarówno Nathana, jak i George'a Fredericka, i znalazłem drobny, staranny podpis Nathana w połowie czerwca, ale ani śladu George'a, czyli Fredsa, jak nazywał go Nathan. Z listu wynikało, że tej jesieni obaj będą gdzieś w pobliżu, ale gdzie?

Potem musiałem wysłać pewne tybetańskie dywany do Stanów, moja firma chciała, żebym przepchnął w Ministerstwie Turystyki trzy "wideowyprawy", a w tym samym czasie Urząd Imigracyjny uznał, że jestem już w tym kraju dostatecznie długo.

Załatwianie tych trzech spraw w mieście, w którym nadanie listu może zająć cały dzień, pochłonęło mnie zupełnie. O tamtym prawie zapomniałem.

Kiedy jednak pewnego smutnego, słonecznego popołudnia wróciłem do Gwiazdy i zobaczyłem, że ktoś pastwił się nad skrzynką na listy, zdjął ją i porozrzucił biedne zwłoki przesyłek po całym półpiętrze, poczułem nagle, że chyba wiem, na czym polega problem. Byłem zaskoczony, może nawet trochę zawstydzony, ale całkiem zadowolony. Zdławiłem lekkie wyrzuty sumienia i przeszedłem obok dwóch portierów, którzy protestowali w wartkim nepalskim.

- Może mogę panu pomóc w szukaniu? - spytałam rozkojarzoną postać, która wywołała to spustoszenie. Zagadnięty wyprostował się i spojrzał mi prosto w oczy.

Harcerz do szpiku kości.

- Szukam mojego przyjaciela, który zazwyczaj tu się zatrzymuje. - Jeszcze nie panikował, ale był

tego bliski. - Portierzy mówią, że nie było go tu od roku, ale ja przysłałem mu latem list i tego listu nie ma.

Spotkałem go! Bez zmruczenia oka odparłem:

- Może wpadł tu i zabrał go, nie wpisując się do książki.

Skrzywił się, jakbym dźgnął go nożem. Wyglądał mniej więcej tak, jak mogłem się tego spodziewać po jego epopei: wysoki, wyprostowany, ciemnowłosy. Miał brodę, gęstą i delikatną jak futro, starannie przystrzyżoną na szyi i policzkach - właściwie była to niemal doskonała broda. Taka broda i kurtka ze skórzanymi łatami na łokciach zapewniłyby mu posadę na każdym amerykańskim uniwersytecie.

Teraz jednak był solidnie zestresowany, chociaż próbował tego nie okazywać.

- No to nie wiem, jak go znaleźć...

- Jest pan pewien, że on jest w Katmandu?

- Miał tu być. Za dwa tygodnie bierze udział w dużej wyprawie. Ale on zawsze mieszka tutaj!

- Czasem nie ma tu miejsc. Może musiał iść gdzie indziej.

- Taa, to prawda. - Nagle pozbył się rozkojarzenia na tyle, żeby zauważyć, że ze mną rozmawia.

Jego przejrzyste, szarzielone oczy zwięziły się, kiedy mi się przyglądał.

- George Fergusson - powiedziałem i wyciągnąłem rękę.

Spróbował mi ją zmiążyć, ale przeciwstawiłem się temu w ostatniej chwili.

- Ja jestem Nathan Howe. To zabawne, że pan się tak nazywa - powiedział bez uśmiechu. -

Szukam George'a Fredericka.

- Naprawdę? Co za zbieg okoliczności! - odparłem, podnosząc pozginaną pocztę Gwiazdy. -

Cóż, może będę mógł panu pomóc. Szukałem już przedtem przyjaciół w Katmandu - nie jest to łatwe, ale da się zrobić. - Taa? - Jakbym rzucił mu koło ratunkowe. O co mu chodziło?

- No pewnie. Jeżeli wyrusza na wspinaczkę, to musiał iść do Urzędu Imigracyjnego, żeby wykupić pozwolenie. A na pozwoleniu trzeba napisać adres zamieszkania. Spędziłem w Urzędzie mnóstwo czasu i mam tam paru znajomych. Jeśli wsuniemy im kilkaset rupii bakszyszu, sprawdzą to dla nas.

- Fantastycznie! - Był teraz personifikacją Nadziei, rozpierała go wręcz. - Możemy iść tam teraz?

- Widziałem, jak przyszpila go łomot serca, przyjaciel zdeterminowanych. Nathan był idealistą, a jego idee przeświecały przez niego jak siatka lampy gazowej błyszcząca przez szkło. Tylko ślepa kobieta nie potrafiłaby zgadnąć, co do niej czuje. Ciekawe, co czuła do niego ta Sarah.

- Już po drugiej, dzisiaj zamknięte - potrząsnąłem głową.

Umieściliśmy skrzynkę z powrotem na ścianie, a portierzy wrócili do recepcji przy wejściu. - Ale możemy spróbować paru rzeczy, jeśli ma pan ochotę.

Nathan skinął głową, upychając listy i przyglądając mi się.

- Kiedy chcę się tu zameldować i nie ma miejsc, idę po prostu gdzieś obok. Moglibyśmy tam zajrzeć.

- W porządku - powiedział Nathan podekscytowany. - Chodźmy.

Wyszliśmy więc z Gwiazdy i skręciliśmy w prawo, żeby sprawdzić zajazd Pod Bażantem - albo Pod Barankiem - szylid nie jest w tej kwestii jednoznaczny.

George Fredericka rzeczywiście tam mieszkał, ale zdążył się wymeldować dziś rano.

- O Boże, nie - Nathan podniósł lament, jakby facet umarł.

Moment paniki zbliżał się wielkimi krokami.

- Tak - oznajmił rozpromieniony portier, dumny, że udało mu się znaleźć nazwisko w grubej księdze. - On iść na trekking.

- Ale miał wyruszyć dopiero za dwa tygodnie! - zaprotestował Nathan.
- Pewnie najpierw wybrał się sam - powiedziałem - albo z przyjaciółmi. Tego było już za wiele dla Nathana. Panika i desperacja; musiał usiąść. Zastanowiłem się nad tym.
- Jeżeli chciał lecieć samolotem, to słyszałem, że wszystkie loty RNAC w góry zostały dziś odwołane. Może więc wrócił i poszedł na kolację. On dobrze zna Katmandu?
- Jak każdy - Nathan skinął ponuro.
- Spróbujmy więc w gospodzie Stary Wiedeń.

## IV

Thamel huczał jak zwykle w błękitach wczesnego wieczoru.

Fronty sklepów wychodzących na ulicę błyszczały światłami, tłoczyli się przechodnie. Wielkie land rovery i małe taksówki Toyoty przeciskały się przez tłum, nadużywając przy tym klaksonów, krowy na ulicach przeżuwały pokarm i gapiły się na to wszystko z wyrazem lekkiego zdziwienia, jakby kilka sekund temu magiczne zaklęcie przeniosło je tu wprost z pastwiska.

Nathan i ja szliśmy jeden za drugim obok sklepów, umykając przed rowerami i przeskakując liczne kałuże. Mijaliśmy sklepy z dywanami i z ekwipunkiem alpinistycznym, restauracje, księgarnie, agencje trekkingowe, hotele i stragany z pamiątkami, a przeciskając się przez tłum, odrzucaliśmy setki propozycji od młodych ludzi z ulicy. - Pieniądze wymienić? - Nie; - Zapali skręta? - Nie; - Kupi ładny dywan? - Nie; - Dobry hasz! - Nie; - Pieniądze wymienić? - Nie. Dawno temu ułatwiłem sobie przechadzki po okolicy, mówiąc po prostu "nie" do każdego, kogo mijałem. "Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie". Nathan miał inną metodę, która wyglądała na równie dobrą, albo nawet lepszą, bo handlarze uważali, że moje odmowy nie są dość stanowcze.

Nathan uprzejmie kiwał głową, z tym swoim harcerskim spojrzeniem prosto w oczy, mówiąc: "Nie, dziękuję bardzo", i zostawiał ich na ulicy z rozdziawionymi ustami.

Minęliśmy K.Cs, przedostaliśmy się przez Times Square, skrzyżowanie krętych ulic z wiecznymi korkami, i poszliśmy w dół ulicy prowadzącej z Thamelu do pozostałej części Katmandu. Dwaj kupcy stali przed swoimi sklepami, śpiewając razem z kasetą The Wall Pink Floydów: "Niepotrzebna nam edukacja, niepotrzebna kontrola myśli". Niemal wpadłem pod rower.

W miejscu, gdzie ulica się rozszerzała i gdzie zaczynał się chodnik, odepchnąłem na bok czarną kozę, po czym daliśmy susa przez gigantyczną kałużę do przypominającego tunel korytarza, który zagłębiał się w jeden z walących się domów. W korytarzu skręciliśmy w lewo, na betonowe schody.

- Byłeś tu kiedyś? - spytałem Nathana.

- Nie, zawsze chodzę do K.Cs albo do Placu Czerwonego - wyglądał, jakby nie czuł żalu z tego powodu.

Otworzyliśmy drzwi na szczycie schodów i wkroczyliśmy do Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Białe obrusy, wykładane boazerią ścianki pomiędzy głębokimi wnękami, czerwona tapeta w irysy, pluszowa tapicerka, gustowne, kiczowate lampy na każdym stole i wiszący w powietrzu ostry, gryzący zapach kiszzonej kapusty i gulaszu. Walce Straussa z szafy grającej. Z wyjątkiem słabych odgłosów klaksonów z ulicy poniżej, wszystko było absolutnie autentyczne.

- Mój Boże - powiedział Nathan. - Skąd to się tu wzięło?

- Większość to jej zasługa. - Właścicielka i miejscowy geniusz kulinarny, duża, pulchna, sympatyczna kobieta podeszła i pozdrowiła mnie po angielsku z twardym, niemieckim akcentem.

- Cześć, Eva. Szukamy przyjaciela... - zacząłem, ale Nathan minął nas i ruszył w stronę małej wnęki na końcu sali.

- Myślę, że go znajdzie - odparła Eva z uśmiechem.

Kiedy przedostałem się do stolika, Nathan gniótł rękę niskiego gościa z dhigimi blond włosami, dobrze po trzydziestce, klepał go po plecach, paplał - wyglądało, jakby płał się w uldze.

- Freds, Bogu dzięki, że cię znalazłem.

- Fajnie cię znowu zobaczyć, chłopie! To prawdziwy traf.

Miałem zamiar pociągnąć w góry z paroma angolami dzisiaj rano, ale stare Królewskie Zawodne Linie Lotnicze znowu nawaliły.

- Freds miał słaby, południowy albo wiejski akcent, ale nie mówił wolniej od innych, czasem nawet szybciej.

- Wiem - odparł Nathan i podniósł na mnie wzrok. - Mój nowy znajomy się tego domyślił. George Fergusson, a to jest George Fredericks.

Podaliśmy sobie ręce.

- Ładne nazwisko. Proszę mi mówić Freds, jak wszyscy.

Wsunęliśmy się za stół Fredsa, podczas gdy on wyjaśniał, że znajomi, z którymi miał zamiar iść na wspinaczkę, szukali właśnie pokoi.

- No i co porabiasz, Nathan? Nie wiedziałem nawet, że jesteś w Nepalu. Myślałem, że wróciłeś do Stanów i pracujesz, ratujesz dziką przyrodę czy coś takiego.

- Byłem w Stanach - odparł Nathan. Jego twarz znów przybrała zawzięty wyraz "śmierć albo życie". - Ale musiałem wrócić. Słuchaj, nie dostałeś mojego listu?

- Nie. A pisałeś do mnie? - zdziwił się Freds.

Nathan wlepił we mnie spojrzenie, a ja zrobiłem tak niewinną minę, jak tylko zdołałem.

- Będę musiał dopuścić cię do mojej tajemnicy - powiedział do mnie. - Nie znam cię dobrze, ale bardzo mi dzisiaj pomogłeś, a sprawy mają się tak, że raczej nie mogą być...

- Wybredny?

- Nie, nie o to chodzi. Nie mogę być przesadnie ostrożny, rozumiesz. Mam skłonność do przesadzania z ostrożnością, Freds ci to potwierdzi. Ale teraz potrzebuję pomocy. - Był śmiertelnie poważny.

- Kłopoty, tak czasem bywa. - Pocieszyłem go, usiłując przybrać wygląd godny zaufania, lojalny i tak dalej, co było trudne, zważywszy ucieszny grymas na twarzy Fredsa.

- No więc, wygląda to tak - zaczął Nathan, zwracając się do nas obu. - Muszę wam opowiedzieć, co przydarzyło mi się na wyprawie, przy której pomagałem wiosną. Nie jest mi łatwo o tym mówić, ale...

I tak, opuszczając głowę, nachylając się i ścisząc głos, opowiedział nam historię, o której przeczytałem w zaginionym liście. Freds i ja też się nachyliliśmy, tak że nasze głowy prawie stuknęły o stół. Robiłem, co tylko mogłem, żeby okazać bezgraniczne zaskoczenie przy momentach kulminacyjnych opowieści, ale nie musiałem się tym zbytnio przejmować, bo Freds zajął się dostarczaniem niezbędnego zdumienia.

- Żartujesz chyba - powtarzał. - Nie! Niewiarygodne.

Nie wierzę w to. Yeti są przeważnie strasznie płochliwe! A ten tak po prostu tam stał? Żartujesz chyba! Niemożliwe jak cholera, chłopie! Nie wierzę w to! Znakomicie! Co? - No, nie! Nie zrobiłeś tego!

A kiedy Nathan opowiedział, jak yeti dał mu naszyjnik, Freds rzeczywiście, tak jak to przewidywał list, wyskoczył zza stołu, przechylił się do tyłu i wrzasnął "ŻARTUJESZ CHYBA!!!"

- Ciii - syknął Nathan, kładąc twarz na obrusie. - Nie!

Wracaj tutaj, Freds! Proszę!

Tamten więc usiadł, a Nathan opowiadał dalej, z towarzyszeniem ciągle takich samych reakcji

("Zwalileś ten pieprzony most!?!")

- Szzz!"); a kiedy skończył, opadliśmy wyczerpani na oparcia krzesel. Inni goście powoli przestali się nam przyglądać. Chrząknąłem.

- Ale dzisiaj, hm, wspomniałeś, że ciągle jest jakiś problem, czy też jakiś nowy problem...?

Nathan skinął głową, zaciskając usta.

- Adrakian pojechał z powrotem i zdobył pieniądze od bogatego, starego gościa w Stanach, który miał kiedyś takie hobby - polowanie na grubą zwierzynę. J. Reeves Fitzgerald.

Teraz utrzymuje w swojej wielkiej posiadłości coś w rodzaju ogrodu zoologicznego. Przyleciał tutaj z Adrakianem, Valerie, nawet z Sarah i poszli prosto do miejsca, gdzie wiosną rozbiliśmy obóz. Dowiedziałem się o tym od Armaata i natychmiast przyjechałem. Zaraz po moim przybyciu wynajęli apartament w Sheratonie. Boy powiedział mi, że przyjechali land roverem z zasłoniętymi oknami, widział też jak wpychali po schodach kogoś dziwnego, a teraz siedzą zamknięci w tym apartamencie jak w twierdzy. I obawiam się - sądzę, że mają tam jednego z nich.

Freds i ja spojrzeliśmy po sobie.

- Jak dawno temu to było? - spytałem. - Dopiero dwa dni! Przez cały ten czas ścigałem Fredsa i nie wiedziałem, co robić!

- A co z Sarah? Ciągle jest z nimi? - zapytał Freds.

- Tak - odparł Nathan, patrząc w stół. - Trudno mi w to uwierzyć, ale jest z nimi. - Potrząsnął głową. - Jeżeli ukrywają tam yeti, jeśli go złapali, to, no cóż, to już koniec. To będzie katastrofa dla gatunku.

Przyznałem mu w myślach rację. Freds odruchowo kiwnął głową, zgadzając się po prostu dlatego, że tak powiedział Nathan.

- Zrobiliby tam wysoko zoo, cha, cha!

- Więc pomożesz? - spytał Nathan.

- Jasne, chłopie. Oczywiście! - Freds wyglądał na zdziwionego, że tamten w ogóle pyta.

- Ja też bym chciał - powiedziałem i była to prawda. Ten gość miał w sobie coś zaraźliwego.

- Dzięki. - Nathan wyglądał na bardzo uspokojonego. - Ale co z tą wspinaczką, na którą się wybierałeś, Freds?

- Spoko. I tak byłem na doczepkę, bardziej dla zabawy. Nie będą mieli pretensji. Zresztą sam się zastanawiałem, czy iść z nimi tym razem. Kupili sobie grę "Inteligencja", żeby nie ocipieć w namiotach. Wczoraj to wypróbowaliśmy. Wiecie, ja w "Inteligencję" jestem naprawdę dobry, z wyjątkiem kategorii historii, literatury i rozrywki, ale ta ich gra - to była wersja brytyjska. Walnęliśmy więc sobie trochę, zaczęliśmy grać, ja patrzę, a tu nagle odwałam jakieś ćwiczenie z Monty Pythona, to znaczy, oni po prostu nie grali w to tak samo! Wiecie, jak my gramy, nie zna się odpowiedzi i wszyscy mówią: "No, szkoda".

A tam przychodzi moja kolej, wybieram sport i wypoczynek - to moja silna strona - oni wyciągają kartę i pytają mnie: "Kto rzucił trzysta sześćdziesiąt pięć utrudnionych słupków na mokrym boisku w czasie meczu Zachodnich Indii w roku 1956?", albo coś takiego, tak że o mało co poumierali ze śmiechu. Skakali i tańczyli dookoła mnie, i wyli. "Nie wiesz, co nie! Wała wiesz, kto rzucił te utrudnione słupki!" Naprawdę trudno mi się było skupić na odpowiedzi. Tak to wygląda. Wyprawa z nimi tak czy owak mogła być pomyłką. Lepiej zostać tutaj i pomóc wam.

Nathan i ja mogliśmy tylko przytaknąć.

Weszła Eva z jedzeniem, które zamówiliśmy po epopei Nathana. Zdziwiający w gospodzie Stary Wiedeń jest to, że jedzenie jest lepsze nawet od wystroju. Byłoby dobre w każdym miejscu, a w Katmandu, gdzie prawie wszystko smakuje jak tektura, jest po prostu niewiarygodne.

- Popatrzcie na ten kotlet! - powiedział Freds. - Skąd oni do cholery biorą mięso?

- Nie zastanawiałeś się nigdy, w jaki sposób kontroluje się populację krów ulicznych? - spytałem.

Fredsowi się to spodobało.

- Już sobie wyobrażam, jak wykradają taką krasulę i wciągają ją tu na zaplecze. Jej!

Nathan zaczął niepewnie dźgać swój sznycel. Wtedy właśnie, nad tym wspomniałym posiłkiem, przedyskutowaliśmy problemy, jakie nas czekały. Jak zwykle w takich sytuacjach, miałem pewien plan.

## V

Nie słyszałem o przypadku, żeby w Katmandu zawiodła łapówka, ale w tym tygodniu pracownicy Everest Sheraton International byli okrutnie nieprzystępni. Nie chcieli nawet słyszeć o niczym nieregulaminowym, a co dopiero brać w tym udział, bez względu na zysk. Coś wisiało w powietrzu i zacząłem podejrzewać, że J. Reeves Fitzgerald ma rzeczywiście bardzo gruby portfel. Zatem plan "A" na dostanie się do pokoju Adrakiana nie powiódł się, a ja udałem się do baru hotelowego, gdzie Nathan krył się w narożnej wnęce, odpowiednio zamaskowany okularami słonecznymi i australijskim kapeluszem. Nie był zadowolony z wiadomości, które przyniosłem.

Everest Sheraton International nie jest tak dobry, jak Sheratony gdzie indziej, ale jakością przypomina mniej więcej przeciętny Holiday Inn, co sprawia, że w Katmandu ma pięć gwiazdek i jest prawie równie absurdalny, jak gospoda Stary Wiedeń. Bar wyglądał jak bar na lotnisku, a w pomieszczeniu obok nas znajdowało się kasyno, którego, sądząc po dochodzących stamtąd wybuchach śmiechu, najwyraźniej nikt nie mógł brać na serio.

Nathan i ja siedzieliśmy i sączyliśmy drinki, czekając na Fredsa, który był na zewnątrz hotelu.

Nagle Nathan chwycił mnie za ramię.

- Nie patrz!

- Dobra.

- Boże, musieli wynająć całą zgraję prywatnych ochroniarzy. Jezu, popatrz tylko na tych gości. Nie, nie patrz!

Rzuciłem dyskretnie wzrokiem na gromadkę wchodzącą do baru. Identyczne buty, identyczne kurtki z niewielkim wybrzuszeniem pod ramieniem, schludny wygląd, wyprostowani, niemal wojskowa postawa... Szczerze mówiąc, byli trochę podobni do Nathana, tyle że bez brody.

- Hmm - powiedziałem. Zdecydowanie nie byli to zwykli turyści. Portfel Fitzgeralda musiał być baardzo gruby.

W tej samej chwili do baru wpadł Freds i usiadł przy naszym stoliku.

- Jakieś kłopoty?

- Szz... - uciszył go Nathan. - Widzisz tych gości?

- Wiem - odparł Freds. - To agenci Tajnej Służby.

- Kto? - pytałem jednym głosem z Nathanem.

- Agenci Tajnej Służby.

- Nie powiesz mi, że ten Fitzgerald jest starym przyjacielem Reagana - zacząłem, ale Freds pokręcił głową, szczerząc zęby.

- Nie. Oni są tutaj z Jimmym i Rosalynn Carterami. Nic nie słyszeliście?

Nathan potrząsnął głową, ale ja poczułem ssanie w żołądku, kiedy przypomniałem sobie plotkę sprzed kilku tygodni.

- Chciał zobaczyć Everest...?



- Zgadza się. Spotkałem ich wszystkich w Namcze tydzień temu. Teraz już wrócili i mieszkają tutaj.

- Boże - powiedział Nathan - ludzie z Tajnej Służby, tutaj. - Tak naprawdę, to mili goście - wyjaśnił Freds. - Sporo z nimi gadaliśmy w Namcze. Bardzo zasadniczy, to jasne - prawdziwi harcerze - ale mili. Mogli nam powiedzieć, co dzieje się w lidze, bo mieli telewizję satelitarną. Opowiedzieli nam też o swojej pracy i inne takie. Oczywiście, czasem pytaliśmy ich

o Carterów, a oni tylko się rozglądali, jakby nikt nic nie powiedział. To było trochę dziwaczne, ale przeważnie byli naprawdę normalni.

- A co robią tutaj? - spytałem, ciągle nie mogąc w to uwierzyć.

- No, Jimmy chciał zobaczyć Everest. Wszyscy więc przelecieli helikopterem do Namcze, jakby coś takiego jak choroba wysokościowa zupełnie nie istniało, i wyruszyli na Everest! Przed chwilą rozmawiałem z jednym agentem, którego tam spotkałem, i powiedział mi, czym się to skończyło. Rosalynn dotarła do czterech i pół tysiąca metrów i zawróciła, ale Jimmy brnął dalej.

Wiecie, ma tu tych wszystkich młodych, silnych chłopaków z Tajnej Służby, ale zaczęli mu tam chorować i codziennie odsyłali paru z nich helikopterem z powodu choroby wysokości, zapalenia płuc i czegoś tam jeszcze, aż nie został prawie żaden!

Całą swoją ekipę załatwił na amen! Ile on ma lat, z sześćdziesiąt?

A te wszystkie młodziaki padały jak muchy, kiedy on zasuwał w górę, do Kala Pattar i do obozu Everest. To cudowne!

- Wspaniale - przytaknąłem. - Jestem z niego dumny, ale teraz wracają.

- Taa, korzystają trochę ze sceny kulturalnej Katmandu.

- To raczej kiepsko.

- Aha! Nie udało się zdobyć klucza do pokoju yeti, co? O to chodzi?

- Ciii - syknął Nathan.

- Przepraszam, zapomniałem. Cóż, musimy po prostu wymyślić coś innego, nie? Carterowie zostaną tu jeszcze przez następny tydzień.

- Okna? - pytałem.

Freds pokręcił głową. - Lekko mógłbym się do nich wspiąć, ale ich pokój wychodzi na ogród i nie byłoby to zbyt dyskretne.

- Boże, to niedobrze - powiedział Nathan i pociągnął do dna swojego scotcha. - Phil może się zdecydować na ujawnienie... tego, co ma, na konferencji prasowej, korzystając z obecności Carterów. Znakomity sposób na szybkie i ułatwione zdobycie rozgłosu - to do niego podobne.

Siedzieliśmy i zastanawialiśmy się nad tym przez parę drinków.

- Wiesz, Nathan - zacząłem powoli. - Istnieje punkt widzenia, którego jeszcze nie omawialiśmy, mianowicie, żebyś ty pokierował sprawami.

- I na czym by to miało polegać?

- Sarah.

- Co? O, nie. Nie mógłbym. Nie mogę z nią rozmawiać, naprawdę. To by... no, po prostu nie chcę.

- Ale dlaczego?

- Nie obchodziłoby jej to, co mówię - spuścił wzrok na swoją szklanekę i nerwowo zamieszał zawartość. Jego głos nabrał goryczy. - Prawdopodobnie powiedziałaaby po prostu Philowi, gdzie jesteśmy, a wtedy naprawdę bylibyśmy w tarapatach.

- No, nie wiem. Nie myślę, żeby była osobą, która jest do tego zdolna, co, Freds?

- Nie wiem - odparł Freds. zaskoczony. - Nigdy jej nie widziałem.

- Na pewno by taka nie była. - Naciskałem na niego, oceniając, że w tej chwili jest to nasza największa szansa. Nathan był jednak w tej sprawie uparty i nie ustąpił, zaczął natomiast nalegać, żebyśmy już poszli.

Zapłaciliśmy więc rachunek i wynieśliśmy się. Przechodziliśmy przez hol i już byliśmy obok szerokich drzwi frontowych, kiedy Nathan nagle stanął jak wryty. Do korytarza weszła właśnie wysoka, przystojna kobieta w dużych, okrągłych okularach. Nathan stał jak zamurowany. Domyśliłem się, kim musi być ta osoba i trąciłem go łokciem. - Pamiętaj, o jaką stawkę chodzi.

To był dobry argument. Nathan wziął głęboki oddech i kiedy kobieta miała już nas minąć, zerwał kapelusz i okulary.

- Sarah!

Kobieta drgnęła.

- Nathan! O Boże! Co... co ty tu robisz?

- Wiesz, dlaczego tu jestem, Sarah - powiedział grobowym głosem i wyprostował się jeszcze bardziej niż zazwyczaj, wbijając w nią wzrok. Sądzę, że gdyby była skazana za matkobójstwo, nie patrzyłby na nią bardziej oskarżycielsko.

- Co...? - zabrakło jej głosu.

Usta Nathana skrzywiły się pogardliwie. Pomyślałem, że trochę przesadza z tym piętnowaniem, myślałem nawet, czy nie wkroczyć i spróbować mniej konfrontacyjnego podejścia, ale właśnie wtedy, dokładnie w połowie następnego zdania, jego głos zadźwięczał autentycznym cierpieniem.

- Nie myślałem, że jesteś do tego zdolna, Sarah.

Wyglądała jak uczennica, z tymi swoimi kasztanowymi włosami, grzywką i wielkimi okularami. A teraz jak uczennica cierpiąca: wargi jej drżały, zatrzepotała powiekami.

- Ja... ja... - Jej twarz się wykrzywiła. Sarah z cichym płaczem podeszła niepewnie do Nathana i rzuciła się w jego szerokie ramiona. Nathan pogłaskał ją po głowie, oszołomiony.

- Och, Nathan - powiedziała żałośnie, pociągając nosem.

- To jest takie okropne...

- Już dobrze - odparł, sztywny jak kij. - Wiem.

Trwali tak przez chwilę objęci. Chrząknąłem.

- Może byśmy poszli gdzie indziej i czegoś się napili - zaproponowałem, czując, że sprawy zaczynają wyglądać odrobinę lepiej.

## VI

Poszliśmy do kawiarni hotelu Annapuma, gdzie Sarah potwierdziła najgorsze obawy Nathana. ("Trzymają go tam zamkniętego w łazience.") Yeti najwyraźniej jadł coraz mniej, a Yalerie Budge namawiała Fitzgeralda, żeby natychmiast wywieźć go do ohydneho i ciasnego miejskiego zoo, ale milioner ściągał grupę dziennikarzy zajmujących się przyrodą i nauką, żeby jutro albo pojutrze zwołać konferencję prasową, więc on i Phil chcieli poczekać. Robili sobie nadzieje na "obecność" Carterów na tym odsłonięciu, jak nazwał to Freds, ale nie byli tego jeszcze pewni.

Freds i ja zadaliśmy Sarah pytania dotyczące organizacji w hotelu. Okazało się, że Phil, Valerie Budge i Fitzgerald na zmianę pilnowali bez przerwy łazienki. Jak go karmili? Na ile był potulny? Pytanie, odpowiedź, pytanie, odpowiedź. Po początkowym załamaniu Sarah okazała się osobą silną i rozsądną. Nathan z kolei przez cały czas nie przestawał powtarzać: "Musimy go stamtąd wydostać, musimy to zrobić szybko, bo będzie z nim koniec". Dłoń Sarah na jego ręce tylko podsycała ten płomień:

"Koniecznie musimy go uratować".

- Wiem, Nathan - powiedziałem, usiłując się skupić. - Już to wszyscy wiemy. - W moim umyśle zaczynał układać się pewien plan. - Sarah, masz klucz do tego pokoju?

Kiwnęła głową.

- W porządku, chodźmy.

- Jak to? Teraz? - jęknął Nathan.

- No pewnie! Spieszmy się, prawda? Ci dziennikarze mają przyjechać, wtedy tamci zauważą, że nie ma Sarah... Poza tym musimy zdobyć najpierw trochę różnych rzeczy.

## VII

Było późne popołudnie, kiedy wróciliśmy do Sheratona. Freds i ja mieliśmy wypożyczone rowery, Nathan i Sarah jechali za nami taksówką. Upewniliśmy się, że taksjarsz rozumie, że chcemy, żeby poczekał na nas przed wejściem; potem Freds i ja weszliśmy do środka, daliśmy Sarah i Nathanowi znak, że droga wolna i skierowaliśmy się prosto do telefonów w holu. Nathan i Sarah podeszli do recepcji i wynajęli pokój; chcieliśmy, żeby zniknęli na jakiś czas.

Zadzwoiłem do wszystkich pokoi na najwyższym piętrze hotelu (trzecim) i okazało się, że połowę z nich zajmują Amerykanie. Wyjaśniłem, że jestem J. Reeves Fitzgerald, asystent Carterów, którzy zatrzymali się w hotelu. O Carterach wiedzieli wszyscy. Wy tłumaczyłem, że eks-prezydent i jego żona wydają małe przyjęcie dla Amerykanów mieszkających w hotelu i jeśli państwo zechcieliby wziąć w nim udział, to serdecznie zapraszamy do kasyna - sami Carterowie zjedzą za mniej więcej godzinę.

Wszyscy byli zachwyceni zaproszeniem (z wyjątkiem jednej osoby, niewątpliwie republikanina, któremu musiałem przerwać, odkładając słuchawkę) i obiecali, że zaraz będą na dole.

Ostatni telefon odebrał Phil Adrakian z pokoju 355. Przedstawiłem się jako Lionel Hodding. Dalej poszło tak, jak z pozostałymi, co najwyżej Adrakian był jeszcze bardziej wniebowzięty:

"Zaraz będziemy na dole, dziękuję; tak się składa, że będziemy mogli odwzajemnić się zaproszeniem". Byłem do niego uprzedzony, to prawda, ale gadał naprawdę tak, że się niedobrze robiło.

Epitet Nathana, "teoretyk", nie oddawał tego w pełni, ja osobiście wolałbym coś w rodzaju, powiedzmy, "dupek".

- Świetnie. Czekamy oczywiście na wszystkich państwa.

Czekaliśmy z Fredsem w barze i obserwowaliśmy windy.

Uroczyście turystyczni Amerykanie zaczęli wysypywać się z nich, kierując się do kasyna; nigdy bym nie uwierzył, że w całym Katmandu jest tyle poliestru, ale przypuszczam, że w podróży jest bardzo wygodny.

Schodami obok windy zeszło dwóch mężczyzn i pulchna kobieta.

- To oni? - spytał Freds.

Kiwnąłem głową; pasowali dokładnie do opisu Sarah. Phil Adrakian był niewysoki, szczupły, w typie kalifornijskiego przystojnisia. Valerie Budge nosiła okulary i miała gęste, kręcone, wysoko upięte włosy; przypominała raczej intelektualistkę, podczas gdy Sarah miała zaledwie wygląd pilnej studentki. Człowiek od forsy, J. Reeves Fitzgerald, około sześćdziesiątki, wyglądał na bardzo wysportowanego, chociaż palił cygaro. Ubrany był w kurtkę safari, ozdobioną ośmioma kieszeniami. Adrakian spierał się z nim o coś i kiedy przechodzili przez hol do kasyna, usłyszałem, jak mówił: "to lepsze niż konferencja prasowa".

Przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł i wróciłem do telefonów. Poprosiłem telefonistkę hotelową o Jimmy'ego Cartera i zostałem połączony, ale telefon odebrał ktoś o monotonnym akcencie

ze Środkowego Zachodu.

- Halo - brzmiało to bardzo oficjalnie.

- Halo, czy to apartament państwa Carter?

- Czy mogę wiedzieć, z kim rozmawiam?

- Mówi J. Reeves Fitzgerald. Prosiłbym, żeby poinformował pan państwa Carter, że Amerykanie w Sheratonie urządzają dla nich przyjęcie w kasynie hotelu, dziś po południu.

- ...nie jestem pewien, czy ich rozkład zajęć pozwoli im na przybycie.

- Rozumiem. Gdyby tylko zechciał pan ich zawiadomić.

- Oczywiście.

Wróciłem do Fredsa i osuszyłem piwo Star w dwóch łykach.

- Dobra - powiedziałem. - Coś powinno się teraz wydarzyć. Chodźmy na górę.

## VIII

Przekręciłem do Nathana i Sarah, i spotkaliśmy się pod drzwiami pokoju numer 355. Sarah wpuściła nas do środka. Był to wielki apartament, stylowy, w typie Holiday Inn; mógłby się znaleźć w dowolnym mieście na świecie. Z tą różnicą tylko, że w powietrzu unosił się słaby zapach mokrej sierści.

Sarah podeszła do drzwi łazienki i otworzyła zamek. Ze środka dobiegł jakiś hałas. Nathan, Freds i ja tłoczyliśmy się niespokojnie za plecami Sarah. Otworzyła drzwi. Coś się poruszyło i ukazał się on, stojąc na wprost nas. Znalazłem się oko w oko z yeti.

Na rynku pamiątkarskim Katmandu pełno jest kalendarzy, pocztówek i haftowanych podkoszulków z rysunkami yeti. Zawsze powtarza się ten sam wizerunek, czego nigdy nie mogłem zrozumieć. Dlaczego każdy godzi się na korzystanie z tego samego domysłu? Rysunek mnie denerwował: okrągłe, futrzaste stwo- rzonko obrócone plecami, odwracające przez ramię typowo małpią twarz i prezentujące podeszwę jednej wielkiej, gołej stopy.

Z radością donoszę, że prawdziwy yeti w niczym nie przypominał tamtego obrazka. No, był futrzasty, to prawda, ale był przy tym mniej więcej wzrostu Fredsa i miał zdecydowanie ludzką twarz, otoczoną podobną do brody krezą splecionej, rudawej sierści. Wyglądał trochę jak Lincoln - oczywiście niski i bardzo brzydki Lincoln, ze zgniecionym nosem i raczej wydatnymi łukami brwiowymi - ale jakieś podobieństwo jednak istniało.

Z ulgą przekonałem się, jak bardzo jest do nas podobny. Na tym opierał się mój plan i byłem zadowolony, że Nathan nie przesadził w swoim opisie. Jedyłą cechą, która wyglądała naprawdę niecodziennie, był grzebień potyliczny, garb z kości i mięśni, który biegł przez czubek jego głowy, jakby sama czaszka miała indiański czub.

No więc staliśmy tam jak rzeźba zatytułowana: "Spotkanie ludzi i yeti", aż Freds zdecydował się przełamać pierwsze lody.

Wystąpił do przodu i podał tamtemu gościowi rękę.

- Namaste! - powiedział.

- Nie, nie - Nathan przepchnął się przed niego, wyciągając naszyjnik ze skamieniałych muszli, który dostał na wiosnę.

- Czy to ten sam? - wymamrotałem, chwilowo nie bardzo wiedząc, co robić. Ponieważ drzwi łazienki ciągle jeszcze nie były otwarte na oścież, nie bardzo w to wszystko mogłem uwierzyć.

- Myślę, że tak.

Yeti wyciągnął rękę i dotknął naszyjnika oraz dłoni Nathana.

Znowu skamienieliśmy. Potem yeti wystąpił naprzód i potarł twarz Nathana swoją długą,

futrząstą dłonią. Zagwizdał coś cicho. Nathan zaczął dygotać; w oczach Sarah pokazały się łzy. Ja sam też byłem pod wrażeniem.

- Wygląda jak jakiś Budda, nie sądzicie? - powiedział Freds. - Nie ma brzucha, ale te jego oczy, człowieku. Budda bez dwóch słów.

Zabraliśmy się do pracy. Otworzyłem swój plecak i wyciągnąłem workowaty kombinezon, żółty podkoszulek "Wolny Ty- bet" i obszerną kurtkę z kapturem. Nathan zdejmował swoją koszulę i zakładał ją z powrotem, żeby pokazać yeti, o co nam chodzi.

Powoli, ostrożnie, delikatnie, z wieloma łagodnie mówionymi słowami i miękkimi gestami wpakowaliśmy yeti w ubranie.

Najtrudniej było z podkoszulkiem: yeti trochę piszczał, kiedy przekładaliśmy mu go przez głowę. Na szczęście kurtka była zapinana na suwak. Przy każdy moim ruchu powtarzałem: "Namaste, szlachetny panie, namaste".

Z dłońmi i stopami mieliśmy kłopot. Dłonie były dziwne, palce chude i prawie dwa razy dłuższe od moich, a do tego porządnie owłosione. Jednak noszenie w Katmandu za dnia rękawic byłoby chyba jeszcze gorsze. Przestałem się nad nimi zastanawiać i przeszedłem do stóp. Były one jedyną częścią rysunku dla turystów, która prawie się zgadzała. Stopy miał wielkie, pokryte sierścią i niemal dokładnie prostokątne. Jego paluch przypominał bardzo gruby kciuk. Buty, które ze sobą przyniosłem, największe, jakie udało mi się zdobyć w pośpiechu, nie były dostatecznie szerokie. Ostatecznie ubrałem go w tybetańskie wełniane skarpety i sandały Birkenstocka przerobione za pomocą scyzoryka tak, żeby paluch mógł wystawać z boku.

Na koniec włożyłem mu na głowę swoją błękitną czapkę Dodgersów. Czapka znakomicie ukrywała grzebień potyliczny.

a daszek pomagał zasłonić dość niskie czoło i wystające łuki brwiowe. Całość zakończyłem parą lustrzanych gogli.

- Hej, elegancko - stwierdził Freds.

Do tego naszyjnik Szerpów zrobiony z pięciu kawałków koralu i trzech gigantycznych ułomków nie obrobionego turkusa, nawleczonych na czarny sznurek. Rozumiecie, zasada rozpraszania uwagi.

Przez cały ten czas Sarah i Nathan przetrząsali szuflady i bagaż, kradnąc wszystkie filmy do aparatów fotograficznych, notesy i wszystko, co mogło zawierać dowody istnienia yeti.

A rzeczony yeti stał tam, spokojny i uważny, obserwując Nathana, wsuwając rękę w rękaw, jak milioner chowający portfel, stąpając ostrożnie w sandałach, dopasowując daszek czapki baseballowej i inne takie. Zrobiło to na mnie prawdziwe wrażenie, na Fredsie też.

- On naprawdę jest jak Budda, co nie?

Pomyślałem, że podobieństwo fizyczne było w tej chwili nieco stłumione, ale jego postawa nie mogła być bardziej dobrodusza, choćby nawet był Gautamą we własnej osobie.

Kiedy Nathan i Sarah skończyli przeszukiwanie, spojrzeli na nasze dzieło.

- Boże, ależ on dziwacznie wygląda - stwierdziła Sarah.

Nathan natomiast usiadł na łóżku i objął głowę dłońmi.

- To się nigdy nie uda - powiedział. - Nigdy.

- Na pewno się uda - wykrzyknął Freds, zaciągając suwak kurtki trochę wyżej. - Na Freak Street ciągle widzi się gości wyglądających tak samo. Człowieku, kiedy chodziłem do szkoły, grałem w football z całą drużyną facetów, którzy byli zupełnie tacy sami jak on! Prawda jest taka, że w moim stanie on mógłby kandydować na senatora...

- Hej, hej! - przerwałem mu. - Nie ma czasu do stracenia.

Dajcie mi nożyczki i szczotkę, muszę go jeszcze uczesać. - Spróbowałem przyglądzić mu włosy

nad uszami, ale niezbyt się to udało, a potem trochę go jeszcze przystrzygłem z tyłu. Krótka droga – myślałem - tylko jeden krótki spacer na dół do taksówki. I to przez ciemne korytarze. - Równy po obu stronach?

- Na miłość boską, George, chodźmy! - Nathan zaczął się gorączkować, bo zajęło nam to wszystko trochę czasu. Pozbieraliśmy więc nasze rzeczy, zapakowaliśmy je do plecaków i wyciągnęliśmy starego Buddę na korytarz.

## IX

Zawsze byłem dumny ze swojego wycucia czasu. Wiele razy sam byłem zaskoczony, jak dokładnie udawało mi się trafić we właściwe miejsce o właściwej porze; wykracza to poza świadome kalkulacje, sięga głębokiej wspólnoty mistycznej z kosmosem i tak dalej, i tak dalej. Najwyraźniej jednak w tej sprawie trzymam się z ludźmi, których wycucie czasu było tak kosmicznie okropne, że przytłumiło moje własne. Tylko w ten sposób mogę to wytłumaczyć.

Prowadziliśmy yeti korytarzem Everest Sheraton International, idąc ostrożnie, yeti na trochę pałakowatych nogach - właściwie nawet bardzo pałakowatych, i z bardzo długimi ramionami, więc ciągle martwiłem się, że może zacząć iść na czworakach - ale poza tym w miarę normalnie. Po prostu zwyczajna grupa turystów w Nepalu. Zdecydowaliśmy się na schody, żeby uniknąć wszelkiego krępującego tłoku w windzie, i właśnie weszliśmy przez wahadłowe drzwi na klatkę schodową, gdy nagle spostrzegliśmy, że po schodach w naszym kierunku idą Jimmy Carter, Rosalynn Carter i pięciu ludzi z Tajnej Służby.

- No nie! - wykrzyknął Freds. - Dajcie spokój, przecież to Jimmy Carter! I Rosalynn!

Sądzę, że był to najlepszy sposób na rozegranie całej sytuacji, chociaż Freds zachował się po prostu naturalnie. Nie wiem, czy Carterowie szli w jakichś swoich sprawach, czy rzeczywiście schodzili na moje przyjęcie; jeżeli to drugie, to mój pomysł z ostatniej chwili, żeby ich zaprosić, był naprawdę zły. W każdym razie byli tam i zatrzymali się na schodach. My też zatrzymaliśmy się na schodach. Nawet ludzie z Tajnej Służby stanęli, przypatrując się nam uważnie.

Co robić? Jimmy posłał nam swój słynny uśmiech, który wyglądał jak z okładki "Time'a", taki to był znajomy widok, po prostu - taki sam. Tyle, że nie całkiem. Nie dokładnie. Jego twarz była starsza, to oczywiste, ale miał przy tym wygląd kogoś, kto przeszedł poważną chorobę albo wielką klęskę żywiołową.

Wyglądał, jakby przeżył pożar i wrócił do świata, wiedząc więcej niż większość ludzi, czym jest pożar. To była dobra twarz, ukazywała, co może znieść człowiek. W dodatku był rozluźniony, tego rodzaju przerwa należała do codziennej rutyny, była częścią pracy, do której zgłosił się na ochotnika dziewięć lat temu.

Ja natomiast zupełnie nie byłem rozluźniony. Prawdę mówiąc, kiedy ludzie z Tajnej Służby obrzucali swym jastrzębim wzrokiem Buddę, czułem, jak serce mi staje, i musiałem trochę poruszyć tułowiem, żeby znowu ruszyło. Nathan przestał oddychać od momentu, gdy zobaczył Cartera, i zbladł jak kreda ponad wyraźną linią zarostu. Z sekundy na sekundę robiło się coraz gorzej, gdy Freds wystąpił naprzód i wyciągnął rękę.

- Witam, panie Carter, namaste! Cieszymy się, że pana spotkaliśmy.

- Witam, witam wszystkich.-Kolejny słynny uśmiech. - Skąd państwo pochodzą?

Odpowiadaliśmy więc: "Arkansas", "Kalifornia", "M-Massachusetts", "Oregon", a on przy każdym z nas uśmiechał się i kiwał głową z przyjemnością, rozpoznając znajomą nazwę, zaś Rosalynn też się uśmiechała i mówiła "Dzień dobry, dzień dobry"

z tym nieśmiałym spojrzeniem, które widziałem wcześniej, podczas jego prezydentury, a które

wyglądało tak, jakby mówiła, że chętnie znalazłaby się gdzie indziej. Przesuwaliśmy się więc, żeby każdy mógł uścisnąć rękę Jimmy'emu, aż przyszła kolej na Buddę.

- To nasz przewodnik, B. - Badim Badur - powiedziałem. - Nie mówi ani słowa po angielsku.

- Rozumiem - odparł Jimmy, po czym ujął rękę Buddy i potrząsnął nią w górę i w dół.

Owszem, byłem za tym, żeby zostawić Buddę z gołymi dłońmi, ale teraz zacząłem poważnie żałować tej decyzji. Mieliśmy tu przecież człowieka, który ścisnął w swoim życiu przynajmniej milion rąk, może nawet dziesięć milionów; na całym świecie nie znalazłoby się lepszego eksperta w tej dziedzinie. Więc jak tylko ujął długą, chudą dłoń Buddy, od razu spostrzegł różnicę. Ta ręka nie była podobna do milionów innych, które ścisnął do tej pory.

Kilka bruzd dołączyło do siatki drobnych zmarszczek wokół jego oczu; przyjrzał się uważniej ubiorowi Buddy. Czułem, jak krople potu występują mi na czoło.

- Eee... Badim jest trochę nieśmiały - zacząłem mówić, gdy nagle yeti zaskrzeczał.

- Naa-maas-teej - powiedział szorstkim, chrapliwym głosem. - Namaste - odparł Jimmy, uśmiechając się swym słynnym uśmiechem.

I to, moi drodzy, była pierwsza opisana rozmowa pomiędzy yeti a człowiekiem.

Oczywiście, Budda próbował tylko pomóc - jestem tego pewien, biorąc pod uwagę to, co stało się później - ale jego przemówienie ostro nas zaskoczyło, choć robiliśmy wszystko, żeby to ukryć. W rezultacie faceci z Tajnej Służby szykowali się już do zrewidowania nas, w szczególności Buddy.

- Nie będziemy już dłużej przeszkadzać - odezwałem się drżącym głosem i wzięłem Buddę za ramię. - Miło było państwa poznać - powiedziałem jeszcze do Carterów.

Staliśmy tam wszyscy przez chwilę. Nie wydawało się zbyt grzeczne iść po schodach przed byłym prezydentem Stanów Zjednoczonych, ale ludzie z Tajnej Służby cholernie nie chcieli, żebyśmy szli za nimi. Ostatecznie więc ja poprowadziłem, ściskając Buddę za ramię i przytrzymując go z całej siły, kiedy schodziliśmy.

Do holu dotarliśmy bez przeszkód. Sarah prowadziła ożywioną rozmowę z ludźmi z Tajnej Służby, którzy szli tuż za nami, i pomyślałem, że bardzo skutecznie rozprasza w ten sposób ich uwagę. Wydawało się już, że uda nam się wymknąć bez dalszych kłopotów, gdy drzwi do kasyna odchyliły się i wyszli zza nich Phil Adrakian, J. Reeves Fitzgerald i Valerie Budge. (Ktoś wspominał o wyczuciu czasu?)

Adrakian ocenił całą sytuację jednym rzutem oka.

- Oni go porywają - wrzasnął. - Hej! Porwanie!

Wyglądało to tak, jakby ktoś tych agentów Tajnej Służby podłączył nagle do prądu. W końcu to dość wątpliwe, żeby ktoś chciał dokonać zamachu na eks-prezydenta, za to jako zakładnik dla okupu czy czegoś takiego - no, to przecież znakomita zdobycz. Agenci rzucili się więc jak mangusta, żeby oddzielić nas od Carterów. Freds i ja próbowaliśmy wypchnąć Buddę przez drzwi frontowe, nie odrywając przy tym nóg od ziemi; nie posunęliśmy się więc zbyt daleko i nie wątpię, że za nasze wysiłki mogliśmy dostać po kulce, gdyby nie Sarah. Dziewczyna wyskoczyła przed szarżującego Adrakiana i powstrzymała go.

- To ty jesteś porywaczem, ty kłamco! - wrzasnęła i trzasnęła go w twarz tak silnie, że się zachwiał. - Pomocy! - zażądała od facetów z Tajnej Służby. Jej policzki pokraśniały na jasnoczerwono, kiedy odepchnęła Valerie Budge do tyłu, na Fitzgeralda. Była tak potargana, bojowa i piękna, że agenci stracili orientację; sytuacja była całkowicie niejasna. Freds, Budda i ja wypadliśmy przez drzwi wejściowe i wzięliśmy nogi za pas.

Naszej taksówki nie było.

- Cholera - powiedziałem. Nie było czasu do namysłu.

- Rowery? - spytał Freds.

- No."- Nie było innego wyboru. Pobiegliśmy wzdłuż budynku i odpięliśmy nasze dwa rowery. Wsiadłem na swój, a Freds pomógł Buddzie umieścić się na małym, kwadratowym bagażniku nad moim tylnym kołem. Ludzie przed hotelem krzyczeli i wydawało mi się, że słyszę pomiędzy nimi Adrakiana.

Freds popchnął mnie z tyłu i ruszyliśmy. Uniosłem się na pedałach, żeby nakręcić trochę prędkości, przez co chwialiśmy się niebezpiecznie na boki.

Skierowałem się w ulicę biegnącą na północ. Składała się ona właściwie z jednego pasma, w dodatku częściowo wyłożonego chodnikiem, a częściowo pokrytego błotem. Ruch samochodów i rowerów był jak zwykle bardzo duży, więc pochłonęło mnie omijanie pojazdów i wybojów, oglądanie się za prześladowcami i zapobieganie wywróceniu roweru przez kołyszącego się Buddę.

Rower był zwykłą maszyną, jakie wypożycza się w Katmandu, marki Hero Jet: ciężka rama, grube opony, niska kierownica, bez przerzutki. Hamował, kiedy kręciło się pedałami do tyłu, miał też jeden hamulec ręczny i duży, głośny dzwonek, który stanowił zasadniczą część wyposażenia. Mój rower wcale nie był złym egzemplarzem, skoro hamulec ręczny działał, kierownica nie była obluzowana, a sprężyny z siedzenia nie wbijały mi się w tyłek. Nie da się jednak ukryć, że hero jet jest pojazdem jednoosobowym. A Budda nie był lekki jak piórko. Miał budowę kota, masywną i zwartą; założę się, że ważył ponad dziewięćdziesiąt kilo. Tylna opona była przez to zupełnie rozplaszczona, od ziemi do obręczy był może trzymilimetrowy odstęp, a za każdym razem, gdy nie udało mi się wyminąć wyboju, rozlegało się nieprzyjemne uderzenie, kiedy w niego wpadaliśmy.

Nie biliśmy więc żadnych rekordów prędkości, a kiedy skręciliśmy w lewo, na Dilli Bazar, z tyłu rozległ się okrzyk Fredsa:

- Gonia nas! Zobacz, tam w taksówce jest ten Adrakian i jacyś inni!

Faktycznie, w odległości kilkuset metrów za nami Phil Adrakian wychylał się z okna małej, białej toyoty i wrzeszczał na nas.

Przepedałowaliśmy przez most Dhobi Khola i pomknęliśmy obok budynku Urzędu Imigracyjnego tak szybko, że nie zdołałem wymyślić czegoś, co można by krzyknąć, żeby zgromadzić na ulicy tłum.

- Freds! - powiedziałem sapiąc. - Zatrzymaj ich! Zatamaj ruch!

- Już się robi.

Natychmiast zahamował i stanął na środku drogi, zeskoczył ze swojego hero jęta i rzucił go na ulicę. Jadąca za nim trójkołowa riksza z silnikiem najechała na rower, zanim jej kierowca zdążył zahamować. Freds zaczął wykrzykiwać obelgi, wyciągnął rower i cisnął go pod datsuna nadjeżdżającego z przeciwnej strony, który zatrzymał się z piskiem opon, zgniół hero jęta. Kolejny stek przekleństw Fredsa, który rzucał się na wszystkie strony, wyciągając kierowców z ich pojazdów i krzycząc na nich całanepalszczyzną, jaką znał: "Chiso howa!" (zimny wiatr), "Tato pani!"

(gorąca woda), "Rhamrao dihn!" (Ładny dzień).

Rzuciłem na to tylko przelotne spojrzenie, ale zobaczyłem, że udało mu się zyskać trochę czasu i skupiłem się na pokonywaniu ruchu ulicznego. Dilli Bazar jest jedną z najbardziej zatłoczonych ulic w Katmandu, a to naprawdę coś znaczy. Po obu stronach dwóch wąskich pasm ruchu stoją dwupiętrowe budynki, w których znajdują się targowiska warzyw i hurtownie tkanin, wychodzące bezpośrednio na ulicę i wykorzystujące ją jako miejsce na kolejki do kas, mimo że jest to główna trasa przelotowa ciężarówek. Dodajcie do tego zwykłą ilość psów, kóz, kur, taksówek, uczennic idących pod ramię po trzy obok siebie, rikszy prowadzonych przez kierowców, co mają metr pięćdziesiąt i wiozą całe rodziny z prędkością pięciu kilometrów na godzinę, oraz przechadzającą się



od czasu do czasu świętą krowę, i możecie sobie wyobrazić zakres problemu. A to nie wszystko, bo wyboje są niesamowite - niektóre można wziąć za otwarte włazy.

A wzniesienia! Do tej pory jakoś sobie radziłem, klucząc przez tłum i dzwoniąc dzwonkiem, aż drętwiał mi kciuk. Nagle Budda potrząsnął mnie za ramię. Obejrzałem się i zobaczyłem, że Adrakianowi udało się jakimś cudem przedostać przez Fredsa i wziąć następną taksówkę, a teraz znowu sunął za nami, zablokowany przez jakiś kolorowy autobus w pewnej odległości od nas. Wtedy zaczęliśmy wspinać się na pierwsze z trzech całkiem stromych wzgórz, na które wspina się Dilli Bazar, zanim osiągnie centrum miasta.

Hero jęty nie są przeznaczone do wzniesień. Mieszkańcy miasta schodzą z nich i prowadzą je pod górę takich podjazdów jak ten; tylko zagraniczniacy, nie przestający nawet w Nepalu się spieszyć, gramolą się pod górę, nie zsiadając. Było jednak ciężko, zwłaszcza po tym, jak musiałem zahamować i stanąć, żeby uniknąć zderzenia ze staruszką wydmuchującą nos za pomocą palców. Taksówka Adrakiana wyprzedziła autobus przy eksplozji klaksonów i szybko nas doganiała. Pochyliłem się na siodełku, sapiąc i przeklinając, nogi ciążyły mi jak wielkie kłody drewna i wyglądało na to, że będę musiał znaleźć jakieś dyplomatyczne wyjście z tej sytuacji, gdy nagle obie stopy zleciały mi z pedałów.

Poleciliśmy do przodu, ledwie unikając nadjeżdżającej z przeciwka rikszy.

To Budda mnie zmienił. Obiema rękoma trzymał się siodełka i pedałowal z tyłu. Widziałem, że tak samo robili wysocy zagraniczniacy, aby uniknąć waleniakolanami o kierownicę przy każdym podrzucie. Ale siedząc na bagażniku, nie ma się zbyt dużej siły nacisku, więc nigdy nie widziało się, żeby robili to, jadąc pod górę. Buddzie nie sprawiało to kłopotu. Chodzi mi

o to, że ten gość był naprawdę silny. Kręcił tak ostro, że biedny hero jet skrzypiał z wysiłku, a my wspięliśmy się na wzniesienie

1 zlecieliśmy po drugiej stronie, jakbyśmy przesiedli się na motocykl.

Motocykl bez hamulców, powinienem dodać. Wyglądało na to, że Budda nie do końca rozumie teorię torpeda, ja zaś spróbowałem raz czy dwa hamulca ręcznego, który zakwiczał tylko jak prosię i zmniejszył trochę naszą stabilność. Kiedy więc mknęliśmy w dół Dilli Bazar, mogłem tylko oprzeć stopy o ramę i wymijać przeszkody, jak w tych grach komputerowych z samochodem wyścigowym. Dzwoniłem dzwonkiem z całej siły i sporo czasu jechałem po prawym pasie, wprost na pojazdy z przeciwka

(jeździ się tu po lewej). Kątem oka widziałem pieszych wybałuszających na nas oczy, kiedy obok nich przemykaliśmy. Potem wyprzedziliśmy ciężarówkę i ruch przed nami przerzedził się, a ja zobaczyłem, że zbliżamy się do Skrzyżowania Inżynierów Drogowych, jednego z moich ulubionych. Dilli Bazar krzyżuje się z inną dużą ulicą, a okoliczność ta zaznaczona jest przez cztery słupy ze światłami drogowymi, na których zielone pali się bez przerwy dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Tym razem przytrafiła się krowa.

- Bistarre! (wolniej) - wrzasnąłem, ale słownictwo Buddy ograniczało się najwidoczniej do "namaste", bo pedałowal dalej.

Spróbowałem ustalić jakiś kurs, zacisnąłem hamulec ręczny, skuliłem się za kierownicą, zadzwoniłem dzwonkiem.

Trafiłiśmy w lukę między pędzącą taksówką i uliczną krową, z zapasem pięciu centymetrów po obu stronach, i zanim zdążyłem mrugnąć, już byliśmy za skrzyżowaniem. Bez kłopotu. To właśnie jest wyczucie czasu.

Kiedy już tego dokonaliśmy, reszta była kwestią nawigacji.

Żeby skrócić drogę i na dobre pozbyć się pogoni, skręciłem pod prąd w jednokierunkowy

fragment Durbar Marg, a kiedy przeżyliśmy i to, pozostały odcinek do Thamelu był już drobnostką.

Gdy byliśmy już blisko, przejeżdżaliśmy obok terenów Pałacu Królewskiego. Jak wspominałem, rosnące tam wysokie drzewa dzień i noc pełne są gigantycznych, brązowych nietoperzy, zwisających głowami w dół z nagich górnych gałęzi. Kiedy mijaliśmy pałac, nietoperze musiały pochwycić zapach yeti albo zaniepokoiło je coś innego, bo ni stąd, ni zowąd całe ich stado zerwało się z gałęzi, piszcząc jak mój ręczny hamulec i trzepocząc wielkimi, błoniastymi skrzydłami jak sto małych Drakuli. Budda zwolnił, żeby przyjrzeć się temu widokowi, i wszyscy na ulicy, nawet krowa na rogu, zatrzymali się i też podnieśli głowy, żeby zobaczyć, jak chmura nietoperzy przysłania niebo.

Takie właśnie chwile sprawiają, że kocham Katmandu.

Pasowaliśmy akurat do Thamelu. Znaczna liczba ludzi na ulicach wyglądała zupełnie jak Budda, do tego stopnia, że przyszło mi do głowy, że miasto jest potajemnie infiltrowane przez yetich w przebraniu. Przypisałem tę myśl hysterii wywołanej przez Skrzyżowanie Inżynierów Drogowych i skierowałem naszego hero jęta na podwórze Gwiazdy. W tej samej chwili otoczyły nas ściany i Budda zgodził się przestać pedałowac. Zeszliśmy z roweru, a ja, trzęsąc się, poprowadziłem yeti po schodach do mojego pokoju.

## X

No tak. Uwolniliśmy więzionego yeti. Chociaż kiedy zamykałem nas obu na zamek w moim pokoju, musiałem przyznać, że wolny był tylko częściowo. Całkowite uwolnienie i powrót w jego rodzinne strony mogło okazać się trudne. Nadal nie wiedziałem dokładnie, skąd pochodził, a w Katmandu nie wypożycza się samochodów, zaś autobusy są zatłoczone i powolne, bez względu na to, dokąd jadą. Czy Budda wytrzymałby dziesięć godzin w przepełnionym autobusie? No, znając go, pewnie by wytrzymał. Ale czy przebranie by się sprawdziło? To było wątpliwe.

Poza tym, była jeszcze kwestia Adrakiana i Tajnej Służby, którzy nas ścigali. Nie miałem pojęcia, co stało się z Nathanem, Sarah i Fredsem, i niepokoiłem się o nich, zwłaszcza o Nathana i Sarah. Chciałem, żeby przyjechali. Teraz, kiedy byliśmy już na miejscu, czułem się z moim gościem trochę niezręcznie. Mój pokój wydał mi się nagle okropnie mały.

Poszedłem do łazienki, żeby się wysikać. Budda wszedł za mną i przyglądał mi się, a kiedy skończyłem, odnalazł właściwe guziki na kombinezonie i zrobił to samo! Facet był zdumiewająco bystry. Jeszcze jedna rzecz; nie wiem, czy powinienem o tym wspominać, ale słyszałem przy okazji sporu hominid kontra naczelny, że męskie genitalia większości naczelnych są raczej małe, a samcy naszego gatunku są zdecydowanymi mistrzami, jeśli chodzi o wielkość. Tym lepiej dla nas. Ale Budda, nie mogłem tego nie zauważyć, był raczej w tej skali po stronie ludzi.

Naprawdę, dowodów było coraz więcej. Yeti był hominidem, co więcej, był bardzo inteligentnym hominidem. Szybka orientacja Buddy, jego błyskawiczna adaptacja do zmieniających się warunków, rozpoznawanie wrogów i przyjaciół, jego luz, wszystko to wskazywało na pierwszorzędną mózgownicę.

Wszystko się oczywiście zgadzało. Jak inaczej mogliby pozostawać tak dobrze ukryci przez tak długi czas? Z pokolenia na pokolenie musieli uczyć swoich młodych wszystkich sztuczek:

starannego pilnowania narzędzi i innych przedmiotów, ukrywania swoich siedzib w najbardziej niedostępnych jaskiniach, unikania wszelkich ludzkich osiedli, praktykowania palenia zmarłych...

Wtedy przyszła wątpliwość: jeśli yeti są tacy bystrzy i tak dobrze się kryją, to dlaczego Budda był tu ze mną, w moim pokoju? Co się nie udało? Dlaczego ujawnił się przed Nathanem i jak Adrakian zdołał go schwytać?

Zacząłem rozważać występowanie chorób psychicznych wśród yetich, jednak ten trop myślowy sprawił, że jeszcze niespokojniej oczekiwałem przybycia Nathana. Nie był on może zbyt pomocny w pewnych sytuacjach, ale facet porozumiewał się znakomicie z yeti, czego ja niestety nie potrafiłem.

Budda przykucnął na łóżku, objął kolana ramionami i wpatrywał się we mnie inteligentnie. Po przybyciu zdjęliśmy mu okulary słoneczne, ale czapkę Dodgersów miał ciągle na głowie. Patrzył uważnie i wyglądał na zakłopotanego i zaintrygowanego.

Co dalej? - wydawał się mówić. W wyrazie jego twarzy, w sposobie radzenia sobie z tym wszystkim było coś jednocześnie dzielnego i żalosego, co sprawiało, że mu współczułem.

- Hej, gościu. Wydostaniemy się z powrotem tam, na górę.

Namaste.

Złożył usta do mówienia.

Mógł być głodny. Czym się karmi głodnego yeti? Czy jest wegetarianinem? A może jest mięsożerny? W pokoju nie miałem zbyt wiele: parę opakowań rosołu z curry, trochę cukierków (czy cukier mu nie zaszkodzi?), suszoną wołowinę - taa, to jest jakieś wyjście, słodowe herbatniki Nebico, pochodzące z Indii małe wafelki, które stanowiły poważną część mojego żywienia.

Otworzyłem paczkę herbatników oraz paczkę suszonej wołowiny i poczęstowałem go.

Budda usiadł na łóżku i skrzyżował przed sobą nogi. Poklepał łóżko, jakby wskazując miejsce dla mnie. Usiadłem naprzeciw niego. Yeti wziął kawałek wołowiny swoimi długimi palcami, powąchał go i wcisnął pomiędzy palce stóp. Dla przykładu zjadłem trochę swojego kawałka. Budda spojrzał na mnie, jakbym użył niewłaściwego widelca do sałatki. Spróbował wafelka Nebico i żuł go powoli. Stwierdziłem, że jestem głodny, a z jego okrągłych oczu wyczytałem, że on czuje to samo. Był ciągle na luzie.

Jest w tym metoda, wydawał się mówić. Najpierw brał ostrożnie każdy wafelek i wąchał go, potem zjadł je wszystkie bardzo powoli, następnie wyjął kawałek wołowiny spomiędzy palców stóp, spróbował połowę i żując ją bardzo wolno, rzucił wzrokiem po pokoju albo na mnie. Był taki łagodny, taki spokojny! Uznałem, że cukierki będą się nadawać, i poczęstowałem go torebką galaretek. Spróbował jedną, a jego brwi uniosły się. Wziął z torebki następną tego samego koloru (zieloną) i podał ją mnie.

Niedługo całe jedzenie, jakie miałem, było rozsypane na łóżku pomiędzy nami, a my próbowaliśmy to tego, to tamtego, w ciszy, tak wolno i uroczyście, jakby to był jakiś święty rytuał.

I wiecie, po jakimś czasie czułem się tak, jakby naprawdę był.

## XI

Jakąś godzinę po naszym posiłku przyjechali wreszcie Nathan, Sarah i Freds.

- Jesteście tu! - krzyčeli. - Świetnie, George. To była podróż!

- Podziękujcie Buddzie - odparłem. - To on nas tu przywiózł.

Nathan i Budda odbyli małą ceremonię przy pomocy rąk i naszyjnika ze skamieniałych muszli. Freds i Sarah opowiedzieli mi historię swoich przygód. Sarah walczyła z Adrakianem, który jej uciekł i pobiegł za nami, a potem z Valerie Budge, która wraz z Fitzgeraldem została z tyłu, wymieniając ciosy i oskarżenia.

- To była prawdziwa przyjemność ją rąbnać, podwalała się do niego od miesięcy. Chociaż mnie to, oczywiście, nic nie obchodzi - dodała szybko, widząc spojrzenie Nathana.

Tak czy owak, przepychała się z Budge, Fitzgeraldem i Adrakianem, biła się z nimi i demaskowała ich, a kiedy skończyła, nikt w Sheratonie nie miał bladego pojęcia, o co chodzi. Dwóch ludzi z Tajnej Służby ruszyło za Adrakianem, reszta poprzestała na osłanianiu Carterów, do których odwoływały się obie strony, by rozsądziła całą sprawę. Carterowie naturalnie nie mieli na to

wielkiej ochoty, skoro nie bardzo wiedzieli, jaka to sprawa.

Fitzgerald i Budge nie chcieli otwarcie wyjawić, że ukradziono im yeti, byli więc w gorszej sytuacji. Kiedy Freds wrócił, żeby zobaczyć, co się dzieje, Nathan i Sarah zamówili już taksówkę.

- Myślę, że ostatecznie Carterowie byli po naszej stronie - z satysfakcją stwierdziła Sarah.

- Wszystko się dobrze skończyło - dodał Freds - ale miałem starego Jimmy'ego na wyciągnięcie ręki, nie musiałem być grzeczny przez wzgląd na żadnego yeti, a chłopie, ja mam z tym gościem na pieńku! W 1980 w San Diego szliśmy głosować z paroma znajomymi i ja się z nimi ostro kłóciłem, że powinniśmy głosować na Cartera, zamiast na Andersona, bo na Andersona, to byłby pusty gest, a myślałem, że Carter ciągle jeszcze ma szansę na zwycięstwo, bo ja nie wierzę w sondaże. Naprawdę się napaliłem i przekonałem ich wszystkich co do jednego; to był pewnie szczyt mojej kariery politycznej. Potem wróciliśmy do domu, a jak włączyliśmy telewizję, to się okazało, że parę godzin wcześniej Carter wycofał się z wyborów! Kumple byli na mnie wściekli! John Drummond rzucił we mnie piwem i trafił mnie, o, tutaj.

Po prostu mnie stłukli. Mam więc na pieńku ze starym Jimmym, to pewne, więc chciałem podejść do niego i zapytać, dlaczego coś takiego zrobił. Ale przez całą tę grandę wyglądał tak żałośnie, że postanowiłem tego nie robić.

- Tak naprawdę, to odciągnęłam go, zanim zdążył - powiedziała Sarah.

- Musimy jeszcze wywieźć yeti z Katmandu. - Nathan sprowadził nas do zasadniczego problemu. - Adrakian wie, że go mamy, i będzie nas szukał. Jak to zrobić?

- Mam pewien plan - powiedziałem, bo zastanawiałem się nad tym po posiłku z Buddą. - A więc, gdzie Budda mieszka?

Muszę to wiedzieć.

Nathan powiedział mi.

Zajrzałem do map. Dolina Buddy była całkiem blisko małego lądowiska w J. Kiwnąłem głową.

- Dobra. Zrobimy to tak...

## XII

Większą część następnego dnia spędziłem jak Alicja po drugiej stronie lustra, wewnątrz wielkiej siedziby Królewskich Linii Lotniczych Nepalu, czyli RNAC, zdobywając cztery bilety na lot następnego dnia do J. Ciężka praca, choć o ile mogłem stwierdzić, biletów na ten samolot sprzedano na razie niewiele. J. leżało daleko od tras wypraw, nie był to więc popularny cel podróży.

W RNAC nie miało to jednak żadnego znaczenia. Celem tego przedsięwzięcia, o ile mogłem się zorientować, jest nie tyle przewożenie ludzi do różnych miejsc, co raczej sporządzanie list.

List osób oczekujących. Nazwałbym to ich tajnym programem działania, tyle że to żadna tajemnica. Cierpliwość, tępy upór i bardzo dużo bakszyszu są kluczem do opuszczenia list i uzyskania statusu posiadacza biletu. Udało mi się to, w dodatku w jeden dzień. Byłem więc zadowolony, ale zadzwoniłem do mojego znajomego, Billa, który pracuje w jednym z miejskich biur podróży, żeby ustalić mały plan rezerwowany.

On jest w tym dobry, bo ma sporo doświadczenia z RNAC. Potem w moim ulubionym thamelskim sklepie z odzieżą alpinistyczną dokonałem reszty zakupów. Właścicielka, Tybetanka, odłożyła egzemplarz Dalekich pawilonów, przerwała ćwiczenie ramion i dała mi wszystkie ubrania, o które prosiłem, we wszystkich odpowiednich kolorach. Jediną rzeczą, jakiej nie mogła dla mnie znaleźć, była jeszcze jedna czapka Dodgersów, ale zamiast niej wziąłem granatową baseballówkę z napisem "ATOM".

- A tak w ogóle, to co to jest ten "ATOM"? - wskazałem na nią, bo w całym Nepalu były czapki

i kurtki z tym właśnie napisem. Może to była jakaś firma, a jeśli tak, to jaka?

- Nikt nie wie. - Właścicielka wzruszyła ramionami.

Szeroka reklama nieznanego produktu, jeszcze jedna wielka tajemnica Nepalu. Upchnąłem moje nowe nabytki do plecaka i wyszedłem. Po drodze do domu zauważyłem, że w tłumie za mną ktoś się rozgląda. Rzuciłem spojrzenie i dostrzegłem go, jak wpada do sklepiku z gazetami: Phil Adrakian.

Nie mogłem teraz iść do domu, przynajmniej nie prosto.

Poszedłem więc do pensjonatu Katmandu, tuż obok, i powiedziałem jednemu z tamtejszych nadętych recepcjonistów, że za dziesięć minut odwiedzi ich Jimmy Carter, a jego sekretarz zaraz tu będzie. Przeszedłem do ładnego ogrodu, który wyjaśnia wiele aspiracji pensjonatu, i przeskoczyłem mur w miejscu, gdzie był najniższy. Potem w dół pustym zaułkiem na śmieci, za róg, przez następny mur i obok Zajazdu pod Bażantem czy Barankiem na podwórze Gwiazdy. Czuję się strasznie ukryty, kiedy zobaczyłem jednego z ludzi z Tajnej Służby Carterów, jak stoi przed Antykwariatem Tantrycznym. Ponieważ byłem już na podwórzu, nie zatrzymałem się i pobiegłem pędem na górę, do mojego pokoju.

### XIII

- Myślę, że musieli śledzić was aż tutaj - powiedziałem naszej niewielkiej grupie. - Oni mogą myśleć, że wczoraj naprawdę próbowaliśmy porwania.

Nathan jęknął.

- Adrakian pewnie przekonał ich, że należymy do tej bandy, która latem podłożyła bombę pod hotel Annapurna.

- To powinno ich pocieszyć - powiedziałem. - Kiedy to się wydarzyło, opozycja natychmiast napisała do króla i powiadomiła go, że zawieszają wszelkie działania przeciwko rządowi do czasu, aż władza schwyta elementy przestępcze spośród nich.

- Partyzantka hinduska jest silna, prawda? - spytał Freds.

- Tak czy owak - zakończyłem - wszystko to oznacza, że mamy cholernie dobry powód do zrealizowania naszego planu.

Freds, jesteś pewien, że możesz to zrobić?

- Pewnie, że jestem pewien. To będzie świetna zabawa.

- W porządku. Lepiej, żebyśmy zostali tu wszyscy na noc, tak na wszelki wypadek. Ugotuję rosół.

Zjedliśmy więc spartański posiłek złożony z rosółu z curry, wafelków Nebico, białej czekolady Tbblerone, galaretek i jodowanego wodorostu Tang. Kiedy Nathan zobaczył, jak Budda rzuca się na galaretki, potrząsnął głową.

- Musimy zabrać go stąd jak najprędzej - oznajmił.

Kiedy się rozlokowaliśmy, Sarah zajęła łóżko, a Budda natychmiast przyłączył się do niej z absolutnie niewinnym spojrzeniem, jakby mówił: "O co chodzi? Przecież ja po prostu tutaj śpię, prawda?" Widziałem, że Nathan był wobec tego trochę podejrzliwy, może niepokoił go kompleks Fay Wray. W każdym razie zwinął się w nogach łóżka. Wydaje mi się, że nie było żadnych kłopotów. Freds i ja rozłożyliśmy zapleśniałe karimaty, które należały do mnie, i położyliśmy się na podłodze.

- Nie sądzicie, że Budda na pewno ocipieje przez ten jutrzejszy lot? - spytała Sarah, kiedy światło było już zgaszone.

- Nie wygląda na to, żeby do tej pory czymś się przejmował \_\_ - powiedziałem, ale zacząłem się zastanawiać. Sam nie lubię latania.

- Taa, ale to w ogóle nie przypomina niczego, co robił do tej pory.

- Kiedy się stoi na stromej grani, to trochę tak, jakby się leciało. W porównaniu z naszą jazdą na

rowerze, powinno być to łatwe.

- Nie jestem taki pewien - włączył się Nathan, znów zaniepokojony. - Sarah może mieć rację - latanie może być irytujące nawet dla ludzi, którzy wiedzą, o co chodzi.

- W tym zazwyczaj tkwi sedno problemu - powiedziałem z przekonaniem.

- Moim zdaniem, powinniśmy go nawalić przed lotem. - Freds włączył się do dyskusji. - Dać mu porządną fajkę z haszem i pozwolić mu zwyczajnie odpłynąć.

- Zwariowałeś!?! - zaprotestował Nathan. - Od tego by mu jeszcze bardziej odbiło!

- Nie.

- Nie wiedziałby, co z tym zrobić - powiedziała Sarah.

- Taa? - Freds uniósł się na łokciu. - Naprawdę myślisz, że yeti żyły przez cały czas tam w górze, w morzu trawki i nie wpadły na to? Nie ma mowy! Uważam, że to prawdopodobnie dlatego nikt ich nigdy nie widzi. Ludzie, tam w górach trawka rośnie wielka jak sosny. Oni się pewnie żywią nasionami.

Nathan i Sarah mieli co do tego wątpliwości, wątpili też, czy powinniśmy dokonywać jakichkolwiek eksperymentów tego rodzaju w tak krytycznym momencie.

- Masz jakiś hasz? - spytałem Fredsa, zaintrygowany.

- Nie. Zanim wypłynęła ta wspinaczka na Ama Dablam, chciałem lecieć do Malezji, żeby przyłączyć się do ekspedycji w górską dżunglę, którą organizował Doug Scott. Pozbyłem się więc wszystkiego. Chodzi mi o to, że nie trzeba być tytanem intelektualnym, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie, czy wwozić drągi do Malezji, prawda? Prawdę mówiąc, to kiedy wyjeżdżałem, miałem aż za dużo do palenia i jak schodziłem z Namcze do Lukli, to raz napychając sobie fajkę, upuściłem taki, o, okruch na ziemię, naprawdę gigantyczny okruch, jakieś dziesięć gramów.

I zwyczajnie go tam zostawiłem! Zostawiłem go na ziemi! Zawsze chciałem to zrobić. W każdym razie, teraz nie mam nic. Ale jeśli chcecie, to mogę to zorganizować w jakieś piętnaście minut, zaraz za rogiem...

- Nie, nie. W porządku. - Słyszałem już równy oddech Buddy, który zasnął błyskawicznie tuż nade mną. - Jutro będzie najbardziej wypoczęty z nas wszystkich.

I była to prawda.

## XIV

Wstaliśmy przed świtem. Freds założył to ubranie, które poprzedniego dnia miał na sobie Budda. Przykleiliśmy mu na twarzy parę kępek futra z pleców Buddy, żeby służyły za brodę.

Przykleiliśmy nawet trochę brunatnej sierści od środka czapki Dodgersów, tak że zwisała z tyłu. Rękawice i wielkie buty śniegowe zakrywały resztę. Kiedy nasunęliśmy mu okulary słoneczne na nos, wyglądał przynajmniej równie dziwnie jak Budda wtedy, w Sheratonie. Freds przeszedł się trochę po pokoju, wypróbując strój. Budda przyglądał mu się tym swoim zdumionym spojrzeniem, aż Freds wybuchnął histerycznym śmiechem.

- Wyglądam jak twój młodszy brat, co, Budda?

Nathan opadł na łóżko zniechęcony.

- To się nie może udać.

- To samo mówiłeś poprzednim razem - zaprotestowałem.

- No właśnie! I popatrz, co się stało! Ty to nazywasz sukcesem? Chcesz mi wmówić, że wczoraj wszystko się udało?

- Wiesz, zależy, co masz na myśli, kiedy mówisz "udało się". Przecież jesteśmy tutaj, no nie? - zacząłem pakować swoje rzeczy. - Spokojnie, Nathan - położyłem mu rękę na ramieniu, a Sarah

oparła na jego drugim ramieniu obie dłonie. Cofnął się trochę i uśmiechnął do niej. Ta dziewczyna była twarda, uratowała nam tyłki w Sheratonie, a podczas oczekiwania zachowała zimną krew. Prawdę mówiąc, sam nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zaprosić ją na długą wyprawę w Himalaje, a ona to spostrzegła i posłała mi szybki uśmiech zrozumienia, który mówił także "nie ma mowy". Poza tym, wykiwać biednego Nathana to tak, jakby Dodgersi oddali Steve'a Garvey'a. Nie wolno robić w konia takich ludzi, jeżeli chce się móc potem spojrzeć w lustro.

Freds zakończył lekcję postawy u Buddy i wyszedł razem ze mną z pokoju. Zatrzymał się jeszcze w drzwiach i spojrzał ponuro do środka, ale pociągnąłem go ze sobą, zirytowany tym wczuwaniem się w rolę. Nikt nas przecież nie zobaczy, dopóki nie zejdziemy na dół.

Muszę jednak przyznać, że ogólnie Freds odwalił kawał dobrej roboty. Sam nie był zbyt podobny do Buddy, a przecież kiedy szedł przez podwórze i na ulicę, idealnie naśladował chód yeti: trochę sztywny w biodrach, na pałakowatych nogach - kołyszący, marynarski krok, z którego mógł natychmiast upaść na czworaki, tak przynajmniej wyglądało. Ledwie wierzyłem własnym oczom.

Ulice były niemal puste: ciężarówka piekarza, bezpańskie psy (minęły Fredsa, nawet na niego nie spoglądając - czy to nas mogło zdradzić?), stary żebrak i jego młoda córka, paru kawowych nałogowców przed piekarnią Niemiecki Pumpernikiel, sklepikarze otwierający swoje sklepy... Niedaleko Gwiazdy minęliśmy zaparkowaną taksówkę z trzema mężczyznami w środku, którzy starannie odwrócili wzrok. Zagranicznicy. Przyspieszyłem kroku.

- Kontakt - mruknąłem do Fredsa, ale on tylko gwizdnął w odpowiedzi.

Na Times Square stała tylko jedna taksówka, jej kierowca spał. Wskoczyliśmy do środka, zbudziliśmy go i poprosiliśmy, żeby zawiózł nas na Centralny Przystanek Autobusowy. Taksówka, którą wcześniej minęliśmy, pojechała za nami.

- Złapani - powiedziałem do Fredsa, który wachał popielniczki, próbował jeść tapicerkę i wychylał się przez okno, łykając wiatr jak pies. - Staraj się nie przedobrzyć - dodałem, zaniepokojony o moją czapkę Dodgersów, z której ulatywały przyklepione włosy.

Minęliśmy wysoką wieżę z zegarem, zatrzymaliśmy się, wysiedliśmy i zapłaciliśmy taksiarzowi. Z zadowoleniem zauważyłem, że nasz ogon zatrzymał się przecnicę dalej. Poszliśmy z Fredsem w dół szerokiego, błotnistej dojazdu do Centralnego Przystanku Autobusowego.

Przystanek był wielkim, grząskim podwórkiem, niższym

o półtora czy dwa metry od poziomu ulicy. Pod wszelkimi możliwymi kątami parkowało na nim kilkadziesiąt autobusów, a ich opony rozryły błoto tak, że podwórko wyglądało jak samochodowe Verdun. Wszystkie autobusy należały do przedsiębiorstw prywatnych - zazwyczaj na jedno przedsiębiorstwo przypadał jeden autobus, obsługujący jedną trasę - i wszyscy ich agenci w budkach z drewna i materiału, które stały przy wejściu, wrzeszczeli, żeby zwrócić naszą uwagę, jakby spodziewali się, że przychodzimy tutaj, nie mając w głowach żadnego szczególnego celu podróży i wybierzemy tego agenta, który składa najgłośniejszą ofertę.

Szczerze mówiąc, tym razem była to niemal prawda. Dojrzałem jednak agenta autobusu do Jiri, a tam właśnie zamierałem wysłać Fredsa, kupiłem więc dwa bilety, otoczony tłumem innych agentów, którzy krytykowali mój wybór. Freds trochę przykucnął, przybierając odpowiednio zdezorientowany wygląd.

Podniosła się wielka wrzawa, jedno z przedsiębiorstw wywalczyło sobie prawo do opuszczenia podwórka w pierwszej kolejności

1 teraz jego autobus usiłował wspinać się na górkę, przez którą prowadził jedyny wyjazd z przystanku.

Każdy odjazd był kompleksowym testem kierowcy, sprzęgła i opon autobusu oraz zdolności doradczych agentów zgromadzonych dookoła. Dymiąc i szczękając skrzynią biegów, pomalowany na jasno autobus wgramolił się na wzniesienie i dyskusja nad rozkładem jazdy rozgorzała na nowo. Tylko trzy autobusy miały nie zablokowaną drogę do dojazdu, więc kłótnia pomiędzy ich agentami była zacięta. Wziąłem Fredsa za rękę i poszliśmy przez rozjeżdżone błoto, szukając autobusu do Jiri. W końcu go znaleźliśmy: pomalowany był na wesołe, żółte, niebieskie, zielone i czerwone kolory, jak wszystkie inne, ale nasz miał jeszcze jakieś czterdzieści kalkomanii z Ganesią, poprzylepianych na całej przedniej szybie, żeby poprawić widoczność kierowcy. "Drugiego autobusu" należącego do przedsiębiorstwa jak zwykle nie było, a na ten sprzedano dwa razy więcej biletów niż było miejsc. Dostaliśmy się do środka, a potem precyzyjnie się przez ciasno zbity tłum w przejściu i znaleźliśmy z tyłu wolne miejsca. Nepalczycy lubią jeździć z przodu. Wsiadło jeszcze więcej osób i tłum ogarnął nawet nas.

Freds miał jednak miejsce przy oknie, a o to mi właśnie chodziło.

Przez upstrzoną szybę widziałem nasz ogon: Phila Adrakiana i dwóch mężczyzn, którzy mogli być agentami Tajnej Służby, choć nie byłem tego pewien. Bronili się przed sprzedawcami biletów i jednocześnie próbowali dostać się na podwórko, co było trudne do pogodzenia. Kiedy tylko umknęli sprzedawcom, weszli na podjazd i niemal zostali przejechani przez autobus, który akurat toczył się w górę i w dół po wzniesieniu. Jeden z nich poślizgnął się niezdarnie w błocie i upadł na siedzenie. Sprzedawcy biletów uznali, że to znakomite. Adrakian i tamci dwaj pognali dalej, rzucając się od autobusu do autobusu i próbując wyglądać, jakby niczego nie szukali. Ciągłe byli ścigani przez najwytrwalszych agentów i od czasu do czasu grzęźli w błocie, aż zacząłem się niepokoić, że nie uda im się nas znaleźć. Rzeczywiście, zajęło im to dwadzieścia minut. Jeden z nich dojrzał Fredsa w oknie i wszyscy zanurkowali za maskę zanurzonego aż po osie autobusu, odganiając się od agentów w desperackim języku migowym.

- Załapani na amen - powiedziałem.

- Taa - nie poruszając wargami, odparł Freds.

Autobus był już całkowicie nabity. Pomiędzy mnie i Fredsa wcisnęła się nawet jakaś staruszka, co bardzo mi odpowiadało.

Niestety, szykowała się jeszcze jedna wstrętna podróż.

- Naprawdę się poświęcasz - powiedziałem, przygotowując się do zniknięcia. - Sokojnie - odpowiedział bez drgnięcia warg - ja kocham te odróże.

Zabrzmiało to przekonująco. Pożegnałem się z nim i utorowałem sobie drogę w przejściu. Tamci obserwowali jedyne drzwi autobusu, ale nie był to zbyt problem. Wślizgnąłem się pomiędzy dwóch Nepalczyków, których pojęcie "przestrzeni indywidualnej" jest w zasadzie ograniczone do przestrzeni, jaką akurat zajmują ich ciała - bez żadnych głupot o półmetrowej odległości - i dostałem się do okna po drugiej stronie autobusu. Nasi obserwatorzy w żaden sposób nie mogli nic zobaczyć przez ludzi w środku, mogłem więc działać swobodnie. Przeprosiłem Szerpę, na którym siedziałem, otworzył okno i zacząłem przez nie wylazić. Szerpa pomógł mi uprzejmię, bez najmniejszej aluzji, że robię coś niezbyt codziennego. Zeskoczyłem w błoto. W autobusie prawie nikt nie zauważył, że wysiadłem. Przemknąłem przez ziemię niczyją, pomiędzy stojącymi z tyłu autobusami. Niedługo potem byłem na Durbar Marg, wsiadłem do taksówki i pojechałem do Gwiazdy.

## XV

Kazałem taksjarszowi zaparkować niemal w holu hotelu, a Budda wtoczył się na tylne siedzenie jak obrońca przepychający się za linię. W czasie jazdy trzymał na wszelki wypadek głowę



opuszczoną; taksówka wiozła nas na lotnisko.

Sprawy układały się idealnie według mojego planu, więc moglibyście sobie pomyśleć, że byłem bardzo zadowolony, ale prawda jest taka, że byłem bardziej zdenerwowany, niż przez cały ten ranek. Zbliżaliśmy się do kasy RNAC-u, sami rozumiecie...

Kiedy tam podszedłem i zapytałem, urzędniczka powiedziała nam, że nasz dzisiejszy lot został odwołany.

- Co? - wrzasnąłem. - Odwołany? Jak to?

No więc, ta nasza pani w okienku była najpiękniejszą kobietą na całym świecie. W Nepalu to się zdarza ciągle - mijasz na wsi zgarbioną wieśniaczkę wyciągającą ryż, ona podnosi wzrok i jej twarz jest jak z okładki "Cosmopolitan", tyle że dwa razy ładniejsza i bez wampirowatego makijażu. Ta kasjerka mogłaby zbić miliony jako modelka w Nowym Jorku, ale mówiła słabo po angielsku, a kiedy spytałem ją: "Jak to?", odparła: "Pada deszcz"

i przeniosła wzrok na następnego klienta.

Wziąłem głęboki oddech. Pamiętaj - myślałem sobie: RNAC.

Co by na to powiedziała Królowa Kier? Wskazałem za okno.

- Proszę zobaczyć. Nie pada.

To ją przerastało.

- Pada deszcz - powtórzyła. Rozejrzała się w poszukiwaniu kierownika, który zresztą zaraz się zjawił: szczupły Hindus z czerwoną kropką na czole. Ukłonił się oschle.

- Deszcz pada aż do samego J.

Potrząsnąłem głową.

- Przepraszam, ale odebrałem raport radiowy z J., poza tym może pan spojrzeć na północ i sam zobaczyć. Nie pada.

- Lądowisko w J. jest zbyt mokre, żeby na nim lądować - powiedział.

- Przepraszam, ale wczoraj lądowaliście tam dwa razy, a od tamtej pory nie padało.

- Mamy problemy techniczne z samolotem.

- Przepraszam, ale macie tu przecież całą flotyllę małych samolotów i kiedy jeden ma problemy, dajecie po prostu na jego miejsce inny. Wiem, bo kiedyś zmieniałem tu samolot trzy razy.

- Nathan i Sarah nie wyglądali na wniebowziętych, gdy to usłyszeli.

Rozmowa zwróciła uwagę kierownika: następny poważny, smukły Hindus.

- Lot jest odwołany - powiedział. - To sprawa polityczna.

Potrząsnąłem głową.

- Piloci RNAC strajkują tylko na trasach do Lukli i Pokhary - tylko tam jest dostatecznie dużo pasażerów, żeby strajk miał sens. - Moje obawy co do rzeczywistego powodu odwołania lotu zaczynały się powoli potwierdzać. - Ilu pasażerów miało lecieć tym lotem?

Wszyscy troje wzruszyli ramionami. - Lot jest odwołany - powiedział pierwszy kierownik. - Proszę spróbować jutro.

I wiedziałem już, że dobrze się domyślałem. Mieli mniej niż połowę pasażerów i czekali do jutra, żeby samolot był pełen.

(Może nawet więcej niż pełen, ale czy ich to obchodziło?) Wyjaśniłem sytuację Nathanowi, Sarah i Buddzie. Nathan ruszył z awanturą do okienka, domagając się, żeby lot odbył się zgodnie z rozkładem, zaś kierownicy podnieśli brwi, jakby mimo wszystko cała ta sytuacja mogła ich bawić, ale odciągnąłem go.

Wykręcając numer mojego znajomego z biura podróży, wyjaśniłem Nathanowi, że doprowadzanie do wściekłości zdenerwowanych klientów azjatyccy biurokraci zmienili w sport (a

może formę sztuki). Przy trzeciej próbie udało mi się dodzwonić do biura mojego znajomego. Zgłosiła się recepcjonistka, która oznajmiła: "Podróże Yeti, słucham?", co bardzo mi pomogło, jako że zapomniałem nazwy firmy. Zaraz połączyłem się z Billem i nakreśliłem mu sytuację.

- Znowu zapełniają samoloty, co? - zaśmiał się. - Zgłoszę te sześć biletów, które "sprzedaliśmy" wczoraj i powinniście wystartować.

- Dzięki, Bili.

Odczekałem piętnaście minut, podczas których Sarah i ja uspokajaliśmy Nathana, a Budda stał przy oknie, gapiąc się na startujące i lądujące samoloty.

- Musimy się stąd wydostać dzisiaj! - powtarzał Nathan.

- Drugi raz już nigdy nie dadzą się nabrać na żaden podstęp!

- Wiemy o tym, Nathan.

Wróciłem do okienka.

- Chciałbym dostać karty pokładowe na lot numer 2 do J.

Dziewczyna wypisała karty. Dwaj kierownicy stanęli za ladą, starannie unikając mojego wzroku. Normalnie nie ruszyłoby mnie to, ale z Buddą na karku byłem trochę drażliwy. Kiedy trzymałem już karty w ręku, zwróciłem się do urzędniczki, na tyle głośno, żeby usłyszeli jej kierownicy.

- Nie jest już odwołany, co? - Odwołany?

Dałem za wygraną.

## XVI

Karta pokładowa to oczywiście tylko kawałek papieru i kiedy do małego, dwusilnikowego samolotu wsiadło tylko ośmiu pasażerów, znów zacząłem się denerwować. Wystartowaliśmy jednak zgodnie z rozkładem. Kiedy samolot się uniósł, rozparłem się w fotelu, a uczucie ulgi ochłodziło mnie jak pęd powietrza z silników. Aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo byłem zdenerwowany. Na siedzeniach przede mną Nathan i Sarah ściskali się za ręce i uśmiechali się do siebie, Budda zaś siedział przy oknie obok mnie, wyglądając na dolinę Katmandu albo na połyskujący stalowo wylot silnika, nie mogłem tego stwierdzić. Zadziwiający gość, ten Budda, zupełnie na luzie.

Wznieśliśmy się ponad zieloną, terasową, jakby wprost z Tolkiena, idyllę doliny Katmandu i lecieliśmy nad górami na północ, do krainy śniegów. Pozostali pasażerowie, czwórka angoli, wyglądali przez okna, zachwycali się niebiańskimi widokami i ni cholery nie dbali, że leci z nimi trochę dziwnie wyglądający koleś. Z tym więc nie było kłopotu. Jak tylko samolot osiągnął wysokość podrózną, pojawiła się stewardesa, może nawet dwie, i poczęstowały nas małymi cukierkami w papierkach, tak jak w innych liniach proponują jedzenie i picie. Było to niesłychanie oryginalne, prawie tak, jakby dzieciaki bawiły się w prowadzenie linii lotniczej, a taki pomysł wydaje się oryginalny, dopóki sobie nie przypominasz, że jesteś z tymi osobnikami na wysokości pięciu tysięcy metrów, a w dodatku oni chcą cię przenieść nad najwyższymi górami na ziemi i wylądować na najmniejszych lądowiskach. W tym momencie oryginalność ulatuje i stwierdzasz, że nerwowo przełykasz ślinę i starasz się nie myśleć o prądach zstępujących, ubezpieczeniu na życie, zmęczeniu metalu, życiu po śmierci...

Pochyliłem się w fotelu, mając nadzieję, że reszta pasażerów była zbyt zajęta, by zobaczyć, jak Budda łyka swojego cukierka z papierkiem. Nie miałem pewności co do dwójki naprzeciw nas, ale byli to angole, więc nawet jeśli pomyśleli, że Budda jest dziwny, to oznaczało to tylko, że będą mniej mu się przyglądać.

Bez kłopotu.

Nie minęło wiele czasu, gdy stewardesa powiedziała: "Zwracamy się z prośbą o niepalenie", a samolot pochylił się i zaczął schodzić w kierunku szczególnie poszarpanej grupy ośnieżonych szczytów. Ani śladu lądowiska. Już sam pomysł, że tam w dole może znajdować się coś podobnego, wydawał się na pierwszy rzut oka absurdalny. Zacerpnałem powietrza. Szczerze mówiąc, nienawidzę latania.

Przypuszczam, że niektórzy z was znają lądowisko w Lukli, poniżej rejonu Everestu. Leży ono na wysokiej półce w ścianie wąwozu Dudh Kosi, a jego trawiasty pas, odchylony od poziomu o jakieś piętnaście stopni i długi zaledwie na sto osiemdziesiąt metrów, celuje wprost w zbocze doliny. Kiedy tam lądujecie, widać właściwie tylko to zbocze i wygląda tak, jakbyście lecieli prosto na nie. W ostatniej chwili pilot hamuje i sadza samolot na pasie, a po nieuniknionych wstrząsach, toczycie się aż do zatrzymania, tak stromo suniecie pod górę. To mocne przeżycie, niektórzy ludzie pokorniejają od tego, a przynajmniej rezygnują z latania.

Prawda wygląda jednak tak, że w Nepalu jest przynajmniej dziesięć pasów startowych RNAC, które są dużo gorsze od tego w Lukli, na nieszczęście dla nas lądowisko w J. znajduje się prawie na czele tej listy. Przede wszystkim, w ogóle nie było pomyślane jako lądowisko, zaczęło swój los jako terasa z polem jęczmiennym, jedna z wielu na górkim stoku ponad wioską.

Poszerzono ją, ustawiono na jednym końcu rękaw powietrzny, oczywiście wyrwano też z niej cały jęczmień i gotowe. Lądowisko błyskawiczne. To jednak nie wszystko: dolina, w której pas się znajdował, była głęboka na, powiedzmy, półtora kilometra, a jej zbocza były bardzo strome. Z jednej strony zamykała ją niemal pionowa ściana, wznosząca się zaledwie o kilometr w górę rzeki od lądowiska, z drugiej - ostry zakręt, też mniej więcej o kilometr w dół rzeki, więc naprawdę nikt przy zdrowych zmysłach nie wpadłby na pomysł, żeby tu właśnie założyć lądowisko.

Przekonywałem się o tym coraz bardziej, kiedy nurkowaliśmy trzy kilometry na zakręt i hamowaliśmy przed jedną ze ścian doliny, tak blisko, że mógłbym całkiem dokładnie oszacować zbiory jęczmienia z hektara, gdybym tylko miał na to ochotę.

Próbowałem pokrzepić Buddę, ale on akurat wydobywał papierka od mojego cukierka z popielniczki i nie życzył sobie, żeby mu przeszkadzać. Czasem miło jest być yeti. Dojrzałem nasze lądowisko i przyglądałem się, jak rośnie do rozmiarów, powiedzmy, linijki. I wtedy na nim wylądowaliśmy. Mieliśmy dobrego pilota, podskoczyliśmy tylko dwa razy i zatrzymaliśmy się z zapasem kilku metrów.

## XVII

Tak oto dotarliśmy do końca naszej krótkiej znajomości z yeti Buddą, uwolniwszy go z rąk ludzi, którzy bez wątpienia zyskaliby wieczną sławę wśród wszystkich maniaków naukowych.

Muszę powiedzieć, że Budda był jednym z najmiłszych gości, jakich kiedykolwiek miałem przyjemność poznać, w dodatku na niesamowitym luzie. Nic go nie ruszało, naprawdę.

Kończąc jednak: pobieraliśmy nasze plecaki i tego samego popołudnia ruszyliśmy w górę zbocza doliny i dalej na zachód leśnym górkim wąwozem. Przenocowaliśmy na wysokiej półce skalnej ponad niewielkim wodospadem, pomiędzy dwoma gigantycznymi głazami. Nathan i Sarah zajęli jeden namiot, Budda i ja - drugi. Dwa razy budziłem się i widziałem Buddę, jak siedział w wejściu do namiotu i patrzył na ogromną ścianę wąwozu, która piętrzyła się przed nami.

Następnego dnia wędrowaliśmy długo i ostro, cały czas w górę, aż wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie wiosną był rozbity obóz. Zostawiliśmy plecaki i przeszliśmy rzekę po nowym moście z bambusa. Nathan i Budda poprowadzili nas trasą na przełaj, w górę przez las do wysokiego,

stromego jaru, gdzie pierwszy raz się spotkali. Kiedy tam doszliśmy, było już późne popołudnie, a słońce schowało się za szczytami na zachodzie. Budda jak zwykle wydawał się rozumieć plan. Zdjął czapkę Dodgersów i podał mi ją, resztę ubrań zrzucił z siebie jeszcze w obozie. Zawsze byłem do tej czapki przywiązany, ale teraz poczułem, że powinienem mu ją oddać. Skinął głową, gdy to zrobiłem i założył ją sobie z powrotem. Nathan włożył mu na szyję naszyjnik ze skamieniałych muszli, ale yeti zdjął go, rozerwał sznurek i dał każdemu z nas po jednej muszli. Zapanowało milczenie. Któż wie, jacy yeti jedli te małże w zamierzchłych czasach? Wiem, wiem, mylą mi się skale czasu, czy jak to się tam mówi, ale możecie mi wierzyć, kiedy ten gość dawał nam muszle, w jego spojrzeniu było coś archaicznego. To znaczy, coś naprawdę starego. Sarah uściskała go, Nathan też go uściskał, ja w tym nie gustuję, potrząsałem więc chudą, silną dłoń Buddy.

- Do widzenia, także od Fredsa - powiedziałem.

- Na-mas-te - wyszeptał.

- Ach, Budda - powiedziała Sarah, pociągając nosem, a Nathan zacisnął szczęki jak imadło. Dość sentymentalna chwila. Odwróciłem się, żeby odejść, i właściwie pociągnąłem tamtych dwoje za sobą, w końcu nie zostało już tak wiele dnia. Budda oddalił się w górę strumienia, a kiedy widziałem go po raz ostatni, stał na głazie przy strumieniu, spoglądając na nas ciekawie. We właściwym otoczeniu jego dzika, brunatna sierść nabrała nagle idealnego, wypielęgowanego wyglądu; moja czapka Dodgersów wyglądała za to dziwnie. Czasem trudno było pojąć tego faceta, ale teraz wydawało mi się, że jego oczy są smutne.

Skończyła się jego wielka przygoda.

W drodze powrotnej przyszła mi do głowy wątpliwość, czy on rzeczywiście nie był trochę zwariowany, jak to już wcześniej pomyślałem. Zastanawiałem się, czy nie może pójść prosto do następnego obozu, jaki znajdzie, usiąść i zakrakać: "Namaste", psując całą robotę, jaką wykonaliśmy, żeby ocalić go od cywilizacji. Może cywilizacja już go zepsuła i człowiek natury zniknął na zawsze. Miałem nadzieję, że nie. Jeśli tak, pewnie już o tym słyszeliście.

Cóż, tej nocy w starym obozie panowała przyciszona atmo- sfera. Rozstawiliśmy namioty przy świetle latarni, zjedliśmy trochę zupy i siedzieliśmy, patrząc na błękitne płomienie w piecu.

Już prawie rozpałem prawdziwe ognisko, żeby się pocieszyć, ale przeszła mi na to ochota.

- Jestem z ciebie dumna, Nathan - powiedziała Sarah z uczuciem, a w nim zaczęła się żarzyć ta jego wewnętrzna lampa gazowa, taki był szczęśliwy. Ja też bym był. Prawdę mówiąc, kiedy powiedziała: "Z ciebie też jestem dumna, George" i cmoknęła mnie w policzek, wyszczerzyłem zęby i poczułem przyływ... no, wielu rzeczy. Zaraz potem poszli do swojego namiotu.

I bardzo dobrze, naprawdę się cieszyłem, że są razem, ale czułem się też trochę jak stary Snideley Whiplash na końcu odcinka Dodley Do-Right: sam na zimnie, a dziewczynę ma Dodley.

Jasne, miałem skamieniałą muszelkę, ale to nie było dokładnie to samo.

Przyciągnąłem do siebie lampę gazową i chwilę przyglądałem się kamiennej muszli. Dziwny przedmiot. Co myślał yeti, który przewiercił w niej dziurkę? Po co mu była?

Przypomniałem sobie posiłek na moim łóżku, Buddę i siebie żujących uroczyście wafelki i wybierających zapasy galaretek.

Wtedy dopiero poczułem się dobrze. To było to, czego potrzebowałem, a nawet więcej.

## XVIII

Po powrocie do Katmandu spotkaliśmy Fredsa i w Starym Wiedniu, przy sznyclu Parisienne i strudlu z jabłkami, dowiedzieliśmy się, co się z nim działo.

- W południe uznałem, że dawno was już nie ma, więc gdy autobus zatrzymał się na postój w

Lamosangu, wyskoczyłem i poszedłem prosto do taksówki tych gości. Robiłem ten teatr z Buddą i goście prawie umarli, kiedy zobaczyli, że idę. To był Adrakian i dwaj z Tajnej Służby, którzy ścigali nas od Sheratona.

Oczywiście kiedy zdjąłem kaptur i okulary, szlag ich trafił. Mówię do nich: "Panowie, pomyliłem się! Chciałem jechać do Pokhara! A to przecież nie jest Pokhara!" Tak się wściekli, że zaczęli wrzeszczeć jeden na drugiego. "O co chodzi?" - mówię.

"Też się panowie pomylili? Jaka szkoda!" A kiedy oni się na siebie darli, ugadałem się z taksówkarzem, żeby mnie zabrał z powrotem do Katmandu. Tamci nie byli z tego zbyt zadowoleni i nie chcieli mnie wpuścić, ale taksiarz był już na nich i tak wkurzony za to, że musiał jechać z nimi po takiej fatalnej drodze, i to bez względu na cenę. Kiedy więc zaproponowałem mu mnóstwo rupii, ucieszył się, że może im jakoś dokopać, i posadził mnie na przednim siedzeniu obok siebie. Tak dojechaliśmy do Katmandu.

- Jechałeś do Katmandu z Tajną Służbą? - spytałem. - I jak wytłumaczyłeś sierść przyklepioną do baseballówki?

- W ogóle nie wytłumaczyłem! Tak czy siak, w drodze powrotnej na tylnym siedzeniu było jak makiem zasiał i zrobiło się dosyć nudno, więc zapytałem ich, czy widzieli ostatni musical katastroficzny z Bombaju.

- Co? - spytał Nathan. - Co to takiego?

- Nie chodzisz na nie? Wyświetlają je w całym mieście. My je stale oglądamy, są znakomite. Wypalasz sobie parę fajek haszu i idziesz na taki ich musical, co trwa jakieś trzy godziny, bez żadnych napisów ani niczego takiego. Prawdziwa rakietka! Niesamowite! Powiedziałem tym gościom, że to właśnie powinni zrobić...

- Powiedziałeś facetom z Tajnej Służby, że powinni wypalić parę fajek haszu?

- No pewno! Przecież to Amerykanie, co nie? Co prawda nie wyglądali na zbyt przekonanych, a mieliśmy jeszcze cholerny szmat drogi do Katmandu, więc opowiedziałem im ostatni film, jaki widziałem. Ciągłe go grają, na pewno nie chcecie na niego iść? Nie chcę wam zepsuć zabawy.

Przekonaliśmy go, że nie zepsuje.

- Więc jeden facet zakochuje się w panience, z którą pracuje, ale ona jest zaręczona z ich wspólnym szefem. Ten szef to prawdziwy kanciarz, a ma umowę na zbudowanie zapory obok miasta. Kanciarz buduje zaporę chyba z jakiegoś psiego gówna zamiast cementu, ale przez to, że oszukiwał, wpadł do betoniarki i wmurowali go w zaporę. Więc ten główny facet i panienska zaręczyli się, ale ona poparzyła sobie twarz, jak zapalała piec.

Szybko zdrowieje, ale potem on na nią patrzy i widzi gołą kość z czaszki i nie może tego znieść, więc zrywa zaręczyny, a ona dużo śpiewa i maskuje się: zaczesuje włosy na ten bok twarzy i udaje, że jest kim innym. On ją spotyka, nie poznaje jej i zakochuje się, a wtedy ona ujawnia, kim jest, i śpiewa, że on się powinien odpieprzyć. Następuje sporo śpiewów ze wszystkich stron, a on próbuje odzyskać jej serce, ale ona mówi, że nie ma mowy, a przez cały czas leje jak z cebra. W końcu ona mu wybacza i znowu są szczęśliwi, ale zaporę pęka dokładnie tam, gdzie oszust ją osłabił, i woda zmiata całe miasto, a wszyscy śpiewają przy tym jak zwariowani. Ale tym dwojgu udaje się chwycić stupy wystającej z wody, powódź ustępuje i wiszą tam razem, a potem żyją długo i szczęśliwie. Ludzie, wspaniale.

Klasyka.

- I jak się spodobało Tajnej Służbie? - spytałem.

- Nie powiedzieli. Chyba nie spodobało im się zakończenie.

Ale ja mogłem stwierdzić, obserwując Nathana i Sarah, którzy naprzeciwko mnie uśmiechali się do siebie i trzymali za ręce, że dla nich zakończenie było znakomite.

## **XIX**

Aha, jeszcze jedno: NIE WOLNO WAM NIKOMU O TYM  
MÓWIĆ!!! Zgoda?



## Część 2

# Bogini Matka Świata

### I

Kiedy pewnego wieczoru w wąwozie Dudh Kosi niedaleko Czimoa natknąłem się na Fredsa Fredericksa, w moim życiu znów pojawiły się tajemnice. Prowadziłem wtedy wyprawę trekkingową i bardzo się ucieszyłem ze spotkania z Fredsem. Podróżował z jeszcze jednym himalaistą, Tybetanczykiem o nazwisku Kunga Norbu, który nie mówił chyba wiele po angielsku z wyjątkiem

"cześć" oraz "dzień dobry". Obie te rzeczy powiedział zresztą, kiedy Freds nas przedstawiał, chociaż było już po zachodzie słońca. Moja grupa rozlokowała się w swoich namiotach na noc, a Freds, Kunga i ja skierowaliśmy się w stronę kilku herbaciarni przycupniętych w lesie przy szlaku. Zajrzeliśmy do nich; dwie wysprzątano dla trekkingowców, trzecia była tradycyjną herbaciarnią odwiedzaną tylko przez tragarzy. Do niej wstąpiliśmy.

Herbaciarnia składała się z jednego niskiego pomieszczenia, w którym musieliśmy schylać głowy nie tylko pod belkami podtrzymującymi łupkowy dach, ale także pod kożuchem dymu.

Tradycyjne budynki w Nepalu nie mają kominów i dym z pieców drzewnych ulatuje po prostu pod dach i zbiera się tam w bardzo gęstą warstwę, która obniża się stopniowo, dopóki nie zacznie przesączać się na zewnątrz pod okapem. Można by sądzić, że kominy to dość podstawowy wynalazek. Dlaczego zatem Nepalczycy ich nie stosują? Ni to pytanie nie ma odpowiedzi. To jeszcze jedna Wielka Tajemnica Nepalu.

Pięć drewnianych stołów zajętych było przez tragarzy Rawang i Szerpa, którzy rozwalili się na ławach. W piecu stojącym pod ścianą trzaskał ogień. Światła dostarczały jego płomienie i sycząca lampa gazowa. Powiedzieliśmy: "Namaste" wszystkim przyglądającym się nam Nepalczykom i zanurkowaliśmy pod dymem do stojącego najbliżej pieca wolnego stołu.

Zamówienie pozostawiliśmy Kundze Norbu, jako że mówił po nepalsku lepiej niż Freds czy ja. Kiedy już to zrobił, dziewczyny Rawang zajmujące się ogniem zachichotały i podeszły do pieca, po czym wróciły z trzema ogromnymi kubkami tybetańskiej herbaty.

Widząc to, poskarżyłem się zdecydowanie Fredsowi:

- Niech to cholera, myślałem, że on zamawia czang!

Widzicie, herbata tybetańska to nie to samo, co wasz zwyczajny Lipton. Żeby ją przyrządzić, zaczyna się od czarnej cieczy, którą otrzymuje się nie z liści herbaty, ale z pewnego rodzaju korzenia. Płyn ten jest tak piekący, że można by go używać do wypalania ran. Do takiego naparu sypie się bardzo dużo soli, miesza się, a potem dodaje się mnóstwo zjełczałego masła jaka, które topi się i pływa po wierzchu.

Smakuje to gorzej, niż wynika z opisu. Ja wypracowałem własną strategię radzenia sobie z tym świństwem, kiedy mnie nim poczęstują: wyglądam przez najbliższe okno i podlewam nim kwiatki. Udaje się, jeśli tylko nie robię tego zbyt szybko i nie naleją mi drugiego kubka. Tutaj jednak nie mogłem zastosować tego sposobu, bo wpatrywało się w nas dwadzieścia kilka par rozbawionych oczu.

Zgarbiony nad stołem Kunga Norbu siorbał swoją herbatę wśród achów i ochów, chwając przy tym dziewczyny, które kiwały głowami i z szerokimi uśmiechami na twarzy przyglądały się Fredsowi i mnie.

Freds chwycił swój kubek i pociągnął wielki łyk herbaty.

Cmoknął wargami jak smakosz wina.



- Dalej! - powiedział i wysuszył kubek do dna, a następnie uniósł go do naszej gospodyni. - Jeszcze? - spytał, wskazując na kubek.

Tragarze zawyli. Gospodyni napełniła kubek, a Freds opróżnił go po raz drugi, mlaskając wargami po każdym łyku. Wpuściłem do swojego kubka trochę jodiny z zakraplacza, który nosiłem przy sobie, zamieszałem zawartość i zatknąłem nos, żeby pociągnąć łyk. Tamci również uznali to za zabawne.

Byliśmy więc w komitywie z tłumem z herbaciarni i kiedy poprosiłem o czang, przyniesiono pełny cebrzyk. Rozlaliśmy go do małych, wyszczerbionych szklaneczek i zajęliśmy się nim.

- No więc, jakie macie plany, ty i Kunga Norbu? - spytałem Fredsa.

- Jak by to powiedzieć - odparł, a przez jego twarz przemknął wyraz rozbawienia. - To jest dość długa historia.

- To mi ją opowiedz.

- Za długa, żeby ją dzisiaj opowiadać - minę miał niezdecydowaną.

- Jak to? Taka długa historia, że Freds Fredericks nie może jej opowiedzieć? Człowieku, to niemożliwe. Słyszałem przecież kiedyś, jak streszczałeś Lauremu Biblię, i zajęło ci to tylko minutę.

- Ta historia jest dłuższa - Freds potrząsnął głową.

- W porządku - dałem spokój i wszyscy trzej zabraliśmy się do picia czangu, który jest białym piwem robionym z ryżu albo z jęczmienia. Wypiliśmy go mnóstwo, co jest ryzykowne pod wieloma względami, ale nie dbaliśmy o to. Pijąc pochylaliśmy się coraz niżej nad stołem, żeby znaleźć się pod warstwą dymu, a poza tym w tym stanie mieliśmy naturalną skłonność do pochylania się. Na koniec leżeliśmy jak błoto w kałuży.

Freds nie przestawał naradzać się z Kungą Norbu po tybetańsku, co mnie zaintrygowało.

- Freds, ty prawie nie mówisz po nepalsku, jakim więc cudem tak dobrze znasz tybetański?

- Spędziłem parę lat w Tybecie. Studiowałem tam w klasztorze łamów buddyjskich.

- Studiowałeś w klasztorze łamów w Tybecie?!

- No pewnie. Nie widać?

- No wiesz... - machnąłem ręką. - To by chyba mogło wyjaśnić ten płynny tybetański. - Właśnie tam spotkałem Kungę Norbu. Był moim nauczycielem.

- Myślałem, że to kumpel od wspinaczek.

- Bo jest! To lama-himalaista. Jest ich zresztą całkiem sporo. Widzisz, kiedy Chińczycy zajęli Tybet, zamknęli wszystkie klasztory, właściwie to większość z nich zniszczyli. Mnisi musieli iść do pracy, a lamowie albo przedostali się do Nepalu, albo przenieśli się do górskich jaskiń. Później Chińczycy chcieli zacząć himalaistykę, takie propagandowe wyczyny, żeby wykazać słuszność myśli wodza Mao. Ale ze wysokości w Himalajach były dla nich trochę za duże, więc przeważnie wykorzystywali Tybetańczyków i nazywali ich Chińczykami. Okazało się wtedy, że najlepsze górskie doświadczenie wśród Tybetańczyków mają buddyjscy mnisi, bo mnóstwo czasu spędzali w naprawdę wysoko położonych, odosobnionych pustelniach. Ośmiu z dziewięciu tak zwanych Chińczyków, którzy w 1975 dotarli na szczyt Everestu, było w rzeczywistości Tybetańczykami.

- Kunga Norbu był jednym z nich?

- Nie. Chociaż powiem ci, że chciałby być. Ale i tak dotarł z chińską ekspedycją całkiem wysoko na Północnej Grani w 1980. Naprawdę jest mocny. Do tego wspaniały guru, autentycznie święty gość.

Siedzący po drugiej stronie stołu Kunga Norbu spojrzał na mnie, wiedząc, że o nim mówimy. Był niski i chudy, miał długie, czarne włosy i wyglądał na bardzo wytrzymałego. Podobnie jak wielu Tybetańczyków, przypominał Indianina Navaho albo Apacza. Kiedy na mnie patrzył, poczułem się

dziwnie; tak, jakby wpatrywał się przeze mnie prosto w nieskończoność. Albo w coś innego, równie dalekiego. Lamowie na pewno ćwiczą takie spojrzenie.

- No więc, co tutaj robicie? - zapytałem, trochę skrępowany.

- Chcemy się przyłączyć do moich kumpli, angoli, i razem wejść na Lingtren. Powinno być wspaniale. A potem może spróbujemy z Kungą czegoś na własną rękę. Okazało się, że skończyliśmy cebrzyk czangu, zamówiliśmy więc następny. Jeszcze trochę i byliśmy niżej niż błoto w kałuży.

Nagle Kunga Norbu powiedział coś do Fredsa, wskazując przy tym na mnie.

- Naprawdę? - spytał Freds i rozmawiali jeszcze chwilę.

W końcu Freds zwrócił się do mnie:

- To jest naprawdę wielki zaszczyt, George. Kunga chce, żebym powiedział ci, kim naprawdę jest.

- To bardzo miło z jego strony - odparłem. Przy okazji odkryłem, że ze szczęką na stole muszę poruszać całą głową, żeby mówić.

Freds ściszył głos, co nie wydawało mi się konieczne, jako że w całym pomieszczeniu byliśmy jedynymi ludźmi, którzy mówili po angielsku.

- Wiesz, co to jest tulku, George?

- Myślę, że tak - odparłem. - Podobno niektórzy lamowie, tam w górach, są wcieleniami poprzednich lamów i to ich nazywa się tulku, prawda? Podobno opat z Tengbocze jest tulku.

- Owszem - Freds kiwnął głową i klepnął Kungę Norbu w ramię. - No więc, Kunga jest też tulku.

- Rozumiem - zastanowiłem się nad ceremoniałem podobnej sytuacji, ale naprawdę nie mogłem niczego wykombinować, więc w końcu po prostu podrapałem się szczęką o stół i wyciągnąłem rękę. Kunga Norbu ujął ją i uścisnął ze skromnym uśmiechem.

- Mówię poważnie - dodał Freds.

- Hej! - odparłem. - A czy ja powiedziałem, że nie?

- Nie. Ale nie wierzysz w to, prawda?

- Wierzę, że ty w to wierzysz, Freds.

- On naprawdę jest tulku! To znaczy, widziałem na to dowody, naprawdę. Jego ku kongma, czyli jego pierwszym wcieleniem był TsongKhapa, bardzo ważny lama tybetański, urodzony w roku 1555. Na miejscu jego urodzenia założono klasztor w Kum-Bum.

Kiwnąłem głową z braku słów. Potem napełniłem nasze ku- beccki i wypiliśmy za wiek Kungi Norbu. Nie było wątpliwości, że ciągnął czang, jakby miał całe wieki praktyki.

- Czyli - powiedziałem, policzywszy - ma teraz około czterystu trzydziestu jeden lat.

- Zgadza się. I powiem ci, że sporo przez ten czas przeszedł.

Chińczycy zniszczyli Kum-Bum, jak tylko wkroczyli, i jeśli klasztor nie zostanie wskrzeszony, Tsong Khapa będzie musiał na zawsze pozostać uczniem. Widzisz, chociaż Kunga jest wielkim tulku...

- Wielki tulku - powtórzyłem, bo spodobało mi się brzmienie tych słów.

- Taa, chociaż jest wielkim tulku, zawsze był uczniem kogoś jeszcze większego, imieniem Dorjee. Dorjee Lama jest tak wysoko, jak to tylko możliwe - tylko Dalaj Lama go przewyższa. A Dorjee to twardy, naprawdę twardy guru.

Spostrzegłem, że na dźwięk imienia Dorjee Kunga Norbu nachmurzył się i napełnił szklanekę.

- Dorjee jest taki twardy, że jedynym uczniem, który z nim wytrzymał, był właśnie Kunga. Taa... kiedy chcesz zostać uczniem Dorjee i idziesz go o to prosić, bije cię kijem. I będzie to robił przez parę lat, żeby się przekonać, czy naprawdę chcesz go mieć za nauczyciela. A wtedy dosłownie

przepuszcza cię przez wyżymaczkę. Stosuje chyba metody chińskiej sekty Ts'an, bardzo ostre. Żeby nauczyć cię Krótszej Drogi, wali cię w głowę butem.

- Wiesz, coś w tym jest. On rzeczywiście wygląda trochę jak facet, który dostał porządnie butem po głowie.

- I nie może być inaczej. Przez czterysta lat był uczniem Dorjee i nic się przez ten czas nie zmieniło. Zapytał więc Dorjee, kiedy będzie mógł zostać samodzielnym guru, a Dorjee powiedział, że dopiero wtedy, kiedy klasztor wzniesiony w miejscu urodzenia Kungi zostanie odbudowany. Powiedział też, że aby to się stało, Kunga musi wypełnić... hm, pewne zadanie. Na razie nie mogę ci dokładnie powiedzieć, na czym ono polega, ale wierz mi, jest trudne. A że Kunga był moim guru, więc przyszedł prosić mnie o pomoc. No i właśnie po to tu jestem. - Zdawało mi się, że mówiłeś coś o wchodzeniu na Lingtren ze znajomymi angolami?

- To też.

Nie byłem pewien, czy to przez czang, czy przez dym, ale poczułem się trochę otumaniony.

- Wszystko jedno. Znosi się na niezłą przygodę.

- Owszem.

Freds zwrócił się do Kungi Norbu po tybetańsku, tłumacząc mu pewnie, o czym mówił do mnie. Odpowiedź Kungi była długa.

- Kunga mówi, że ty też możesz mu pomóc - powiedział do mnie Freds.

- Raczej spasuję - odparłem. - Mam tu swoją wyprawę i tak dalej, rozumiesz.

- Rozumiem, rozumiem. To zresztą będzie ciężkie. Ale Kunga cię lubi; mówi, że masz w sobie ducha Naropy.

Kiedy padło imię Naropa, Kunga kiwnął energicznie głową, wpatrując się przeze mnie na wylot tym swoim przymulonym spojrzeniem.

- Miło mi to słyszeć - powiedziałem - ale chyba jednak raczej spasuję.

- Zobaczymy, co się stanie - w zamyśleniu odparł Freds.

## II

Wiele szklane!: czangu później wytoczyliśmy się w noc. Freds i Kunga Norbu naciągnęli puchowe kurtki i z "dobranoc" oraz

"dzień dobry" odeszli do swojego namiotu. Ja skierowałem się do mojej grupy. Miałem wrażenie, że jest bardzo późno, tymczasem było dopiero pół do dziewiątej.

Gdy tak stałem i patrzyłem na wioskę naszych namiotów, spostrzegłem na szlaku z Lukli światło. Człowiek, który je niósł, zbliżył się. Był to Laure, serdar mojej grupy. Odprowadzał klientów z powrotem do Lukli i teraz stamtąd wracał.

- Laure - zawołałem cicho.

- Cześć, George - odparł. - Dlaczego późno? - Piłem.

- A! - Ponieważ latarka skierowana była w ziemię, bez trudu dostrzegłem jego szeroki uśmiech. - Dobry pomysł.

- Taa, ty też powinieneś napić się trochę czangu. Miałeś długi dzień.

- Niedługi.

- Pewnie.

Laure codziennie odprowadzał niezadowolonych klientów do Lukli, musiał więc pokonywać pięć razy dłuższą drogę niż wszyscy pozostali. A teraz wracał przy latarce. Mimo to myślę, że dla Laurego Tenzing Sherpa nie stanowiło to szczególnie ciężkiego dnia. Przez całe życie chodził po tych górach jako przewodnik i pastuch jaków, więc jego łydki miały taki obwód, jak moje uda.

Pewnego razu on i trzej jego kumple ustanowili dla zgrywy rekord, wędrując z bazy głównej pod Everestem do Katmandu w cztery dni; to jest jakieś trzysta dwadzieścia kilometrów, przez kawał naprawdę górzystego terenu. W porównaniu z tantym, dzisiejsza praca była pewnie jak spacer do skrzynki pocztowej.

Najgorsi w tym wszystkim byli niewątpliwie klienci. Kiedy go o to zapytałem, zmarszczył brwi.

- Ludzie iść do schroniska niezadowoleni. Bardzo, bardzo niezadowoleni. Lecieć do Katmandu.

- Nikt po nich płakał nie będzie - powiedziałem. - Może byś naprawdę napił się trochę czangu?

Laurę uśmiechnął się i zniknął w ciemności.

Popatrzyłem na namioty, w których spali moi klienci, i westchnąłem.

Jak do tej pory, był to typowy wídeotrekking. Z Katmandu przylecieliśmy do Lukli. Klienci, zwabieni do Nepalu przez kolorowe ogłoszenia, obiecujące im wideo jak z Ansela Adamsa, już w samolocie wpadli w szal, przepychając się, brzęcząc teleobiektywami i tak dalej. Nie dawało się przywołać ich do porządku, dopóki nie zobaczyli lądowiska w Lukli, które z powietrza wygląda jak zabawkowy model skoczni narciarskiej. Wtedy prędiutko pozapinali pasy, a wyglądali tak, jakby zastanawiali się nad zmianą testamentu; wszyscy, oprócz jednego małego, pękatego faceta imieniem Arnold, który nie przestawał toczyć się w tę i we w tę wzdłuż przejścia jak kula do kręgli, a w końcu wepchnął się do kabiny pilotów, tak że mógł filmować wszystko ponad ich głowami.

- Łądujemy w Lukli - oznajmił do mikrofonu kamery głębokim, nienaturalnym głosem, jak narrator kiepskiego pokazu slajdów z podróży. - Choć lądowanie wydaje się niemożliwe, nasi piloci są spokojni.

Mimo wszystko wylądowaliśmy bezpiecznie. Niestety, jeden z członków naszej grupy usiłował sfilmować swoje własne wyjście z samolotu i spadł nieszczęśliwie ze stopni. Kiedy badałem kontuzję - zwichniętą kostkę - znów pojawił się Arnold, nachylając się, żeby unieśmiertelnić każdy spazm i jęk ofiary.

Drugi samolot dowiózł resztę naszej grupy pod kierownictwem Laurego i mojej pomocnicy Heather. Ruszyliśmy na szlak.

Przez kilka godzin wszystko szło dobrze; szlak pełni w tej okolicy funkcję głównej magistrali i jest zupełnie łatwy. Do tego jeszcze widok zapiera dech w piersiach: dolina Dudh Kosi wygląda jak porośnięty lasem Wielki Kanion, tyle że jest większa. Wszyscy byli pod wrażeniem, a parę osób filmowało nawet dokładnie przebieg całego dnia.

Dalej szlak schodzi do brzegu rzeki Dudh Kosi i tam czekała nas niespodzianka. Najwidoczniej podczas ostatniego monsunu leżące powyżej jezioro glacialne rozerwało tamę lodów i ruszyło w dół, niosąc straszliwą powódź, zrywając mosty, zalewając szlak, zwalając drzewa, niszcząc wszystko po drodze. Nasza wspianała magistrala kończyła się więc niespodziewanie urwiskiem, wznoszącym się nad okaleczonym korytem rzeki, a dalej sięgał już tylko efekt spontanicznego działania miejscowych tragarzy, dla których szlak był codzienną koniecznością. Trzeba przyznać, że nie brakowało im pomysowości, ale niestety stara trasa była bezkonkurencyjna. Nowy szlak wił się zatem po głazach rozrzuconych w korycie rzeki, trawersował świeże, piaszczyste urwiska i biegł szaleńczymi zakosami w górę i w dół błotnistych obsunięć, które wyciosano w porośniętych gęstym lasem zboczach.

Nasza grupa wpadła w przerażenie. Ogłoszenia nie wspominały o takich rzeczach.

Bosi tragarze biegli z przodu, żeby jak najszybciej dotrzeć do miejsca następnego postoju, a klienci zaczęli wysiadać. Zsuwali się i przewracali, siadali i płakali. Kilkakrotnie mówiono o chorobie wysokościowej, choć w istocie nie byliśmy wiele wyżej niż Denver. Razem z Heather biegaliśmy w kółko, pokrzepiając zmęczonych. W pewnym momencie stwierdziłem, że niosę trzy kamery wideo. Laurę niósł dziewięć.

Kiedy dotarliśmy do pierwszego z nowych mostów, wyglądaliśmy jak odwrót Napoleona spod Moskwy. Te mosty to bardzo zgrabne przykłady budownictwa leśnego. W całej okolicy nie ma kłód na tyle długich, by mogły sięgnąć drugiego brzegu rzeki, bierze się więc cztery krótsze kłody, wystawia się je nad rzekę i obciąża wielkimi stertami okrągłych kamieni. Potem z drugiego brzegu wysuwa się cztery następne kłody, aż ich końce dotkną końców tamtych czterech. Most na oczekaniu. I sprawdza się, choć nie budzi zaufania.

Nasza grupa z lękiem wpatrywała się w pierwszy most. Za nami pojawił się Arnold; przeżuwał nie zapalone cygareto i filmował całą scenę.

- Most Śmierci - oznajmił do mikrofonu kamery.

- Arnold, proszę - powiedziałem mu - daj sobie spokój.

Arnold zszedł na dół, do szarego nurtu rzeki.

- Hej, George, jak myślisz, czy mógłbym dać tam krok?

Miałbym wtedy lepsze zdjęcia z przeprawy.

- NIE! - podniosłem się prędko. - Jeden krok i toniesz, przyjrzyj się tylko.

- No dobra.

Teraz reszta grupy zaczęła wpatrywać się we mnie z przerażeniem, jakby na pierwszy rzut oka nie było widać, że wpadnięcie do Dudh Kosi byłoby naprawdę tragicznym błędem. Skończyło się na tym, że wielu z nich przeczołgało się przez most na czworakach. Arnold utrwalił ich wszystkich dla potomności, sfilmował też swoje własne przejście, chodząc w kółko, aż zamarłem ze strachu. W duchu go przeklinałem. Byłem pewien, że wie doskonale, jak niebezpieczna jest rzeka, i chciał tylko, żeby wszyscy też się o tym dowiedzieli. I bardzo niedługo po tym wydarzeniu - już przy następnym moście - ludzie zaczęli domagać się, żeby ich zabrać z powrotem do Lukli. Do Katmandu. Do San Francisco.

Westchnąłem, kiedy to sobie przypominałem. I kiedy uświadomiłem sobie, że to był dopiero początek. Po prostu zwyczajny wideotrekking z Zabierzemy Cię Wyżej Sp. z o. o. Plus Arnold.

### III

Następnego dnia rano znowu miałem okazję poznać Arnolda w akcji. Okrutnie skacowany, kuciałem właśnie nad niezdrowo cuchnącą dziurą w podłodze prymitywnego ustępu za herbaciarniami dla trekkingowców. Skończyłem robić to, co tam robiłem, kiedy nagle podniosłem wzrok i zobaczyłem wielkie, szklane oko obiektywu, wpatrujące się we mnie znad drewnianych drzwi.

- Arnold, nie! - wrzasnąłem, usiłując zasłonić dłonią obiektyw i jednocześnie podciągnąć spodnie.

- Hej, chwytam tylko lokalny koloryt - odparł Arnold, wycofując się. - Wiesz, ludzie chcą zobaczyć, jak to wygląda naprawdę, szczegóły i tak dalej, a te ustępy to naprawdę coś niezwykłego. Egzotyka.

- W takim razie powinieneś przyjść tu z samego Jiri - warknąłem na niego. - We wsiach na nizinie w ogóle nie ma ustępów.

Oczy wyszły mu na wierzch, przesunął też nie zapalone cygareto w drugi kąt ust.

- I co się wtedy robi?

- No, wychodzi się po prostu na dwór, rozgląda się. Wybiera się miejsce. Pola do srania są tam przeważnie w dole rzeki.

Prawdziwa egzotyka.

- To znaczy, że wszędzie są kupy? - zaśmiał się.

- Tak, coś w tym rodzaju. - Znakomite! Może w takim razie wrócę pieszo zamiast lecieć.

- To filmowanie to na poważnie, co? Arnold? - popatrzyłem na niego, marszcząc nos.

- A jak! Nie słyszałeś o mnie? Arnold McConnell? Robię filmy przygodowe dla PBS. Czasem też dla ośrodków narciarskich, wypożyczalni wideo, różne takie rzeczy. Narty, lotnie, kajakarstwo, skoki na spadochronie, alpinistyka, skateboard - wszystko to robiłem. Nie widziałeś nigdy Wyprawy z biegiem Zambezi? Nie? To już klasyka. Jeden z moich najlepszych filmów.

Wiedział więc, jak niebezpieczna jest Dudh Kosi. Popatrzyłem na niego z wyrzutem. Trudno było uwierzyć, że robi filmy przygodowe; wyglądał bardziej na producenta z Hollywoodu, takiego z dowcipów na imprezach.

- Czyli robisz prawdziwy film z tej wędrowki? - spytałem.

- No pewnie. Ciągłe pracuję, nigdy nie przestaję. Pracoholik.

- Nie potrzebujesz większej ekipy?

- Jasne. Przeważnie tak, ale to jest co innego, jeden z moich "filmowych pamiątek", jak je nazywam. Dwa sprzedałem PBS. Sam przy nich wszystko robiłem. To coś w rodzaju mojej własnej wersji samotnej wspinaczki.

- Fajnie. Ale wytnij ten fragment ze mną w sraczu, dobra?

- Jasne, nie przejmuj się tym. Rozumiesz, ja po prostu muszę się wcisnąć wszędzie, gdzie tylko mogę, żeby mieć potem z czego wybierać. I to mi procentuje. Dlatego mam taki obiektyw. Biorę tylko najnowszy sprzęt. Nie uwierzyłbyś, jakie mam rzeczy.

- Wierzę.

- I możesz mi mówić Pan Przygoda - zgryzł cygaro.

- Na pewno.

## IV

W Namcze Bazar nie spotkałem Fredsa ani Kungi Norbu, więc domyśliłem się, że wyruszyli już z tymi znajomymi Fredsa, angolami. Nie spodziewałem się też zobaczyć ich przed dotarciem w pobliże ich głównego obozu, bo zamierzałem zatrzymać moją grupę w Namcze na parę dni, żeby mieć czas na aklimatyzację i obejrzenie miasteczka. Namcze pełni funkcję stolicy Szerpów i poza tym trudno by wam było wyobrazić sobie bardziej widowiskowo usytuowaną osadę. Ulokowane jest na cyplu ponad miejscem, gdzie łączą się Dudh Kosi i Bhote Kosi, obie rzeki płyną jakieś tysiąc pięćset metrów niżej, w stromym, zielonym wąwozie, a wszystko to otaczają białe szczyty, wznoszące się też na tysiąc pięćset metrów. Samo miasteczko ma kształt podkowy z kamiennych budynków i kamiennych ulic, gęsto zapchanych Szerpami, trekkingowcami, himalaistami i kupcami przybyłymi na cotygodniowy bazar.

Namcze to miasto zabawy, nie nudziłem się więc. Zapomniałem o Fredsie i angolach, dlatego byłem zdumiony, kiedy napotkałem ich w Phericze, jednej z najwyższych położonych górskich wiosek Szerpów.

Większość z tych osiedli zamieszkała jest tylko latem, kiedy uprawia się ziemniaki i pasie jaki. Phericze leży jednak na szlaku wypraw na Everest, więc niemal przez cały rok ktoś tam mieszka.

W Phericze zbudowano parę schronisk, tam też znajduje się jedyna stacja Ratowniczego Towarzystwa Himalajskiego. Wieś ciągle wygląda jak letnia osada pastuchów: niskie, kamienne ściany dzielą pola ziemniaków, do tego kilka kamiennych chat z łupkowymi dachami plus schroniska i stacja ratunkowa z blaszanym dachem. Wszystko to jest skupione na końcu doliny lodowcowej o płaskim dnie, u stóp stu pięćdziesięciometrowej ściany moreny bocznej. Obok meandruje potok, a ziemię pokrywają trawy i jasna, jesienna czerwień krzewów berberysu. Wszędzie wokół wznoszą się fantastyczne, białe wierzchołki najniesamowitszych szczytów świata - Ama Dablam, Tabocze.

Tramserku, Kang Taiga - co wszystko razem sprawia, że miejsce jest genialne. Moi klienci dostawali zawrotów głowy, próbując je sfilmować.

Rozbiliśmy się biwakiem na nie uprawianym kartoflisku, a po kolacji Laurę i ja wymknęliśmy się do hotelu Himalaje, napić się

trochę czangu. Wszedłem akurat do małej kuchni pensjonatu, gdy dobiegł mnie wrzask Fredsa: "Hej, George!" Freds siedział z Kungą Norbu i czterema zagranicznymi. Przysiedliśmy się do nich, tłocząc się wokół niewielkiego stolika.

- To są znajomi, z którymi się wspinamy - przedstawił ich po kolei i wszyscy uścisnęliśmy sobie ręce. Trevor był wysokim, szczupłym facetem w okrągłych okularach i z lekko zwariowanym uśmiechem. "Szalony Tom", jak nazwał go Freds, był niski, miał kręcone włosy i zupełnie nie wyglądał na szaleńca, chociaż coś w jego łagodnym zachowaniu sprawiło, że uwierzyłem w ten przydomek. John był niski i nabity, miał szpakowatą brodę i dłoń jak imadło. Marion zaś była wysoką i atrakcyjną kobietą, choć podejrzewam, że mogłaby się zaczerwienić albo was rąbnąć, gdybyście jej to powiedzieli; jej uroda była surowa i dzika, miała upartą, stanowczą twarz i gęste, brązowe włosy z grzywką, zaczesane do tyłu. Wszyscy byli Anglikami, czego dowodził ich akcent:

Marion i Trevor mieli wytworną wymowę dobrej, prywatnej szkoły, a John i Szalony Tom - zachryply akcent z Północy.

Zaczęliśmy pić czang, a tamci opowiedzieli mi o swojej wyprawie. Lingtren, ostry szczyt pomiędzy Pumori i Zachodnim Zboczem Everestu, to poważna sprawa, niezależnie od tego, z której strony by podchodzić. Byli tym wyraźnie podnieceni, na swój własny sposób:

- Prawdę powiedziawszy, niezła harówka - radośnie oznajmił Trevor.

- Kiedy brytyjscy himalaiści rozmawiają o wspinaniu, trzeba się nauczyć przekładać to na angielski. "Niezła harówka" znaczy: "Nie idźcie tam".

- Myślę, że powinniśmy się stąd wynieść i zamiast tego wchodzić na Pumori - powiedziała Marion. - Lingtren to znakomity pagórek.

- Marion, daj spokój.

- Tak czy siak - zauważył John. - Lingtren ma cenę nie do przebiccia.

Chodziło mu o opłatę, jaką nepalski rząd nakłada na himalai- stów za prawo do wchodzenia na szczyty. Opłata zależy od wysokości danego szczytu i naprawdę wysokie wierzchołki są superdrogie. Na przykład za wejście na Everest każą wam płacić ponad pięć tysięcy dolarów, a i tak trzeba się niezłe namęczyć, żeby trafić na listę oczekujących. Niektóre jednak z najtrudniejszych wejść w Nepalu nie są zbyt wysokie w porównaniu do tych największych, chodzą więc całkiem tanio. Najwidoczniej tak właśnie było w przypadku Lingtrena.

Przyglądaliśmy się, jak prowadząca schronisko Szerpijka gotuje obiad dla pięćdziesięciu osób pod baczny spojrzeniem gości, którzy głodnym wzrokiem śledzili każdy jej ruch. Kobieta miała do swojej dyspozycji mały piec na drewno, stertę ziemniaków, makaron, ryż, trochę jajek i kapusty oraz kilku podchmielonych tragarzy do pomocy, którzy na zmianę myli naczynia albo odrywali kawałki łąjna jaków na opał. Na pierwszy rzut oka była to trudna sytuacja, ale Szerpijka nie traciła luzu: gotowała wszystkie zamówione potrawy z pamięci, krojąc i wrzucając ziemniaki do jednego garnka, dorzucając drewna do ognia, podrzucając dziesięć kilo makaronu w powietrzu, jakby to był jeden gorący placek, a wszystko to z ostentacyjną pewnością siebie doświadczonego zonglera. Tkwił w tym swego rodzaju geniusz.

Dwie godziny później ci, którzy zamówili potrawy jako ostatni na jej niewzruszonej liście, dostali swoje omlety z kapustą i frytki, a kuchnia opustoszała, bo wiele osób poszło spać. Reszta nas

zasiadła do czangu i gadania.

Nagle do kuchni wrócił jakiś trekkingowiec, żeby posłuchać radia na krótkich falach, nie przeszkadzając śpiącym w jedynej sypialni schroniska. Powiedział, że chce złapać wiadomości.

Wszyscy popatrzyliśmy na niego z niedowierzaniem.

- Muszę się dowiedzieć, jak stoi dolar - wyjaśnił. - Wiedzieliście, że w ostatnim tygodniu spadł o osiem procent?

Różnych oryginałów można spotkać w Nepalu.

Słuchanie w Himalajach tego, co się uda złapać na falach krótkich jest zresztą naprawdę interesujące, gdyż w zależności od działania jonosfery, natrafić można na wszystko. Tamtego wieczoru słuchaliśmy na przykład Ludowego Głosu Syrii i jakiejś popowej piosenkarki z Bombaju, na co ożywili się tragarze.

Potem przelecieliśmy przez serwis światowy BBC, co było zrozumiałe - audycja mogła pochodzić z Hong Kongu, Singapuru, Kairu, nawet z samego Londynu.

Wśród gwizdów zakłóceń elektrostatycznych ledwie można było rozróżnić głos spikera z akcentem z prywatnej szkoły.

- ...Brytyjska Wyprawa na Everest roku 1986 znajduje się obecnie na lodowcu Rongbuk w Tybecie, a w ciągu dwóch najbliższych miesięcy jej członkowie mają zamiar powtórzyć historyczną trasę prób podejmowanych w latach dwudziestych i trzydziestych. Nasz bezpośredni korespondent donosi: - drugi głos jeszcze bardziej połykał wyrazy i jeszcze głębiej tonął w zakłóceniach - głównym zadaniem ekspedycji jest odnalezienie ciał Mallory'ego i Irvine'a, widzianych po raz ostatni w pobliżu wierzchołka w roku 1924 - trzask, buczenie - szansę powiększyły się znacznie dzięki rozmowom z partnerem chińskiego himalaisty, który poinformował, że w 1980 roku widział na Ścianie Północnej ciało ...bzzzrrrr... opis miejsca znalezienia

...ssssss... bardzo niski w tym roku poziom pokrywy śnieżnej, więc wszyscy sądzą, że szansę na powodzenie są ...ssskrkss... - głos utonął w powodzi trzasków.

Trevor w zdumieniu uniósł brwi i rozejrzał się dookoła.

- Czy ja dobrze zrozumiałem? On mówił, że będą szukać ciał Mallory'ego i Irvine'a?

Na twarzy Szalonego Toma pojawił się wyraz najgłębszego przerażenia. Marion zmarszczyła nos, jakby jej czang zmienił się w tybetańską herbatę.

- Aż się nie chce wierzyć.

Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale dla Fredsa była to niespodziewana okazja, by bez żadnej dalszej zwłoki wprowadzić w życie jego plan.

- Nie słyszeliście o tym? - powiedział. - Przecież to właśnie Kunga Norbu jest tym himalaistą, o którym mówili. Tym, który w roku 1980 zauważył ciało na Północnej Ścianie. - To on? - zapytaliśmy wszyscy.

- Taa, oczywiście. Kunga należał do wyprawy chińskiej na Północną Grań w 1980 i robił tam rekonesans, żeby znaleźć bezpośrednią trasę na Północną Ścianę, kiedy zobaczył ciało.

Freds zwrócił się do Kungi Norbu po tybetańsku, a ten kiwnął głową i mówił coś dosyć długo. Freds przetłumaczył:

- Kunga mówi, że to był zagranicznik, miał na sobie ubranie z muzeum i najwidoczniej był tam bardzo długo. Mówi też, że może zaznaczyć to na zdjęciu - wydobył swój portfel i wyciągnął z niego zwitek papieru. Po rozłożeniu okazał się on być sfatygowaną, czarno-białą fotografią Everestu od strony tybetańskiej.

Kunga Norbu badał ją przez długą chwilę, naradził się z Fredsem, po czym wziął od niego ołówek i starannie nakreślił na niej kółko.



- Dajta spokój, on zamalował pół Everestu - oznajmił John. - To się ni cholery nie przyda.

- Skąd - oburzył się Freds - patrzcie, to małe kółko.

- To przecież - małe zdjęcie, co nie?

- Kunga może przecież dokładnie opisać to miejsce. To jest tam, wysoko, na szczycie Czarnego Pasma. Zresztą udało się zorganizować wyprawę, żeby ruszyć na poszukiwanie tych ciał - albo ciała, to wszystko jedno. A Kunga wymknął się w zeszłym roku do Nepalu, więc tamta ekspedycja ma tylko informacje z drugiej ręki od jego kumpla. Ale to może wystarczyć.

- A jeżeli znajdą ciała?

- No cóż, zamierzają zabrać je na dół, wysłać do Londynu i pochować w Katedrze Winchesterskiej.

Angole wbili w niego wzrok.

- Chodzi ci o Opactwo Westminsterkie? - zaryzykował John.

- Aa, no tak. Zawsze mi się te dwie mieszają. Tak czy owak, to właśnie mają zamiar zrobić, a poza tym chcą jeszcze nakręcić o tym film.

Jęknąłem na samą myśl o tym. Jeszcze jedno wideo.

Czwórka angoli jęknęła głośniejsz ode mnie.

- To naprrrawdę ohida - powiedziała Marion. - Niedobrze się robi - zgodzili się John i Szalony Tom.

- To parodia, nieprawdaż? - powiedział Trevor. - Ci ludzie są tu u siebie, jeżeli w ogóle o kimkolwiek można tak powiedzieć. To nic innego jak profanacja grobu!

Troje jego towarzyszy przytaknęło. Można by sądzić, że żartowali, udając oburzenie. W głębi duszy byli jednak śmiertelnie poważni. Naprawdę tak myśleli.

## V

Żeby zrozumieć, dlaczego tak bardzo im na tym zależało, musicie zdać sobie sprawę, czym dla brytyjskiej duszy jest historia Mallory'ego i Irvine'a. U nich himalaistyka zawsze była ważniejsza niż w Ameryce - można powiedzieć, że Brytyjczycy wynaleźli ten sport w epoce wiktoriańskiej i od tamtej pory w nim przodowali, nawet po drugiej wojnie światowej, kiedy tyle innych rzeczy tam się zawaliło. Wspinaczka to jakby rolls royce brytyjskiego sportu. Whymper, Hillary, wspaniała - ekipa tych, którzy wspinali się z Boningtonem w latach siedemdziesiątych - wszyscy są bohaterami narodowymi.

Ale nie ważniejszymi od Mallory'ego i Irvine'a. Widzicie, dawniej, w latach dwudziestych i trzydziestych, Brytyjczycy mieli monopol na Everest, bo Nepal był zamknięty dla obcokrajowców, a Tybet był zamknięty dla wszystkich oprócz Brytyjczyków, którzy wkroczyli tam z ekspedycją wojskową Younghusbanda jeszcze w roku 1904. Góry były więc ich prywatnym placem zabaw. W tamtych czasach podjęli cztery czy pięć prób, wszystkie nieudane, co łatwo można zrozumieć: byli wyposażeni jak harcerze, techniki wysokościowej musieli uczyć się na miejscu, a w dodatku mieli okropnego pecha do pogody.

Najbliższa sukcesu była próba z roku 1924. Szefem wyprawy był Mallory, sławny już dzięki dwóm poprzednim próbom. Może o tym wiecie, ale to on był tym facetem, który odpowiedział: "Bo ona tam jest", kiedy spytano go, po co ktokolwiek miałby wchodzić na tę górę. Odpowiedź jest albo bardzo głęboka, albo bardzo głupia, w zależności od tego, co myślicie o Mallorym. Możecie przebierać w rozmaitych interpretacjach, gościa analizowano na wylot. Tak czy owak, ostatni raz Mallory'ego i jego partnera, Irvine'a, widział inny członek wyprawy w odległości jakichś dwustu pięćdziesięciu metrów, a do wierzchołka zostało im wtedy mniej niż czterysta metrów. Było to o

pierwszej po południu, w pogodny dzień, jeśli nie liczyć krótkiej burzy i mgły, która zasłaniała szczyt przed patrzącymi z dołu. Albo im się więc udało, albo nie.

Coś jednak poszło tam źle, bo nigdy więcej ich już nie ujrano.

Wspaniała porażka, głęboka tajemnica: Anglicy wprost uwielbiają tego rodzaju historie, jak zresztą i my wszyscy. Wszystkie cnoty rodem z prywatnej szkoły wpakowane w jedną opowieść heroiczną - nikt by tego lepiej nie wymyślił. Aż do dnia dzisiejszego historia ta budzi w Anglii niezwykle zainteresowanie, a do ludzi z klanu himalaistów odnosi się to podwójnie - oni na niej wyrosli i ciągle oddają się spekulacjom na temat losu tamtych dwóch w artykułach, dyskusjach w pubach i tak dalej.

Kochają tę opowieść.

A zatem wejść tam i znaleźć ciała, rozwiązać tajemnicę, odwieźć zwłoki do Anglii... Widzicie sami, dlaczego poraziło to moich kumpli od kieliszka, jako coś w rodzaju świętokradztwa.

Po prostu jeszcze jeden wyczyn propagandowy, sposób na zabicie forsy przez jakiegoś drania od reklamy - profanacja Tajemnicy.

Prawdę mówiąc, było to trochę podobne do wideopodroży. Tylko gorsze. Mogłem więc co nieco zrozumieć Anglików.

## VI

Próbowałem wymyślić jakiś nowy temat, żeby odciągnąć uwagę Anglii, ale wyglądało na to, że Freds ma zamiar nakręcać ich biadolenie.

- Wiecie, co powinniście zrobić - zwrócił się do nich cichym głosem i stuknął palcem w zgnieciony strzęp fotografii.

- Wspominaliście coś o wyniesieniu się stąd i wchodzeniu na Pumori? Cholera, zamiast tego powinniście wynieść się w drugą stronę i prześcignąć ich, być tam przed nimi i ukryć starego Mallory'ego. Przecież macie tu autentycznego naocznego świadka, który was tam doprowadzi! To niewiarygodne! Moglibyście pochować Mallory'ego w skałach i śniegu, a potem wymknąć się na dół. Gdybyście to zrobili, tamci nigdy by go nie znaleźli!

Angole wpatrywali się we Fredsa okrągłymi oczami. Potem spojrzeli na siebie, a ich głowy pochyliły się nad stołem. Mówili teraz ciszej:

- To geniusz - sapnął Trevor.

- No, nie - ostrzegłem ich. - To nie geniusz.

Laurę potrząsnął głową. Nawet Kunga Norbu patrzył z powątpiewaniem.

Freds spojrzął na mnie i energicznie poruszył brwiami, jakby mówiąc: "To wspaniały pomysł! Nie zepsuj go!"

- A co z Lho La? - spytał John. - Nie trzeba się będzie na nią wspinać?

- Łatwizna - natychmiast odparł Freds.

- Nie - zaprotestował Laurę. - Nie łatwizna! Przełącz!

Bardzo stroma przełącz!

- Łatwizna - upierał się Freds. - Parę lat temu wchodziłem tam z tymi gośćmi, którzy szli przez Zachodnią Grań. A kiedy już się tam stanie, to na Zbocze Zachodnie jest prosta droga i Północna Ściana wznosi się zaraz na lewo.

- Freds - powiedziałem, usiłując dać mu do zrozumienia, że nie powinien namawiać swoich towarzyszy do takiej niebezpiecznej, nie wspominając już o tym, że nielegalnej, wspinaczki.

- Przy wyższych obozach potrzebowalibyście dużo więcej wsparcia, niż go macie. To kółko na stoku jest cholernie wysoko.

- To prawda - błyskawicznie podchwycił Freds. - To jest wysoko. Cholernie wysoko. Prawie że najwyżej.

Oczywiście dla takich ludzi jak ci angole była to tylko jeszcze jedna zachęta, czego powinienem się być domyślić.

- Trzeba by to zrobić jak Woody Sayers w sześćdziesiątym drugim - ciągnął Freds. - Wtedy mieli Szerpów do pomocy aż do Nup La ponad Cho Oyo i drapnęli na Everest, chociaż powinni byli wchodzić na Gyachung Kang. Przez całą drogę na szczyt przenosili ze sobą jeden jedyny obóz i wrócili tą samą drogą. Tylko we czterech, a prawie go zdobyli. Poza tym Nup La jest trzydzieści kilometrów dalej od Everestu niż Lho La. Lho La leży właściwie zaraz pod szczytem.

Szalony Tom nałożył na nos okulary, wyciągnął ołówek i zaczął liczyć coś na stole. Marion kiwała głową. Trevor napełniał nasze szklanki czangiem. John zaglądał przez ramię Szalonego Toma na jego obliczenia i mruzczał coś do niego; najwidoczniej to oni zajmowali się zaopatrzeniem.

- A więc - powiedział Trevor, unosząc szklankę - czy jesteśmy za tym?

- Jesteśmy za tym. - Wszyscy podnieśli szklanki.

Pili za ten plan, a ja patrzyłem na nich z przerażeniem, gdy nagle usłyszałem skrzypnięcie drzwi i zobaczyłem, kto wychodzi z kuchni.

- Hej! - rzuciłem się i wciągnąłem Arnolda McConnella z powrotem do środka. - Co ty tu robisz?

Arnold chował coś za plecami.

- Ja? Nic. Chciałem herbaty z mlekiem, jak co wieczór, wiecie...

- To on! - wykrzyknęła Marion. Sięgnęła za plecy Arnolda i wyciągnęła stamtąd kamerę. Arnold próbował się opierać, ale Marion była silniejsza.

- Znowu mnie szpiegujesz, co? Filmujesz nas z jakiegoś ciemnego kąta?

- Nie, nie - bronił się Arnold. - Nie mogę filmować po ciemku.

- Film w namiocie - powiedział szybko Laurę. - Nocą.

Arnold rzucił mu piorunujące spojrzenie.

- Posłuchaj, Arnold - powiedziałem. - My tu sobie tylko tak gadamy, rozumiesz, prywatna pogawędka przy szklaneczce czangu. Nic ważnego.

- Ja to rozumiem - zapewnił mnie Arnold. - Rozumiem.

Marion wstała i z góry mierzyła Arnolda wzrokiem. Była z nich zabawna para: ona - wysoka i smukła, on - niski i baryłkowaty. Nie przestając patrzeć na Arnolda, Marion przy- ciskała guziki kamery, aż wyskoczyła z niej kasetka. Ta kobieta naprawdę potrafiła piorunować wzrokiem.

- Przypuszczam, że to jest ta sama kasetka, której używałeś dzisiaj rano, kiedy filmowałeś mnie, jak brałam prysznic, prawda? - spojrzała na nas. - Byłam w tej małej kabinie z prysznicem, po drugiej stronie drogi. Zatkanął się jakoś wylot kanistra z gorącą wodą, więc uchyliłam trochę drzwi, żeby tam sięgnąć i pogrzebać przy nim, i wtedy zauważyłam, że ten zboczeniec mnie filmuje! - zaśmiała się ze złością. - Założę się, że byłeś zadowolony z tej taśmy, co nie? Ty podglądaczu!

- Właśnie wychodziłem, żeby sfilmować jaki - wyjaśnił szybko Arnold, wpatrując się w Marion z zachwytem - wtedy panią zobaczyłem i co miałem zrobić? Ja jestem filmowcem, filmuję wszystko, co piękne. W Stanach mógłbym z pani zrobić gwiazdę - powiedział z przejęciem. - Jest pani chyba najpiękniejszą himalaistką na świecie.

- I to pomimo silnej konkurencji - wtrącił Szalony Tom.

Miałem rację co do reakcji Marion na tego rodzaju komplement. Zaczerwieniła się i rozważała, czy nie rąbnąć Arnolda.

Pewnie by to zrobiła, gdyby byli sami.

- ...filmy przygodowe w Stanach dla PBS i ośrodków narciarskich - ciągnął Arnold, żując swoje cygaro i śledząc wzrokiem Marion, która niosła kasetę w stronę pieca.

Szerpijka zagroziła jej drogę.

- Smród - powiedziała.

Marion kiwnęła głową i chwyciła kasetę obiema dłońmi. Jej przedramiona napięły się i można było zobaczyć każdy mięsień.

A było ich mnóstwo, wyglądały jak cienkie, splątane nici pod skórą. Wpatrywaliśmy się w nią wszyscy, Arnold instynktownie podniósł do oka kamerę, ale przypomniał sobie, że jest pusta.

Jęknął i jego ręka zaczęła grzebać w kieszeni kurtki w poszukiwaniu zapasowej kasety, kiedy ta, którą trzymała Marion, pękła po przekątnej, a taśma wyleciała na zewnątrz. Marion wręczyła to wszystko Szerpijce, która włożyła kasetę do pudełka z obierkami od ziemniaków. Spojrzeliśmy wszyscy na Arnolda. Ten wzruszył ramionami i zagryzł cygaro.

- W ten sposób nie zrobię z pani gwiazdy - powiedział i posłał Marion smutne spojrzenie. - Naprawdę, powinna pani dać mi szansę. Byłaby pani wielka. Taki image!

- Byłabym wdzięczna, gdyby pan teraz wyszedł - powiedziała mu Marion i wskazała na drzwi. Arnold wyszedł.

- Z tym gościem mogą być kłopoty - rzucił Freds.

## VII

Freds miał rację.

Arnold nie był jednak jedynym źródłem naszych kłopotów.

Według mnie sam Freds zachowywał się nieco osobliwie. Kiedy przypominałem sobie różne dziwactwa w jego niedawnym zachowaniu - oświadczenie, że jego przyjaciel Kunga Norbu jest tulku, a teraz to nagłe wystąpienie z kampanią o ocalenie ciała Mallory'ego - nie mogłem złożyć tego wszystkiego do kupy.

Nie miało to sensu.

Kiedy więc zespół Fredsa wyruszał z Phericze w górę doliny tego samego ranka co moja grupa trekkingowa, przeszedłem się z Fredsem. Chciałem zadać mu kilka pytań. Na szlaku było jednak sporo ludzi i trudno nam było znaleźć chwilę na osobności.

- A więc masz w swoim zespole kobietę - powiedziałem, żeby od czegoś zacząć.

- Taa, Marion jest świetna. Prawdopodobnie wspina się najlepiej z nas wszystkich. I jest niesamowicie silna. Słyszałeś o tych ścianach w halach, na których ćwiczą w Anglii?

- Nie.

- Widzisz, pogoda jest tam tak zła, a himalaiści są takimi fanatykami, że budują w salach gimnastycznych dziesięcio-, dwunastometrowe ściany, pokrywają je betonem i robią małe uchwyty - roześmiał się. - Wygląda to ponuro, stara sala gimnastyczna, nie ogrzewana, słabo oświetlona i do tego ci wszyscy goście rozciągnięci na betonowej ścianie. Jak jakiś nowy rodzaj tortur... Tak czy siak, odwiedziłem kiedyś taką salę i kazali mi się ścigać z Marion po dwóch najgorszych nachyleniach. Miejscami z 5.13, niemożliwa sprawa. Wszyscy zaczęli robić zakłady, a zasada była taka, że trzeba było wejść na samą górę, żeby rozstrzygnąć zakłady. W ścianie coś przeciekało i wszystko było wilgotne, więc w połowie drogi odpadłem. Marion wygrała, ale żeby rozstrzygnąć zakłady, musiała wejść na górę. Przy tym przecieku to było zupełnie niemożliwe, a wszyscy, którzy na nią postawili, zaczęli się drzeć, żeby to zrobiła, więc ona tylko zacisnęła zęby i zaczęła się piąć. Człowieku! - Freds pokazał to w powietrzu.

- I pięła się tak w zwolnionym tempie, żeby nie odpaść. Trzymała się na czubkach palców rąk i

nóg i przysięgam, że wisiała tak ze trzy godziny! Wszyscy przestali się wspinać, bo chcieli popatrzeć. Goście szli do domu, goście błagali ją, żeby zeszła, goście mieli łzy w oczach. W końcu weszła na samą górę, przeczołgała się do drabiny i zeszła po niej. Tamci się na nią dosłownie rzucili. Byli gotowi zrobić z niej królową. Zresztą, ona właściwie jest królową, jeśli chodzi o angielskich himalaistów.

Gdybyś przyprowadził prawdziwą, to przy Marion nawet by tamtej nie zauważyli.

Wtem pomiędzy nas wśliznął się Arnold, robiąc konspiracyjne miny.

- Myślę, że ten pomysł z Mallorym to znakomita sprawa - wyszeptał przez zaciśnięte zęby. -

Jestem całkowicie po waszej stronie. I będzie z tego wspaniały film!

- Coś ci się pomyliło - powiedziałem mu.

- Wchodzimy na Lingtren, nic poza tym - powiedział mu Freds.

Arnold zmarszczył brwi, spuścił brodę na pierś, przeżuł cygaro. Zirytowany Freds odszedł, żeby dogonić swoją grupę i wkrótce wszyscy razem zniknęli przed nami. Straciłem więc sposobność do rozmowy.

Dotarliśmy do górnego krańca doliny Phericze, skręciliśmy w prawo i wspięliśmy się, żeby przedostać się do jeszcze wyższego wąwozu. Była to dolina lodowca Khumbu, potężnego pasa lodu pokrytego szarym rumoszem skalnym i upstrzonego mętnymi, niebieskimi stawami z topniejącego lodu. Przeszliśmy jego skrajem i posuwaliśmy się dalej w górę szlaku, po morenie bocznej do Lobucze, które składa się z trzech herbaciarni i pola namiotowego. Następnego dnia ruszyliśmy w górę doliny do Gorak Shep .

Co do Gorak Shep (co znaczy "Martwa Wrona"), to nie jest to miejsce, jakie możecie zobaczyć na plakatach w biurach podróży. Leży na wysokości nieco ponad pięć tysięcy metrów, a tak wysoko życie roślinne prawie już nie istnieje. Miejscowość stanowią dwie małe, walące się herbaciarnie pod olbrzymim piargiem obok szarego stawu lodowcowego, a wszystko to razem wygląda jak pozostałości po gigantycznej zwirowni.

Gorak Shep ma jednak coś, a mianowicie góry. Wielkie, ośnieżone góry ze wszystkich stron. Jak wielkie? No, na przykład ściana Nuptse, wznosi się nad Gorak Shep na pełne dwa tysiące sto metrów. Lawina, którą widzieliśmy, jak ślizgała się w dół po niewielkim fragmencie tej ściany, hucząc przy tym jak grom, była dłuższa niż dwie wysokości World Trade Center, a i tak wyglądała na maleństwo. A Nuptse jest mniejszy od niektórych z otaczających go szczytów. Macie więc ogólne pojęcie.

Kamery nie są w stanie objąć takiej skali, ale każdy i tak próbuje, więc przez wszystkie dni naszego tam pobytu moja hałastra próbowała z całych sił. Ci, którzy dobrze znosili wysokość, wspięli się na szczyt Kala Pattar ("Czarne Wzgórze"), niedaleką górę ze znakomitą widokiem na południowo-zachodnią ścianę Everestu. Następnego dnia Heather i Laurę zaprowadzili grupę złożoną w większości z tych samych osób w górę lodowca, do obozu głównego, a reszta z nas odpoczywała. Obóz główny, założony w tym sezonie przez armię indyjską, był w gruncie rzeczy wioską namiotów podobną do naszej, ale po drodze do niego można było zobaczyć świetne seraki i lodowe wieże, więc po powrocie nasi klienci wyglądali na zadowolonych.

Wobec tego ja też byłem zadowolony. Nikt nie zachorował poważnie na chorobę wysokościową i następnego ranka mieliśmy wyruszać w drogę powrotną. Czuję się znakomicie, siedząc późnym popołudniem na pagórku ponad naszymi namiotami i nie robiąc nic.

Wtem na szlaku od strony głównego obozu pojawił się pędzący Laurę. Kiedy mnie dostrzegł, skręcił w moim kierunku.

- George, George - zaczął krzyczeć, nim jeszcze się zbliżył.

Kiedy był już przy mnie, wstałem.

- Co się dzieje?

- Ja zostać mówić przyjaciele tragarze obóz główny Armii Indyjska, Freds mnie znaleźć Freds mówić prosi ty przyjsć obóz główny. Wchodzić na Lho La odkryć człowiek z kamera przyjsć wynając Szerpa koniec u Fredsa, bardzo źle idzie Freds.

No więc Laure nie mówił płynnie po angielsku, jak już może zauważyliście. Ale w końcu byliśmy w jego kraju i mówiliśmy w moim języku, a dla niego angielski był którymś kolejnym po szerspańskim, nepalskim, słabym japońskim i niemieckim. A wy ile znacie języków?

Poza tym odkryłem, że zawsze chwytam ogólny sens tego, co Laure mówi, a czasem mam z tym trudności w przypadku tych, których ojczystym językiem jest angielski. Wrzasnąłem więc:

- Nie! Arnold idzie za nimi?

- Tak - potwierdził Laure. - Bardzo źle. Freds mówić przyjsć prosi.

- Arnold wynajął Szerpów?

- Szerpa koniec tragarze. Arnold wynając - Laure kiwnął głową.

- Niech go szlag! Trzeba będzie tam wejść i dopaść go!

- Tak. Bardzo źle.

- Pójdiesz ze mną?

- Co tylko chcesz.

Pognałem do namiotu, żeby zabrać swój sprzęt alpinistyczny i powiedzieć Heather, co się stało.

- Jak on się tam dostał? - spytała. - Myślałam, że przez cały dzień był z tobą.

- Powiedział mi, że idzie z tobą! Pewnie szedł za wami przez całą drogę i potem dalej. Nie przejmuj się, to nie twoja wina.

Jutro zacznij wracać z grupą do Namcze, a my cię dogonimy.

Heather kiwnęła głową, choć wyglądała na zmartwioną.

Wyruszyłem więc z Laurem. Nawet idąc w tempie Laurego, do obozu Fredsa dotarliśmy dopiero po wschodzie księżyca.

Cały ich biwak stanowił teraz tylko jeden namiot w stercie wydeptanego śniegu, tuż pod stromym zboczem doliny Khumbu, która oddziela Nepal od Tybetu. Otworzyliśmy wejście do namiotu i obudziliśmy Fredsa i Kungę Norbu.

- Znakomicie! - powiedział Freds. - Cieszę się, że tu jesteście! Naprawdę się cieszę!

- Opowiedz mi wszystko - poprosiłem.

- Cóż, ten Arnold najwyraźniej wylazł aż tutaj.

- Zgadza się.

- Nasi Szerpowie byli już wolni, zapłaciliśmy im i myślę, że on ich z miejsca wynajął. Mają trochę sprzętu alpinistycznego, a my zostawiliśmy poręczówki aż do Lho La, tam więc poszli.

Mówię ci, byłem w szoku, kiedy zobaczyłem ich wysoko na przełęczy! Angole się wściekli i powiedzieli Arnoldowi, żeby zszedł, ale on odmówił, no a sam wiesz, że kogoś, kto jest tam, w górze, nie bardzo można zmusić do zrobienia czegoś, na co nie ma ochoty. Jak go rąbniesz, bardzo szybko znajdzie się na dole i będą kłopoty! Więc razem z Kungą wróciliśmy, żebyś nam pomógł, i w obozie trafiliśmy na Laurego, który powiedział, że mamy tu poczekać, aż on cię przyprowadzi.

- Arnold wszedł na Lho La? - spytałem z niedowierzaniem.

- Cóż, myślę, że to całkiem twardy gość. Nie widziałeś tego filmu, który zrobił na splywie kajakiem po Baltoro? Mocna rzecz, człowieku, gdzieś na równi z Na nartach z Everestu. Robił też parę innych zwariowanych rzeczy, jak filmowanie podczas lotu lotnią z Grand Teton. Arnold jest twardszy niż wygląda. Moim zdaniem musi trzepać zwykłą hollywoodzką tandetę i dlatego radzi

sobie z tym wszystkim. Tak czy owak, ma ze sobą wspaniałych Szerpów, a z nimi i z poręczówkami musi mu się powieść. Poza tym on się dobrze aklimatyzuje, siedł tam w górze jakby był na plaży.

- To jest właśnie zawzięty filmowiec - westchnąłem.

- Ten facet to pijawka. Angole dostaną świra, jeśli nie ściągniemy go tu za tyłek.

## VIII

Następnego dnia zaczęliśmy więc podejście pod Lho La i wkrótce zapuściliśmy się w najbardziej niebezpieczną wspinaczkę, w jakiej kiedykolwiek uczestniczyłem. Nie najtrudniejszą technicznie - w najgorszych miejscach angole zostawili poręczówki, które stanowiły znaczną pomoc. Mimo to było niebezpiecznie, bo wspinaliśmy się po lodospadzie, czyli lodowcu nachylonym pod dużym kątem.

Lodowiec bowiem, jak wiecie, to rzeka lodu, i podobnie jak jego wodny odpowiednik, zawsze płynie w dół. Prędkość przepływu lodowca jest dużo mniejsza, ale nie bez znaczenia, zwłaszcza jeśli się na nim stoi. Słychać wtedy często zgrzyty, jęki, nagłe trzaski i huki i ma się uczucie, jakby się było na grzbiecie wielkiego zwierzęcia.

Jeśli teraz umieścić taki lodowiec na stoku, wszystko ulega przyspieszeniu; zwierzę zmienia się w smoka. Lód z lodowca rozrywa się na ogromne bloki i pokrywy, które suną jednostajnie, potem balansują na krawędzi, a wreszcie spadają i roztrzaskują się na kawałki albo pękają, ukazując głębokie rozpadliny. Kiedy pięliśmy się przez labirynt lodospadu Lho La, nieustannie przechodziliśmy pod blokami lodu, które wyglądały na wieczne, choć w rzeczywistości były niepewne, jako że za miesiąc albo dwa miały na pewno runąć. Nie jestem specjalistą od rachunku prawdopodobieństwa, ale i tak mi się to nie podobało.

- Freds - zacząłem narzekać - mówiłeś, że to będzie łatwizna.

- Bo jest - odparł. - Zobacz sam, jak prędko idziemy.

- Bo jesteśmy śmiertelnie wystraszeni. - Wystraszeni? Hej, to przecież nie więcej jak jakieś czterdzieści pięć stopni.

To jest najstromiej, jak może być. Jeśli jest więcej, cały lód natychmiast spada z góry. Nawet słynny lodospad Khumbu, na który mieliśmy teraz fantastyczny widok z prawej strony, zsuwa się pod kątem mniej więcej trzydziestu stopni. Lodospad Khumbu jest nieodłącznym elementem typowej trasy na Everest i jest to część budząca zdecydowanie największe obawy. Zginęło tam więcej ludzi niż gdziekolwiek indziej na Evereście. A Lho La jest gorszy niż Khumbu!

Wspinaliśmy się więc rzeczywiście bardzo szybko, a ja znalazłem kilka zwrotów na określenie naszej sytuacji, które zabiły klina Lauremu.

- Wspaniale, Freds - krzyknąłem - prawdziwa łatwizna, nie ma co!

- W każdym razie, dużo chodzenia po lodzie - odpowiedział i zachichotał. Pod ścianą, która mogłaby go rozpląszczyć jak Strusia Pędziwiatra, gdyby runęła. Pokręciłem głową.

- A ty jak myślisz? - spytałem Laurego.

- Bardzo źle - odparł. - Bardzo źle, bardzo niebezpieczne.

- Jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

- Co tylko chcesz.

Przyspieszyliśmy.

Lubię wspinaczkę tak samo jak każdy, no, prawie tak samo, ale nie zamierzam dowodzić wam, że jest to wyjątkowo rozsądny sposób spędzania czasu. Szczególnie tego dnia nie miałbym ochoty się o to spierać. Rzecz w tym, że jedno niebezpieczeństwo nie jest równe drugiemu. Alpiniści dzielą niebezpieczeństwa na obiektywne i subiektywne. Obiektywne to kłopoty w rodzaju lawin,

osuwających się kamieni i burz; na nie nic nie można poradzić. Subiektywne to te, które wywołane są ludzkim błędem:

założenie złego uchwytu, niezapięcie uprzęży i tak dalej. Jeżeli jest się idealnie ostrożnym, to można wyeliminować wszystkie zagrożenia subiektywne i wtedy zostają tylko niebezpieczeństwa obiektywne. Widzicie, że można to sobie racjonalnie wytłumaczyć.

Jednak tamtego dnia tkwiliśmy w samym środku całej góry zagrożeń obiektywnych, nic więc dziwnego, że byłem zdenerwowany. Posłużyliśmy się zwyczajnym w takich przypadkach sposobem postępowania, to znaczy zasuwaliliśmy jak cholera. Cała nasza czwórka wbiegła właściwie pod Lho La. Freds, Kunga i Laurę byli niesamowicie szybcy i silni, ja sam też jestem w przyzwoitej formie, a do tego mam więcej korzyści z adrenaliny niż osobnicy o mniejszej wyobraźni. Pędziliśmy zatem na złamanie karku.

Właśnie wtedy to się stało. Idący obok mnie Freds prowadził nas trawersem pod gigantycznym serakiem, jak mówią na kły błękitnego lodu wystające z lodospadu pojedynczo lub w grupach. Kunga szedł na linie z Fredsem, oddalony od niego o pełną długość, jakieś dwadzieścia metrów, i był właśnie pod serakiem, kiedy lodowy kiel bez najmniejszego ostrzeżenia przełamał się i runął, roztrzaskując się na tysiąc odłamków.

Odruchowo wstrzymałem oddech i już miałem krzyknąć, kiedy Kunga Norbu szturchnął mnie w łokieć, prawie mnie przewracając. Stał wciśnięty pomiędzy Fredsa i mnie, a wiążąca ich lina dyndała obok naszych nóg.

Zakrztusiłem się, usiłując powstrzymać krzyk, chwyciłem oddech, znowu się zakrztusiłem. Freds walnął mnie w plecy, żeby mi pomóc. Kunga stał bez wątpienia obok nas, żywy i materialny.

A przecież był pod serakiem! Pokruszone kawałki lodowego bloku leżały porozrzucane przed nami, świeże i błyszczące w popołudniowym słońcu. Blok złamał się i runął bez najmniejszego drgnięcia czy innego ostrzeżenia; po prostu nie było czasu, żeby się spod niego wydostać!

Freds dostrzegł wyraz mojej twarzy i uśmiechnął się niewyraźnie.

- Stary Kunga Norbu potrafi być strasznie szybki, kiedy musi.

To mi nie wystarczyło.

- Ob to rodył - wykrztusiłem, a za moment Freds i Kunga musieli mnie podtrzymać. Laurę dobił do nas, jego oczy zrobiły się okrągłe z przerażenia.

- Bardzo źle - powiedział.

- Gar - podjąłem jeszcze jedną próbę, ale nie mogłem posunąć się dalej.

- Już dobrze, wszystko w porządku - powiedział Freds, kładąc mi na ramieniu rękę w rękawicy.

- Hej, George, uspokój się.

- On - podniosłem się i pokazałem na resztki seraka, a potem na Kungę.

- Wiem. - Freds zmarszczył brwi. Wymienił spojrzenie z Kungą, który przyglądał mi się z kamienną twarzą. Zamienili kilka zdań po tybetańsku. - Posłuchaj - zwrócił się do mnie Freds.

- Wejdźmy na przełęcz i wtedy ci to wyjaśnię. Zajmie nam to trochę czasu, a zostało już niewiele dnia. Musimy jeszcze znaleźć drogę wokół tych brył lodu, jeśli chcemy trzymać się poręczówek. Dalej, chłopie - klepnął mnie w ramię. - Skup się.

Zróbmy to.

Znowu więc ruszyliśmy pod górę, a Kunga prowadził nas tak szybko, jak poprzednio. Ja jednak byłem ciągle w szoku i stale widziałem zwalony serak i Kungę pod nim. On po prostu nie mógł stamtąd uciec! A przecież był tu, nad nami i zasuwał po umocowanych linach jak małpa zmykająca na palmę.

To był cud. I ja go widziałem. Więc przez resztę tamtego dnia było mi cholernie trudno skupić



się na wspinaniu.

## IX

Tuż przed zachodem słońca weszliśmy na Lho La i rozbiliśmy namiot na płachcie głębokiego, twardego śniegu, który leżał na przełęczy. Było to jedno z najdziwniejszych pól biwakowych, na jakich kiedykolwiek nocowałem: na grani Himalajów, w szerokim siodle pomiędzy najwyższą górą na ziemi a pięknym, poszarpanym Lingtrenem. Pod nami z jednej strony leżał lodowiec Khumbu, po drugiej - tybetański lodowiec Rongbuk. Byliśmy na jakichś sześciu tysiącach metrów, a więc Freds i jego przyjaciele mieli długą drogę do przejścia, zanim dotrą do starego Mallory'ego. Wyżej jednak nie było już nic równie niebezpiecznego jak lodospad. To znaczy, dopóki dopisywała pogoda. Jak na razie tamci mieli szczęście; zanosilo się na najsuchszy październik od wielu lat.

Nie było żadnego śladu zespołu brytyjskiego ani grupy Arnolda, z wyjątkiem tropów na śniegu obchodzących bokiem Zachodnie Zbocze i znikających w oddali. Tamci wspinali się więc pod górę.

- Cholera - rzuciłem. - Dlaczego oni nie poczekali?

Musieliśmy wspiąć się dalej, żeby dogonić Arnolda.

Rozłożyłem karimatę na śniegu za namiotem i usiadłem na niej. Byłem zmęczony i poważnie zaniepokojony. Laurę rozpalał kuchenkę. Kunga Norbu siedział samotnie trochę dalej na śniegu, medytując nad widokiem Tybetu. Freds przechadzał się wokół i śpiewał Drewniane okręty, był najwyraźniej w siódmym niebie.

- Niezły biwak, co? - zawołał do mnie. - Popatrz na zachód słońca! To jest naprawdę za dużo, za dużo. Szkoda, że nie wzięliśmy ze sobą trochę czangu. Mam za to hasz. Co, George?

Czas na fajeczkę?

- Jeszcze nie teraz, Freds - odparłem. - Chodź no lepiej tutaj i powiedz mi, co się do cholery stało tam w dole z twoim kumplem Kungą. Obiecałeś, że mi to wytłumaczysz.

Freds stał i przyglądał mi się. Znajdowaliśmy się w cieniu, zimnym, ale bezwietrznym. Niebo nad nami było czyste i ciemnogrnatowe. Jedynym odgłosem było huczenie powietrza w rozpalanej kuchenke.

Freds westchnął, a jego twarz przybrała wyraz poważny jak nigdy: jedno oko zupełnie przymknięte, czoło zmarszczone, wargi mocno zaciśnięte. Przeniósł wzrok na Kungę i zobaczył, że tamten nas obserwuje.

- Cóż - powiedział po chwili. - Pamiętasz, jak parę tygodni temu piliśmy razem w Czimoa?

- No.

- I powiedziałem ci, że Kunga Norbu jest tulku.

- Freds, nie wyjeżdżaj mi znowu z tym samym. - No widzisz - powiedział. - Albo to, albo coś tam ci nakłamię. A w kłamaniu nie jestem za dobry, chyba zdradza mnie twarz.

- Bądź poważny, Freds! - odparłem, ale patrząc na Kungę Norbu, który siedział na śniegu z tym obojętnym wyrazem twarzy, na jego dziwne czarne oczy, nie mogłem nie mieć wątpliwości.

- Przykro mi, chłopie, naprawdę - powiedział Freds. - Nie chodzi o to, że chcę ci coś wciskać. Przyznasz sam, że próbowałem ci to wtedy powiedzieć. A prawda jest prosta. On jest prawdziwym tulku. Jego pierwszym wcieleniem był słynny Tsong Khapa, urodzony w roku 1555.1 od tąd pory zawsze tu był.

- Czyli że spotkał George'a Washingtona i tak dalej?

- O ile wiem, Washington nie był w Tybecie.

Wpatrywałem się we Fredsa, który łaził teraz niespokojnie w kółko.

- Wiem, George, że to trudno przełknąć - powiedział. - Uwierz mi, sam na początku miałem z

tym trudności. Ale jeśli przez jakiś czas pobierasz nauki u Kungi Norbu i widzisz, jak robi tyle cudownych rzeczy, to nie masz wyjścia, musisz uwierzyć.

Milcząc wpatrywałem się w niego dalej.

- Wiem - ciągnął Freds. - Za pierwszym razem, kiedy wytnie przy tobie jakiś swój numer, to jest prawdziwy szok. Mój pierwszy raz pamiętam bardzo dobrze. Wędrowałem z nim z Rongbuk do Namcze i szliśmy przez Lho La, dokładnie tak jak dzisiaj. Zaraz za obozem głównym natknęliśmy się na hinduskiego trekkingowca, całkiem sinego. Widać było, że zaraz umrze na chorobę wysokościową, więc razem z Kungą znieśliśmy go do Phericze, czyli cały dzień drogi, jak sam dobrze wiesz. Zabraliśmy go do stacji ratunkowej, bo wyobrażałem sobie, że wsadzą go do komory ciśnieniowej. Widziałeś ją? Mają tam na zapleczu taką komorę jak mała łódź podwodna. Polega to na tym, że pakuje się do środka gościa z chorobą wysokościową i zwiększa się ciśnienie, aż będzie takie, jak na poziomie morza, a jemu się poprawia. Pomysł jest elegancki, ale okazuje się, że stacja otrzymała tę komorę w darze od szpitala z Tokio, a tutaj nikt nie zna japońskiego. Poza tym powiedzieli mi, że to jest na razie tylko technika eksperymentalna i nikt nie jest pewien, czy zadziała, czy nie. Nikt więc nie ma też zbyt wielkiej ochoty eksperymentować na chorych trekkingowcach. Znowu jesteśmy w kropce, a gościowi robi się coraz gorzej, no to ruszyliśmy z Kungą w dół, do Namcze.

Byłem coraz bardziej zmęczony i szło się naprawdę strasznie wolno. Nagle ni stąd, ni zowąd Kunga podniósł go i przewiesił sobie przez ramię, co już samo w sobie było wyczynem, bo Hindus był z tych spasionych, ciężki gość. A Kunga zaczął z nim po prostu biec szlakiem! Wydarłem się na niego i pobiegłem, próbując za nim nadążyć. Mówię ci, ja śmigąłem w dół, a Kunga ciągle był tak daleko przede mną, że bez przerwy traciłem go z oczu! Sadził wielkie, długie kroki, jakby miał zaraz polecieć!

Nie mogłem w to uwierzyć! - Freds potrząsnął głową. - Wtedy pierwszy raz widziałem, jak Kunga Norbu idzie sposobem lunggom. To oznacza mistyczny bieg na długie dystanse, kiedyś naprawdę popularny w Tybecie. Ten, kto go opanował, jak Kunga, nazywa się lung-gom-pa. Kiedy się do tego przyłożyć, to można biec naprawdę bardzo szybko i bardzo długo. A nawet trochę lewitować. Widziałeś go dzisiaj, wymknął się spod tego bloku właśnie dzięki krokowi lung-gom.

- Rozumiem - powiedziałem, lekko oszołomiony. - Hej, Laure! - zawołałem do Szerpy, który ciągle klęczał przy kuchence. - Freds mówi, że Kunga Norbu jest tulku!

Laure uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Tak, Kunga Norbu Lama bardzo wspomniał tulku!

Wzięłem głęboki oddech. Nie opodal na śniegu Kunga Norbu siedział ze skrzyżowanymi nogami i patrzył na swój kraj. Albo na coś innego.

- Myślę, że teraz już mam ochotę na tę fajkę haszu - powiedziałem do Fredsa.

## X

Dogonienie Arnolda i angoli zajęło nam dwa dni, dwa dni ohydneho brnięcia pod Zachodnie Zbocze Everestu. Nie było to nic skomplikowanego: pochyłość pokrywał twardy śnieg, założyliśmy więc po prostu raki i sunęliśmy pod górę. Harówa była mordercza, choć po Fredsie, Laurem i Kundze Norbu nie było tego widać. Może i są jakieś korzyści z wchodzenia na Everest z tulku, szerpańskim mistrzem długich dystansów i szajbusem z Ameryki, ale dłuższe wypoczynki do nich nie należą. Ci trzej maszerowali pod górę w tempie marszy Sousy, a ja włókłem się z tyłu, sapiąc i co chwila przeklinając Arnolda.

Pod koniec drugiego dnia brnąłem na szczyt Zachodniego Zbocza, drugiego, ośnieżonego dziani pod Zachodnią Granią.

Zanim tam wszedłem, Freds i Laurę rozłożyli już namiot i mocowali go do śniegu za pomocą siatki lin, zaś Kunga Norbu siedział obok, zajęty swoimi medytacjami.

Niżej na stoku widać było obozy dwóch pozostałych zespołów. Umieszczono je dość blisko siebie, jakby nie było dosyć płaskiego terenu. Odpocząłem i wypilem kilka kubków gorącego napoju cytrynowego, po czym zaproponowałem:

- Chodźmy się dowiedzieć, jak stoją sprawy.

Freds wybrał się ze mną.

Okazało się, że sprawy nie stoją zbyt dobrze. Angole byli w swoim namiocie, leżeli w śpiworach, pijąc herbatę. I nie byli rozbawieni.

- Ten człowiek ma kompletnego fioła - powiedziała Marion. Miała łagodną postać "gardła alpinisty" i każda głoska, którą usiłowała akcentować, zupełnie ginęła. - Prześcignęlibyśmy go, ale ma dbrych Szerpów i sam też musi być ślny.

- Pieprzona z niego pijawka - dodał John.

Trevor uśmiechnął się dziko. Dolna połowa jego twarzy była porządnie spalona od słońca, usta zaczynały mu pękać.

- Liczymy, George, że uda ci się sprowadzić go na dół.

- Zobaczę, co da się zrobić.

- Bóg świadkiem, że próbowaliśmy, ale to zupełnie nic nie daje - Marion potrząsnęła głową. - On nie będzie słuchał, a do tego jeszcze ciągle gędzi o zrobieniu ze mnie gwzdy. Nie mam pjęcia, co z tym zrobić - zaczerwieniła się. - I żaden z tych śmiałków tutaj nie przyzna, że powinniśmy po prostu iść tam, zgarnąć tę jego cholerną kamerę i rzucić ją do Tbetu.

Reszta pokręciła głowami.

- Mielibyśmy do czynienia z Szerpami. - Szalony Tom wyjaśnił cierpliwie Marion. - Co mamy zrobić, walczyć z nimi?

Nie mogę sobie tego nawet wyobrazić.

- A jeśli Szalony Tom nie może sobie tego wyobrazić... - dodał Trevor.

Marion tylko burknęła coś pod nosem.

- Pójdę z nim porozmawiać - powiedziałem.

Nie musiałem jednak nigdzie chodzić, bo Arnold sam przyszedł, żeby się z nami przywitać.

- Czołem! - zawołał radośnie. - George, co za niespodzianka! Cóż cię tu sprowadza?

Wyszedłem z namiotu. Arnold stał przede mną, spaliło go słońce, ale poza tym wyglądał dobrze.

- Dobrze wiesz, co mnie tu sprowadza, Arnold. Chodź, odejdzmy parę kroków, jestem pewien, że moi kumple nie chcą z tobą rozmawiać.

- Ależ skąd, rozmawiałem z nimi codziennie! Przeprowadziliśmy mnóstwo interesujących rozmów. A dzisiaj mam prawdziwą nowinę - powiedział to w stronę namiotu. - Patrzyłem przez teleobiektyw na Północną Przełęcz i zauważyłem, że ktoś rozbił tam obóz! Sądzicie, że to może być ta ekspedycja, która szuka ciała Mallory'ego?

Z namiotu poleciały przekleństwa.

- Wiem - zawołał Arnold. - To zmienia postać rzeczy, co? Nie ma zbyt wiele czasu do stracenia.

- Spadaj!

- W każdym razie mam to na taśmie, jeśli chcecie zobaczyć

- Arnold wzruszył ramionami. - Wyglądało, jakby mieli na sobie kurtki Helly-Hansena, jeżeli coś wam to mówi.

- Nie powiesz mi, że możesz z takiej odległości odczytać metki - włączyłem się. - To jest cholernie dobry teleobiektyw. Gdybym chciał, mógłbym czytać z ruchu ich warg.

Przyglądałem mu się z ciekawością. Wyglądał naprawdę zdrowo, i to po czterech dniach intensywnej wspinaczki. Był może odrobinę szczuplejszy, a jego głos od wysokości brzmiał nieco chrapliwie, miał też poważne poparzenia słoneczne pod kilkudniowym zarostem, ale ciągle żuł wyblakłe cygaro w posmarowanych maścią cynkową wargach i ciągle spoglądał okrągłymi oczyma, zdumiony, że jego filmowanie może komuś przeszkadzać. Zrobiło to na mnie wrażenie; był zdecydowanie dużo twardszy, niż mogłem się spodziewać. Przypominał mi Dicka Bassa, amerykańskiego milionera, któremu przyszedł do głowy pomysł, żeby wspiąć się na najwyższą górę na każdym kontynencie. Podobnie jak Bass, Arnold był gościem w średnim wieku, który opłacał profesjonalistów, żeby zabrali go na górę; podobnie jak Bass dobrze się aklimatyzował i miał cholernie dużo zimnej krwi.

No więc stał tam i nie pękał. Musiałem spróbować czegoś innego.

- Arnold, przejdź się kawałek ze mną, zostawmy tych ludzi w spokoju.

- I niech cię chlera! - zawołała Marion z namiotu.

- Ach, ta Marion! - westchnął Arnold z podziwem, kiedy już nie mogli nas usłyszeć. - Ona jest taka piękna! Naprawdę bardzo bardzo ją lubię. - Uderzył się w pierś, żeby pokazać, jak jest przejęty.

Obrzuciłem go nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Arnold, nie ma znaczenia, czy jesteś w niej zakochany, bo oni naprawdę nie chcą, żebyś szedł razem z nimi. Zrobienie filmu zniszczyłoby cały sens tego, po co oni tam idą.

- Nie, wcale nie! - Arnold chwycił mnie za ramię. - Ciągle próbuję im to wytłumaczyć. Mogę tak zmontować ten film, że nikt nie będzie wiedział, gdzie jest ciało Mallory'ego.

Będzie tylko wiadomo, że jest tu, w górach, bezpieczne, bo czwórka młodych himalaistów angielskich podjęła się niewiarygodnego ryzyka uwolnienia go z rąk łajdaków od reklamy, którzy mieli zamiar wydrzeć je górom i zabrać do Londynu. George, to jest wspaniałe. Ja jestem filmowcem i wiem, kiedy z czegoś da się zrobić znakomity film. A z tego będzie znakomity film.

- Może i by był - zmarszczyłem brwi - ale problem polega na tym, że ta wyprawa jest nielegalna, a jeżeli ty zrobisz film, to wtedy nielegalność wyjdzie na jaw, a ci ludzie będą ścigani przez nepalskie władze. Nigdy ich już nie wpuszczą do Nepalu.

- No to co? Nie chcą się tak poświęcić dla Mallory'ego?

- Raczej dla twojego filmu, powinieneś powiedzieć - spojrzałem na niego nieprzyjaźnie. - Mogą to zrobić bez filmu i nikt się o niczym nie dowie.

- No dobra, ale mogę przecież nie podawać ich nazwisk albo coś takiego. Dać im pseudonimy. Marion Davies, może być?

- Ona tak się nazywa naprawdę.

- Posłuchaj, Arnold - zastanowiłem się - ty byś miał takie same kłopoty. Zrozum, ciebie też by już nigdy nie wpuścili.

- Jakoś sobie z tym poradzę. Wezmę prawnika, albo dam bakszysz, wielki bakszysz.

- Ale ci goście nie mają takich pieniędzy. Ty naprawdę uważaj. Jak ich za bardzo przyciśniesz, mogą posunąć się do ostateczności. W najlepszym razie zatrzymają cię. Kiedy znajdą ciało, dwóch z nich wróci i zatrzyma cię. Pozostała dwójka pochowa Mallory'ego, a ty w ogóle nie będziesz miał żadnych materiałów.

- Mam teleobiektyw, nie mówiłem wam? - pokręcił głową. - Codziennie kręcę to, co tamci jedzą na śniadanie. Mam na przykład całe godziny taśmy z Marion - westchnął - i słowo daję, że mógłbym zrobić z niej gwiazdę. Tak czy owak, gdybym musiał, to mógłbym z tego miejsca sfilmować pogrzeb, więc raczej zaryzykuję. Nie martw się o mnie.

- Nie martwię się o ciebie - powiedziałem. - Możesz mi wierzyć. Ale naprawdę chcę, żebyś zszedł ze mną. Tamci wołają, żeby cię tu nie było. To niebezpieczne, zwłaszcza jeśli popsuje się pogoda. Poza tym łamiesz umowę z naszym biurem podróży, która mówi, że podczas trekkingu będziesz stosował się do moich poleceń.

- To podaj mnie do sądu.

Odetchnąłem głęboko. Arnold położył mi przyjaźnie rękę na ramieniu.

- Nie przejmuj się tak bardzo, George. Kiedy będą sławni, zaczną mnie kochać - zobaczył wyraz mojej twarzy i cofnął się.

- I nie próbuj ze mną żadnych numerów, bo oskarżę cię o porwanie i nigdy już nie poprowadzisz żadnego trekkingu.

- Nie przeginaj, Arnold - odparłem i z godnością pomaszerowałem do obozu angoli.

Zajrzałem do ich namiotu. Laurę i Kunga Norbu byli z nimi, stłoczyliśmy się więc w środku.

- Nie udało się - powiedziałem. Nie zdziwiło ich to.

- Superpijawka - radośnie oznajmił Freds.

Siedzieliśmy dookoła kuchenki i wpatrywaliśmy się w jej niebieski płomień. Nagle, jak zwykle w podobnych okolicznościach, powiedziałem:

- Mam pewien plan.

Plan był względnie prosty, jako że nie mieliśmy zbyt wielu możliwości. Mogliśmy wszyscy zejść do Lho La, może nawet do głównego obozu i zasugerować w ten sposób Arnoldowi, że się poddajemy. Na dole Freds, Kunga Norbu i angole uzupełniliby zapasy w herbaciarniach Gorak Shep, zaś Laurę i ja przedsięwzięlibyśmy coś, żeby powstrzymać Arnolda, na przykład ukradlibyśmy mu buty. Potem tamci mogliby wrócić po poręczówkach i spróbować jeszcze raz.

Trevor nie wyglądał na przekonanego.

- Wejść tu jest trudno, a my nie mamy wiele czasu, jeśli ta druga wyprawa jest już na Północnej Przełęczy.

- Mam lepszy plan - oznajmił Freds. - Posłuchajcie tylko. Arnold śledzi angoli, a nie nas. Jeśli we czterech udamy, że schodzimy, a wy ruszycie na Zachodnią Grań, wtedy Arnold pójdzie za wami. Wtedy my we czterech moglibyśmy przekraść się do Ukośnego Rowu i minąć was, idąc Żlebem Hornbeina; to jest zresztą krótsza droga. Nawet byście nas nie widzieli, a my migiem weszlibyśmy tam, gdzie jest ciało.

Ten plan nikomu nie przypadł do gustu. Widziałem, że angole sami woleliby znaleźć Mallory'ego, a ja nie miałem najmniejszej ochoty wchodzić wyżej, niż już byliśmy. Prawdę mówiąc, byłem temu absolutnie przeciwny.

Teraz jednak angole myśleli już tylko o tym, by uratować Mallory'ego przed telewizją i Opactwem Westminsterskim.

- To by się dało zrobić - przyznała Marion.

- Moglibyśmy też zgubić pijawkę na grani - dodał Szalony Tom. - Słyszałem, że to niezła harowa.

- To prawda! - z zadowoleniem przytaknął Freds. - Laurę, idziesz na to?

- Co tylko chcesz - odparł Laurę i wyszczerzył zęby.

Pomysł uznał za doskonały. Potem Freds zapytał Kungę Norbu po tybetańsku i oznajmił nam, że Kunga udzielił planowi swojego błogosławieństwa.

- George?

- Nie, chłopie. Nie. Wolałbym raczej ściągnąć go na dół w jakiś inny sposób.

- No, daj spokój - wrzasnął Freds. - Nie ma innego sposobu, a poza tym, nie zawiedziesz chyba

kumpli, co? Sytuacja jest podbramkowa, rozumiesz.

- On jest twoim pieprzonym klientem - dodał John.

- Jej! Ludzie! No dobra, zgadzam się.

Wróciłem do naszego namiotu, czując, że wszystko wymyka mi się spod kontroli. Prawda była taka, że byłem pionkiem w planach, których absolutnie nie pochwalałem, układanych przez ludzi, w których równowagę umysłową wątpiłem. A wszystko to na zboczu góry, która zabiła ponad pięćdziesiąt osób. Niezła kaszana.

## XI

Mimo wszystko przystałem na ten plan. Następnego dnia złożyliśmy obóz i upozorowaliśmy wszystko tak, jakbyśmy mieli schodzić. Angole tymczasem ruszyli na Zachodnią Grań, ciskając okropne groźby pod adresem Arnolda, gdy go mijali. Arnold i Szerpowie byli już spakowani, puścili więc angoli kawałek przed sobą i podążyli zaraz za nimi. Arnold, na jednej linie z Ang Ritą, ich przewodnikiem, rwał się do przodu. Kamerę miał w torbie na piersiach. Musiałem mu to przyznać, był z niego naprawdę zawzięty podglądacz.

Pomachaliśmy im na pożegnanie i zaczekaliśmy na stoku, aż tamci znaleźli się nad nami i lada chwila mieli zniknąć nam z oczu. Wtedy popędziliśmy za nimi, wybierając drogę na lewo, do tak zwanego Ukośnego Rowu, która prowadzi na Ścianę Północną.

Szliśmy teraz trasą, którą pierwszy raz obrali Tom Hornbein i Willi Unsoeld w roku 1963. Prawdziwa górská klasyka: szlak, który wiedzie w górę żlebu, zwanego dzisiaj Żlebem Hornbeina.

Weźcie jakąkolwiek dobrą fotografię Północnej Ściany Everestu i zaraz go zobaczycie: duża, pionowa rysa po prawej stronie.

Szczelina jest stroma, ale idzie się nią o wiele szybciej niż Zachodnią Granią.

Wspinaliśmy się więc. Podejście było ciężkie, choć nie tak straszne jak Lho La. Moim największym problemem tego dnia była paranoja na punkcie pogody. Na zboczu Everestu pogoda nie jest przedmiotem towarzyskich pogawędek. Nie mówi się:

"Śnieg zepsułby nam dzień". Wielu ludzi zginęło na Evereście, bo złapały ich tam burze; w tej liczbie byli także goście, których zamierzaliśmy szukać. Za każdym razem, kiedy widziałem strzępki chmur spływające ze szczytu, miałem ochotę wrzeszczeć. A z wierzchołka Everestu wiatr gna zwały chmur niemal bez przerwy. Ciągle patrzyłem w górę, widziałem te chmury i jęczałem. W końcu usłyszał mnie Freds.

- Jej, George, gadasz tak, jakbyś naprawdę tu cierpiał.

- Pospiesz się lepiej, dobra?

- Chcesz iść szybciej? No dobra, ale ja zasuwam najszybciej, jak tylko mogę.

Wierzyłem mu. Kunga Norbu posługiwał się czekanem i rakami, żeby naruszyć zbity śnieg na środku żlebu, a Freds był zaraz za nim; wyglądali jak dacharze na drabinie. Starłem się za nimi nadażyć, tyły zamykał zaś Laurę. Freds i Kunga mieli tak szerokie i przyklepione uśmiechy, jakby byli na kwasie. Było im z tym tak dobrze, że czekałem tylko, aż słońce opali im zęby. Ja tymczasem z trudem chwytiałem powietrze i zamartwiałem się zwałami chmur na szczycie.

Był to jeden z najwspanialszych dni wspinaczki w moim życiu.

Jak to możliwe? - spytacie. No cóż... trudno to wyjaśnić.

Wygląda to mniej więcej następująco: kiedy wchodzić na górską ścianę i macie pod stopami kilometr otwartej przestrzeni, to wczuwacie się w to. Oczywiście coś w środku mówi: "O Boże, to już koniec. Po co ja to robiłem!?" Ale rozumiecie też, że żeby nie umrzeć, trzeba udawać, że jest się zupełnie opanowanym i zaangażowanym w na wpół teoretyczną gimnastykę, której celem jest wejście

wyżej. Wczuwacie się w tę gimnastykę jak nikt nigdy przedtem. W końcu wydostajecie się na jakiś płaski placyk, metr na półtora, nie więcej. Rozglądacie się dookoła i zdajecie sobie sprawę, że nie umarliście, że ciągle jeszcze żyjecie. W tym momencie ten fakt jest naprawdę radosny. Rzeczywiście doceniacie to, że żyjecie. To jakiś rodzaj mocy, jakiś przywilej, którym zostaliście obdarzeni. W każdym razie odczuwa się to zupełnie wyjątkowo, jak błysk wyższej świadomości. Być żywym! I przypominacie sobie wtedy, jak wczuwaliście się podczas wspinaczki, i rozumiecie, że to też była wyższa świadomość.

Takie uczucia wciągają jak nałóg, bo są najwyższym odmiennym stanem świadomości. Prochy nie sięgają tak daleko. Rozumiecie, nie chcę powiedzieć, że to jest zdrowe zachowanie.

Mówię tylko, że to się zdarza.

Na przykład tego właśnie, szczególnie wytężonego dnia, nasza czwórka dotarła na szczyt Żlebu Hornbeina, pokonawszy go błyskawicznie, w stylu alpejskim, co było w głównej mierze zasługą natchnionego przewodnictwa Kungi Norbu. Rozbiliśmy biwak na maleńkim, płaskim wzniesieniu, akurat takim, by pomieściło nasz namiot. A rozejrzeć się dookoła - co za uczucie! To było naprawdę coś. Na całym świecie było tylko cztery czy pięć gór wyższych niż nasze obozowisko i było to widać. Wydawało się, że możemy sięgnąć wzrokiem aż za Tybet. Tybet zaś wygląda przeważnie jak zamarznięta Nevada, ale z naszego miejsca widać było jedno za drugim pasma ośnieżonych wierzchołków, biel na czerni, zabarwione sepią popołudniowego słońca.

Wydawało się, że cały świat to góry.

Obok mnie ułożył się Freds z uśmiechem idioty ciągle przylepionym do twarzy. W jednym ręku miał kubek parującego napoju cytrynowego, w drugim - fajkę z haszem. Śpiewał: "Cóż to była za dłuuga, dziwna wędrówka". Sztachnął się z fajki i podał ją mnie.

- Jesteś pewien, że tak wysoko możemy palić?

- No pewnie, to pomaga oddychać.

- Daj spokój.

- Naprawdę. Ośrodek nerwowy, który nadzoruje odruchowe oddychanie, wyłącza się przy braku dwutlenku węgla. Tutaj w górze prawie go nie ma, więc dostarcza go dym.

Uznałem, że powinienem się do niego przyłączyć z przyczyn medycznych. Na zmianę podawaliśmy sobie fajkę. W namiocie za nami Laurę mrucał do siebie, wyciągając na zewnątrz swój śpiwór. Kunga Norbu siedział w pozycji lotosu po drugiej stronie namiotu, zatopiony w swoim własnym świecie. Świat, cały z gór, obracał się pod promieniami słońca.

- Najwspanialsze miejsce na ziemi, nie uważasz? - rzucił radośnie Freds.

To jest właśnie to uczucie, o którym mówię.

## XII

Noc mieliśmy długą i bezsenną, bo na takiej wysokości usnąć jest trudno jak diabli. Wydaje się, że senność znika z repertuaru zdolności psychicznych, a kiedy wreszcie nadciąga, wpada się w tak zwany oddech Cheyne'a-Stokesa. Ciało wariuje, bo nie wie, ile tlenu otrzymuje, przez jakiś czas ma się więc hiperwentylację, a potem całkiem przestaje się oddychać, co trwa czasami aż minutę. Taki cykl nie jest zbyt przyjemny, zwłaszcza jeśli przechodzi go osoba śpiąca tuż obok. U Fredsa na przykład było to bardzo intensywne, więc zupełnie się rozbudzałem podczas niektórych naprawdę długich przerw, niepokojąc się, czy żyje. On najwyraźniej czuł to samo w stosunku do mnie, ale nie miał mojej cierpliwości, więc jeśli w ogóle udawało mi się zasnąć, zazwyczaj przywracał mnie do przytomności, szarpiąc za ramię i mówiąc:

- George, do cholery, oddychaj! Oddychaj!

Następny dzień zaczął się znowu pogodnie i bezwietrznie, więc po zjedzeniu śniadania i zachwytach nad widokami, skierowaliśmy się wzdłuż Czarne Pasma.

Trasa, którą wybraliśmy, była niecodzienna, może nawet wyjątkowa. Czarne Pasma, twardsze niż warstwy skał nad nim i poniżej, wystaje spękany wałem z przeważnie gładkiej pochyłości stoku. W rezultacie mieliśmy więc coś w rodzaju drogi, którą mogliśmy iść. Chociaż była ona nierówna i popękana, to w niektórych miejscach miała sześć metrów szerokości, tak że trudno byłoby sobie wyobrazić łatwiejsze miejsce na trawers.

Poza tym wszędzie były miejsca nadające się na obozowisko.

Oczywiście, kiedy ludzie są na Evereście, na wysokości ośmiu i pół tysiąca metrów, to przeważnie chcieliby bardzo szybko dostać się wyżej albo niżej. Na Czarnym Paśmie nie było jednak żadnej uczęszczanej drogi. Być może nawet szliśmy nią jako pierwsi, gdyż Freds powiedział, że Kunga Norbu widział ją tylko z góry.

Maszerowaliśmy więc po tej drodze i szukaliśmy. Freds strącił kamień z grani, a my wszyscy patrzyliśmy, jak odłamek spada w kierunku lodowca Rongbuk, aż stał się niewidoczny, chociaż nadal go słyszeliśmy. Stąpaliśmy potem trochę ostrożniej. Nie minęło wiele czasu, jak przecięliśmy ścianę i spojrzeliśmy w dół, na ogromną, gładką rynnę Wielkiego Żlebu. W tym miejscu wał się kończył i dalszy trawers do legendarnej Północnej Grani, gdzie po raz ostatni widziano Mallory'ego i Irvine'a, byłby okropną harową. Poza tym to nie tam Kunga Norbu widział zwłoki. - Musieliśmy go przegapić - powiedział Freds. - Chodźcie, rozciągniemy się od jednego końca do drugiego i sprawdzimy jeszcze raz każdy zakątek i zagłębienie.

Tak też zrobiliśmy, posuwając się bardzo powoli i podchodząc do krawędzi wału tak blisko, jak tylko się odważyliśmy.

Byliśmy mniej więcej w połowie drogi do Żlebu Hornbeina, kiedy Laurę je znalazł i zawołał nas. Podeszliśmy do niego.

- O kurde - powiedział Freds w zdumieniu.

Ciało zaklinowało się w rozpadlinie, wbite głęboko w zaspę zbitego śniegu. Zmarły leżał na boku i był zgięty tak, że nie wystawał ponad skały z obu stron rozpadliny. Wystrzępione ubranie, które rozpadało się na nim, wyglądało na wełnianą dzianinę. Coś takiego, w co można by się ubrać do golfa w Szkocji. Oczy miał zamknięte, a skóra pod postrzępionym kapturem była podobna do papieru. Sześćdziesiąt lat w słońcu i w burzach, ale zawsze na mroźnym powietrzu, zachowało go w dziwnym stanie. Miałem niesamowite wrażenie, że śpi tylko i zaraz obudzi się, i wstanie.

Freds uklęknął obok niego i pogrzebał w śniegu.

- Patrzcie, on jest uwiązany. Lina musiała pęknąć. - Podniósł kilkucentymetrowy strzęp liny z naturalnych włókien, przeraźliwie cienkiej. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy to zobaczyłem.

- Taki prymitywny sprzęt! - jęknąłem.

Freds kiwnął głową.

- To byli wariaci. Myślę, że nie ma też na sobie butli z tlenem. Były już wtedy, ale on nie lubił ich używać - potrząsnął głową. - Prawdopodobnie spadli razem. Może zsunęli się z gzymsu. Potem zlecieli tutaj; ten zaklinował się w rozpadlinie, a tamten drugi przeleciał przez krawędź i lina pękła.

- Więc ten drugi jest na dole, na lodowcu - powiedziałem.

Freds przytaknął.

- I popatrzcie - wskazał w górę - jesteśmy prawie dokładnie pod szczytem. Oni musieli tam wejść. Albo spadli, gdy byli bardzo blisko - pokręcił głową. - A mieli na sobie tylko takie kurtki! Zdumiewające! - Więc udało im się - wyszeptałem.

- Może i tak. W każdym razie, na to wygląda. Więc... który to z nich?



- Trudno powiedzieć - pokręciłem głową. - Dwadzieścia parę, może trzydzieści?

Z ociąganiem przyjrzelśmy się zmumifikowanym rysom.

- Trzydzieści - powiedział Laure. - Niemłody.

- Zgadza się - Freds kiwnął głową.

- No więc to Mallory - podsumowałem.

- Hmm - Freds wstał i cofnął się. - Tak to wygląda.

Zagadka rozwiązana - spojrział na nas i powiedział coś krótko do Kungi Norbu. - Przez większość czasu i tak będzie pod śniegiem, ale ukryjmy go w skałach, przed angolami.

Łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić. Potrzebowaliśmy kamieni, żeby go nimi przykryć, nie wyciągając ciała z rozpadliny. Szybko jednak przekonaliśmy się, że pojedynczych kamieni nie ma wcale wiele, gdyż zwał je wiatr. Musieliśmy więc pracować po dwóch i dźwigać duże, płaskie płyty, które były na tyle ciężkie, że oparły się wichurom.

Ciągle je znosiliśmy, kiedy nagle Freds odskoczył do tyłu i usiadł na wale.

- Hej, tam są angole, na Zachodniej Grani! Prawie równo z nami!

- To pewnie Arnold też jest niedaleko - powiedziałem.

- Mamy tu jeszcze pracy na godzinę - zawołał Freds. - Posłuchaj, Laure, wróć do naszego obozowiska i spakuj rzeczy, dobrze? Potem wyjdź angolom na spotkanie i powiedz im, niech zwolnią. Zrozumiano?

- Zwolnią - powtórzył Laure.

- Właśnie. Wyjaśnij, że znaleźliśmy Mallory'ego i powinni unikać tej okolicy. Niech nam dadzą trochę czasu. Ty zostań z nimi i zejdźcie razem. George, Kunga i ja będziemy szli za wami i spotkamy się w Gorak Shep.

Gorak Shep? Nie było chyba potrzeby schodzić aż tak nisko?

Laure kiwnął głową. - Zwolnią, wróca, spotkamy w Gorak Shep.

- Chwytasz to, brachu. Do zobaczenia tam w dole.

Laure jeszcze raz kiwnął głową i już go nie było.

- W porządku - powiedział Freds. - Przykryjmy tego faceta.

Ułożyliśmy dookoła ciała niski murek, a potem użyliśmy największej płyty jako zwomika przykrywającego twarz. Musieliśmy podnieść ją we trzech i kręciliśmy się niepewnie, próbując ustawić ją odpowiednio. Z wysiłku nie mogliśmy tchu złapać.

Kiedy skończyliśmy, ciało było przykryte, a mogiła przez większość czasu miała być przysypana śniegiem, jeszcze jedna zaspą wśród tysięcy innych. Był więc ukryty.

- Może powinniśmy coś powiedzieć? - spytał Freds. - Wiecie, jakieś epitafium czy coś takiego?

- Kunga jest tulku - zaproponowałem. - Powiedz mu, żeby to zrobił.

Freds zwrócił się do Kungi. W jego przeciwstonych goglach odbijały się małe wizerunki Tybetańczyka, który wyglądał jak Marsjanin. Całkiem spora zmiana w wyposażeniu od czasów starego Mallory'ego!

Kunga Norbu stanął przy jednym z końców mogiły i wyciągnął ręce w rękawicach. Przez jakiś czas przemawiał po tybetańsku.

Freds przetłumaczył to później dla mnie: "Duchu Czomolungmy, Bogini Matki Świata, stoimy tutaj, aby pochować ciało George'a Leigh Mallory'ego, pierwszej osoby, która wspięła się na twoje święte zbocza. Był on człowiekiem o wielkim sercu, nigdy nie rezygnował i za to go kochamy. Uosabiał coś, co wszyscy cenimy. Chciałbym również dodać, że po jego ubraniu i wyposażeniu widać wyraźnie, że był pomyślnym, skoro w ogóle tu wszedł, i tę jego cechę chciałbym szczególnie uhonorować. Jesteśmy więc tutaj, cztery uczniowie twojego świętego ducha i korzystamy z tej

chwili, aby uczcić go tutaj, w nas i wszędzie na świecie".

Kunga pochylał głowę, a Freds i ja poszliśmy za jego przykładem. Milczeliśmy, słuchając wiatru, który świstał nad Boginią Matką i mknął w stronę Tybetu.

### XIII

Świetnie. Nasza misja zakończyła się powodzeniem. Mallory był na Evereście bezpieczny po wszystkie czasy, sprawiliśmy mu niespodziewanie wzruszający pogrzeb i ja osobiście byłem całkiem zadowolony. Kiedy jednak wróciliśmy do naszego obozowiska, Freds i Kunga zaczęli zachowywać się dziwnie. Laure złożył namiot, spakował plecaki i zostawił to wszystko nam, tymczasem Freds i Kunga zaczęli się w pośpiechu rozpakowywać.

Powiedziałem mniej więcej coś takiego, że trudno o lepszy widok niż ten z miejsca ostatniego spoczynku Mallory'ego, a wtedy Freds podniósł na mnie wzrok i odparł:

- No, jest jeszcze trochę lepszy widok.

I dalej rozpakowywał się gorączkowo.

- Tak się składa, że miałem o tym z tobą porozmawiać - powiedział, nie przerywając pracy. - Chodzi o to, że jesteśmy już tutaj, prawda? Jesteśmy tutaj.

- Tak – powtórzyłem - jesteśmy tutaj.

- Chciałem powiedzieć, jesteśmy tu prawie na ośmiu i pół kilosach, na Evereście. Mamy dopiero południe, dzień jest doskonały. Naprawdę doskonały, rozumiesz. Trudno sobie wyobrazić ładniejszy dzień.

Zaczynałem rozumieć, do czego zmierza.

- Nie ma mowy, Freds.

- No daj spokój! Nie decyduj pochopnie, George! Wszystko, co najtrudniejsze, mamy już za sobą, stąd na wierzchołek to tylko spacer.

- Nie - powiedziałem twardo. - Nie mamy czasu. Nie mamy też zbyt wiele jedzenia. I nie możemy ufać pogodzie. To zbyt niebezpieczne.

- Zbyt niebezpieczne! George, każda wspinaczka jest zbyt niebezpieczna, ale jakoś nie zauważyłem, żeby wcześniej cię to powstrzymywało. Pomyśl tylko o tym, chłopie! To nie jakaś zwykła góra, to jest Rainier albo Denali, to jest E v e r e s t.

Sagarmatha! Czomolungma! NAJWIĘKSZA! Nie marzyłeś nigdy w tajemnicy, żeby wejść na Everest?

- Nie, raczej nie.

- Nie wierzę! Ja na pewno tak, możesz mi wierzyć. Ty też musiałeś o tym marzyć.

Przez cały czas, gdy się kłóciliśmy, Kunga Norbu nie zwracał na nas uwagi, grzebiąc w swoim plecaku i wyrzucając z niego różne mało przydatne przedmioty.

Freds usiadł obok mnie i zaczął pokazywać mi zawartość swojego plecaka.

- Mam poddupniki, kuchenkę, kociołek, trochę zupy i lemoniadę, całkiem niezły zapas jedzenia, a tu jest moja saperka do śniegu, możemy się więc gdzieś rozbić. Wszystko, co jest potrzebne.

- Nie.

- Posłuchaj, George. - Freds ściągnął gogle i spojrzał mi prosto w oczy. - Fajnie było pochować Mallory'ego i tak dalej, ale chcę, żebyś wiedział, że Kunga Lama i ja przez cały czas mieliśmy coś, co można by nazwać ukrytym motywem. Dołączyliśmy do wyprawy angoli na Lingtren, bo słyszałem o tej ekspedycji szukającej Mallory'ego z północy i przez cały czas zamierzałem im o tym powiedzieć, pokazać fotografię, oznajmić, że to Kunga był tym, który w 1980 widział ciało Mallory'ego i zaproponować im, żeby ukryli zwłoki.

- To znaczy, że Kunga nie był tym człowiekiem, który widział ciało Mallory'ego? - zapytałem.

- Nie, to nie on. Wymyśliłem to. Ten chiński himalaista, który rzeczywiście widział tutaj zwłoki, zginął kilka lat później.

Zwyczajnie więc kazałem Kundze zakreślić ogólnie obszar, gdzie jak słyszałem, ten Chińczyk to widział. Dlatego byłem taki zdumiony, kiedy naprawdę natrafiliśmy na tego gościa! Chociaż to oczywiste, jeśli spojrzysz na Ścianę Północną - oprócz Czarnego Pasma nie ma innego miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać.

- Tak czy siak, skłamałem, a poza tym zaproponowałem, żebyśmy wdrapali się Żlebem Hornbeina i znaleźli ciało, gdy Arnold zaczął siedzieć na ogonie angolom, i wszystko to zrobiłem dlatego, bo miałem po prostu nadzieję, że natrafimy na taką właśnie okazję jak teraz, kiedy mamy czas i pogodę, żeby śmignąć na szczyt. Obaj mieliśmy taką nadzieję i dlatego tu jesteśmy.

Wszystko jest zaplanowane, razem z Kungą rozpracowaliśmy każdy szczegół: mamy wszystko, czego potrzebujemy, a gdybyśmy po zdobyciu szczytu musieli biwakować na Południowym Wierchołku, możemy schodzić trasą przez Grań Południowo- - Wschodnią i spotkać się z grupą armii indyjskiej na Południowej Przełęczy, a oni już odprowadzą nas do głównego obozu. To szlak jaków, więc nie będzie żadnych kłopotów - zaczerpnął kilka głębokich oddechów. - A do tego jeszcze, posłuchaj, Kunga Lama ma mistyczne powody, żeby tam wejść, związane z jego guru, Dorjee Lamą. Pamiętasz, mówiłem ci jeszcze w Czimoa, jak Dorjee Lama powierzył Kundze Norbu zadanie, które Kunga musi wykonać, żeby odbudowano klasztor w Kum-Bum, a Kunga mógł się wreszcie wyzwolić na lamę? No więc to zadanie polega na tym, żeby wejść na Czomolungmę! Ten skurczybyk powiedział Kundze: "Wejdź na Czomolungmę i wszystko będzie świetnie!" Wyobrażał sobie, że dzięki temu będzie miał ucznia przez wszystkie wcielenia, jakie go spotkają po tej stronie nirwany. Ale nie przewidział, że Kunga Norbu będzie miał do pomocy swojego dawnego studenta Fredsa Fredericksa i jego kumpla George'a Fergussona!

- Poczekaj chwilę - powiedziałem. - Widzę, że ty to mocno przeżywasz, Freds, i ja to szanuję, ale nie idę.

- My cię tam potrzebujemy, George! Poza tym, my naprawdę zamierzamy to zrobić i nie bardzo możemy zostawiać cię, żebyś sam wracał na dół do Grani Zachodniej, to byłoby bardziej niebezpieczne niż pójście z nami! A że my idziemy na szczyt, więc ty musisz iść z nami, to proste!

Freds mówił to tak szybko i stanowczo, że zupełnie zabrakło mu tchu; pomachał ręką na Kungę.

- Ty z nim rozmawiaj - powiedział do Kungi, a potem przeszedł na tybetański, pewnie po to, żeby powtórzyć informację.

Kunga Norbu ściągnął śnieżne gogle i popatrzył na mnie bardzo spokojnie. Wyglądał tylko na trochę zasmuconego, jego twarz przybrała taki wyraz, jaki mielibyście, gdybyście nie dali na Czerwony Krzyż. Jego czarne oczy jak zwykle przewiercały się przeze mnie, a zmienione przez wysokość źrenice jakby pulsowały w głąb i na zewnątrz, w głąb i na zewnątrz, w głąb i na zewnątrz. I pewien jestem, że ten stary czort mnie zahipnotyzował. Tak uważam.

Ale walczyłem z tym. Nagle stwierdziłem, że zakładam plecak i sprawdzam raki, żeby upewnić się, czy są rzeczywiście zaciśnięte, a jednocześnie krzyczę do Fredsa:

- Freds, bądź rozsądny! Nikt nie wchodzi na Everest bez zabezpieczenia! To zbyt niebezpieczne!

- Hej! Messnerowi się to udało. Wszedł w dwa dni z Północnej Przełęczy zupełnie sam, na dole w głównym obozie czekała na niego tylko jego dziewczyna.

- Reinhold Messner nie jest dobrym przykładem - wrzśnąłem. - To szaleniec.

- Skąd! Jest tylko twardy i szybki. Tak jak i my. Nie będzie z tym kłopotu.

- Freds, wejście na Everest uważane jest powszechnie za kłopotliwe.

Kunga Norbu założył jednak swój plecak i zaczął iść w górę po zboczu nad naszym obozowiskiem, Freds ruszył za nim, a ja za Fredsem.

- Główny kłopot jest taki - ryknąłem - że nie mamy tlenu!

- Ludzie ciągle wchodzą tam teraz bez tlenu.

- Taa, ale za to się płaci. Tam w górze jest mało tlenu, a to zabija komórki w mózgu tak szybko, że byś nie uwierzył! Jeżeli tam pójdziemy, to mamy pewne, że stracimy tych komórek całe miliony. - No to co? - nie zrozumiał zupełnie mojego argumentu.

Jęknąłem i szliśmy dalej w górę zbocza.

## XIV

Tak oto okazało się, że wspinam się na Mount Everest z tybetańskim tulku i dzikusiem z Arkansas. Nie było to położenie, które osoba rozsądna mogłaby sama przed sobą usprawiedliwiać, i rzeczywiście, gdy tak brnąłem za Fredsem i Kungą, ledwie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Jednak każdy wymęczony oddech mówił mi, że tak właśnie jest. A skoro tak, to uznałem, że lepiej będzie, jak sam naładuję się do właściwego stanu umysłu, bo w przeciwnym razie będzie to jeszcze bardziej niebezpieczne.

- Zawsze chciałem to zrobić - powiedziałem, odpędzając potężne wrażenie, że to hipnoza wpędziła mnie w ten interes. - Wchodzimy na Everest, a ja naprawdę tego chcę.

- To się nazywa odpowiednie nastawienie - odparł Freds.

Zignorowałem go i powtarzałem sobie w myślach zdanie:

"Chcę to zrobić" raz na każde dwa kroki. Muszę przyznać, że po kilkuset krokach nawet się trochę przekonałem. To w końcu Everest! Pomyślcie tylko! Może rzeczywiście fantazjowałem o tym po cichu.

Nie będę was zamęczał szczegółami naszej trasy; jeżeli macie na nie ochotę, to odsyłam do mojego anonimowego artykułu w "Amerykańskim Przeglądzie Alpinistycznym", numer z 1987

roku. Sprawa jest w istocie dość prosta: przeszliśmy od Żlebu Hornbeina w górę Zachodniej Grani i stamtąd wspinaliśmy się dalej.

Posuwałem się skokami po dziesięć kroków na raz; wysokość zaczęła mnie w końcu łamać. Z aklimatyzacją nie mam specjalnych kłopotów, ale powyżej ośmiu tysięcy metrów nikt się już nie aklimatyzuje. Pozostaje tylko kwestia, jak szybko się kończysz.

- Spróbuj iść tak wolno, jak chcesz, i unikaj odpoczynków - poradził Freds. - Ja już idę najwolniej, jak mogę.

- Nie, wcale nie. Spróbuj płynąć pod górę. Naprawdę, wrzuć pierwszy bieg. Wpadniesz wtedy w rytm.

- W porządku, spróbuję.

Usiedliśmy akurat, żeby zdjąć raki, które nie były już potrzebne. Freds miał rację, że łatwo jest tu wchodzić. Grań była niezbyt stroma, szeroka i poszarpana, tak że wszędzie można było znaleźć nieregularne, kamienne schody. Gdyby było to na poziomie morza, dałoby się dosłownie wbiec pod górę. Było tak łatwo, że posłuchałem rady Fredsa i podążyłem za nim i za Kungą pod górę w bardzo zwolnionym tempie. Mogłem tak iść jakieś pięć albo dziesięć minut pomiędzy odpoczynkami, trudno powiedzieć dokładnie, jak długo, bo każdy etap był jak oddzielne popołudnie.

Jednak z każdym przystankiem byliśmy trochę wyżej. Nie da się zaprzeczyć, że widok z Zachodniej Grani jest pierwszej klasy:

na prawo wszystkie góry Nepalu, na lewo wszystkie góry Tybetu, a dla urozmaicenia jeszcze Bhutan i Sikkim. Wszędzie góry, a wszystkie pod nami. Tylko piramida wierzchołka Everestu ciągle

piętrzyła się wyżej, lśniąć bielą na tle niebieskoczarnego nieba.

Odkryłem, że na każdym postoju Kunga Norbu zawodzi dziwny buddyjski przyśpiew; Kunga w jakiś nieuchwytny sposób wyglądał na coraz bardziej zadowolonego, zaś uśmiech Fredsa stawał się coraz szerszy.

- Nie chce się wierzyć, że mamy taki doskonały dzień.

Piękny, nie?

- Aha.

Było to miłe, fakt, aleja byłem za bardzo zmęczony, żeby się z tego cieszyć. Na każdym przystanku udzielała mi się część ich energii i to było dobre, bo tamci byli naprawdę mocni, a ja potrzebowałem pomocy.

W końcu znowu weszliśmy na pokryty śniegiem odcinek grani i musieliśmy usiąść, żeby nałożyć raki. Okazało się, że ta prosta zazwyczaj czynność tym razem niemal mnie przerasta.

Moje ręce pozostawiały w powietrzu różowe powidoki, syczałem i stękałem przy każdym pociągnięciu pasków. Kiedy skończyłem i chciałem wstać, prawie zemdlałem. Skały kołysały się wokół mnie, a biel śniegu kłuła w oczy mimo gogli.

- Ostatni kawałek - powiedział Freds. gdy spoglądaliśmy na zbocze. Pociągnęliśmy pod górę, nasze raki wbijały się w twarde śnieg. Kunga wystartował w niesamowitym tempie, Freds i ja maszerowaliśmy obok siebie równym krokiem, żeby ulżyć sobie psychicznie.

Freds miał ochotę na rozmowę, mimo że brakowało mu oddechu.

- Stary Dorjee Lama. Będzie. Strasznie zaskoczony. Kiedy zaczną odbudowywać. Kum-Bum. Ha!

Kiwnąłem głową, jakbym uwierzył w całą tę historię. Przesadziłem, ale to nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia, oprócz tego, by stawiać jedną stopę przed drugą w jaskrawej bieli śniegu.

Czytałem, że Everest znajduje się akurat na granicy możliwości, jeśli chodzi o wspinaczkę bez tlenu. Zespół naukowców, który ustalił to na podstawie wyprawy, podczas której pobrano próbki powietrza wdychanego i wydychanego, stwierdził właściwie, że teoretycznie takie wejście jest w ogóle niemożliwe. Coś jak lot trzmiela. Pewien uczoney uznał nawet, że gdyby Everest był tylko sto metrów wyższy, to wtedy naprawdę nie można by tego zrobić.

Wierzę w to. Ostatnie kilka kroków pod tę śnieżną piramidę było najcięższymi, jakie kiedykolwiek zrobiłem. Oddech wlatywał we mnie i wylatywał w bezużytecznych szarpnięciach, słyszałem też, jak moje komórki mózgowie wykorkowują całymi tysiącami: trzask, łup, puk. Zbliżaliśmy się do wierzchołka, do trójkątnej korony z najczystszej śniegu, musiały jednak zwolnić.

Kunga wysforował się przed nas, nabierając jeszcze prędkości na tym ostatnim podejściu. Spoglądałem pod nogi, na śnieg, i straciłem go z oczu. Potem w pole mojego widzenia weszły nagle jego buty i zdałem sobie sprawę, że już tam jesteśmy, ledwie kilka kroków od szczytu. Sam wierzchołek stanowił zryty brzdami śnieżny kopiec, długi na jakieś dwa i pół metra i szeroki na metr. Nie był to ani ostry czubek, ani też szeroki pagórek; nie mieliście ochoty na nim zatańczyć.

- No więc jesteśmy tu. - Powiedziałem, choć jakoś nie czułem podniecenia z tego powodu. - Szkoda, że nie wziąłem kamery. - Prawda była taka, że zupełnie tego nie żałowałem.

Stojący obok mnie Freds poruszył się. Klepnął mnie w ramię, wskazując na Kungę Norbu. Ciągłe byliśmy niżej niż on, głowy mieliśmy mniej więcej na poziomie jego butów. Kunga coś nucił, wyrzuciwszy ramiona na boki, jakby dyrygował symfonią na wschodzie. Spojrzałem w tamtym kierunku. Zrobiło się już późne popołudnie i cień Everestu wydłużył się do horyzontu, a nawet dalej. W powietrzu na wschodzie musiały być drobinki lodu, bo ponad mrokiem cienia Everestu zupełnie

niespodziewanie zobaczyłem wielką, lodową tęczę. Tworzyła niemal pełne, kolorowe koło i była bardziej przezroczysta od zwykłej tęczy. U podstawy ucinął ją trójkątny cień góry.

Wewnątrz tego łuku z bladych barw, ponad mrokiem powietrza, unosił się krzyż cienia otoczonego aureolą. Było to widmo Brockenu, występujące wtedy, gdy cienie gór i stojących na nich ludzi kładą się w nisko wiszącym słońcu na wilgotne powietrze, tworząc aureolę światła wokół sylwetek. Widziałem coś takiego już przedtem.

Kunga Norbu opuścił ręce i w mgnieniu oka zjawisko zniknęło.

- O rany - powiedziałem tylko.

- Właśnie tak - mruknął Freds i poprowadził mnie parę kroków na sam wierzchołek, aż stanęliśmy obok Kungi Norbu.

Kunga odchylił głowę do tyłu, na twarzy miał uśmiech czystej, dziecięcej rozkoszy.

Nie bardzo wiem, co dokładnie wydarzyło się tam w górze.

Może zemdlałem i przez moment widziałem kolory, może myślałem tylko, że to lodowa tęcza, a potem mrugnąłem i zobaczyłem wszystko wyraźnie. Wiem jednak, że gdy w tamtej chwili patrzyłem na przemienioną twarz Kungi, byłem absolutnie pewien, że widziałem, jak odzyskał wolność i wymalował ją na niebie. Zadanie zostało wykonane, ramiona rozpostarte szeroko z radości... uwierzyłem we wszystko. Przełknąłem ślinę, bo coś mi zaczęło przeszkadzać w gardle.

Teraz i ja to poczułem. Czuję, gdzie jesteśmy. Weszliśmy na Czomolungmę. Stoimy na wierzchołku świata.

Freds zipnął łąpczywie kilka razy.

- A jakże! - powiedział. - Udało się nam!

A potem zaczęliśmy walić się nawzajem po plecach tak, że omal nie pospadaliśmy z tej góry.

## XV

Nie minęło wiele czasu, gdy zacząłem zastanawiać się nad kwestią zejścia. Dnia nie zostało już wiele, a my byliśmy bardzo daleko od jakiegokolwiek przytulnego miejsca.

- Co teraz?

- Myślę, że powinniśmy zejść do Południowego Wierzchołka i wykopać w śniegu jamę na noc. Tam jest najbliżej, a w siedemdziesiątym piątym tak właśnie zrobili Haston i Scott.

Im się to udało, kilku innym grupom także.

- Dobra - powiedziałem. - Wobec tego zrobmy tak.

Freds powiedział coś do Kungi i ruszyliśmy w dół. Natychmiast okazało się, że Grań Południowo-Wschodnia nie jest ani tak szeroka, ani tak łagodna jak Grań Zachodnia. Schodziliśmy po czymś w rodzaju ośnieżonego ostrza noża, z którego wystawały nieprzyjemne, szare skały. To taki był ten szlak jaków!

Zejście do Południowego Wierzchołka kosztowało nas godzinę ciężkiej harówki i było możliwe tylko dlatego, że cały czas szliśmy w dół.

Południowy Wierzchołek jest wielkim wybrzuszeniem na Grani Południowo-Wschodniej, które składa się z garbu drugiego wierzchołka i sporej płaszczyzny. Mieliśmy tu szerokie, pochyle pole bardzo głębokiego i zbitego śniegu - znakomite warunki do zrobienia jamy śnieżnej. Freds wydobył z plecaka swoją saperkę i zabrał się do roboty, kopiąc jak pies szukający kości. Ja poprzestałem na opadnięciu na ziemię i przyglądaniu się. Kunga Norbu stał, wpatrując się w nieskończony przestwór szczytów. Wyglądał na trochę oszołomionego. Raz czy dwa zebrałem siły i zastąpiłem Fredsa. Za szerokim na jedną osobę wejściem nasza grotka była akurat tak duża, że mieściliśmy się w niej wszyscy trzej. Wyglądała trochę jak trumna dla trojaczków.

Słońce zaszło, pokazały się gwiazdy, zmierzch przeszedł w głęboki mrok, wreszcie zapadła noc. Zimna, naprawdę zimna.

Freds oznajmił, że grota jest gotowa, więc wczłogałem się do środka za nim i za Kungą, czując, jak chrzęszczą pode mną grudki śniegu. Zderzając się głowami, umieściliśmy się na poddupnikach tak, że siedzieliśmy w małym kółku na nierównej półce nad tunelem wejściowym, w mniej więcej sferycznej komorze. Zgarbiłem się, dzięki czemu nad moją głową została dwucentymetrowa przerwa.

- W porządku - znużonym głosem odezwał się Freds. - Czas na imprezę.

Wyjął z plecaka kuchenkę i przez jakiś czas trzymał ją w dłoniach, żeby ogrzać gaz w środku, a potem ustawił ją na śniegu między nami i zapalił zapalniczką. Błękitny blask ognia oślepił, huk ogłuszał. Zdjęliśmy rękawice i złączyliśmy dłonie, tak że ciało dotykało płomienia. Nasza grota zaczęła się z wolna ogrzewać.

Może wydaje się wam dziwne, że śnieżna grota może w ogóle się ogrzać, ale pamiętajcie, że mówimy tu o wartościach względnych. Na zewnątrz temperatura spadała do dwudziestu pięciu stopni poniżej zera. Dodajcie do tego jeszcze jaki bądź wiatr, a na tej wysokości, gdzie tlenu jest tak mało, oznacza to śmierć.

Tymczasem w środku naszej groty nie było wiatru. Sam śnieg nie jest taki zimny i znakomicie izoluje: rozgrzewa się, zaczyna nawet tajać na powierzchni, a woda też bardzo dobrze trzyma ciepło. Jeśli dodacie do tego buzującą kuchenkę i trzy ciała walczące, żeby nabić te 36,6, to nawet mimo otworu wychodzącego na zewnątrz możecie spokojnie utrzymać temperaturę około zera. Zimniej niż w lodówce, ale w porównaniu z minus dwadzieścia pięć to prawie plaża.

Z początku byliśmy więc zadowoleni w naszej malej grocie.

Freds zeskrobał trochę śniegu ze ściany do kociołka i zagotował napój cytrynowy. Poczęstował mnie migdałami, ale w ogóle nie miałem apetytu; migdał smakowałby mi tak samo jak noga od stołu. Wszyscy jednak usychaliśmy z pragnienia, więc wypiliśmy napój, gdy jeszcze wrzał, co na tej wysokości oznaczało, że był ledwie ciepły. Smakował przecudownie.

Topiliśmy śnieg i piliśmy go, aż kuchenka zakrzusiła się i zabrakło paliwa. Minęły na razie co najwyżej dwie godziny.

Siedziałem tak po ciemku i czułem, jak opada temperatura. Mój nastrój opadał razem z nią.

Jednak dla Fredsa nie był to w żadnym razie koniec imprezy.

Usłyszałem trzask jego zapalniczki i w jej świetle zobaczyłem, jak wybija w ścianie wgłębienie i wstawia w nie świeczkę. Zapalił ją, a blask płomyka odbił się od lśniących ścian naszego domu.

Zamienił parę zdań z Kungą Norbu.

- Dobra - powiedział do mnie na koniec, wydechając białe kłęby pary. - Kunga zamierza zrobić teraz trochę tumo.

- Tumo?

- To jest sztuka rozgrzewania się wśród śniegów bez pomocy ognia.

Zaintrygowało mnie to.

- Kolejna umiejętność łamów?

- No pewnie. Zimą dosyć się przydaje nagim mnichom.

- Domyślam się. Powiedz mu, żeby to przeszło na nas.

Rozpychając się trochę, Kunga usiadł w pozycji lotosu, co było sporym osiągnięciem, jako że ciągle miał na sobie buty śniegowe. Zdjął rękawice, a my zrobiliśmy to samo. Następnie zaczął oddychać w regularnym, głębokim rytmie, wpatrując się przy tym w przestrzeń. Ciągnęło się to prawie przez pół godziny i zacząłem już myśleć, że zamarzniemy wszyscy, zanim on się rozgrzeje, kiedy nagle Kunga wyciągnął ręce w naszą stronę.

Wzięliśmy je w dłonie. Były rozgrzane, jakby miał straszliwą gorączkę. Z lękiem sięgnąłem, żeby dotknąć jego twarzy - była ciepła, ale nie tak, jak ręce.

- O mój Boże - powiedziałem.

- Teraz możemy mu pomóc - cichym głosem odezwał się Freds. - Musisz się skupić, wykorzystać energię, która przeważnie jest uwięziona. Każdy oddech odpycha dumę, złość, nienawiść, zazdrość, lenistwo, głupotę. Z każdym oddechem wciągasz ducha Buddy, pięć mądrości, wszelkie dobro. Kiedy już jesteś oczyszczony i spokojny, wyobraź sobie, że masz na pępku złoty lotos... Gotowe? Wyobraź sobie teraz w tym lotosie sylabę ram, to znaczy ogień. Musisz zobaczyć maleńki zarodek ognia, wielkości koziego bobka, który pojawia się w ram. Teraz już każdy oddech jest jak miech, który rozdmuchuje ten płomyk, wędrujący przez tsaś twojego ciała, przez mistyczne nerwy. Wyobraź sobie pięć etapów tego procesu. Najpierw widać urna tsa jako kosmyk ognia, mniej więcej wzdłuż kręgosłupa... Dwa, nerw jest tak gruby jak twój mały palec... Trzy, ma grubość ramienia... Cztery, całe ciało staje się tsa i wygląda jak słup ognia... Pięć, tsa pochłania świat, a ty jesteś tylko jednym z płomieni w morzu ognia.

- Mój Boże.

Siedzieliśmy tam, trzymając gorejące dłonie Kungi Norbu, a ja wyobrażałem sobie siebie jako słup ognia: ciepło wlewało się we mnie, przez ramiona i tułów, rozmroziło nawet moje stopy i zlodowaciały tyłek. Wpatrywałem się w Kungę, a on patrzył przez ścianę naszej groty wprost w wieczność albo i gdzie indziej.

Oczy płonęły mu jak świece. Wyglądał niesamowicie.

Nie wiem, jak długo to trwało. Wydawało się wiecznością, ale sędzę, że nie minęła więcej niż godzina. Potem wszystko się urwało, ręka Kungi ochłodziła, tak samo jak i my. Tybetańczyk mrugnął kilka razy i potrząsnął głową. Powiedział coś do Fredsa.

- Mniej więcej tyle może obecnie wytrzymać - powiedział Freds.

- Co?

- Widzisz - cmoknął z żalem - wygląda to tak, że tulko- wie tracą swoją moc w ciągu kolejnych inkarnacji. Za każdym razem coś ginie, tak jakbyś przegrywał kasety albo coś takiego.

To ma jakąś nazwę.

- Przekłamanie przekazu - odpowiedziałem.

- Racja. No więc z nimi też tak jest. W Tybecie możesz spotkać mnóstwo tulków, którzy są zupełnie skretyniali. Z Kungą jest lepiej, ale i on jest trochę jak Paul Revere. Nie po kolei pod kopułą, rozumiesz. Wielki lama i świetny gość, ale niezbyt mocny w każdej z mistycznych umiejętności, już nie.

- Szkoda.

- Wiem.

Przypominałem sobie rozplomienione ręce Kungi i przesywający mnie żar.

- Więc... on naprawdę jest tulku, prawda?

- No jasne! Oczywiście! A teraz wyzwolił się od starego Dorjee Lamy, jest więc samodzielnym lamą, nie uczniem. To musi być wspaniałe uczucie.

- Nie wątpię.

- Więc na czym to dokładnie polega?

- Bycie tulku?

- No.

- To kwestia koncentracji mocy psychicznych. Tybetańczycy wierzą, że żadna z nich nie jest nadnaturalna, że to tylko skupienie zwyczajnych, naturalnych sił, które mamy wszyscy.



Tulkowie skupili swoją energię psychiczną niewiarygodnie mocno i na tym etapie mogą opuszczać swoje ciała, kiedy tylko zechcą. Gdyby Kunga miał ochotę, mógłby umrzeć w jakieś dziesięć sekund.

- Bardzo wygodne.

- Owszem. No więc kiedy zdecydują się odejść, odfruwają do Bardo. Bardo to inny świat, kraina ducha, można się tam pogubić; stary, te halucynacje! Najpierw trafia cię światło jak z lampy błyskowej Pana Boga. Potem stada kolorowych smug, zjawy, takie rzeczy. Strach bierze, jak Kunga to opisuje. Kiedy jesteś zwyczajnym duchem, możesz stracić orientację i narodzić się ponownie jako ślimak albo konferansjer telewizyjny, albo cokolwiek. Ale jeżeli się nie pogubisz, to odradzasz się w ciele, które sam wybierzesz i ruszasz dalej.

Kiwnąłem apatycznie głową. Byłem zmęczony i zziębnięty, a przez brak tlenu także ogłupiały i otumaniony. Nie mogłem nic zrozumieć z wyjaśnień Fredsa, choć możliwe, że akurat na to warunki nie miały wpływu.

Siedzieliśmy więc tak, Kunga nucił coś pod nosem, mnie było coraz zimniej.

Świeca stopiła się do końca i zgasła.

Było zupełnie ciemno. I coraz zimniej.

Po chwili została już tylko ciemność, nasze oddechy i zimno.

Nie czułem swojego tyłka ani nóg od kolan w dół. Wiedziałem, że na coś czekam, ale zapomniałem, co to miało być. Freds poruszył się i zaczął rozmowę z Kungapo tybetansku. Wydawali się być bardzo daleko. Mówili do ludzi, których nie mogłem zobaczyć. Freds wiercił się przez chwilę, dziabiąc w ściany groty, a Kunga wykrzykiwał chrapliwie: "Hak!", "Fut!" i inne takie.

- Co wy robicie? - zdobyłem się na pytanie.

- Odpędzamy demony - wyjaśnił Freds.

Obserwując swoich towarzyszy, mógłbym wyciągnąć wniosek, że ludziom odbija z braku tlenu, ale biorąc pod uwagę, kim byli, musiałem powstrzymać się od takiego stwierdzenia. To wcale nie musiała być kwestia tlenu.

Nie potrafię powiedzieć, ile czasu upłynęło. Wreszcie Freds zaczął odgarniać śnieg z przejścia.

- Wyrzucasz demony? - zagadnąłem go.

- Nie. Próbuję się rozgrzać. Chcesz też spróbować?

Nie miałem siły, żeby się poruszyć.

Potrząsnął mną wtedy i zaczął mówić do mnie po angielsku.

Suchym, chrapliwym, żabim głosem opowiadał mi jakieś historie, jedną po drugiej. Żadnej z nich nie rozumiałem. Cały skupiłem się na walce z zimnem. Na oddychaniu. Freds ożywił się, opowiedział mi historię Kungi, coś o przemierzaniu Tybetu z przyjacielem, jakiś sprawdzian lung-gom-pa, a ten przyjaciel był skuty łańcuchami, żeby zupełnie nie uleciał. Potem coś o nocy i jakimś janghazbendzie, o zrzucaniu łańcuchów przy ognisku...

- Tragarze wiedzieli o lung-gom i rano próbowali wytłumaczyć to Anglikom. Wyobrażasz to sobie? Tragarze tłumaczą, że te łańcuchy pojawiają się znikąd... że ludzie biegnący przez Tybet używają ich, żeby nie polecieć na orbitę? Chłopie, ci angole musieli myśleć, że najechali krainę Oz. Nie uważasz? Hej, George? George?... George?

## XVI

Noc jednak minęła, a ja ciągle tam byłem.

Wyczołgaliśmy się z naszej groty o świcie i tupaliśmy, bardzo z siebie zadowoleni, aż wróciło nam czucie w nogach.

- Dzień dobry - uprzejmie zwrócił się do mnie Kunga Norbu.

Nie mylił się zresztą. Nad naszymi głowami różowiały wysokie cirrusy, zaś daleko pod nami, w Nepalu, wisiał tuman błękitnego oceanu z podobnymi do wysp, wysokimi, białymi szczytami, które też zaczynały różowieć. Nigdy nie widziałem czegoś bardziej niezziemskiego; wydawało się, że z naszej grotty wyszliśmy na powierzchnię jakiejś innej planety.

- Może powinniśmy po prostu śmignąć w dół do Południowej Przełęczy i tam spotkać się z tymi facetami z armii indyjskiej - wychrypiał Freds. - Nie za bardzo mam ochotę wchodzić znowu na wierzchołek, żeby dostać się do Grani Zachodniej.

- Ty to mówisz poważnie - stwierdziłem.

Zeszliśmy więc po Grani Południowo-Wschodniej.

Może o tym nie wiecie, ale Peter Habeler, partner Messnera podczas pierwszego wejścia na Everest bez tlenu w roku 1979, zbiegł po tej grani ze szczytu do Południowej Przełęczy w ciągu jednej godziny. Bał się uszkodzenia mózgu, ale moim zdaniem tempo tego zejścia dowodzi, że do uszkodzenia już doszło. My szliśmy tak prędko, jak tylko mogliśmy, to znaczy przerażająco prędko, a i tak zabrało nam to prawie trzy godziny. Krok za krokiem po stromej, ośnieżonej grani. Nie miałem odwagi spojrzeć w zawrotne przepaście po obu stronach. Poniżej chmury pęczniały jak fala przyływu w Zatoce Fundy; nasza dobra pogoda miała się ku końcowi.

Czułem, że jestem zupełnie odłączony od własnego ciała, przyglądałem się tylko, jak sobie radzi. Poniżej Freds śpiewał ciągle: „Wchodzę i schooodzę” z piosenki Na krawędzi. Doszliśmy do dużego, wypełnionego śniegiem żlebu i ześlizgnęliśmy się po nim beztrudnie, sunąc po pięć, dziesięć metrów z każdym sennym krokiem. Zataczaliśmy się wtedy już wszyscy trzej. Chmury unosiły się znad Kotła Zachodniego i otaczały nas tajemniczą mgłą, ale byliśmy wówczas tuż ponad Południową Przełęczę, więc nie miało to znaczenia. Zobaczyłem na przełęczy obóz i odetchnąłem z ulgą. Gdyby go tam nie było, byłibyśmy bez szans.

Hindusi rozbijali namioty, kiedy nadeszliśmy. Cały tydzień znakomitej pogody i dotarli dopiero do Południowej Przełęczy.

To bardzo wolno - pomyślałem, kiedy się zbliżaliśmy. Jak szturmowanie oblężonej fortecy, piramida logistyczna, bezpieczna rozgrywka, niespieszna, właśnie jak budowanie piramidy.

Kiedy przecinaliśmy przełęcz i podchodziliśmy pod namioty, klucząc między stertami śmieci z poprzednich wypraw, zacząłem się niepokoić. Widzicie, armia indyjska miała niewiarygodnego pecha do Everestu. Kilka razy próbowali wspiąć się na niego i o ile wiem, nigdy im się to nie udało. Najczęściej z powodu burz, ale ludzie jakoś o tym zapominają i Hindusi doczekali się krytyk z kręgu nepalskich himalaistów. Prawda jest taka, że nazywa się ich nieudacznikami. Są więc na tym punkcie dosyć drażliwi i bardzo powoli zaczęło do mnie docierać, że mogą nie być specjalnie rozbawieni tym, że na Południowej Przełęczy wita ich trzech gości, którzy dzień wcześniej wleźli na szczyt z północnej strony.

Wtedy jeden z nich nas zobaczył. Młotek wypadł mu z rąk.

- Czołem - wychrypiał Freds.

Zaraz otoczyła nas cała grupa. Wiatr był coraz mocniejszy, a my wszyscy staliśmy prostopadle do jego kierunku. Najstarszy z nich, chyba major, zawołał gburowato:

- Kto wy jesteście!

- Zgubiliśmy się - odparł Freds. - Potrzebujemy pomocy.

No, w porządku - pomyślałem. Freds też przewidział kłopoty. Nie chce im powiedzieć, gdzie byliśmy. A więc ciągle jeszcze myśli i wybrnie jakoś z tej sytuacji.

- Skąd idziecie? - huknął major.

Freds wskazał na dół, na Kocioł Zachodni. Dobrze - pomyślałem.

- Nasi Szerpowie powiedzieli nam, żebyśmy skręcali ciągle w prawo. I tak też robiliśmy od samego Dżomosom.

- Jak? Odkąd?

- Dżomosom!

Major wyprostował się.

- Jomosom - powiedział ostro - jest w zachodnim Nepalu.

- Rany! - rzucił Freds.

I dalej tam staliśmy. Najwyraźniej to był już koniec wyjaśnień Fredsa.

Odepchnąłem go łokciem.

- Prawdę mówiąc, pomyśleliśmy sobie, że fajnie byłoby wam pomóc. Nie wiedzieliśmy, w co się palcujemy.

- No! - powiedział Freds, z wdzięcznością chwytając się tego pomysłu. - Może moglibyśmy znieść wam ładunek?

- My się w s p i n a m y pod tę górę! - warknął major. - Nie potrzebujemy znoszenia ładunków! - Wskazał na grań za nami, która zniknęła we mgle. - To jest Everest!

- Żartuje pan - Freds popatrzył na niego krzywo.

- Potrzebujemy pomocy - powiedziałem i szturchnąłem go - Major przyglądał się nam uważnie.

- Wchodźcie do namiotu - rzucił wreszcie.

## XVII

Cóż, w końcu skleciłem jakąś na pół sensowną opowieść o tym, jak altruistycznie chcieliśmy nieść ładunki ekspedycji na Everest, chociaż nie mam pojęcia, kto mógłby być na tyle głupi, żeby mieć ochotę na coś takiego. Freds zupełnie mi nie pomagał, ciągle zapominał i wracał do swojej pierwszej historii, powtarzając rzeczy w rodzaju: "Pewnie wsiedliśmy w zły samolot". A już żaden z nas nie mógł dobrze dopasować do naszej opowieści Kungi Norbu. Ja twierdziłem, że był naszym przewodnikiem, ale nie znaleźliśmy jego języka. Kunga bardzo mądrze nie odzywał się wcale.

Mimo wszystko Hindusi nakarmili nas i dali nam wody, żebyśmy mogli ugasić okrutne pragnienie, a potem odprowadzili nas na dół po poręczówkach do dolnego obozu, żeby mieć pewność, że się nas na pewno pozbyli. Przez następne dwa dni przeszli z nami całą drogę w dół Kotła Zachodniego i po lodowcu Khumbu aż do głównego obozu. Żałuję, że nie mogę przedstawić wam szczegółowego opisu legendarnego lodowca Khumbu, ale prawda jest taka, że ledwie go pamiętam. Był wielki, biały i straszny, a ja byłem zmęczony. Nic więcej nie wiem. A potem byliśmy w obozie głównym i zrozumiałem, że już po wszystkim.

Takie było pierwsze nielegalne zdobycie Everestu.

## XVIII

Po tym, co przeszliśmy, Gorak Shep wyglądał jak Irlandia, a Phericze jak Hawaje. Powietrze było tlenową zupą.

Rozpytywaliśmy o angoli, Arnolda i Laurego, i ciągle słyszeliśmy, że są jakiś dzień drogi pod nami. Wyglądało na to, że angole ścigają Arnolda, który starał się z całych sił, żeby go nie dopadli. Popędziliśmy więc naprzód.

Schodząc, zatrzymaliśmy się jednak w klasztorze Pengbocze, mrocznej i nastrojowej budowli pośród niewielkiego gaju czarnych sosen, które podobno były bokobrodami pierwszego opata.

Zostawiliśmy tam Kungę Norbu, który wyglądał na porządnie umęczonego. Mnisi z klasztoru zatroszczyli się o niego. Kunga pożegnał się uroczyście z Fredsem, a mnie posłał szeroki uśmiech, przewiercając mnie po raz ostatni tym swoim otępiałym, mrocznym spojrzeniem.

- Dzień dobry! - powiedział i rozstaliśmy się. Pogналиśmy zatem razem z Fredsem do Namcze, które teraz wydało mi się niezwykle podobne do Manhattanu, i dowiedzieliśmy się tam, że nasi przyjaciele wyruszyli właśnie do Lukli, ścigając ciągle Arnolda. Za Namcze naprawdę staraliśmy się ich dopędzić, ale nie udało się to aż do samej Lukli. Tam zaś dogoniliśmy tylko angoli, którzy stali obok lądowiska, patrząc jak ostatni tego dnia samolot toczy się po nachylonym pasie i wyskakuje w powietrze ponad głębokim przełomem Dudh Kosi. Zaraz też dowiedzieliśmy się, że samolotem tym odleciał Arnold, zapłaciwszy prawowitemu pasażerowi całą kupę rupii za jego miejsce. Szerpowie Arnolda stali na pasie gęsiego i machali mu na pożegnanie; okazało się, że w czasie tej jednej wspinaczki zarobili mniej więcej tyle, co przez cały rok, więc stary Arnold przypadł im do gustu.

Angolom do gustu nie przypadł. Dyszeli wprost nienawiścią.

- Gdzieście byli? - rzucił Trevor.

- No... - zacząłem.

- Poszliśmy na szczyt - Freds powiedział przepaszająco.

- Kunga musiał to zrobić z powodów religijnych.

- No więc - Trevor był zirytowany - sami się nad tym zastanawialiśmy, ale zamiast tego musieliśmy pogonić twojego klienta aż w doliny, żeby wydostać od niego film. Taki film, że jeśli go kiedykolwiek puszcza, to wszyscy wylecimy z Nepalu.

- Lepiej się z tym pogodzić - powiedział ponuro Szalony Tom. - On jest w drodze do Katmandu, a my tu siedzimy. Nigdy gojuż nie złapiemy.

Wiecie, widok z Lukli to nic nadzwyczajnego w porównaniu z tym, co widzi się wyżej, ale są tu gigantyczne, zielone ściany przełomu, a na północy widać w oddali nieco białych, wysokich szczytów. No więc patrzeć na to wszystko i myśleć, że nigdy już nie będzie można tego oglądać...

- Być może mamy szczęście. - Wskazałem na południe.

- Co?

- Helikoptery! Nadlatują! - Freds roześmiał się. - Jakaś grupa trekkingowa wynajęła helikoptery, żeby ich tu przewiozły. Była to prawda. Taka praktyka jest dość częsta, ja sam robiłem to wiele razy. Codzienne loty RNAC do Lukli nie zaspokajają potrzeb w szczycie sezonu trekkingowego, więc Nepalskie Lotnictwo Wojskowe zgadza się na wypożyczenie swoich helikopterów za niebotyczną opłatą. Naturalnie wolą wtedy nie wracać bez ładunku i zabierają każdego, kto tylko zapłaci. Zdarza się często, i tak właśnie było tego dnia, że cały tłum drze się, żeby zapłacić za powrót i konkurencja jest ostra, choć ja osobiście nie potrafię zrozumieć, do czego ludziom tak się pali.

W każdym razie ten dzień nie różnił się od większości innych i wokół pola rozładunkowego obok lądowiska siedział cały tłum trekkingowców, pertraktując z szerpańskimi pośrednikami i pośredniczkami, którzy kierowali lądowiskiem i przydzielali miejsca w samolotach. Hierarchia wśród tych kilkorga pośredników jest absolutnie niezrozumiała, nawet dla nich, i tego dnia każde z nich miało jak zwykle listę osób, które zapłaciły po sto dolarów za lot. Dopóki pośrednicy dyskutowali to z załogą helikoptera, nikt nie wiedział, któremu z pośredników trafi się przywilej wprowadzenia na pokład swoich klientów. Dla tłumu taka procedura była w najlepszym razie niejasna, więc kiedy dostrzeżono helikoptery, wszyscy zaczęli dreptać w koło i wykrzykiwać różne nieprzyjemności pod adresem swoich pośredników.

Sytuacja nie była dla nas korzystna, bo chociaż byliśmy zdesperowani, to wszyscy czekający na

lot twierdzili, że też są zdesperowani, i nikt nie miał zamiaru na ochotnika rezygnować ze swojego miejsca. Jednak zanim dwa helikoptery Puma wylądowały z hukiem, zobaczyłem na polu Heather, podbiegłem do niej i dowiedziałem się, że udało jej się zarezerwować miejsca dla naszej wyprawy u Pemby Sherpa, jednego z najbardziej wpływowych pośredników.

- Dobra robota, Heather! - krzyknąłem i szybko wyjaśniłem jej niektóre aspekty całej sprawy. Patrząc na nas szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma - byliśmy znacznie brudniejsi i bardziej spaleni od słońca niż ostatnim razem, gdy nas widziała - kiwnęła głową na znak zrozumienia. No i oczywiście w całym tym rozgardiaszu trekkingowców pchających się do helikopterów, pośród wszystkich jęków, narzekań, krzyków i wrzasków, żeby dostać się na pokład, to właśnie Pemba wziął górę nad innymi pośrednikami. A "Wideo Wyprawa Do Obozu Głównego Pod Everestem" z Zabierzemy Cię Wyżej Sp. zo.o. wraz z czwórką brytyjskich himalaistów oraz jednym Amerykaninem weszła uradowana na pokład dwóch helikopterów. Wystartowaliśmy z rżeniem silników.

- Ale jak my go znajdziemy w Katmandu? - przekrzykując hałas, spytała Marion.

- Nie będzie się was spodziewał - odpowiedziałem. - Myśli, że załapał się na ostatni lot. Zacząłbym więc od pensjonatu Catmandu, gdzie mieszkaliśmy. Może uda się wam go tam znaleźć.

## XIX

Godzinę później wylądowaliśmy na lotnisku w Katmandu.

Angole wyskoczyli i natychmiast wynajęli taksówkę. Freds i ja wzięliśmy następną i próbowaliśmy za nimi nadążyć, ale tamci musieli potrójnie zapłacić kierowcy, bo jego mała toyota pognęła przez zabłocone ulice pomiędzy lotniskiem a miastem, jakby brała udział w wyścigach motokrosowych. Zostaliśmy więc z tyłu, a zanim wpadliśmy na podwórze pensjonatu Katmandu, ich taksówka już odjechała. Zapłaciliśmy naszemu kierowcy i zapytaliśmy jednego z nadętych recepcjonistów o Arnolda, a kiedy podał nam numer, popędziliśmy na trzecie piętro, do jego pokoju wychodzącego na ogród z tyłu budynku.

Trafiliśmy tam w sam środek bitwy. John, Szalony Tom i Trevor złapali Arnolda na łóżku w rogu i stali nad nim, nie pozwalając mu się ruszyć. Po drugiej stronie pokoju Marion dokonywała spustoszenia. Wyjmowała jedną po drugiej kasety wideo i miażdżyła je butem. Było przy tym mnóstwo wrzasków, głównie ze strony Marion i Arnolda.

- To ta ze mną, jak się kąpię - darła się Marion. - A to ta ze mną, jak przebieram koszulę w namiocie. A ta, jak sikam na ośmiu tysiącach! - i tak dalej. Arnold tymczasem krzychał:

"Nie, nie! Boże, nie tę!" i: "Podam was do wszystkich sądów w Nepalu!"

- Obcokrajowcy nie mogą skarżyć w nepalskich sądach - wyjaśnił mu Szalony Tom.

Arnold jednak nie przestawał krzyczeć, grozić i jęczeć. Jego spalona przez słońce twarz płonęła, wyszczuplone ciało rzucało się na łóżku, wielkie, okrągłe oczy wylaziły na wierzch, aż zacząłem się bać, że pękną albo wyskoczą na sprężynach. W pewnej chwili podniósł świeże cygaro, które wypadło mu z ust, i cisnął je pomiędzy Trevora i Johna, trafiając Marion w pierś.

- Sadysta - powiedziała dziewczyna, z zadowoleniem otrzepując dłonie. - To już wszystkie - zaczęła upychać szczątki plastyku i taśmy do plecaka. - To też zabierzemy ze sobą, wielkie dzięki.

- Złodziejka - wychrypiał Arnold.

Tamci trzej odsunęli się od niego. Arnold siedział nieruchomo na łóżku, wpatrując się w Marion z przejętym, zdumionym wyrazem twarzy. Wyglądał jak przedziurawiony balon.

- Przykro nam, Arnold - powiedział Trevor - ale musisz przyznać, że sam do tego doprowadziłeś. Przez cały czas mówiliśmy ci, że nie chcemy być filmowani.

Arnold gapił się na nich bez słowa.

- No więc - dokończył Trevor. - To tyle.

I wyszli.

Freds i ja przyglądaliśmy się mu, jak tak siedział. Jego oczy powróciły powoli do ich zwykłej, wyłupiastej pozycji, ale mimo to ciągle wyglądał na załamanego.

- Ci angole to twardzi goście - zaczął Freds. - Nie trzymają się ich sentymenty.

- Daj spokój, Arnold - powiedziałem. Teraz, kiedy nie byłem już za niego odpowiedzialny, kiedy wróciliśmy i nie musiałem go nigdy więcej oglądać, kiedy było pewne, że zniszczona została taśma, która mogła napytać mnie i Fredsowi takich samych kłopotów jak angolom - było mi go troszeczkę żal.

Tylko troszeczkę. Po jego wyglądzie można było poznać, że naprawdę wiele przeszedł dla tej taśmy. Poza tym umierałem z głodu.

- Daj spokój, wykąpiemy się, ogolimy, doprowadzimy do porządku i zabiorę cię gdzieś na kolację - zaproponowałem.

- Ja też - dodał Freds.

Arnold kiwnął głową w milczeniu.

## XX

Katmandu to zabawne miasto. Kiedy pierwszy raz przyjeżdżacie tu z Zachodu, wygląda tak, że trudno wyobrazić sobie bardziej zrujnowane i niezdrowe miejsce: budynki ze starej cegły rozpadają się, dachy porasta zielsko, pokoje hotelowe to zwykłe nory, wszelkie jedzenie, jakie tylko można zdobyć, smakuje jak tektura i często się po nim choruje, na zabłoconych ulicach leżą tu i ówdzie sterty nieczystości, w których buszują psy i krowy.

Wygląda to naprawdę prymitywnie.

Potem na miesiąc czy dwa idziecie w góry, na wspinaczkę albo na trekking, a kiedy wracacie do Katmandu, miasto jest całkowicie przemienione. Można to wytłumaczyć tylko tak, że kiedy was nie było, ktoś zabrał całe miasto i zastąpił je innym, które z zewnątrz wygląda tak samo, ale jego istota jest zupełnie różna. Kwatery są tak luksusowe, że aż nie chce się wierzyć, jedzenie - wyśmienite, ludzie wyglądają na zamożnych, a ich miasto to prawdziwy cud wyrafinowania architektonicznego.

Katmandu! Co za metropolia!

Tak właśnie myśleliśmy, Freds i ja, wchodząc do mojego domu daleko od domu, do hotelu Gwiazda. Kiedy usiadłem na podłodze pod kranem z gorącą wodą, która płynęła z mojego prysznica, stwierdziłem, że chichoczę z niespodziewanego upojenia. W pokoju Freds zawodził: Idąc do Katmandu: k-k-k-k- -Kat-Man-Du! Godzinę później, jeszcze z mokrymi włosami, z pokierszowanymi twarzami i skórą pomarszczoną jak suszona śliwka, spotkaliśmy na ulicy Arnolda i ruszyliśmy przez thamelski wieczór.

- Wyglądamy jak wieszaki - zauważył Freds.

Nasze miejskie ubrania rzeczywiście wisiały na nas. Freds i ja straciliśmy po jakieś dziesięć kilo każdy, Arnold z piętnaście.

A nie był to sam tłuszcz. Na dużej wysokości zużywa się wszystko.

- Chodźmy lepiej do Starego Wiednia i uzupełnijmy trochę braków.

Na samą myśl o tym zacząłem się ślinić.

Poszliśmy więc do gospody "Stary Wiedeń", żeby odetchnąć ciepłą, parną atmosferą Imperium Austro-Węgierskiego. Zaspokoiliśmy głód wielkimi porcjami gulaszu, sznycla Parisienne i strudla jabłkowego z bitą śmietaną, a potem rozsiedliśmy się wygodnie. Przeciążenie zmysłów. Nawet Arnold wyglądał trochę lepiej. Przez cały posiłek milczał, ale i my nic nie mówiliśmy, zajęci

jedzeniem.

Zamówiliśmy butelkę rakszi, mocnego miejscowego trunku

O nieustalonym pochodzeniu. Zaczęliśmy pić, gdy tylko ją przyniesiono .

- Hej, Arnold, lepiej wyglądasz - zaczął Freds.

- Taa, nie czuję się tak najgorzej - Arnold wytarł usta umazaną na czerwono chusteczką - wszyscy porozdzieraliśmy sobie wargi, próbując zbyt szybko zapchać się jedzeniem - 1 zaczął powolną procedurę zjadania następnego cygara, rozpakowując je wpieryw bardzo wolno. - Wcale nie tak źle - i wyszczerzył zęby. Nie mógł się opanować. Uśmiechał się tak szeroko, że musiał znowu sięgnąć po chusteczkę, żeby zahamować krwawienie z ust.

- Wiesz, szkoda, że ci goście zniszczyli twój film.

- Taa - Arnold wylewnie machnął ręką. - Takie jest życie.

- Człowieku, wierzyć się nie chce, że coś takiego mówisz - nie ukrywałem zdumienia. - Tamci goście wzięli te taśmy ze wszystkimi mękami, jakie przez ciebie przeszliśmy i rozwalili je, a ty mówisz: "Takie jest życie"?

Arnold pociągnął długi łyk rakszi.

- Cóż - powiedział, szatańsko mrużąc oczy. Nachylił się do nas przez stół. - W końcu oni dostali tylko jedną kopię.

Spojrzeliliśmy na siebie z Fredsem.

- Zgruchotali tam taśmy za jakieś dwieście dolarów. Prawdopodobnie powinienem podać ich za to do sądu, ale jestem wspaniałomyślny. Dam sobie spokój.

- Jedna kopia? - spytałem.

- Taa - postukał się w głowę. - Widzieliście może w kącie mojego pokoju w pensjonacie takie pudełko, coś jak walizka?

Pokręciliśmy głowami.

- Angole też nie. I tak by się zresztą na tym nie poznali. A to był aparat do montażu. I kopiarka. Wkłada się kasetę, naciska guzik i maszynka robi kopię zapasową, żeby można było bezpiecznie montować. Tak się uzyskuje ostateczną wersję. Wspaniałe urządzenie. Teraz ma większość niezależnych filmowców, a ta przenośna ślicznotka to naprawdę ostatni krzyk mody. W tym przypadku uratowała mi tyłek.

- Arnold - odezwałem się - wpędzisz tych ludzi w kłopoty! Nas też!

- No, no - ostrzegł. - Kopiarka jest w bezpiecznym miejscu, więc niech wam czasem nic nie przyjdzie do głowy.

- Przez ciebie na zawsze wyrzucą nas z Nepalu!

- Nieee. Dam wam pseudonimy. Macie w tym względzie jakieś preferencje?

- Arnold! - zaprotestowałem.

- Posłuchaj - powiedział i znowu pociągnął rakszi. - Większa część tej wyprawy miała miejsce w Tybecie, prawda?

Chińczycy nie będą się tym przejmować. Poza tym, znasz przecież nepalskie Ministerstwo Turystyki - nie powiesz mi chyba, że kiedykolwiek uda im się obejrzeć mój film, a co dopiero spisać z niego nazwiska i wytropić tych gości, kiedy następnym razem będą się starać o wizę? Bądźmy poważni!

- Hmm - odparłem, naradzając się z moją rakszi.

- No więc, co masz? - spytał Freds.

- Wszystko. Mam trochę dalekich ujęć, jak znajdujecie ciało - ha! - myśleliście, że to mi się nie uda, co? Mówię wam, filmowałem wasze myśli! Mam to, a potem angoli, jak wchodzi po grani - wszystko. Zrobię z was wszystkich gwiazdy.

Wymieniłem z Fredsem pełne ulgi spojrzenia.

- Pamiętaj o pseudonimach - powiedziałem.

- Jasne. A kiedy to zmontuję, sami nie poznacie, gdzie było ciało, a jeszcze jak dodam pseudonimy i tak dalej, to naprawdę myślę, że Marion i tamci będą zachwyceni, nie? Oni są po prostu nieśmiali. Jakie to staroświeckie! Wyślę im wszystkim kopie ostatecznej wersji i na pewno będą zachwyceni. Szczególnie Marion. Będzie wyglądać cudownie - zamachał cygarem, a jego twarz przybrała wyraz maślanej tęsknoty. - Dobra, coś wam powiem w tajemnicy. Chcę tę jedną kopię dostarczyć osobiście i zrobić z tego część moich oświadczeń. Myślę, że ona mnie lubi i założy się, że kiedy zobaczy film, zgodzi się wyjść za mnie. Jak myślicie?

- Jasne - odparł Freds. - Czemu nie? - zastanawiał się nad tym przez chwilę. - A jak nie w tym życiu, to w następnym.

Arnold spojrzał na niego niepewnie.

- Chcę ją zaprosić na moją następną wyprawę, szykują się Chiny i Tybet. Wiecie, że Chińczycy dają ostatnio trochę więcej swobody religii w Tybecie? Kiedy wychodziłem z pensjonatu, recepcjonista dał mi telegram. Mój agent pisze, że władze w Lhasie postanowiły odbudować sporo klasztorów buddyjskich, które zburzyli podczas Rewolucji Kulturalnej i zanoszą się na to, że będę mógł sfilmować niektóre z nich. Powinien wyjść z tego niezły wyciskacz łez i założyć się, że Marion będzie chciała to zobaczyć, co?

Freds i ja uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Ja sam chciałbym to zobaczyć - oznajmił Freds. - No to za klasztory i wolny Tybet!

Wypiliśmy toast i zamówiliśmy jeszcze jedną butelkę. - A na razie ten materiał z Mallorym to bomba. - Arnold zamachał cygarem. - Będzie z tego film jak cholera.

## **XXI**

Dlatego właśnie mogę wam o tym wszystkim opowiedzieć.

Potrzebę zachowania tajemnicy będzie można wyrzucić do kosza, jak tylko nadadzą film Arnolda Dziewięcioro przeciwko Everestowi: siedmiu mężczyzn, kobieta i zwłoki. Słyszałem, że spodobał się w PBS i BBC, powinni go więc puścić lada dzień.

Sprawdzajcie program telewizyjny.





## Część 3

# Cała prawda o Szangri-La

W Nepalu mawia się, że wczesny monsun przynosi szczęście, ale to kłamstwo w żywe oczy. Jeżeli mogę coś na ten temat powiedzieć, to wczesny monsun przynosi tylko więcej deszczu, niż zwykle spada pod koniec wiosny i na początku lata. Weźmy na przykład rok 1987, kiedy monsun przyszedł w maju. Były wtedy same kłopoty, zwłaszcza w miejscu, które znacie pewnie jako Szangri-La. Od razu wyjaśnię, że Szangri-La to nie jest prawdziwa nazwa tej doliny; nazwali ją tak tylko w filmie i pewnie musieli się przesłyszeć, bo prawdziwa nazwa brzmi Szambhala. Szambhala to ukryte tybetańskie miasto, kolebka najstarszej mądrości świata, święta i tajemna twierdza tybetańskiego buddyzmu. Prawdę powiedziawszy, stamtąd wywodzą się wszystkie światowe religie. Ja sam spędziłem tam ładny kawałek czasu z moim nauczycielem Kungą Norbu Rimpocze, więc kiedy Kunga przybył do Katmandu, żeby powiedzieć mi o kłopotach w Szambhali, wiedziałem od razu, że moim obowiązkiem jest pomóc wszelkimi sposobami.

Otóż rozeszła się pogłoska, że Nepalczycy planują przedłużyć jedną z górskich dróg aż do wioski w górach, która leży tak blisko Szambhali, że groziło to poważnym niebezpieczeństwem. Droga sprowadziłaby w tamte okolice tylu ludzi, że tajemnica musiałaby się w końcu wydać, a to byłby koniec świętej doliny.

Kiedy Kunga Norbu wyłożył mi istotę problemu, zrozumiałem, że ratunkiem jest mój kumpel George Fergusson. George świetnie zna się na smarowaniu trybów nepalskiej biurokracji, żeby załatwić różne rzeczy dla swojego interesu z trekkingiem, więc wymyśliłem, że ma doświadczenie w dziedzinie, o którą nam chodziło.

Kiedy jednak zostawiłem Kungę Norbu w tybetańskim obozie w Patanie i wróciłem do hotelu Gwiazda, żeby zagadnąć o to George'a, ten nie okazał wielkiego entuzjazmu.

- Nie ma mowy - powiedział. - Zupełnie bez szans. Ty i twój guru już raz prawie mnie zabiliście.  
- Daj spokój - mówię mu. - Chcemy tylko powstrzymać projekt rozbudowy małej drogi.  
- Nie ma mowy, Freds! Cały czas muszę się tu użerać z biurokratami, po co miałbym narażać się na jeszcze więcej?

- George, o to właśnie chodzi. Potrzebny nam specjalista.

I posłuchaj, za tym stoi coś jeszcze, o czym nie mogę ci powiedzieć.

Rozumiesz, powody mistyczne.

George zmarszczył brwi i powiedział:

- Nie próbuj mnie znowu naciągać na te twoje bajania, Freds.

- Miało to znaczyć, że nie powinienem wykraczać poza półmetrowy horyzont jego poglądów wziętych z reklam proszku do prania.

Raz czy dwa zdarzyło mu się jednak wyściubić nos za ten krąg, a kiedy już raz było się na zewnątrz, to nie można zupełnie wrócić, choćby się nie wiem jak próbowało. Dlatego właśnie pomiędzy oczami George'a pojawiła się zmarszczka namysłu, chociaż ciągle kiwał palcem.

- Daj spokój - mówię mu.

- Pierdzielę to i tyle.

Okazało się, że coś, co czytał w "The International Herald Tribune", zepsuło mu humor. Siedział teraz rozwalony na leżaku, chłonąc poranne promienie słońca na tarasie znajdującym się na dachu holu Gwiazdy, najarany, jadł wafelki Nebico, popijał budweisera, czytał

"Tribbie" sprzed tygodnia i od czasu do czasu zagadywał dwie panienki z Danii ubrane w

bikini. Powinno więc być jak w Monsunowym Raju Katmandu, a tymczasem dopadło go przygnębienie z powodu artykułu, który właśnie przeczytał. Przerzucił kilka stron, żeby mi go pokazać.

- Widzisz? Aż się wierzyć nie chce! Zespół z Uniwersytetu Waszyngtońskiego skorzystał z satelity i, cholera jasna, stwierdzili, że K2 jest wyższy niż Everest.

- A wydawałoby się, że coś takiego trudno jest ocenić z satelity. - "Według najnowszych danych K2 ma 8859 metrów, zaś oficjalna wysokość Everestu wynosi nadal 8848 metrów". Nieprawdopodobne! - Był naprawdę zrozpaczony. - Te wszystkie wyprawy na Everest, całe to bohaterstwo, ludzie oddający życie - i to wszystko dla drugiej góry na świecie? Co za pieprzona ironia, chłopie. To okropne.

- Zwłaszcza, że ty też zaliczasz się do tych oszukanych himalaistów, którzy ryzykowali wszystko dla numeru dwa - mówię mu.

- Ciszej. - Rozejrzył się dookoła. - Pewnie, że jestem rozczarowany. A ty to nie?

- Musieliśmy ciągnąć twój tyłek pod tę górę, George. Nienawidziłeś tego.

- Oczywiście, że tak. Bo to była głupota, tak jak wyście to zrobili, bez żadnego wsparcia, bez planu. Ale wiesz, skoro już tego dokonaliśmy, to przecież tylko to się liczy. Wleźliśmy na tego wielgacha.

- Zawsze możemy cię zabrać na K2.

Nic nie odpowiedział.

- Prawdę mówiąc - zacząłem, widząc nadzieję - jest przecież możliwe, że Kunga Norbu będzie musiał wspiąć się na K2, żeby wypełnić zobowiązania wobec Dorjee Lamy. A wtedy jego towarzysze mieliby mistyczny obowiązek wejść razem z nim.

- Ha - powiedział George i zmarszczka między jego oczami pogłębiła się.

- Wiesz zresztą, że Kunga potrafi nakłonić ludzi, żeby robili to, co on chce. Jak wtedy, kiedy przekonał cię do wejścia na szczyt Czomolungmy.

- Tylko mu nie mów o tej aferze z nowymi obliczeniami - zmarszczył brwi.

- Oczywiście. Nie mam nawet czasu, żeby mu o tym powiedzieć, George. A co do mojej sprawy, to potrzebna nam jest twoja pomoc. Tutaj, w Katmandu. W wolnej chwili przeszedłbyś się po prostu parę razy do biur rządowych. Podczas pory monsunowej nie masz przecież nic do roboty i umierasz z nudów.

- Dobra - westchnął. - No więc, co to za wielki problem? - Budują drogę do Czuhle.

Będę tak nazywał tę wioskę, chociaż nie jest to jej prawdziwa nazwa.

- No to co?

- George - mówię mu - budują drogę przez dziewicze obszary Himalajów, tam gdzie nigdy nie było żadnej drogi!

- Aaa! To taki numer. Koniec z jeszcze jednym terenem do trekkingu. Ale to nie jest żadna popularna trasa, prawda?

To był cały George. Podobnie jak wielu fanatyków wspinaczki z Zachodu widział w Nepalu tylko przeogromny, górzysty plac zabaw, z mnóstwem haszu i sporą dawką egzotycznego, niezwykłego folkloru na dokładkę. Miejsce, gdzie za parę patoli możesz żyć jak zbiedniały król, jeśli nie przeszkadzający choroby i okropne jedzenie.

Byczył się więc na słońcu, prowadził wyprawy, chodził w góry, nie zwracając sobie głowy całą resztą, i podobnie jak inni, którzy mieszkali tu długo, doszedł do tego, że nienawidził turystów, bo byli ignorantami, i gardził miejscowymi, bo też byli ignorantami, aż w końcu w całym Nepalu nie było już nikogo, kto byłby sensowny, oprócz niego i jego kumpli, chociaż, jak się to mówi, oni też

byli podejrzani.

Z początku więc nie rozumiał. Ale nie był taki zły jak niektórzy, a przynajmniej taką miałem nadzieję.

- Daj spokój, George. Zabiorę cię do Marco Polo na obiad i zdradzę trochę więcej tajemnicy. To dosyć skomplikowana opowieść.

Więc George włożył podkoszulek i spodenki, a potem zeszliśmy po schodach obok najaranych recepcjonistów w holu. Było gorące i parne południe, codzienny deszcz miał zaraz lunąć i wszyscy w hotelu wyglądali jak w transie, z wyjątkiem kobiety z dzieckiem przypasanym do boku, zgarbionej przy zamiataniu podwórza małą miotełką. Wyszliśmy z hotelu, minęliśmy Antykwariat Tantryczny i zagłębił się w Thamelu, hotelowej dzielnicy Katmandu. W czasie

, monsunu ruch tu zamiera, co oznaczało, że taksówkarze, handlarze dywanów, koniki, sprzedawcy haszu i żebracy bardziej niż zwykle starali się przyciągnąć naszą uwagę.

- Hej, panie Nie! - wrzeszczeli do George'a i śmiali się, kiedy skakał po wąskich pasach błota między kałużami, powtarzając jak zwykle swoje "Nie, nie, nie, nie" każdemu, kogo mijał, bez względu na to, czy ten go zaczepił, czy nie. George był odprężony, rozpierała go energia. Czuł się świetnie, bo robił, co do niego należało, i wszyscy to widzieli, taki typowy poszukiwacz przygód z Los Angeles, metr dziewięćdziesiąt, zbudowany jak rozgrywający, przystojny szatyn w niedbałym typie Steve'a Garveya i tak wyluzowany, że można by na nim wiązać supty, tak wyluzowany, że cały uliczny ludź naprawdę podziwiał ten jego styl na "nie". I wszystko było dobrze z wyjątkiem faktu, że po przejściu George'a tamci mieli tak samo mało rupii jak przedtem. Sam się powinienem nauczyć robić tak jak on, ale na razie mi się nie udaje, dlatego przeważnie chodzę po okolicy bez grosza przy duszy, żeby nie móc nic rozdawać, tym razem jednak miałem tyle, ile potrzeba było na obiad dla mnie i George'a. No i oczywiście wpadliśmy na tego żebraka, którego ciągle widywaliśmy, bezdomnego gościa, który krążył po Thamelu, ciągnąc za sobą córeczkę. Wystawali tak, trzymając się za ręce, facet szczerzył się w szczerbatym uśmiechu, a dziewczynka, może sześćioletnia, robiła to samo, oboje wyciągali wolne ręce i nie najgorzej na tym wychodzili.

Ja oczywiście nigdy nie potrafiłem im się oprzeć, a tego dnia, po tym jak George rzucił im swoje "nie", ja dałem im pieniądze na nasz obiad, kombinując, że uda mi się namówić George'a, żeby za mnie wyłożył, i wtedy można by powiedzieć, że to on wspomógł żebraka i jego pomocnicę, a ja zafundowałem obiad, tak jak zamierzałem.

George nie przeczuwał moich intencji, ale kiedy obejrzał się i zobaczył, co zrobiłem, był na mnie oburzony.

- Zachęcasz ich tylko w ten sposób, Freds.

- Taa, wiem.

George w ogóle nie litował się nad tym żebrakiem ani nad żadnym innym, ani w ogóle nad całą resztą tego ulicznego ludku.

Kiedyś, pamiętam, szczególnie się umęczyliśmy, przechodząc wąską główną ulicę. George obejrzał się wtedy na cały ten gapiący się na nas tłum i zaczął chichotać.

- Oni wyglądają zupełnie jak kręgle, nie, Freds? Stoją tam tak, że aż chciałoby się... hej, poczekaj no chwilę - pobiegł do piekarni Niemiecki Pumpnikiel i wyszedł stamtąd z wielkim, niemnym biszkoptem, który wielkością i konsystencją rzeczywiście mógł przypominać kulę do kręgli, zrobił w niej dziury na palce, a potem wziął rozbieg, obrócił się i potoczył biszkopt w sam środek tłumy, śmiejąc się przy tym jak wariat.

- Ryzykujesz reinkarnację w coś małego i obracającego się - powiedziałem mu, ale mnie nie usłyszał.

Tym razem jednak dotarliśmy do knajpy bez żadnych incydentów.

- Posłuchaj, George - powiedziałem do niego, gdy jedliśmy pizzę w naszym kameralnym kąciku przy oknie w Marco Polo - wiesz dobrze, co się stanie, kiedy zbudują drogę przez górską wioskę.

- Można będzie tam dojechać.

- No właśnie! Można będzie tam dojechać, można stamtąd wyjechać. Cała wieś pójdzie w cholerę. Zamieni się w ruinę.

- Nie rozczulaj się za bardzo, Freds.

- Nie rozczulam się! Znasz Jiri?

- Taa. - Zmarszczył brwi.

- To była piękna wieś, dopóki nie poprowadzili do niej drogi.

Nie wierzył mi.

- Freds, oni najpierw robią od cholery różnych badań, żeby mieć pewność, że wszystko będzie jak trzeba.

To już była taka głupota, że wiedziałem, iż sam w to nie wierzy.

Po prostu chciał mnie zbyć.

- Karaluch.

- Gdzie?

- W to się właśnie zamienisz.

Wyjrzałem przez okno. Przeważnie podoba mi się widok z drugiego piętra w Marco Polo, barwne dywany wyłożone na ulicach przed sklepami, wyżej balkony pokryte grubymi materacami, parującymi lekko na słońcu, nad nimi modlitewne chorągiewki i splątane druty telefoniczne na dachach tak starych, że porastają je wspaniałe trawniki zielonych chwastów i pożółkłej trawy. A w tle ogromne, pałacowe sosny i niewyraźny zarys Himalajów w oddali. Jednak tego dnia nad miastem wisiały groźne chmury monsunowe, materace i dywany wniesiono do środka, a w ponurym, deszczowym powietrzu budynki wyglądały jak rudery. W posępnej sali restauracji goście przeżywali wytrwale, próbując odsunąć od siebie wrażenie, że przeniesiono ich do orwellowskiego świata, gdzie jedzenie ma smak tektury, i to nie tylko ciasto z pizzy, ale także pasta pomidorowa, ser i warzywa, w ogóle wszystko, z wyjątkiem dużych, powyginanych i czarnych chińskich grzybów, które zgodnie ze swoją grzybią naturą układały się na talerzach w niesamowite wzory i z każdym ohydny, gumiatym kęsem sugerowały poważny błąd mykologiczny, popełniony w wytwórni konserw.

Nie był to radosny widok. A ja użerałem się z upartym, podstępny, leniwym przyjacielem i było jasne, że będę musiał poważnie naruszyć zasady bezpieczeństwa, żeby namówić go do tego, o co nam chodziło.

- George - powiedziałem znużonym głosem - czy potrafisz dochować tajemnicy?

- Jasne.

- To ważne, George. Tak jak z Nathanem i Buddą, rozumiesz?

- Dobra. - Wyglądał na obrażonego. - Czy kiedyś komuś powiedziałem o tamtym?

- Nie wiem. Ale o tej sprawie na pewno nie możesz mówić nikomu. Widzisz, zaraz za końcem tej drogi, którą chcą zbudować, jest wieś, dosłownie w następnej dolinie. I to nie jest zwykła wieś.

To wieś Kungi Norbu.

- Myślałem, że to Tybetańczyk.

- To wioska tybetańska.

- Tybetańska wieś w Nepalu?

- Leży na granicy, na samej grani, gdzie linia graniczna jest niezbyt pewna. To w... - wymieniałem jedno z na wpół niezależnych, maleńkich i starych królestw, które są częścią Nepalu, ale

wcinają się w terytorium Tybetu zgodnie z zygzakami grani Himalajów.

George kiwnął głową. Wiedział, że wielu górali nepalskich pochodziło z Tybetu: Szerpowie na wschodzie, Bhotanie na zachodzie

("Bhotanie" znaczy po nepalsku "Tybetańczycy"), więc nie była to taka niezwykła sytuacja. - Niedaleko stamtąd wypuściliśmy Budde - powiedział.

- Owszem. To wyjątkowa okolica. - Opowiedziałem mu, jaka to cudowna kraina, podobna do Khumbu, tylko zupełnie dziewicza.

Budda i inne yeti mieszkają tam w górskich lasach, i w ogóle jest tam mnóstwo wyjątkowych rzeczy. George jadł, kiwał głową i wcale nie sprawiał wrażenia, jakby miał ochotę cokolwiek zrobić w tej sprawie.

- No więc, co to za tajemnica? - zapytał.

Był ciekawy tylko dlatego, że chciał znać tajemnicę, to było widać. Jest jednak wielka różnica pomiędzy wiedzą, do której trzeba przymuszać, a taką, o którą się prosi, więc nachyliłem się szybko i powiedziałem mu naprawdę cicho:

- Ta wieś to Szangri-La.

- Daj spokój, Freds. To nazwa z filmu, wymyślona. Zagubiony horyzont.

- Taa, racja. Nie sądziłem, że będziesz o tym aż tyle wiedział.

Naprawdę nazywa się Szambhala. Bez względu na nazwę, to jest to samo miejsce.

- Myślałem, że Szambhala jest w północnym Tybecie albo w Mongolii.

- Rozpuszcza się o tym sporo fałszywych pogłosek. Ale wieś jest przy granicy i ma teraz kłopoty przez tę drogę, którą chcą budować.

George wlepił we mnie wzrok.

- Żartujesz, tak?

- Żartowałem, że Kunga Norbu jest tulku? Żartowaliśmy z Nathanem, mówiąc ci o Buddzie?

Mlaskał przez chwilę, zastanawiając się.

- Nie wierzę ci - powiedział w końcu.

- Po co miałbym kłamać.

- Nie kłamać, ale może ktoś cię nabrał. No bo skąd wiesz, że to właśnie Szambhala?

- Byłem tam. Spędziłem tam jakieś pół roku.

Znów wlepił we mnie wzrok.

- Freds, do cholery, jakim cudem spędziłeś pół roku w Szambhali? Może i wy się nad tym zastanawiacie. Prawdę mówiąc, ja też nie jestem pewien. Jakim cudem Freds Fredericks, słynny obrońca Razorbacksów, który porzucił szkołę weterynaryjną, został buddyjskim mnichem i dobrze poznał świętą i tajemną dolinę Szambhala?

Naprawdę, sam nie wiem. Niektórzy mają dziwną karmę i zmagają się z nią całe życie; tyle tylko można na ten temat powiedzieć. Dla mnie to się zaczęło w jakiś sposób, kiedy byłem na ostatnim roku w Davis w Kalifornii. Tak właśnie próbowałem wytłumaczyć to George'owi. Wiadrami piłem tam piwo po halowych rozgrywkach futbolowych gdzieś w 1976 i podsłuchiłem, jak jedna laska przy naszym stole wyjaśniała, że jest wegetarianką. Nie uznaje zabijania zwierząt, bo jest buddystką. Pomyślałem sobie, że to ciekawe. A tej samej nocy, nadal pijany, wynosiłem worek ze śmieciami z naszego laboratorium do śmietnika za budynkiem, i kiedy wrzucałem worek, usłyszałem, jak ze śmietnika dochodzi jakieś skowyczenie. Sprawdziłem to, wyciągając worki ze śmieciami, przerażony tym skowycem, i w końcu odkryłem jego źródło, którym był pies wykorzystywany na ćwiczeniach. Dają im narkozę, potem kroją je na różne sposoby, żeby pokazać, jak wyglądają zwierzęce wnętrzności, a na koniec je usypiają. W szkołach weterynaryjnych robi się to ciągle. Tym

razem jednak ktoś coś spieprzył, albo może pies był szczególnie wytrzymały, bo nie udało im się go wykończyć i leżał tak, bez tylnych nóg i większości jelit, skowycząc i patrząc na mnie, jakbym mógł mu pomóc. A ja mogłem co najwyżej skrócić jego cierpienia. Chwycił mnie słabo zębami, kiedy próbowałem rąk, butów i plastikowych toreb; przetrzymał wszystko, aż wreszcie złamałem mu kark pokrywą od śmietnika. Potem łąziłem jakiś czas, w końcu znalazłem się na boisku. Popatrzyłem wtedy na parking po drugiej stronie ulicy, zobaczyłem, jak zapala się i gaśnie okrągły znak

"U. C. Davis" i coś się we mnie ruszyło - później zrozumiałem, że to moje bodhi, czyli przebudzenie do prawdziwej natury rzeczy - i powiedziałem do tego boiska: "Cholera, jestem buddystą".

Nie wiedziałem nawet, co to miało znaczyć. Rzuciłem jednak szkołę weterynaryjną i okazało się, że w tym samym czasie paru moich kumpli wybiera się do Nepalu, żeby ściągnąć trochę haszu, więc pojechałem z nimi. Nikt z nas nie wiedział o Nepalu nic a nic, z wyjątkiem tego, że miało tam podobno być pełno haszu i buddyzmu. To się nam sprawdziło, bawiliśmy się więc nieźle w Katmandu, ale po jakimś czasie znudziło się nam i postanowiliśmy wyruszyć na wyprawę, bo wyglądało, że wszyscy za tym szaleją. Było to około pierwszego sierpnia, w samym środku największego monsunu. Byliśmy zupełnie zieloni i nie mieliśmy w ogóle pojęcia, że jest pora trekkingowa i pora nietrekkingowa, a goście ze sklepów z wielką radością wypożyczyli nam sprzęt. Wyruszyliśmy więc autobusem do Lamosangu i zaczęliśmy wędrować w kierunku Everestu. Naturalnie, nie przejaśniało się ani na chwilę, wszystkie szlaki były pod wodą, a my mieliśmy fatalne jedzenie i piliśmy wodę ze strumieni, która wyglądała na klarowną i czystą. Okropnie się od tego pochorowaliśmy, cały czas gryzły nas pijawki i w sumie nie za bardzo wiedzieliśmy, na czym ma polegać cały ten urok trekkingu. Naprawdę, byliśmy tacy zieloni, że myśleliśmy, że jak mówią "murki mani", to chodzi o murki money. Myśleliśmy, że za każdym razem, kiedy mijamy murek mani, przechodzimy obok wiejskiego banku, każdy kamień jest jak banknot tysiąc dolarowy czy coś takiego.

Wydawało się nam, że wykombinowali tu bardzo sprytny sposób, żeby skończyć z napadami na banki. Dziwiło nas tylko, kiedy mijaliśmy jeden za drugim te murki, że ci goście mają takie mnóstwo forsy, a w ogóle nie kupują sobie ubikacji. Dosyć to głupie, jak się nad tym zastanowić, ale myśmy się nie zastanawiali, tylko ciągle wędrowaliśmy, chorzy jak neptki, bo postanowiliśmy zobaczyć Everest albo umrzeć. Krótko mówiąc, zanosilo się na nieszczęście.

Jednak pewnego ranka wstałem wcześniej, żeby iść się wysikać, wyszedłem z herbaciarni i zobaczyłem, że wszystkie chmury zniknęły. Pierwszy raz nie byliśmy wtedy uziemieni przez pogodę, bo do tej pory nie widzieliśmy nic wyższego od czubka naszych czapek i wędrowaliśmy przez las i mgłę, jakbyśmy byli w mętnej Amazonce. Więc kiedy tamtego ranka wyszedłem za próg, byłem pełnym debiutantem, jeśli chodzi o prawdziwe himalajskie widoki, a pochodzę z Arkansas.

Myślę, że każdy nabiera poczucia właściwej wielkości rzeczy w domu i w dzieciństwie, a tam, skąd pochodzę, doliny nie były większe od farm, rzeki przypominały strumyki, które można było przejść prawie w każdym miejscu, a góry były pagórkami wysokimi w najlepszym razie na sto metrów. Taki krajobraz miał swoją skalę i dla mnie tak wyglądał świat, to był normalny porządek rzeczy, do tego byłem przyzwyczajony. Kiedy więc w Dudh Kosi wyszedłem z herbaciarni i rozejrzałem się dookoła, mrużąc oczy przed porannym światłem, głęboko w dole tej przeogromnej wyrwy w kuli ziemskiej, która najwyraźniej była doliną, i to taką, że potrzeba by całego dnia na jej przejście i tygodnia, żeby się wspiąć na jej zbocze - wtedy, stojąc przed tą głęboką na dwa kilometry doliną, nad którą wysoko, bardzo wysoko wznosiły się pionowe, ostre, śnieżno-skalne, olbrzymie, niewiarygodnie wielkie góry...! Gdybym nie zacisnął zębów, serce wyskoczyłoby mi przez gardło. Od tamtego dnia nigdy nie porzuciłem Himalajów.

Rozumiem zresztą, że to nie tłumaczy do końca, w jaki sposób zostałem tybetańskim mnichem, ale gdybym chciał opowiedzieć całą historię o tym, jak spotkałem Kungę Norbu, stałem się jego uczniem i potajemnie przedostałem się do Tybetu, to trwałoby to wieczność, zresztą George dziwnie mi się przyglądał, kiedy mówiłem mu o swojej przeszłości. Teraz właśnie skończył jeść i zamachał ręką, żebym przestał.

- Szambhala, Freds, Szambhala. Opowiadałeś mi o Szambhali.

- Owszem.

- Mógłbyś mnie tam zabrać?

- Jasne. A chcesz iść?

- Czy chcę odwiedzić Szambhalę? Czy chcę zobaczyć Szangri-La? Cholera, Freds - dlaczego od tego nie zacząłeś?

- Bo nie chodzi o to, żeby tam jechać. Chodzi o to, żeby ją uratować, i trzeba to zrobić tutaj. Poza tym, nie uwierzyłbyś mi, gdybym przyszedł i spytał cię ni stąd, ni zowąd, czy chcesz odwiedzić Szambhalę.

- Ciągle ci nie wierzę, Freds. Ale mamy monsun i nie ma nic innego do roboty. A jeżeli masz rację, to... - uśmiechnął się. - Zabierz mnie tam i pokaż mi to, a ja już ci tu pomogę. Dwa dni później, o świcie, opuściliśmy więc hotel Gwiazda, obudziliśmy jednego z taksówkarzy, któremu wszędzie było dobrze, ale najlepiej we własnym samochodzie, i kazaliśmy mu zawieźć nas na Centralny Przystanek Autobusowy. Tam zlokalizowaliśmy naszego sprzedawcę biletów, który poprowadził nas przez błoto pomiędzy zepsutymi autobusami do starego, zdezelowanego gruchota wypełnionego po brzegi pasażerami. O każdej innej porze roku ruszylibyśmy prosto na dach i tam podróżowalibyśmy z klasą, ale ponieważ był monsun, musieliśmy wpełznąć się do środka. Nasze miej sca zajął jakiś człowiek z plemienia Rawang z żoną i córkami, usiedliśmy więc na podłodze między przednimi siedzeniami a ścianką oddzielającą pasażerów od kabiny kierowcy. Jakąś godzinę później zaczął się typowy wyjazd z Katmandu. Odjazd ze stanowiska i przystanek, żeby zrzucić autostopowiczów, którzy wskoczyli na dach podczas wjeżdżania na zabłocony podjazd. Przystanek po benzynę. Przystanek w południowej dzielnicy na znalezienie jakiejś części do silnika. Przystanek na naprawienie gumy. A kiedy założono już zapasowe koło, okazało się, że zepsutego nie można w żaden sposób zamocować pod autobusem, tam gdzie było zapasowe. Próby trwały całą godzinę, nawet kierowca wysiadł, żeby się temu przyjrzeć. Facet był wielki i miał czarne wąsy, wyglądał jak ex-Gurkha i nic nie mogło go poruszyć.

Zajmował się wyłącznie kierowaniem, obsłudze pozostawiając radzenie sobie z innymi kłopotami, które pojawiały się w każdej podróży, więc spojrzenie na to nie dające się przymocować koło było prawdziwym ustępstwem. Na koniec wzruszył ramionami i wskazał palcem, a reszta obsługi kiwnęła głowami, wróciła do autobusu i zepchnęła stojących w przejściu pasażerów do tyłu, po czym zepsute koło wtoczono po schodach między rzędy i stało tam, równe wysokością z niektórymi pasażerami, ale znacznie bardziej zabłocone.

Opuściliśmy więc Katmandu w południe, choć wyjazd zaplanowany był na siódmą, co i tak było niezłym osiągnięciem. W Nepalu każda jazda autobusem to przygoda; ja to uwielbiam, ale George nie bardzo. Tym razem wpadł w trans i powtarzał, że chce uciekać. Za każdym razem, gdy wychodził z tego transu, spoglądał do kabiny kierowcy i widział mechanika z zapalonym papierosem w ustach, który wtykał głowę przez klapę do silnika i poprawiał tam coś, choć silnik pracował. Wtedy George jęczał i znów pogrążał się w transie.

Zaraz obok koła ktoś ustawił w przejściu drucianą klatkę z kurczakami i za każdym razem, gdy stworzenia patrzyły w górę, wyobrażały sobie, że zaraz zostaną przejechane, darły się więc jak



opętane, po czym zasypiały z wyczerpania nerwowego, a następnie budziły się po to tylko, żeby znowu przejść przez ten sam koszmar. Obok kurczaków siedziała trójka trekkingowców ze Szwajcarii, wdychając gęsty dym papierosów i opary benzyny, jakby to była ambrozja.

Spotyka się czasem w Azji takich szwajcarskich podróżników, których tak przycisnęła szwajcarskość w stylu Pana Propera, że pęka im kompas w środku i nie ma już dla nich nic lepszego, jak tkwić po kolana w gnoju niektórych źle zarządzanych zakątków Azji. Wtedy przybierają błogi wygląd Ludviga van Ninth i uświadamiają sobie, że nigdzie indziej nie mogliby być żałośniejsi nieszwajcarscy. Taka podróż autobusem była więc dla nich niesamowitą frajdą.

Tymczasem telepaliliśmy się przez dolinę Katmandu, na wschód albo na zachód, nie powinienem wam tego mówić. Dolina wyglądała jak zwykle sennie, słońce przesączało się przez monsunowe chmury, tak że zielenie wybijały się jak na reklamach Kodaka, a wioski wyglądały z daleka jak małe plamki brązu otoczone kwitnącymi na różowo albo lawendowo drzewami. Pola wczesnego ryżu wznosiły się setkami tarasów w chmury, aż trudno było się zorientować, jak daleko jest stok, bo nie można było uwierzyć, że ktoś urobił tarasy tak drobno. Szczyty wzgórz zasłaniało sklepienie z chmur, które obniżało się i ciemniało, aż wreszcie uroki krajobrazu zostały całkowicie zmyte przez strugi deszczu tak rzęsiście, że wyglądało to, jakby Bóg zaczerpnął Ocean Indyjski i zrzucił go na nas. Typowe monsunowe popołudnie. Myślę, że kierowca nie widział nic za szybą, ale pochylił się tylko odrobinę i jechał jakby nigdy nic.

Nie było już nic do roboty oprócz rozmyślenia albo obserwowania sprawności kierowcy, na ślepo manewrującego pomiędzy olbrzymimi wybojami i prowadzącego pojazd po osuwiskach, które zupełnie pochłonęły drogę. Nigdy ich nie usuwano, tylko rozjeżdżano tak często, że tworzył się nowy szlak, dziwnie pofalowany i nachylony. Nasz kierowca jednak sunął do przodu w marszowym tempie, reagując na każdy wstrząs i szarpnięcie i omijając w ten sposób złe miejsca. Silnik rzeźił na takich samych obrotach jak koła, a od czasu do czasu wpadaliśmy bezpiecznie na prawdziwą drogę i wtedy śmigaliśmy maksymalną prędkością około czterdziestu kilometrów na godzinę.

Kiedy już nasze pęcherze były bliskie pęknięcia, a mózgi prawie się porozbijały, autobus zatrzymał się w przydrożnej wiosce. Jej mieszkańcy zgromadzili się dookoła, żeby nas powitać, a my przebiliśmy się przez nich jak przez młyn na boisku i popędziliśmy drogą za wioskę, żeby się załatwić. George, ja i Szwajcarzy zyskaliśmy szczególną popularność wśród dzieciaków ze wsi, więc sikaliśmy w krzakach w towarzystwie licznej widowni, która chichotała, gdy próbowaliśmy nie dotykać wzrokiem ani butem smętnych i obfitych oznak problemów gastrycznych wszystkich podróżnych, którzy byli tu przed nami. Wieś przy drodze musi oczywiście mieć większe pole do srania niż zwykła wieś w górach, ale po minie George'a poznałem, że nie muszę zwracać mu na ten fakt uwagi.

Wróciliśmy do centrum wsi i zasiedliśmy przy stole pod długim, blaszanym dachem. Pas między rzeką a drogą nie był zbyt szeroki, a ta wiata zajmowała jego większość. Po drugiej stronie drogi i wyżej, na stoku, opustoszałe domy powoli obracały się w ruinę. Milczące kobiety podawały nam wielkie, metalowe talerze z papkowatym dhal baat, a dzieciaki otoczyły nas, żebrząc o pieniądze. Jeden taki gość, który wyglądał na jakieś osiem lat, ale równie dobrze mógł mieć czternaście, palił skręta i powtarzał bez przerwy: "Cukierek?

Fajka? Dolar? Długopis?" Gromada młodszego drobiazgu ganiała świnie od jednej kałuży do drugiej, ciągnąc ją za ogon, tak że mało brakowało, a wpadłby na nich nadjeżdżający jeep. Ludzie wybiegli, żeby powitać jeepa, ale samochód się nie zatrzymał.

George odsunął dhal baat i kupił butelkę lemoniady i dwie paczki wafelków Nebico. Odpowiadało to jego zasadniczej strategii kulinarnej na wyprawach, którą określał jako jedzenie

profilaktyczne.

Widzicie, on nigdy naprawdę nie doszedł do siebie po pierwszym spotkaniu z talerzem dhal baat, w którym ryż nie był dobrze wypłukany, więc smakował, według jego własnych słów, jakby brać zwykle błoto i jeść je prosto z z i e m i. Potem robiło mu się niedobrze od samego spojrzenia na tę papkę, więc skończyło się nie tylko na profilaktycznym zażywaniu antybiotyków, co oznaczało codzienne ładowanie w siebie tabletek w nadziei, że bakterie się przestraszą i nie będą się go czepiać. Poza tym George nie jadł nic oprócz gotowanych ziemniaków, które sam sobie przygotował, jajek na twardo, które sam sobie obrał, wafelków Nebico, które sam rozpakował, i wody, którą przefiltrował i trzy razy odkaził. Nic to nie dawało, ale czuł się od tego lepiej.

Siedzieliśmy więc tam, George jadł placebo zgodnie ze swoją dietą, chmury sikały na nas, wieśniacy albo stali dookoła małego, drewnianego piecyka pod dachem, albo rzucali się, żeby powitać przejeżdżające z rzadka pojazdy, a wszystko to razem wyglądało jak sztuka odegrana na cześć George'a, zatytułowana: Upadek nepalskiej wsi przydrożnej. Tylko, że to była prawda. Budowano drogi i ludzie albo korzystali z nich, żeby wyjechać i powiększyć rzeszę bezrobotnych w Katmandu, albo zostawali i próbowali żyć z ruchu na drodze, co mogłoby się udać, gdyby próbowało tylko kilkoro z nich. Skoro jednak chwyтали się tego wszyscy, nikomu nie mogło się powieść, a dookoła tarasy rozpadały się od deszczu.

Nie powiedziałem o tym ani słowa do George'a. Pozwoliłem po prostu, żeby sam na to patrzył.

Godzinę później obsługa autobusu uznała, że czas jechać, więc wsiedliśmy wszyscy, wtłoczyliśmy się na nasze miejsca i autobus ruszył mniej więcej o tej porze, o której mieliśmy według rozkładu dojechać do celu podróży. Niezadługo odbiliśmy w lewo, na drogę, która wyglądała jak wyjeta wprost z podręcznika inżynierii: wąska nitka asfaltu szerokości może dwóch autobusów w najszerszym miejscu, czarna jak węgiel i idealnie gładka, z betonowymi poboczami, wspornikami, filarami i drenami. Zbocza nad licznymi serpentynami pokryte były gęstą, drucianą siatką.

- Hej! - powiedział George, wyraźnie rozpogodzony. - Byli tu Szwajcarzy.

- Owszem - odparłem. - To właśnie tę drogę chcą pociągnąć aż do Czhule.

- Będą ją robić Szwajcarzy?

- Nie, oni już skończyli. Ktoś inny, ale nie znam nikogo, kto by wiedział kto.

Serpentyny znaczyły wzgórze jak ścieg maszyny do szycia, ale nachylenie i tak było trochę zbyt strome jak na standardy nepalskie i nasz stary gruchot sunął pod górę w spacerowym tempie, zwalniając jeszcze na zakrętach. Każdy wiraż był dla kierowcy wielkim wysiłkiem, ponieważ nasz autobus, podobnie jak wszystkie indyjskie autobusy, miał kierownicę, którą trzeba było obrócić trzy albo cztery razy, żeby ominąć kamień na drodze, a co dopiero mówić o skręcie o sto osiemdziesiąt stopni. Kierowca musiał kręcić swoim wielkim kołem, jakbyśmy jechali na diabelskim młynie, podczas gdy jeden z jego pomocników wychylał się przez drzwi i mówił mu, ile miejsca zostało, zanim wypadniemy z drogi i polecimy w dół wąwozu.

System sygnalizacyjny pomocnika składał się z panicznych wrzasków o różnym natężeniu, więc przy każdym skręcie w prawo czuliśmy, że to już koniec, a kurczaki też były tego zdania. W ten sposób upłynęło nam całe popołudnie. Pokonaliśmy drogę wyłącznie w pionie, więc dobre trzy godziny po tym, jak wyjechaliśmy z wioski przy drodze, ciągle widzieliśmy jej dachy. George nie mógł pogodzić się z tym faktem.

- Popatrz no - jęczał przy każdym zakręcie - ciągle ją tam widać.

Potem jednak wznieśliśmy się w chmury i nic już nie można było zobaczyć.

Mijały godziny i robiło się coraz ciemniej. Przez kalkomanie na szybie kierowca wbijał wzrok w gęstą mgłę, kierując autobusem dzięki telepatii. Zaczęło mi się robić ciepło i przytulnie, usypiało

mnie kołysanie autobusu, jakbym siedział w herbaciarni, a silnik był piecem. Uwielbiam takie podróże. No bo właściwie po co się żyje, jak się nad tym dobrze zastanowić? Jeśli o mnie chodzi, to właśnie dla takich dni jak ten. W końcu jechaliśmy przecież do Szambhali.

Nie można oczekiwać, że to będzie takie proste. Przeszedłszy wszystkie chwilowe emocje, George wpadł w nastrój filozoficzny.

- Lepiej żeby to, do czego mnie wiesz, istniało naprawdę - powiedział.

- Istnieje - odparłem.

Spojrzał z powątpiewaniem.

- Mogę sobie wyobrazić, że w dawnych czasach jakaś odległa dolina pozostawała ukryta, ale jak to możliwe teraz? To znaczy, co oni robią, żeby nie zobaczyły ich satelity?

- Nic. Widać ich na zdjęciach z satelitów.

- Myślałem, że to tajemne miasto.

- Bo jest, ale teraz to raczej miasto zamaskowane. Rząd w Katmandu wie o nim, ale myśli, że to po prostu jeszcze jedna wioska w górskiej dolinie zamieszkała przez Tybetanczyków. Od czasu do czasu zagląda ktoś z okręgowego pańcajat, wszyscy są dla niego mili, tyle tylko, że nie mówią mu, gdzie się naprawdę znajduje.

Klasztor nie jest aż taki reprezentacyjny, a kiedy w pobliżu są goście, lamowie się nie pokazują. Płacą podatki, wysyłają przedstawiciela do pańcajat i tak dalej, więc nikt się do nich nie wtrąca, jak do każdej innej odległej wsi.

- Czyli wioska nie wygląda magicznie?

- Nie dla poborców podatkowych.

- Żadnych złotych wież, kryształowych pałaców i tego wszystkiego?

- No, jest tego trochę w klasztorze. Ale prawda wygląda tak, że nie pojawia się tam prawie nikt z Nepalu. Ci z Katmandu uważają ją chyba za wieś tybetańską, która zaplątała się po niewłaściwej stronie, kiedy regulowali granicę z Chinami. W gruncie rzeczy to zresztą prawda. Poza tym w Katmandu nie zwraca się uwagi na wioski leżące zaraz obok, a co dopiero na takie odległe jak ta.

- Więc jest bezpieczna.

- Rzecz w tym, że gdyby miało tam przyjeżdżać zbyt wielu ludzi, tajemnica na pewno by się wydała.

- Stąd ta paranoja z drogą. - Prawda.

Dużo później zaczęliśmy zatrzymywać się w górskich wioskach, oświetlonych lampami naftowymi i reflektorami naszego autobusu.

Na każdym przystanku wysiadało kilku pasażerów, a reszta znowu wpadała w odrętwienie, aż wreszcie minęła północ i wtoczyliśmy się do zupełnie ciemnej wioski, która była Końcem Drogi. Kierowca zatrąbił klaksonem, a my wysypaliśmy się jak kaleki. Zaraz pojawili się właściciele herbaciarni i otoczyli nas ciasno.

Ściągnęliśmy nasze plecaki z dachu i stwierdziliśmy, że zamokły, a następnie poszliśmy za jakimś człowiekiem do herbaciarni, w której bywałem już wcześniej. Kiedy na miękkich nogach wkraczaliśmy do zatłoczonej sypialni na piętrze, zajrzałem do kuchni i zobaczyłem tam w nieprzyjemnym blasku lampy gazowej naszego kierowcę, jak schylony nad piecem z apatycznym wyrazem twarzy wygarniał garściami gotowany na parze ryż i pożerał go łapczywie, jednostajnymi ruchami wyjadając do czysta wielki, blaszany talerz. Dla niego był to po prostu jeszcze jeden dzień pracy, siedemnaście godzin jazdy

! koszmarnym autobusem po złych drogach, przy okropnej pogodzie, do tego jakieś dziesięć trylionów obrotów tą starą kierownicą. Po- , czułem radość, kiedy pomyślałem, że tacy homeryccy

herosi chodzą i jeszcze po ziemi. Zanim wstaniemy jutro rano, on i jego pomocnicy dawno już wyjadą z powrotem do Katmandu, a tam zawrócą i zaraz następnego dnia zaczną całą tę epopeję od nowa. Niektórzy ludzie naprawdę pracują na życie.

Wieś na końcu drogi była w takim samym stanie jak ta z poprzedniego dnia, skupiona wokół wielkiego, zabłoconego podjazdu, który rozcinał ją na dwie części. Nowe budynki tłoczyły się wokół zakończenia drogi, stare domy rozwalono na budulec albo opał, a wszystko to otaczały pola gówna. Szczególnie dużo było ich przy rzece przepływającej nie opodal. Wynika to z braku papieru toaletowego, ale nie jest zbyt dobre dla ujęcia wody. Kiedy skończyliśmy już poranne czynności, George odezwał się: - Nie rozumiem, dlaczego oni nie mogą uwierzyć w niewidzialne robaczki. Powietrze jest przecież niewidzialne. Ich bogowie też są niewidzialni.

- Bakteriologia po prostu nie jest intuicyjna, George.

- Religia też nie.

- Nie byłbym tego taki pewien.

- A dlaczego miałyby być jakaś różnica?

- Być może pytanie o przyczynę istnienia świata jest dla większości ludzi bardziej palące niż pytanie o przyczynę biegunki.

- To wariactwo.

- Poza tym - ciągnąłem - jeśli ma się wystarczająco dobrą odpowiedź na to pierwsze pytanie, to i odpowiedź na drugie się znajdzie, prawda?

Spojrzał na mnie krzywo, w taki charakterystyczny, podejrzliwy sposób. Często mi się tak przyglądał.

Wróciliśmy do herbaciarni i po śniadaniu złożonym z wafelków Nebico i jajek na twardo wyruszyliśmy w drogę. Plecaki na grzbiet i na szlak. Wreszcie wędrowka.

Przez większą część roku byłaby to najprzyjemniejsza część wyprawy - wędrowanie, jedno z najwspanialszych zajęć, jakie zna ludzkość. Ale w czasie monsunu wszystko robi się bardzo mokre.

Szlaki zmieniają się w strumienie, strumienie - w rzeki, a rzeki - w zabójcze kaskady. Lawinowo zwiększa się ilość robactwa, pleśni, zgnilizny, wilgoci i chorób.

Osobiście lubię wędrować podczas monsunu. Tylko że ja noszę ze sobą mały parasol i parę kaloszy z tak wyżłobionymi spodami, że zmieniają się prawie w gumowe raki, miałem więc mniej kłopotów na śliskim szlaku niż George, który wzgardził takimi rekwizytami i boleśnie odczuwał tego konsekwencje. Zazwyczaj ślizgał się w dół zbocza i miał wiecznie mokrą głowę, co, jak odkryłem, rzadko sprzyja dobremu humorowi.

Mimo wszystko jednak wędrowaliśmy, chociaż zniknęły wspaniałe widoki, które o innej porze dają taką radość. Podczas monsunu widzi się tylko chmury, mgłę, deszcz i to, co znajdzie się akurat w niewielkim obszarze widzialności dookoła, a wszystko wygląda ii zielono, mokro i trochę nie z tego świata, kiedy przygląda się temu z bliska, zapominając o dalekich widokach. Omszałe drzewa mają wygląd niesamowity i fantastyczny, szlak jest czerwonawą brudną błotną wiodącą pomiędzy ociekającymi wodą, zielonymi pnączami, a od czasu do czasu z mgły wyłania się czorten albo murek mani, jakby wprost z Bhagawadgity, co zresztą właściwie się zgadza.

Niekiedy też w przerwach między chmurami ukazują się góry, jak żywe stworzenia szybujące wysoko nad ziemią. Ach, wędrowka w monsunie to coś naprawdę odłotowego, a jeżeli macie parasol, kalosze i kij do odganiania pijawek, to naprawdę może być fajne.

Jeżeli natomiast tego wszystkiego nie macie, no cóż, wtedy kończycie jak George. Żadna z grup, które prowadził, nie wyruszyła podczas monsunu, więc on sam też oczywiście nie, i teraz za to płacił, bo zapomniał, jak to się robi, jeżeli w ogóle kiedykolwiek wiedział.

Przewracał się ciągle na śliskim gruncie i wlaził w strumienie, aż był bardziej mokry, niż gdyby wyszedł z wanny. Deszcz lał mu się do oczu, ale on myślał, że i tak nie ma nic do oglądania, więc w ogóle nie patrzył i ciągle obsiadały go pijawki. To nic nie boli i nie ma żadnych negatywnych następstw, ale jest nieprzyjemne. Szliśmy przez krzaki i wysoką trawę i jeżeli się tylko patrzyło, można było zauważyć, że niektóre czarne patyczki kręcą się w różne strony, próbując wyczuć ciepło, a kiedy już je wyczują, skaczą żwawo, przewiercają się przez skarpety, spodnie czy buty i piją krew. Za każdym razem, gdy George spojrział na swoje nogi i przyłapał jedną z nich na tej czynności, zaczynał wyc.

- Boże, pieprzone pijawki! Kurwa! Kurwa! Kurwa! Boże, pijawki!

- Nałóż na nie kremu przeciw komarom, to zaraz odpadną.

- Wiem. - Rzucił plecak w kałużę, spiesząc się, jakby oblażyły go małe grzechotniki.

Próbując go pocieszyć, powiedziałem:

- Cholera, kiedy za pierwszym razem przyjechałem tu z moimi kumplami, poszliśmy na wędrownkę i wiesz, tam u nas, kiedy komar ugryzie kogoś w przedramię, niektórzy goście łapią go w ten sposób, że napinają mięśnie ręki. Komar nie może wyjąć wtedy swojej klujki, bo komary nie mają żadnej zastawki blokującej, więc pęcznieją od krwi, aż w końcu pękają. W naszych stronach uważano to za świetny dowcip, więc kiedy jednego z moich kumpli pijawka ugryzła w ramię, on mówi: "Bomba! Ja ją nauczę gryźć chłopaka z Arkansas, pokażę jej sztuczkę z komarem", i napina rękę. My patrzymy, a to nie była zwykła pijawka, tylko najwyraźniej pijawka krowia, taka co ma pojemność jakieś dziesięć milionów razy większą od komara. Na początku jest jak maciupki patyczek, ale potem robi się coraz większa i większa, i większa, aż jest jak arbuz, i zwisa tak z ręki mojego kumpla. Facet wywalił się i stracił przytomność, a my gnietliśmy pijawkę, bo chcieliśmy wtoczyć mu trochę tej krwi z powrotem.

W końcu ją wypaliliśmy, ale facet chodził biały jak prześcieradło przez cały następny tydzień. Nie śmiesz cię to?

George nie odpowiedział.

Wędrowaliśmy tak jakieś trzy dni. Przez cały czas przemierzaliśmy tereny, które miała przeciąć planowana droga. Wspominałem George'owi o tym często, ale nie wyglądało na to, żeby ta perspektywa go poruszała. Prawdę mówiąc, miałem wrażenie, że taki pomysł zaczyna mu się podobać.

Czwartego dnia rano George nie wytrzymał.

- No dobra, Freds. Gdzie to jest?

- Jesteśmy prawie na miejscu. Jeszcze dwa dni. Ale najpierw musimy obejść na przełaj Czhule.

- Co? Dlaczego?

- Stacjonuje tam armia nepalska. Trekkingowcom nie wolno chodzić dalej na północ; wiesz, to ta strefa uzgodniona z Chińczykami. Strefa beztrekkingowa, dwadzieścia kilometrów czy coś takiego.

- A... traktują to poważnie, prawda?

- Jasne. W Czhule mają cały batalion, chyba ze stu żołnierzy, tylko po to, żeby nie puszczać na północ nikogo oprócz miejscowych.

- W takim razie co z tą drogą, o którą tak się martwisz?

- Chcą ją wybudować właśnie do Czhule. To na tyle blisko Szambhali, że byłaby to tragedia dla doliny.

- To dobrze.

- Co? - To znaczy, dobrze, że jesteśmy już blisko.

- Taa, prawie na miejscu.

Była to prawie prawda. W rzeczywistości zejście ze szlaku, żeby ominąć Czhule, oznaczało drogę na przełaj, a nie ma nic trudniejszego niż wędrówka na przełaj w himalajskich lasach. Mokre, pokryte gęstym, rojącym się od pijawek listowiem - okropna harowa.

Wysoko nad osadą był jednak występ, który mógł służyć za ścieżkę, jeśli umiało się go znaleźć. Mieszkańcy Szambhali korzystali z tej drogi od czasu, gdy założono Czhule, ale starali się nie zostawiać żadnych śladów po swoim przejściu, trudno więc było ją znaleźć we mgle chmur. Późnym popołudniem przedarliśmy się do tej ścieżki, a nawet natrafiliśmy na prawie poziome miejsce na nocny biwak.

George nie dawał się jednak przekonać, że na tym obozowisku da się przeżyć, ani że jesteśmy na ścieżce do Szambhali.

- A co ty sobie wyobrażałeś? - mówię mu. - Myślałeś, że droga do Szambhali będzie łatwa? Nie jedzie się tam żadną autostradą. Szczerze mówiąc, ze szlakiem już się pożegnaliśmy. Reszta drogi biegnie na przełaj.

Była to prawda, ale za Czhule mogliśmy z powrotem zejść na dno doliny. Tam dostaliśmy się natychmiast pod osłonę lasu olbrzymich rododendronów, który ciągnął się na dobre pięć kilometrów. Ponieważ w tym roku monsun uderzył tak wcześnie, cały las jeszcze kwitł, każde drzewo płonęło bujnymi, różowymi, białymi albo lawendowymi kwiatami, a każdy kwiat był wielki, jasny i skrzył się od kropel wody.

Szliśmy pod dachem z milionów takich cudów, mgła unosiła się między sękatymi, czarnymi konarami; było tak niesamowicie i przepięknie, że nawet George zamknął się i lażł obok mnie z rozdziawioną japą.

Za lasem rododendronów weszliśmy w przedziwne, tropikalnoarktyczne zarośla, które porastają doliny himalajskie na wysokości od mniej więcej czterech do pięciu tysięcy metrów. Moim zdaniem to prawdziwy raj, górskie łąki pokryte wrzosem, kłującymi mchami, porostami, niewielkim krzakami oraz tundrowymi i alpejskimi kwiatami. Dolina miała tu wyraźny kształt litery U - wyżłobione przez lodowiec dno i strome, granitowe ściany - a my pełzaliśmy pod górę jak mrówki na dnie pustego basenu. Wszędzie dookoła wiły się srebrzyste strugi, a gdy przechodziliśmy obok tych lodowcowych strumieni, słysząc było, jak kamienie trą o dno, przesuwając na naszych oczach łożysko. Ze wszystkich stron wznosiły się nad doliną ośnieżone, pionowe wierzchołki pasma Himalajów, chociaż wędrując, nigdy nie widzieliśmy ich aż tyle ze względu na chmury.

Zbliżaliśmy się do granicy pomiędzy Nepalem a Tybetem. Na ogół biegnie ona ze wschodu na zachód, ale są na niej niezliczone odnogi, skrzycone i powykrzywiane, jakby dwa kontynenty wbiły się w siebie z ogromną prędkością. Granica polityczna próbuje dotrzymać kroku grani łańcucha, ale w niektórych miejscach zbiega się kilka pasm i wcale nie jest pewne, gdzie znajduje się "grań". W takich miejscach granica płacze się i właśnie na jednym z tych supłów, gdzie mające po sześć tysięcy metrów grzbiety zderzają się i wypychają niektóre szczyty do siedmiu i pół tysiąca, znajduje się dolina Szambhala.

Parę kilometrów na południe od tego miejsca doszliśmy z George' em do rozwidlenia naszej doliny; dalej mogliśmy pójść na zachód albo na północ. Prawa odnoga wznosiła się stopniowo ku przełęczy, która przez wieki pełniła funkcję głównego szlaku handlowego między Nepalem a Tybetem. Przełęcz ta, Nangpa La, tłumaczyła obecność wojska w Czhule. Ich zadaniem było strzec przejścia.

Lewą odnogę zamykała niepozorna ściana, na którą się wspięliśmy. Powyżej trafiliśmy na długą, wysoką i wąską dolinę, której dno wypełniał lodowiec. Poszliśmy wzdłuż niego w górę aż do podkopy ostrych wierzchołków. Ta właśnie podkowiasta ściana była ostatnią ochroną Szambhali

przed przypadkowymi gośćmi. Kiedy wędrowaliśmy do źródła lodowca, spoglądając w dół na gruz, stawy w topniejącym lodzie i błękitne seraki, a potem w górę na olbrzymią, wygiętą ścianę poszarpanych skał, George powiedział:

- Cholera jasna, Freds, jesteś pewien, żeśmy się nie zgubili?

Tak się złożyło, że byliśmy akurat w miejscu, gdzie zawsze się gubiłem. Wiedziałem, które obniżenie w podkowie było naszą przełęczą, ale przejście lodowca i pół śniegu, żeby dostać się pod nią nie było wcale łatwe, zwłaszcza że nadciągały chmury, wypełniając kotlinę kłębamii mgły. W końcu jednak udało mi się tam trafić, korzystając z przypadkowych śladów stóp yeti, za którymi poszedłem. W nie- pewnym terenie to zawsze najwyraźniejszy znak, ale yeti przeskakują nad szczelinami, na które ludzie boją się nawet spojrzeć, więc ich ścieżki mogą być zawodne.

U stóp ściany musieliśmy rozbić biwak w ogrodzie skalnym, gdzie diabeł grywa pewnie w golfa. Następnego dnia rano padał gęsty śnieg, co oznaczało kiepskie warunki do przejścia przełęczy na wysokości pięciu i pół tysiąca metrów, ale nie było sensu czekać, bo mogło tak padać przez następne dwa miesiące, założyliśmy więc raki i zaczęliśmy wchodzić. Wkrótce byliśmy tak wysoko, że skończyły się nawet porosty. Co jakiś czas widzieliśmy na śniegu ślady ludzi, yeti i panter śnieżnych, a jeszcze wyżej trafiło się parę niepozornych ptaków. Wczesnym popołudniem chmury rozwiały się ku zaskoczeniu George'a. Widzicie, monsun zatrzymuje się na nepalskiej stronie grani i co roku spada tam kilkaset centymetrów deszczu, a Tybet, leżący zaledwie trzydzieści kilometrów na północ, jest osłoniętą od deszczu pustynią i roczne opady wynoszą tam właściwie zero centymetrów. Na samej grani występuje więc mnóstwo miejsc o klimacie znacznie znośniejszym od obydwu skrajności, gdzie deszcz pada umiarkowanie. Klimat w dolinie Szambhala jest najlepszy z możliwych na tym obszarze i jestem pewien, że przede wszystkim z tego powodu miasto założono właśnie tam.

Tak czy owak, wyszliśmy na oślepiające słońce, wiał chłodny wiatr, pod nami sunął ocean chmur. Cienie były czarne jak smoła, a każda skała wystająca z ubitego przez wiatr śniegu odcinała się tak wyraźnie, jakby patrzyło się na nią przez mikroskop. Byliśmy co najwyżej sto pięćdziesiąt metrów pod siodłem i teraz dostrzec można było niewyraźną linię śladów. Na odciskach stóp odznaczały się ogromne paluchy.

- Popatrz - powiedziałem. - Ślady yeti.

- Daj spokój, Freds. Nie wierzę w te historie.

- George! W Katmandu sam przecież ocaliłeś yeti! Ubrałeś go!

Przedstawiłeś go Jimmy'emu Carterowi! Dałeś mu swoją czapkę Dodgersów!

- Taa. - Wyglądał, jakby nie wierzył temu wspomnieniu. - Ale co by tu robił yeti? - A co by tu robił człowiek na bosaka?

George nie odpowiedział.

Szliśmy po śladach, które pogardzały zakosami i wiodły prosto do przełęczy. Powietrze było naprawdę rzadkie i potrało trochę, zanim zmogliśmy ostatni odcinek, a na przełęczy stał szereg czortenów, murków mani i chorągwi modlitewnych, rozciągniętych między tyczkami i poszarpanych na strzępy przez nie ustający wiatr. Taki widok podrywa po prostu do góry i ostatnie podejście było jak ruchome schody.

Na przełęczy dało się wytrzymać tylko kilka minut, tak ostry był wiatr. Wokół nas zbiegały się wszystkie pasma, zasłaniając od północy widok na Tybet, a właściwie ograniczając widok w każdym kierunku. Wiatr przyniósł z daleka jakiś pisk. Pokazałem George'owi coś, co wyglądało jak poruszająca się plama śniegu. Pantera śnieżna strzegąca świętej doliny. George jednak wierzył swoim oczom nie bardziej niż pamięci.

Zaczęliśmy schodzić w dół wąskiej doliny, dość odległej, ale ponieważ patrzyliśmy teraz na nią

z lotu ptaka, nie wydawała się aż tak bardzo odległa. Jej dno pokrywały zwykłe osypiska żwiru z meandrujących strumieni, które rozcinały niewielkie zielone i żółte tarasy.

Powyżej widać było opuszczone szałas pasterzy jaków, trochę nagich, brunatnych kartoflisk, jakieś pastwiska ogrodzone kamiennymi murkami i kilka czortenów. Niżej, w dolinie, na starodawnej morenie dennej rozsiadło się skupisko kamiennych budowli, których łupkowe dachy dymiły w południowym słońcu. Budynki otoczone były przez namioty koczowników. Krótko mówiąc, była to najzwyczajniejsza wioska himalajska, nie wyróżniająca się niczym szczególnym, może z wyjątkiem czegoś, co wyglądało jak ruiny starego klasztoru w stylu fortec dzong, dociśnięte do skalnej ściany zbocza doliny.

Wyciągnąłem rękę, czując, jak serce trzepoce mi radośnie wraz z chorągwiami modlitewnymi.

- Oto ona - powiedziałem do George'a. - Oto Szambhala, oto pałac Kalapa, Królestwo Lotosu. Hurrraaa!

George zmierzył mnie drugim, długim spojrzeniem. No cóż, przypuszczam, że spodziewał się disneylandowego zamku albo chmary kryształowych domów unoszących się trzy metry nad ziemią, tymczasem wyglądało to trochę inaczej. Nie pozostawało nic innego, jak pozwolić mu się z tym oswoić, ruszyłem więc w dół szlaku, a George poszedł za mną.

Nie minęła chwila, gdy zza jakichś głązów wyskoczył na nas pułkownik John, wrzeszcząc na całe gardło: "Stać!" George omal nie umarł z przerażenia.

Przed nami stał zwały, żyłasty zagranicznik o zasuszonej, asymetrycznej twarzy. Ubrany był w maskującą panterkę, a w rękę trzymał stary, wielki karabin maszynowy, którym celował prosto w nas.

- Wszystko w porządku! - powiedziałem do nich obu. - To ja, pułkowniku. Ja i mój dobry przyjaciel.

Wpatrywał się w nas z ptasią przenikliwością. Twarz miał dziwną, pomarszczoną jak twarz starego mnicha, który zbyt wiele lat spędził w słońcu na dużych wysokościach, albo - biorąc pod uwagę panterkę - jakby walczył w jakiejś górskiej wojnie przez dwadzieścia czy trzydzieści lat. To ostatnie wrażenie wzmacniała jeszcze szrama po lewej stronie głowy oraz wojskowa fryzura najeża z lat pięćdziesiątych. Poza tym jednak naszyjniki z turkusów i koralu oraz amulety wiszące na panterce kojarzyły się z mnichem, podobnie jak jego oczy, w których siedział mały Azjata. Wszystko to razem wyglądało, jakby w jednym ciele upchnąć starego tybetańskiego mnicha i emerytowanego sierżanta Piechoty Morskiej.

- George - mówię ostrożnie - to jest pułkownik John Harris, dawniej z CIA i Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Obecnie wspiera straż doliny.

- Ja jestem strażą doliny - warknął pułkownik z nosowym akcentem ze Środkowego Zachodu.

- W porządku. A więc, pułkowniku, to jest George Fergusson.

Pomoże nam w tych kłopotach z wydłużeniem drogi do Czhule.

- Dowód - zażądał pułkownik.

- No - zacząłem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć. Potem przeszedłem na tybetański, mówiąc wolno i wyraźnie, bo pułkownik jest jednym z niewielu ludzi na ziemi, którzy po tybetańsku mówią gorzej ode mnie. Zanuciłem krótką modlitwę do Kóngczog Sum, Trzech Klejnotów. - Sannggjela kjabsu czio - powiedziałem, co znaczy: "Szukam schronienia u Buddy".

- Ach - odparł pułkownik i przewiesił karabin przez ramię.

Następnie złączył ręce i złożył nam pokłon mnicha odbywającego nowicjat. - Cześć niech będzie twojej obecności - powiedział po tybetańsku. - Gendula kjabsu czio - co znaczy: "Szukam schronienia w klasztorze". W przypadku Johna była to szczerza prawda.



- Idziemy do doliny - powiedziałem, ciągle po tybetańsku. - Spotkamy się wieczorem?

- Trzymam wartę - odparł, ale zaraz zmarszczył brwi i dodał po angielsku: - Koniec rano, ósma zero zero!

- W takim razie, do zobaczenia na śniadaniu - powiedziałem i pognałem szlakiem w dół, a George deptał mi po piętach.

- Kto to do cholery był? - spytał, gdy oddaliliśmy się już spory kawałek.

- Wiesz, do Szambhali ściągają ludzie z całego świata. Jeżeli trafią do doliny i przyniosą właściwego ducha, zostają. Jeżeli nie mają właściwego ducha, w ogóle jej nie rozpoznają. Zdziwiłbyś się, ilu trekkingowców przechodzi przypadkiem przełęcz, myśli sobie, że natknęli się na jeszcze jedną zapadłą wieś, i odchodzi.

George nie odpowiedział.

- No więc kiedy przyszedł ten pułkownik John? - zapytał w końcu.

- Był w CIA, kiedy agencja pomagała tybetańskiemu ruchowi oporu w walce z Chińczykami, jeszcze w latach sześćdziesiątych.

Wiedziałeś o tym?

- Nie.

- Trzymali to w wielkiej tajemnicy. John spędził kilka lat w Mustangu z oddziałem partyzantów. Tutaj musiał więc przybyć gdzieś na początku lat siedemdziesiątych. Teraz jest mnichem, a także czymś w rodzaju ministerstwa obrony Szambhali.

- Ministerstwo obrony - powtórzył George.

Pędziliśmy jak lawina na dno doliny i dotarliśmy tam tuż po zachodzie słońca. Kolana trzęsły się nam z wysiłku. Prowadziłem George'a prosto do domu rodziny Kungi Norbu i szedłem tak wąskimi, kamiennymi ulicami pomiędzy dobrze znanymi, dwupiętrowymi budynkami, wdychając zapachy herbaty z mlekiem, dymu i wilgotnej wełny jaków, które jednym cięciem uwolniły moje wspomnienia, aż wybuchnąłem śmiechem i zacząłem wrzeszczeć: "Cześć!" do mijanych ludzi. W powietrzu migotał drobny śnieg podobny do płatków miki, a ja nagle stwierdziłem, że tańczę jakiś szalony taniec, pijany z radości, że wróciłem do domu.

Lhamo, najstarsza siostra Kungi Norbu, powitała nas na progu szerokim uśmiechem i zaprowadziła po schodach do kuchni, gdzie usadziła nas na obszernej ławie pod okrytą kocem ścianą, i przystąpiła do karmienia nas. W kuchni stłoczyła się większość rodziny, żeby przyjrzeć się George'owi i porozmawiać ze mną: sędziwa matka Kungi, jego młodsze siostry i ich rodziny, jacyś dalsi krewni, którzy gościli akurat w domu, oraz krewni krewnych, aż zrobiło się bardzo ciasno. Siedziałem, grzejąc stopy przy ogniu i próbując pozbierać cały mój tybetański, żeby móc z nimi rozmawiać. Lhamo przygotowała nam ucztę: oczywiście tsampa i herbata z masłem, ale oprócz tego ser z mleka jaka, masło margam, wysuszona śmietana o nazwie pumar oraz rodzaj sernika zwany thud, być może ze względu na odgłos, jaki wydaje, kiedy wpada do żołądka. Od tych wszystkich znanych smaków, twarzy i zapachu ognia z łajna jaka, zacząłem pomrukiwać i rozradowany próbowałem opowiadać im o naszej wędrowce.

George oczywiście milczał przez cały ten czas, wykręcił się też od herbaty z masłem i zjadł naprawdę niewiele, ale nawet taka ilość oznaczała ruinę jego profilaktycznej diety i wydawało mi się, że właśnie nad tym rozmyśla, wsłuchując się w swoje trawienie i być i może sumując w myślach antybiotyki, które miał ze sobą. Rozglądał się po pomieszczeniu, patrzył na dywany, szarfy, powyginane garnki z jasnej miedzi, żeliwny kocioł, wiszące na ścianie naczynia i przybory, kosz na koks, wysokie maselnice, pudełka njindrog, stojące w kącie krosna. Wyglądał na zmęczonego i przygnębionego, jakby

| spodziewał się zupełnie czegoś innego. Podejrzewam, że widział ciasną i zadymioną klitkę z drewna i cegły i był rozczarowany. Cóż, przypuszczam, że życie himalajskiej wioski buddyjskiej nie odsłania od razu wszystkich swoich uroków, zwłaszcza podczas monsunu, chociaż, jak powiedziałem, dolina Szambhali jest osłonięta przed najgorszą pogodą. Mimo to codziennie przez godzinę, dwie padał śnieg albo deszcz. W dodatku od kiedy Chińczycy zajęli Tybet, Szambhala cierpiała z powodu przeludnienia, jako że służyła za swego rodzaju tajny obóz uchodźców. Dlatego właśnie wioskę otaczały wielkie namioty z wełny jaków należące do górskich koczowników i dlatego stare, kamienne domy i klasztor Kalapa były przepelnione.

Taki tłok powodował różne kłopoty i ten kiepski stan nie mógł zrobić na George'u dobrego wrażenia. Lhamo robiła, co mogła, umieszczając nas w najlepszej w całym domu sypialni, nad kuchnią, gdzie jest najcieplej, ale George'owi ciągle śniło się, że dom się pali, ponieważ dym z kuchennego pieca przesączał się do naszego pokoju i czuć było swąd, jakby dom rzeczywiście się palił. Co rano George wychodził na dwór zmęczony i niewyspany, a przed nim leżała dziwnie zatłoczona górską wioska, zupełnie tak jakby to był dzień targowy, tyle tylko, że nie był. Chore na grypę dzieciaki jęczały i główny lekarz klasztoru, doktor Choendrak, chodził po deszczu, załamując ręce, ponieważ wszystkie znakomite roślinne i mineralne lekarstwa z Mendzekhang, szpitala klasztorowego w Lhasie, dawno już się skończyły.

Wrażenie George'a nie poprawiło się ani trochę, kiedy zjawił się Kunga Norbu, żeby przywitać się z nami. Kunga wbił wzrok w George'a, jak to miał w zwyczaju, a potem przydzielił nas do pracy z zespołem, który odbudowywał ściany tarasów, a jest to robota jak w ciężkim więzieniu, rozbija się kamienie za pomocą młota, zupełnie jak na filmach rysunkowych.

- Cholera, Fieds, mogłem się pławić w słońcu w Thamelu, a tu rozbijam kamienie. To nie jest Szambhala i ty dobrze o tym wiesz.

Zapewniłem g(, że jednak jest.

- To dlaczego jest tu taki tłok? W każdym domu jest dwa albo trzy razy więcej ludzi, niż powinno być, a do tego jeszcze te namioty.

Szerpowie nigdy by tak nie mieszkali.

Powiedziałem mu o kłopotach z uchodźcami. O ludziach przechodzących niemożliwe do przejścia przełęcze, żeby uciec od Chiń- czyków, albo pełną gębą w górę urwiska nie do przebycia, które schodziło z doliny na tybetański płaskowyż, o ludziach ryzykujących życie i często zamiast wolności znajdujących śmierć.

- A więc to wyjątkowe warunki - George był zdumiony.

- Jeżeli można tak powiedzieć po czterdziestu latach.

Tego wieczoru George przyglądał się wszystkiemu trochę uważniej. Po raz pierwszy też zauważył, że chorzy byli także w naszym domu. Kuzynka Lhamo, imieniem Sindu, miała chłopczyka, którego wyniszczała biegunka. A Sindu była młodą kobietą, niemal dziewczyną, z dużą domieszką krwi nepalskiej, tak że jej twarz miała rysy ostrzejsze niż u Tybetańczyków. W Himalajach zdarzają się takie twarze, piękne nie do uwierzenia. Męża Sindu nie było nigdzie widać. No więc George siedział i patrzył, jak kobieta kręci się po kuchni, pielęgnując chore dziecko, a ja już widziałem, jak sumuje w myślach swoje pigułki.

Następnego dnia pułkownik John odkomenderował nas do wypadu po drewno na opał, co oznaczało zebranie na postronek kilku jaków i prowadzenie ich cały poranek w dół doliny, na wierzchołek urwiska, które zbiegało do Tybetu. Jaki to łotry wielkie, kudłate, ponure i skore do wybuchów nieposłuszeństwa i rebelii, a pułkownik prowadził je jak rekrutów na poligonie, okładając ostro kijem, czego jedynym efektem były spojrzenia wielkich, okrągłych, smętnych oczu.

W południe wypuściliśmy jąki na łące, a sami wspięliśmy się na stromy południowy stok doliny, docierając do sośniny. Pułkownik wyjął z plecaka trzy małe toporki jakby wprost z epoki żelaza, zupełnie niewyważone, i zabraliśmy się do pracy, ścinając drzewa, które nam wskazał.

- Człowieku - powiedział George niezadowolony, waląc toporkiem - to okropne! To właśnie nazywa się śmierć lasów, no nie?

Pułkownik i ja przerwaliśmy pracę i spojrzeliśmy na niego.

- Nie ma wyboru - odparł pułkownik. - Łajno jaków nie pali się samo, trzeba dodać drewna.

- Ale erozja...

- Dobrze wiem o erozji! - krzyknął pułkownik, z trudem powstrzymując się przed rzuceniem toporkiem w George'a. - Zo- stawiamy pniaki i korzenie, żeby zatrzymywały, ile mogą, i sadzimy młode drzewka. - Z gniewem rąbnął w drzewo, nad którym pracował. - Przez trzy tysiące lat było w tej dolinie ciągle tyle samo mieszkańców, ale skoro Tybet jest podbity, to co może zrobić Dalaj Lama? To jedno z niewielu miejsc, dokąd można uciec.

George zapytał niepewnie, czy części uchodźców nie można by przenieść do wiosek i osiedli tybetańskich w Indiach.

- I kogo byś tam wysłał? - rzucił pułkownik. - Kogo byś wyrzucił z ostatniego wolnego miejsca na ziemi? Kogo byś zesłał na jakąś farmę w Madrasie, żeby umarł na chorobę małej wysokości?

Widziałem ich tam, w dolinach; zabierz ich na jakąś górę, takjak my, kiedy przenieśliśmy partyzantów do Kolorado, a oni zaraz wyskoczą i będą skakać po śniegu! Mieliliśmy tam jaka z zoo, to podbiegli i zaczęli go ścisnąć! - Zwalił drzewo gwałtownym uderzeniem. - Nie chciałbym wybierać tych, którzy mieliby stąd odejść.

- Opowiedz George'owi o twoich khampańskich partyzantach - podsunąłem.

John westchnął.

- Wzięliśmy tych gości do Kolorado, dawno temu, kiedy jeszcze można było liczyć, że amerykański rząd będzie walczył z komunistami, i zapytałem całą salę: "Kto z was, chłopaki, wyskoczyłby z samolotu, żeby walczyć z Chińczykami?" Oni nie wiedzieli ni cholery o spadochronach, a i tak wszyscy podnieśli ręce. Powiedziałem wtedy, że takich chłopaków lubię. Taka była kiedyś Piechota Morska, dopóki nie skapcianała! Przylecieć tutaj i zniszczyć tych morderców do ostatniego! Ale Birendra nas zdradził!

Mówiąc to, zaatakował następne drzewo, rąbiąc je, jakby ciął króla Nepalu po kolanach. Mamrotał przy tym oderwane zdania, z których, jak zauważyłem, George niewiele rozumiał.

- Zupa i kawa z puszek, a biegną mało im serce nie pęknie! - trach, trach, trach. - Hanowie po jednej stronie, Gurkhowie po drugiej! Przegnani na cztery wiatry! - trach, trach, trach. - Dalaj Lama powiedział, żeby przestać, ale kto by się poddał Birendrze! Pachen podciął sobie gardło i nie wimę go za to! Sam powinienem był to zrobić! - I wymachując dziko toporkiem, zwalił następne drzewo. Zasugerowałem po tybetańsku, że ścięliśmy już tyle drzewa, ile będą w stanie unieść jąki. Miałem nadzieję, że to odwróci jego uwagę.

- My też będziemy nieść - odburknął mi po angielsku i ciął dalej jak piła łańcuchowa.

Było już późne popołudnie, zanim w zimnym deszczu ściągaliśmy do doliny, obladowani małymi sosenkami. Pozwoliłem pułkownikowi wysforować się przed nas, dzięki czemu mogłem odpowiedzieć na pytania, które paliły się w oczach George'a. Powiedziałem mu, że pułkownik i grupa Khampów prowadzili nadal walkę po tym, jak król Birendra pokumał się z Mao i rozkazał armii nepalskiej pomóc Chińczykom w zniszczeniu partyzantki tybetańskiej stacjonującej w Mustangu. Po tej katastrofie pułkownik i Khampowie operowali z gór w Tybecie, dopóki nie wciągnięto ich w zasadzkę czy coś takiego; pułkownik słabo to pamięta, bo wtedy właśnie został

ranny w głowę i błakał się otumaniony po tybetańskich pustkowiach nie wiadomo jak długo, aż przyszedł po urwisku do Szambhali, jakby wracał do domu. Tutaj doktor Choendrak wyleczył go i pomógł mu odzyskać pamięć, przynajmniej do pewnego stopnia.

- Ciągłe jest trochę kołowy - powiedziałem na koniec.

- Zauważyłem.

- Zachowuje się zupełnie inaczej w zależności od tego, po jakiemu do niego mówisz.

George przyglądał się małej, objuczonej drewnem sylwetce, popędzającej jaki daleko przed nami.

- Założę się, że ma uszkodzony ośrodek mowy, a ponieważ tybetańskiego nauczył się w większości pewnie już po kontuzji, to musi to przechowywać w drugiej półkuli mózgowej. W zależności od tego, w jakim języku do niego mówisz, zaczyna dominować jedna lub druga półkula.

- Tutaj sądzi się, że to kwestia inkamacji.

- Więc on uważa, że jest mnichem tybetańskim, którego duch ostatnio przebywał w komandosie Piechoty Morskiej?

- Przeważnie tak.

Wspięliśmy się na pradawną morenę czołową i roztoczył się przed nami widok na wioskę. Przez chmury przedarł się promień słońca, oświetlając ściany z darni i kamieni, dymiące dachy pokryte łupkiem, jaki podobne do włochatych, czarnych głazów stojących tu i tam na brunatnych kartofliskach. Wyglądało to jak średniowiecze na jakiejś zimniejszej planecie. Cały dzień upłynął nam na zbieraniu drewna, które ledwie starczy wiosce na tę noc, i każdego dnia trzeba było wyruszać i męczyć się tak samo, za każdym razem coraz dalej i dalej.

- Jej - powiedział George, upuszczając swoje drzewa na wyłożone kamieniami podwórko za domem Lhamo. Nie wiedział, co powiedzieć więcej.

Byliśmy półżywi ze zmęczenia i z głodu, ale Lhamo czekała na nas z obfitym posiłkiem, w którym George bezradnie zanurzył łyżkę.

Nie musiał biedzić się z dhal baat, ale w zupie było mnóstwo jakiegoś warzywa, które udawało się w dolnej części doliny. Nie natrafiłem na jego nazwę, ale na łodygach wyglądało jak okra wielkości piłki futbolowej, z długimi, giętkimi witkami, wyrastającymi na całej powierzchni. Posiekane i pływające w zupie miało raczej odpychający wygląd, ale konsystencja była przyzwoita, a smak ledwie wyczuwalny.

Jako danie dodatkowe dostaliśmy tak ostre curry, że można było sobie nim pokaleczyć palce, więc po kilku próbach George spocony powrócił do zupy, a nawet spróbował napić się herbaty z masłem. Do tego smaku trzeba jednak przywyknąć, z czym George miał chyba niejakie kłopoty. Była to Scylla i Charybda jego krainy obfitości, przepłynął jednak śmiało na drugą stronę i dokończył posiłek.

Tak oto z konieczności porzucił jedzenie profilaktyczne. Obserwował jednocześnie Sindu, która bez powodzenia próbowała nakarmić swoje chore dziecko. Rano zaś pogrzebał w plecaku i wy dostał stamtąd swoje antybiotyki - dwudziestolitrową torbę wypchaną tabletkami.

- Freds, musimy pomóc tym gościom - westchnął. - Nie mam tu tyle, żeby wystarczyło dla wszystkich, ale możemy pomóc paru, rozumiesz.

- Trzeba będzie powiadomić doktora Choendraka - odpowiedziałem. Zabraliśmy więc antybiotyki do klasztoru i George wyjaśnił wszystko lekarzowi, który obejrzał pigułki i udał się na naradę

z Mańdźsri Rimpocze, naczelnikiem Szambhali. Rimpocze postanowił, że każde chore dziecko dostanie taką samą część tabletek. Po obliczeniu okazało się, że wychodzi około czterech tabletek na

jednego dzieciaka. Kiedy George to usłyszał, zaczął krzyczeć:

- Nie! To za mało, żeby mogło poskutkować, w ten sposób nie pomoże się żadnemu!

Doktor Choendrak wyjaśnił mu, że wiedzą tych właściwościach antybiotyków, ale uważają, że w połączeniu z lekami roślinnymi, które hodują, ich działanie będzie skuteczniejsze, a ważne jest, żeby każde chore dziecko dostało trochę leków z Zachodu.

George był oburzony, więc próbowałem go uspokoić.

- Postępują według teorii placebo, George, i nie bądź taki pewien, że nie mają racji. Przecież te antybiotyki to i tak w większości placebo.

Znów spojrzał na mnie dziwnie.

Antybiotyki się więc skończyły, a George jadł jedzenie z doliny, które było czyste, ale niewątpliwie zawierało inne zarazki niż te, do których przywykł. No i się pochorował. Normalna sprawa - rozwolnienie, gorączka, brak apetytu, syfiaste samopoczucie. Do tego nuda, kłótniwość i depresja. Trzy czy cztery takie dni i dostawał w domu świra, zaproponowałem więc, żeby poszedł z Lhamo i Sindu nad rzekę zrobić pranie.

Widzicie, do tej pory skupiałem się na problemach, które miała Szambhala, poważnych problemach, ale to przecież była Szambhala, mistyczna stolica świata, i oprócz klasztoru Kalapa, lamów i historii tego miejsca, było tu trochę rzeczy niezwykłych. Na przykład na dziedzińcu klasztoru wprost ze zbocza góry tryskał wieczny święty ogień. Widok był wstrząsający i niesamowity, zwłaszcza o świcie i o zmierzchu, a także podczas ceremonii. Zaś na dnie doliny, nie opodal urwiska, cały jeden brzeg rzeki był z czystego turkus, odcinającego się od stoku jak tafla zakrzepłego nieba. Poniżej rzeka upstrzona była błękitnymi otoczkami.

Co zaś najważniejsze dla codziennego życia doliny, rzeka miała początek w gorących źródłach, które jak wieczny ogień wytryskiwały ze skalnego stoku. Otwór, przez który wylewała się woda, ociosa- no tak, że tworzył idealne koło, a dzięki ulatującej parze cała okolica była wilgotna, więc wszędzie dookoła rosły wspaniałe, zielone paprocie i mchy. Źródło otaczały czorteny, kamienie mani i chorągwie modlitewne, a w strumieniu obracały się modlitewne koła, bębny z drewna i blachy pomalowane w jasne mandale, które skrzypiały, mieląc modlitwy. Powykręcane litery sanskryckie, wykute na kamieniach mani i na zboczu góry, porosły mchem i dla mnie zawsze wyglądało to tak, jakby sam mech wypowiadał Om Mani Padme Hum. Ogólnie biorąc, odlotowe miejsce.

Mieszkańcy wykorzystywali je do prania. Część wody zawrócono przez wydrążony tunel wpadający do płytkiego basenu, którego dno wyłożono kamieniami, a brzegi wyrównano. W słoneczne poranki ludzie prali tutaj ubrania; przeważnie były to kobiety, choć nie brakowało też mnichów i innych mężczyzn. Kobiety przychodziły okręcone drugimi, czarnymi szatami z kolorowymi plisami z przodu.

Dzieci przypasane były na plecach albo, puszczane wolno, kręciły się dookoła. W powietrzu unosiła się para, słońce muskało skórę, w cieniu jednak było zimno, więc ciepła woda była błogosławieństwem. Kobiety nosiły czarne włosy zaczesane gładko do tyłu.

Przeważnie miały płaskie tybetańskie twarze, ale gdzieśgdzie zdarzały się, jak u Sindu, domieszki indyjskie i inne, jako że osada, choć ukryta, leżała na skrzyżowaniu dróg. Nagie, brązowe stopy w wodzie, suknie podciągnięte wokół ud i odsłaniające brązowe łydki twardsze od piłek baseballowych, zapach herbaty z mlekiem, dymu i ziołowego mydła, unoszący się nad mokrymi ubraniami, gdy kobiety wyżymały je i parujące biły o płaskie, gładkie płyty z czarnego kamienia, umieszczone z każdej strony basenu. Tak, basen do prania był świetnym miejscem.

George 'owi chyba się to podobało. W każdym razie po porankach spędzonych przy praniu wracał trochę mniej naburmuszony. Chodził tam z Sindu i jej chłopcem, i zajmował się nim, kiedy

ona prala, co nie było trudne, bo dzieciak był ciągle chory. Sindu mówiła do chłopca po tybetańsku, a George kiwał głową, wtrącając: "Mhm, taa, tak właśnie myślę", co bardzo śmieszyło Sindu i inne kobiety.

Zapytałem Lhamo o Sindu i dowiedziałem się, że jej mąż żyje i że wyruszył na zachód Nepalu z wyprawą handlową. Takie rzeczy zdarzają się często w himalajskich wioskach i w rezultacie tamtejsze małżeństwa nie są na ogół zbyt rygorystyczne. Kiedy więc zobaczyłem, jak George dokazuje z dzieciakiem, a Sindu się z nich śmieje, pomyślałem sobie: "No, no! Patrzcie tylko".

Dziwnie było obserwować ich razem. Czasem wyglądało, że rozumieją się nawzajem doskonale i są doskonale dobrani - atrakcyjna para, śmiejąca się z czegoś, co widzieli, a ja myślałem: "Co też zesłało George'owi szarpańską dziewczynę? Może jego dakini, jedna z bogiń, która prowadzi ludzi do mądrości". A dziesięć sekund później, bez żadnej wyraźnej przyczyny, otwierała się między nimi jakby przepaść większa nawet niż język. Nagle wyglądali jak istoty z różnych planet, obcy, którzy wypróbują różne gesty, żeby przekonać się, czy będą działać. Nawet jednak w takich chwilach nie wyglądali na skrępowanych - jeśli przepaść istniała, żadne z nich nie martwiło się specjalnie o to, żeby ją zasypać. Wydawali się zadowoleni z tego, że stoją na przeciwnych brzegach i machają do siebie.

Miło było na to patrzeć, więc razem z Lhamo i innymi dziewczętami przy basenie mieliśmy z nich dużo śmiechu. Tymczasem jednak George był ciągle chory, tak samo jak dzieciaki. Pigułki mógł równie dobrze wrzucić do rzeki, efekt byłby podobny. Chudł coraz bardziej i wiem, że prawie co noc musiał wybiegać na dwór, potykać się w ciemnym ustępie, marznąć od zewnątrz i płonąć w środku, kucając nad niewielką dziurą w podłodze. To zdumiewające, do czego człowiek może się przyzwyczać. Sam przechodziłem takie rzeczy i wiem, że można nauczyć się załatwiać całą operację niemal przez sen, omijając średniowieczne budynki, drzwi i zamki w półjawie - czasami, bo inne noce są tak nieprzyjemne i dziwne, że wżerają się w mózg, i tkwi się tak w tej mroźnej ciemności, czując jakieś wrogie bodhi i tęsknotę za domem. Pewien jestem, że George przecierpiał tak więcej niż jedną noc.

A dzieciaki wrzeszczały. Leżały w łóżkach, rozpalone i apatyczne, sama skóra i kości. I robiły wodniste kupy.

- Cholera - powiedział George. - Dla takich szkrabów biegunka to poważna choroba. Mogą umrzeć z odwodnienia. Chłopczyk Sindu rzeczywiście nie wyglądał dobrze, podobnie jak mnóstwo dzieci we wsi. Takie zatłoczone miejsce! Kilka razy różni ludzie wpadali, żeby zapytać George'a, czy nie zostały mu jakieś antybiotyki, ale on mógł tylko załamywać ręce.

- Wszystkie się skończyły! Wszystkie się skończyły! Freds, powiedz im, że mi przykro. Został mi lomotil, ale to je tylko zakorkuje. Nie powinienem im tego dawać, prawda?

Uważałem, że nie powinien.

Wtedy go olśniło.

- Freds, a co z tą receptą, którą należy stosować u dzieci z biegunką? Tą, którą ONZ chce upowszechnić w całym trzecim świecie?

Składa się to z prostych rzeczy, które są wszędzie, i zapobiega odwodnieniu. Dalej, chłopie, co to jest?

- Nigdy o tym nie słyszałem - powiedziałem.

Doprowadzało go to do szału.

- To coś naprawdę oczywistego. - Ale nie mógł nic wymyślić.

Pewnego ranka, mieszając herbatę z mlekiem w kubku, powiedział:

- Czy to nie była po prostu słona woda? Słona woda, może z odrobiną cukru?

- Myślałem, że nie wolno pić słonej wody?

- Normalnie nie, ale kiedy masz rozwolnienie, to pomaga zatrzymać wodę w komórkach.

- Myślałem, że właśnie to uniemożliwia.

- Normalnie tak, ale w tym przypadku nie.

- Jesteś pewny na tyle, żeby tego spróbować?

Długie milczenie.

- Cholera, chciałbym mieć więcej tetracykliny - powiedział w końcu.

Ale przez następne dni syn Sindu był coraz słabszy, tak samo jak wiele innych dzieciaków.

George zdecydował, że dobrze pamięta przepis i zmusił mnie, żebym poszedł z nim do klasztoru zobaczyć się z doktorem Choendrakiem.

Na wielkim dziedzińcu Kalapy George stanął przed wiecznym ogniem i rozdziawił usta. - Co to ma być?!

- To święty wieczny płomień Kalasakry - wyjaśniłem mu. - Od najdawniejszych czasów była tu świątynia.

- To gaz, Freds. W tej dolinie są naturalne zasoby gazu!

- No to są.

- W takim razie - objął głowę dłońmi, żeby mu nie pękła - dlaczego z nich nie korzystają? Zabijają lasy, a przecież mogliby puścić rurami gaz do pieców i problem z głowy.

- Myślę, że ponieważ to jest świątynia i znak od jednego z ich bóstw, coś takiego nigdy by im nie przyszło do głowy.

George nie mógł w to uwierzyć.

- Oni tu wycinają wszystkie drzewa i patrzą, jak wypłukuje się gleba, a ten wielki, pieprzony ogień pali się im prosto w twarz! Co ty na to powiesz, Freds? Co to w ogóle jest za raj?

- Religijny.

- Boże!

Podszedł do nas doktor Choendrak i George poprosił mnie, żebym był tłumaczem.

- Wiele tutejszych dzieci choruje na infekcję - powiedział George.

Powtórzyłem to doktorowi Choendrakowi, który pokiwał głową i odparł:

- Krew miesza się im z żółcią i musimy je rozdzielić.

- Wie o tym - powiedziałem do George'a.

- Zapytaj go, co z tym robią.

Doktor Choendrak potrząsnął głową. Przygotowywali lekarstwa tak szybko, jak tylko mogli. Nazw roślin, z których je robili, nie potrafiłem przetłumaczyć.

- Zapytaj go, czy w tych lekarstwach jest sól?

Doktor powiedział, że jest.

- Ile? - dopytywał się George.

W końcu doktor Choendrak musiał zaprowadzić nas do apteki, żeby wszystko mu pokazać. Okazało się, że w każdej blaszance wody, którą doktor poił dzieciaki, była czubata łyżeczka czystej tybetańskiej soli kamiennej. - O... - powiedział George i kiwnął głową. - W takim razie powiedz mu, że powinni dodawać też trochę cukru.

Przetłumaczyłem to doktorowi, który też kiwnął głową. Okazało się, wrzucają również łyżeczkę miodu.

- O! - George był skonsternowany. - Świetnie! Doskonale!

Powiedz mu, że Światowa Organizacja Zdrowia zaleca dokładnie to samo!

Doktor Choendrak kiwnął głową i powiedział, że to dobrze.

Nagle George zobaczył w doktorze naprawdę sensownego faceta.

- Może ich leki rzeczywiście mają jakieś działanie antybakteryjne, a woda z solą i cukrem daje organizmowi więcej czasu na wyzdrowienie. Tym dzieciakom to potrzebne.

Zanim poszliśmy, George zmusił mnie, żebym powiedział doktorowi Choendrakowi o jego planach dotyczących wiecznego płomienia. Opisał ceramiczne rury, wielki centralny piec we wsi albo nawet w samym klasztorze, całe to żywiołowe przedsięwzięcie inżynieryjne. W następnych dniach zaczął towarzyszyć doktorowi Choendrakowi podczas jego obchodów, zabawiając badane dzieciaki albo trzymając je, gdy zaordynowano jakieś gorzkie lekarstwo. Namówił je też wszystkie, żeby piły mnóstwo wody zawierającej obfite porcje soli i cukru. Znalazł z doktorem wspólny język działania i zostali kumplami, chociaż żaden nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił drugi. W gruncie rzeczy, biorąc pod uwagę ich odmienne spojrzenia na medycynę, było to prawdopodobnie korzystne.

W ciągu następnych paru tygodni epidemia grypy wygasła bez żadnej wyraźnej przyczyny. Nikt nie umarł, więc wszyscy byli zadowoleni z doktora Choendraka, ze stosownych bóstw, a także z George'a. Sam George też był bardzo zadowolony, chociaż jego żołądek nie był całkiem w porządku, tak że mój kumpel miał skłonność do robienia zeza i rzucania się w panice do ustępu.

Po tych wydarzeniach George odnosił się jednak do mnichów przyjaźniej, co było istotne, jako że spotykało się ich w dolinie na każdym kroku. Kiedy wchodząc na stok po chrust, popatrzyło się w dół na brązy, szarości i zielenie tarasów jęczmienia czingko, na tle krajobrazu w wielu miejscach pstrzyły się rude kropki. Mnisi.

Tak samo wpasowywali się w społeczność doliny: widziało się ich wszędzie, ale nie było się do końca pewnym, co robią. Nie byli właściwie przedstawicielami władzy ani nadętymi, świętoszkowatymi typami, jakich nie mało wśród naszych księży, co to potrafią załatwić na amen każdą rozmowę pod słońcem; wystarczy, że pokażą się niespodziewanie. Nie, tutaj mnisi i trochę mniejsza grupa mniszek, byli wkomponowani w bieg rzeczy, okopywali pola, układali w sterty łąjno jaków, kiedy już wyszło na słońcu, śmiali się z prostych żartów. George'owi, jak i każdemu zresztą przybyszowi z Zachodu, trudno było to zrozumieć, skoro przybywaliśmy z miejsca, gdzie na religię nie zwraca się przeważnie żadnej uwagi albo traktuje ją jako przykrywkę dla zwykłego złodziejstwa. Dlatego tak wielu uwierzyło tak łatwo w kłamstwa o Tybecie, które rozpuszczali Chińczycy, w te wszystkie historyjki o złym klerze wydzierającym biednym chłopom ostatni grosz. W naszym systemie na pewno by do tego doszło; w gruncie rzeczy, kiedy się teraz nad tym zastanawiam, to widzę, że taki opis pasuje znakomicie do misjonarzy telewizyjnych.

A Chińczykom odpowiadało to jak cholera. Nas to nic nie obchodziło, więc mogii nie tylko torturować, mordować, podbijać, gwałcić, wtrącać do więzienia i głodzić Tybetańczyków na śmierć, ale jeszcze na dodatek mówić wszystkim, że robią to oczywiście dla ich własnego dobra. Ratują ich przed nimi samymi.

A ponieważ jesteśmy bardziej podobni od Chińczyków niż do Tybetańczyków, więc to się nam spodobało. W końcu nie tak dawno temu zrobiliśmy to samo z bardzo starą religią i kulturą na "naszej ziemi", chcieliśmy zatem uwierzyć Chińczykom, a przynajmniej o tym nie myśleć. George, który włóczył się wszędzie po południowej stronie Himalajów i zachwycał się niesamowitymi górami, oczywiście nie zaprzętał sobie głowy ludobójstwem, które trwało na północy. To tak, jakby w latach czterdziestych jeździć sobie po Alpach Bawarskich i zatrzymywać się, żeby podumać nad pióropuszcami dymu na horyzoncie.

Widzicie więc, że musiało potrwać jakiś czas, zanim to zrozumiał. Czas spędzony na sadzeniu kartofli, naprawianiu murków tarasów i zbieraniu chrustu w towarzystwie mnicha albo mniszki, razem z całą gromadą dźwigającą ciężary albo opowiadającą dowcipy. Czas codziennego słuchania



śpiewów o świecie, patrzenia na rolnika medytującego na swoim polu, kobietę ociosującą kamień mani, dzieci objuczone drewnem i obracające koło modlitewne. Czas przyglądania się, jak każdy rwie się do wspólnej pracy, bez żadnych rachunków, kto co zrobił. Czas liczenia krewnych i odkrywania, że każda rodzina ma mnichów albo mniszki, że funkcja ta nie jest dziedziczna, a zakonnicy wywodzą się wprost z chłopów. Klasztor ma nadzieję, że przyjdą do niego najlepsi i najbystrzejsi, ale przyjmuje też kretynów i upośledzonych, a czasem trafiają się naturalnie także dziwacy, szajbusi religijni. Wszystkie te rude kropki na brzoju i zieleni, które ożywiały widok soczystością barwy... Kiedy George zobaczył to i zrozumiał, ujrzał wszystko na nowo.

Powiedziałem więc do Kungi Norbu:

- Nie mógłbyś pokazać mu czegoś ekstra, jakąś odrobinę magii Szambhali, żeby ostatecznie go przekonać?

- Freds, jak zwykle źle to rozumiesz - odparł Kunga. - Ćwiczenia tantryczne nie są po to, żeby zrobić na ludziach wrażenie.

Mańdzuśri Rimpocze chętnie jednak przyjmie go w swoich komnatach. A w przyszłym tygodniu złoży nam wizytę najmłodsza siostra Dalaj Lamy. George będzie przy tym obecny.

- To świetnie - mówię mu.

Następnego dnia zabrałem George'a z samego rana na audiencję u Sukandry, Mańdzuśri Rimpocze, króla Szambhali, który w tybetańskim buddyzmie był równy Dalaj Lamie i Panczen Lamie.

Z żółtego światła poranka wprowadzono nas przez aleję drzew sandałowych do pograżonych w ciemności dolnych komnat klasztoru Kalapa, między grube, drewniane belki, pocerniałe przez stulecia od dymu z pieca i tłuszczowych kaganków. Na tym piętrze każda belka pokryta była ceremonialnymi maskami, przedstawiającymi jaskrawe, zębiaste twarze demonów o wyłupiastych oczach, ciężkie od zieleni, czerwieni i żółci, z plamami błękitu, bieli i złota. Były to zmory Bónpa, najbardziej przerażające oblicza, jakie w ogóle można spotkać. Gdy na nie patrzyłem, rozumiałem doskonale, dlaczego w Tybecie tak dobrze przyjęto Buddę.

Potem wchodziliśmy po nie kończących się stopniach, ponieważ Kalapa była dzong, ufortyfikowanym klasztorem zbudowanym jeszcze w czasach, gdy trzeba było zabezpieczyć się przed najazdem Czyngis-chana albo Aleksandra Wielkiego. Wpasowano ją więc w strome, skaliste zbocze doliny, tak że wyglądała jak kwadratowy występ na grani. Każdy kolejny poziom wcinał się w stok głębiej niż ten, który leżał pod nim, i wspinając się po stromych, wychodzonych schodach, przechodziliśmy przez coraz to większe sale, a do każdej następnej wlewało się więcej światła. Minęliśmy bibliotekę, gdzie przy ścianie stały tysiące tomów Kalasakry i Tengyur, niskie, szerokie, grube, oprawione na czarno woluminy o luźnych kartkach oraz zwoje w pudełkach, podobne do taśm pianoli. Potem szliśmy przez salę muzyczną, gdzie przechowywano bębny, cymbały i długie rogi.

Potem wyżej, do sali najświetniejszej ze wszystkich dotychczasowych, gdzie ściany były białe, a na środku gładkiej, drewnianej podłogi namalowano żółtą mandalę.

- Co to? - spytał George, kiedy mijaliśmy salę.

- To była komnata Essy - wyjaśniłem mu.

- Essy?

- No wiesz, Jezusa.

Nic nie odpowiedział.

Na koniec wprowadzono nas do najwyższej, jak można było sądzić, sali Kalapy. Z jej ścian zwieszały się kobierce opowiadające wzorami mandali historię tybetańskiego buddyzmu. Poza tym pokój był pusty. Południowa ściana składała się z wielkich, przesuwanych żaluzji i mnich, który nas tu przyprowadził po schodach, odsunął je, wpuszczając chłodne i rześkie powietrze poranka oraz

odgłos monotonnego śpiewu z któregoś z dolnych pięt.

Mnich oddalił się i po chwili wszedł inny. Zobaczyłem twarz tego nowego mnicha i rozpoznałem w nim Sukandrę, Mańdżuśri Rimpocze.

Nie widziałem go nigdy przedtem, ale byłem pewien, że to on.

Sam chciałbym wiedzieć, jak to możliwe. Sukandra był wcielonym tulku, jak Kunga Norbu, tylko nieskończenie potężniejszym, był bowiem wcieleniem Padmy Sambhava, hinduskiego jogi, który w ósmym wieku przyniósł buddyzm do Tybetu; był też Mańdżuśri Bodhisattwa Bodhisattwą mądrości, co oznaczało, że dotarł aż do kresu nirwany, ale wybrał powrót do kolejnych inkarnacji w ludzkiej postaci, po to tylko, by pomóc innym ludziom w tej drodze.

Tym razem wyglądał jak każdy inny mnich: stary, z ogoloną głową i twarzą pokrytą mapą zmarszczek, jaką na himalajskich twarzach spotyka się często. Ale to spojrzenie jego oczu - ten łagodny i przyjazny uśmiech! Trudno byłoby mi dokładnie wskazać, w czym to tkwiło, ale gdy stanął w pokoju, nie było żadnych wątpliwości: płynęło od niego uczucie jednocześnie kojące i ożywiające, jak gdyby chłodne, słoneczne powietrze poranka ogarnęło nagle cały świat.

Po angielsku, z silnym brytyjskim akcentem, poprosił nas, żebyśmy usiedli. Mówił jak dziadek naszego kumpla Trevora. Usiedliśmy, a on podstawił tacę z herbatą i nalał nam trochę gorącego napoju, bez masła jaka.

Piliśmy herbatę i rozmawialiśmy. Zapytał nas o nasze życie w Nepalu i dawniej, w Stanach, i poprosił, żebyśmy opowiedzieli mu historię naszej wspinaczki z Kungą Norbu na Czomolungmę, przy której uśmieł się wiele razy.

- Diamentowa Ścieżka jest twarda - powiedział. - Wspiąć się na Boginię Matkę! Sam chciałbym tam wejść.

Widziałem, jak George nie może się zdecydować, czy powiedzieć mu, że to K2 był przez cały czas Boginią Matką; w twarzy Rimpocze było coś takiego, że chciało się wygadać ze wszystkiego.

Szybko więc zmieniłem temat.

- George ma zamiar pomóc nam w powstrzymaniu budowy drogi do Czhule - powiedziałem.

Rimpocze przyjrzał się uważnie mojemu kumplowi. Skupienie, którym obdarzał, było intensywne, ale tak nasycone przyjaźnią, że trudno było się nim nie ogrzać. Głos miał spokojny.

- To by nam pomogło - powiedział. - Długi czas żyliśmy na końcu świata, ale świat rósł, aż wreszcie niebezpieczeństwo, że zostaniemy odkryci, stało się bardzo realne. - W pewnym sensie to się już stało, prawda? - odparł George.

Wskazał za okno, na wieś i otaczający ją pierścień namiotów uchodźców.

Rimpocze skinął głową.

- W pewnym sensie. Ale nie możemy ukrywać się przed naszym ludem, kiedy są w potrzebie, kiedy ich życie jest zagrożone.

A gdy nadejdzie czas, oni albo ich dzieci powrócą do swoich prawdziwych domów. Gdybyśmy jednak zostali odkryci przez cały świat, połączeni drogą z Katmandu i jego lotniskiem... - Podniósł głowę i spojrzał na George'a. - Czy chcesz nam pomóc?

- Nie jestem pewien, czy mogę cokolwiek zrobić.

- Nie o to pytałem.

- 'No... - George odwrócił wzrok, zmagając się ze sobą. W końcu zmierzył się z cierpliwym spojrzeniem Rimpocze. - Tak, chcę.

- A widzisz! - krzyknąłem, a oni obaj wybuchnęli śmiechem.

Rozmawiali potem o innych rzeczach. Ja przeszedłem przez otwarte żaluzje na wąski balkon, żeby popatrzeć na wioskę dymiącą w porannym słońcu, a wewnątrz George i Rimpocze śmiali się z

czegoś, co powiedział George.

- Chińczycy to próba - wykrzyknął Rimpocze w odpowiedzi.

- Ich także musimy kochać.

- Freds mówi, że w następnym wcieleniu będą pijawkami - powiedział George.

I dalej śmiali się i rozmawiali. Wszedłem z powrotem do pokoju i przyłączyłem się do nich. W pewnym momencie Rimpocze pochylił się, żeby napełnić nasze filiżanki, poruszając się jak tancerz, który naśladuje napełnianie filiżanek. Znowu rozmawiali o drodze i Rimpocze mruczał jakby do siebie:

- Czysty jest bezbronny wobec nieczystego. Tylko święty może go zwyciężyć.

Ciche minuty, sączenie herbaty w promieniach słońca - tak spędza się czas z Bodhisattwą, a gdy już się to robi, łatwo jest zrozumieć, dlaczego.

Kiedy potem wracaliśmy schodami na dół, George milczał. Dopiero po wyjściu z klasztoru powiedział:

- Wiesz, zapytałem go, ile ma lat. - Naprawdę?

- Taa, ciebie to nie ciekawiło? Sto dwadzieścia, Freds. On ma sto dwadzieścia lat.

- To dosyć sporo.

- Mówi, że umrze za trzy lata. Mówi, że jeżeli w następnym wcieleniu trafi do Tybetu, a tak jest przeważnie, wtedy to wcielenie będzie na pewno bardzo silne.

- Powinien skierować się gdzie indziej.

- Zasugerowałem mu to samo, ale powiedział mi, że niełatwo to zrobić. Bardo to ciemne i niebezpieczne miejsce. Powiedział mi, że kiedyś, w latach czterdziestych, pewien lama próbował narodzić się jako król Anglii...

- Księżę Karol? To by wszystko tłumaczyło.

- Nie, nie. Chybił. Zgubił się. Rimpocze uważa, że mógł odrodzić się jako pułkownik John. Dlatego właśnie pułkownik przybył do Tybetu i związał się z ruchem oporu. I dlatego przeszłość tak mu się teraz pomieszała.

- To by było wyjaśnienie.

- Owszem. Chociaż ja ciągle myślę, że to przypadek nauczenia się nowego języka po uszkodzeniu ośrodka mowy w mózguL\_

- Powiedziałaś o tym Rimpocze?

- Nie. Ale żałuję, że tego nie zrobiłem.

Następnego dnia po południu pojawił się pułkownik John, prowadząc kilka kucyków znad przełęczy. Drugi kucyk niósł najmłodszą siostrę Dalaj Lamy. Wszyscy mieszkańcy wioski wypadli z domów, zbiegli ze stoków, znad potoku i z dolnej części doliny, i każdy dołączył do procesji, aż wokół kucyków zrobił się taki tłok, że konie nie mogły się ruszyć. Wszyscy płakali: płakała siostra Dalaj Lamy, płakała cała jej świta, płakał pułkownik John, płakali mieszkańcy wioski, wypowiadając jej imię, a łzy spływały po ich twarzach jak monsunowa powódź. Staliśmy z George'em z dala od tłumy, czując się, jakbyśmy przypadkiem trafili na wzruszającą scenę rodzinną, spotkanie, którego nikt naprawdę się nie spodziewał, a zawsze za nim tęsknił. Potem przedstawiono nas siostrze Dalaj Lamy, Pemie Gyalpo, która mówiła znakomicie po angielsku i wyglądała na niezmiernie szczęśliwą z przybycia do doliny. Śmiała się i podarowała każdemu z nas tradycyjne białe szarfy powitalne oraz małe zdjęcia Dalaj Lamy. Zjedliśmy obfity posiłek, mieszkańcy założyli najlepsze niedzielne ubrania i całą biżuterię, dzieląc się tym z krewnymi i uchodźcami, tak że każdy otrzymał trochę. Piliśmy czang, siedząc dookoła pieców i śpiewając do późna w nocy. George ani ja nie znaleźliśmy piosenek, piliśmy więc tylko czang i dostarczaliśmy basowego "uuuu"

do każdej melodii, śpiewając tak aż do nieprzytomności. George trzymał swój portret Dalaj Lamy w dłoni, co chwila spoglądał na niego i mówił:

- Teraz rozumiem, dlaczego Chińczycy nie pozwalają turystom nosić w Tybecie koszulek z Philem Silversem. Popatrz tylko!

Następnego dnia rano siedzieliśmy na głazach, które były świetnym punktem widokowym na gorące źródło. Woda ściekała po kamiennej rynnie do pustego basenu, a unosząca się nad nią para odpływała nad paprocie i mchy, otulając je płaszczem drobnej rosy.

Niżej w dolinie wieś dopiero się budziła, z dachów podnosił się szarobrazowy dym i płynął przez cień góry do słońca, gdzie zmieniał się w jasne złoto, no a George odwrócił się do mnie i powiedział:

- Dobra, dobra, dobra. Jedźmy zobaczyć, co się da zrobić z tą drogą.

Wróciliśmy więc do Katmandu, najpierw maszerując całe dnie w ostrym tempie, a potem jadąc z pułkownikiem Johnem, który miał land rovera schowanego u pewnej rodziny we wsi na Końcu Drogi.

Wykopaliśmy samochód spod góry łajna jaków i pojechaliśmy po szwajcarskiej drodze szybciej, niżbym sobie życzył, na każdym zakręcie wchodząc wszystkimi czterema kołami w poślizg, tak że wyglądało, jakbyśmy w ogóle zapomnieli o serpentynach i pędzili prosto w dół zbocza, wykorzystując drogę tylko jako przypadkowy pas startowy albo lądowisko. Pułkownik w ciągu godziny dowiózł nas do starej drogi polnej, a potem zupełnie nie zwracał uwagi na wyrwy, błotniste podjazdy i smutne przydrożne wioski, tylko jechał jak samobójca, dopóki nie dotarliśmy do obwodnicy Katmandu.

Odległość, która naszemu autobusowi zajęła osiemnaście godzin, pokonaliśmy w ponad cztery, ale byliśmy wyczerpani zupełnie tak samo, jeśli nie bardziej.

Po tygodniach spędzonych w Szambhali, Katmandu wyglądało jak Manhattan, tylko głośniejsze i bardziej zatłoczone. Klaksony taksówek, dzwonki rowerów, upał, deszcz, błoto oraz wszystkie samochody, sklepy i twarze zagnały nas natychmiast do hotelu Gwiazda, gdzie zdruzgotani legliśmy w swoich pokojach. Pułkownik oznajmił, że jeszcze tego wieczoru wraca na Koniec Drogi i nie dało mu się tego wyperswadować.

- Niedługo wrócę - powiedział, znikając za zakrętem schodów. - Lepiej, żebyście mieli wtedy jakieś wyniki.

Zostaliśmy więc sami. George usiadł pod swoim prysznicem dla krasnali, zużył dwie cysterny gorącej wody, spalił parę fajek haszu i dopiero wtedy zrobiło mu się lepiej.

- Chodźmy do Starego Wiednia i nażryjmy się jak świnie - zaproponował. - Jestem taki chory, że już mi nie zależy: ozorek, mleko, jem wszystko.

Poszliśmy więc do gospody Stary Wiedeń, zamówiliśmy gulasz węgierski, sznyceł wiedeński, piwo i strudel z jabłkami, a wszystko było tak dobre, że najedliśmy się na śmierć, George prawie dosłownie, bo niestety większą część nocy spędził jęcząc w ubikacji.

Zaczął więc swoją wyprawę w głąbiny nepalskiej administracji trochę zmarnowany, co nie było zbyt korzystne. Pierwszy dzień upłynął mu na rozmowach ze znajomymi i wizycie w sklepie z dywanami wschodnimi, którego właściciel, Yongten, został powiadomiony pocztą pantoflową tybetańskich uchodźców, że należy służyć nam wszelką pomocą. Potem George znalazł naszego przyjaciela, Amerykanina imieniem Steve, który pracował dla Korpusu Pokoju.

Na koniec odwiedził jakichś swoich kumpli w Urzędzie Imigracyjnym, którzy w przeszłości nabili sobie kiesę bakszyskami dostarczonymi przez pracodawcę George'a. Wszyscy powiedzieli mu mniej więcej to samo, czyli "powodzenia". Yongten zaproponował, żeby George zaczął od pójścia na

Wydział Transportu i Robót Publicznych w gmachu ministerstwa przy drodze Ram Shah.

- Nie spiesz się - poradził jeszcze Yongten.

George odparł, że nie będzie się spieszył, że ma dużo doświadczeń z Urzędem Imigracyjnym przy załatwianiu pozwoleń na trekking i tak dalej.

- Imigracyjny bardzo szybko - odparł na to Yongten. - Bardzo sprawnie.

George trochę zbladł, ale był zdeterminowany i następnego dnia rano wskoczył na swojego hero jęta i popedałował przez ulice, radośnie dzwoniąc dzwonkiem.

Wrócił wieczorem, tuż przed zachodem słońca, kompletnie załamany.

- Umieram z głodu - rzucił. - Jeść.

Poszliśmy więc do K.Cs i tam zapytałem go, jak mu poszło.

Pokręcił głową.

- Chyba znalazłem właściwy wydział. To niewiarygodne, ale mają tam Wydział Starych Dróg i Wydział Nowych Dróg. Oba są w Singha Durbar, to wielki gmach.

Kiwnąłem głową, bo widziałem go już kiedyś. Budynek znajduje się przy drodze Ram Shah, oddzielony od niej parkiem i reprezentacyjnym podjazdem. Wygląda jak pomnik Lincolna z dachem indyjskiej świątyni.

- Są tam wszystkie ministerstwa. Trochę potrwało, zanim znalazłem Wydział Nowych Dróg. Nikogo w nim nie było.

- Żartujesz.

- Nie. Ale ktoś tamtędy przechodził i kiedy go zapytałem, wyjaśnił mi, że ponieważ ta droga jest przedłużeniem starej drogi, to powinienem udać się raczej do gabinetu Starych Dróg Górskich: "W sprawie nowych dróg górskich, które są przedłużeniem starych dróg górskich, należy zgłaszać się do wydziału Starych Dróg Górskich, a nie Nowych Dróg Górskich". I tam też mnie wysłał. Nie wiedział dokładnie, gdzie to jest. Po jakimś czasie udało mi się znaleźć ten wydział, ale zrobiła się już trzecia i skończyli pracę. Wróciłem więc do domu.

- Hej - mówię mu - niezłe postępy. Nic nie odpowiedział.

Następnego dnia wyszedł z samego rana, a wrócił nawet później niż dzień wcześniej. Idąc z nim do Valentina po chińskie jedzenie, zapytałem, jak poszło.

Dopiero kiedy przełknął krokiet, pokręcił głową.

- W Starych Drogach Górskich powiedzieli mi, że ponieważ to jest nowa droga, oczywiście muszę iść do Nowych Dróg Górskich.

Zachowywali się, jakbym był idiotą. Powiedzieli, że oni zajmują się tylko remontami i nie mają zielonego pojęcia o rozbudowach.

- Żartujesz.

- Nie. Wróciłem więc do Nowych Dróg i zapytałem kogoś innego, tym razem z bakszyszem. Powiedział mi, że o tej drodze nie wiedzą nic, że to jakaś bardzo wyjątkowa droga.

- Słucham?

- Nie przesłyszałeś się. "Ach, proszę panu! My o tej drodze nic nie wiemy, o którą pan mówi! To bardzo wyjątkowa droga!" Poradzili, żebym poszedł do Wydziału Informacji w Ministerstwie Komunikacji.

- Aha. Postęp.

Tej nocy znowu miał poważny rozstrój, całe egzotyczne jedzenie Katmandu zbuntowało się przeciwko niemu. A następnego dnia dowiedział się, że rezydenci Wydziału Informacji nic nie wiedzą o naszej drodze, i to nawet zachęceni bakszyszem. Polecili Wydział Dróg. Ewentualnie biuro Narodowej Komisji Planowania.

Następnego dnia ludzie z komisji planowania odesłali go do Ministerstwa Pańćajatów, które miało Wydział Rozwoju Regionalnego. Stamtąd skierowano go do Ministerstwa Dróg.

- Robimy postępy - powiedziałem. - Wiemy już teraz, dokąd nie chodzić.

Odburknął coś tylko.

W następnym tygodniu zaczął od nowa. Ciągle jednak był chory, wyglądało nawet, że coraz bardziej, więc trudniej było mu poświęcać na to cały dzień.

Pewnego dnia w ktoś w Wydziale Informacji powiedział mu, że za drogę płacą Chińczycy, a król nie chce, żeby wiedziały o tym Indie. Kilka dni później pewien informator w pańćajacie wziął gruby bakszysz i powiedział, że Ministerstwo Finansów namówiło do płacenia i Chińczyków, i Hindusów, więc nie chce, żeby w ogóle ktokolwiek wiedział coś o tej sprawie, bo inaczej któraś ze stron mogłaby się w tym połapać.

- To jest tak prawdopodobne, że pewnie nieprawdziwe - powiedział nasz przyjaciel Steve.

Nie było jednak sposobu, żeby cokolwiek ustalić na pewno.

George przez cały czas tracił zdrowie w biurach Singha Durbar, czekając na spotkanie z tym czy tamtym urzędnikiem, aż wreszcie pewnego dnia wrócił do domu, a kiedy zapytałem go, gdzie był tym razem, odparł: "Nie wiem".

- Co to znaczy: "Nie wiem"? Dokąd poszedłeś?

- Nie wiem.

Pomachałem mu dłonią przed oczami.

- George, jak ty się nazywasz?

- Nie wiem.

Podejrzywałem, że zaczyna tracić siły, zabrałem go więc na kolację. Kiedy się trochę pokrzepiliśmy, powiedziałem:

- Hej, chłopie, powinienem chodzić z tobą. Będiesz miał przynajmniej z kim porozmawiać.

- Freds, ty po prostu nie wyglądasz jak osoba urzędowa.

- Ani ty. Wyglądasz jak trekkingowiec, co umarł na chorobę wysokościową.

- Hmm - odparł, studiując swoje odbicie w szybie.-Może i tak.

Poszliśmy więc do Yongtena, żeby dostać więcej bakszyszu i żeby się ostrzyć.

- Zrób, żebyśmy wyglądali jak prosto z samolotu - powiedział mu George.

- Jasne.

- Faceci z międzynarodowej agencji pomocy - dodałem - z mnóstwem forsy.

- To potrwa trochę dłużej - odparł. Pracował jednak nad nami za pomocą małego zestawu nożyc do dywanów, aż wyglądaliśmy prawie jak młodzi republikanie na wiecu. Zacząłem więc towarzyszyć George'owi i trafiliśmy znowu do innego referatu Wydziału Dróg, obaj odstrzeleni jak faceci z międzynarodowej agencji pomocy, za których się zresztą podaliśmy. Biuro wyglądało jak Urząd Imigracyjny, tyle że było większe, ściany miało zastawione regałami pełnymi gigantycznych, czarnych segregatorów, które piętrzyły się także na podłodze w całym pokoju i na biurkach. Segregatory zbierały kurz, zaś za biurkami siedzieli hinduscy biurokraci w fezach i znoszonych, workowatych, jasnobezowych garniturach, którzy, o ile mogłem się zorientować, nie robili nic oprócz prowadzenia pogaduszek między sobą i rzucania spojrzeń w naszą stronę. W końcu jeden z nich udzielił nam posłuchania, ale zaprzeczył, jakoby Wydział Dróg miał cokolwiek wspólnego z drogą, o której wspomnieliśmy, wszystko jedno: nowa czy stara, górską czy terajską.

Tego dnia wieczorem przy kolacji zaproponowałem:

- Zapytajmy Szwajcarów, co oni wiedzą. Skoro budowali tamto ostatnie przedłużenie, powinni wiedzieć, kto będzie robił następne.

- Dobry pomysł - przyznał George.

Fakt, że to ja wyskakuję z dobrymi pomysłami, uznałem za złą wróżbę. George wyglądał na zniechęconego, a problemy gastryczne nadal psuły mu nocę. Do miasta wrócił pułkownik John. Co wieczór po naszym powrocie do domu wyciągał od nas szczegóły dnia i karmił za mizerne postępy. George odszczekiwał mu się, John nas rugał, a ja zaczynałem nucić po tybetańsku, żeby go uspokoić. Czasem się wyluzowywał i dołączał do mnie, innym razem po prostu wściekał się i jeszcze głośniej darł się na nas po angielsku, a jeszcze kiedy indziej gubił się, próbując robić obie te rzeczy naraz, i wpadał w rodzaj ataku katatonicznego. Nasi sąsiedzi hotelowi patrzyli na nas wilkiem, George był coraz bardziej wyczerpany.

Mimo to nie rezygnowaliśmy. Następnego dnia pojechaliśmy na rowerach na południe, przez rzekę Bagmati do Patanu, starego świętego miasta. Tam właśnie mieściły się biura Szwajcarskich Wolontariuszy dla Rozwoju i Szwajcarskiego Stowarzyszenia Pomocy Technologicznej.

Po Singha Durbar Szwajcarzy działali tak efektywnie, że nie mogliśmy wprost uwierzyć. Jakbyśmy rozmawiali z kosmitami. Dwóch z nich zaprowadziło nas natychmiast do jasnego, słonecznego pokoju z rycinami na ścianach, posadzili nas na kanapie przy stoliku, óali nam kawę z ekspresu i wypytywali, co mogliby dla nas zrobić. Było to tak zdumiewające, że George zapomniał z początku, po co tam jesteśmy, pozbierał się jednak i zapytał o rozbudowę drogi.

Niestety nie mogli powiedzieć nam zbyt wiele. Słyszeli o projekcie przedłużenia drogi do Czuhule, ale uważali, że teren, o który chodzi, nie jest odpowiedni pod względem geologicznym. Podejrzewali, że plan mogli przejąć Chińczycy. Zasugerowali, żebyśmy spróbowali w Ministerstwie Administracji, ale ostrzegli nas, że każdy obcy rząd, który udziela pomocy Nepalowi, jest w tym kraju na pół niezależną władzą, więc formalny rząd nepalski może wiedzieć niewiele. Naprawdę nie mieli pewności; byli, jak to Szwajcarzy, niezależni od wszelkich rządów. Większość wsparcia, które organizowali, kierowane było wprost do lokalnego biznesu.

Nie pomogli więc zbyt wiele, a następnego dnia okazało się, że w biurach administracji nikt nie chce z nami rozmawiać, i to bez względu na bakszysz.

George załamał ręce i znowu poszedł do naszego przyjaciela Steve'a.

- Daj mi jakiś kontakt - poprosił go. - Nie obchodzi mnie, kto to będzie.

Steve dał mu nazwisko gościa, który pisał do "Nepalskiej Gazety Urzędowej", pisma zamieszczającego informacje o wszystkich oficjalnych gpczynaniach rządu. Gość był najwyraźniej zwolennikiem B. P. Koirali, premiera wtrąconego do więzienia przez ojca króla Birendry jeszcze w latach sześćdziesiątych. To był dobry znak, i rzeczywiście, kiedy weszliśmy do jego biura w Singha Durbar i George rzucił na biurko pięćset rupii, mówiąc: "Chcielibyśmy zaprosić pana na obiad i zadać kilka pytań, żadne tajemnice, tylko trochę informacji", gość wyglądał na naprawdę zainteresowanego.

Spojrzał na zegarek i powiedział:

- Cóż, proszę panu, właśnie wychodzę na obiad. Jeśli pójdziecie ze mną, postaram się odpowiedzieć na pytania, gdy tylko odpowiedzi będą mi znane. Zabraliśmy go więc na obiad. Siedział i patrzył na nas lekko rozbawiony. Mały hinduski biurokrata z czerwoną kropką na czole i tak dalej. Nazywał się Bahadim Shrestha i urodził się w Teraju.

Studiował na uniwersytecie Tribhuvan w Katmandu i zdecydował się na pracę w administracji publicznej. Było to dla nas korzystne, ponieważ większość pracowników administracji stanowili Bramini lub Čhetrijowie urodzeni w Katmandu i posadzeni, dzięki układom rodzinnym, na stanowiskach, które traktowali jako łatwy sposób zarabiania pieniędzy bez pracy. Bahadim nie należał do tej zgrai i naturalnie jej nie cierpiał.

- Bieda i złe zarządzanie to dwa największe problemy Nepalu, proszę pana - powiedział nam - a nigdy nie rozwiążemy pierwszego, dopóki nie jest rozwiązany drugi. Co rok albo co dwa lata przyjeżdża do nas zagraniczny ekspert i projektuje nowy system:

organizację, promocję, wszystko bardzo szczegółowo, w punktach i z absolutnym końcem korupcji. Sekretariat Pałacu nakazuje nam posługiwać się tymi systemami, a potem się o nich zapomina, zanim ktokolwiek je zrozumie. - Ponuro pokręcił głową. - To istne muzeum systemów.

- Święte słowa - gorliwie przytaknął George. - No więc, gdybym chciał się dowiedzieć, kto w Singha Durbar odpowiada za budowę pewnej drogi?

- A, proszę panu, to w ogóle nikt z Singha Durbar! - Bahadim wydawał się zaszokowany samą myślą. - Tam przecież mieści się rząd!

George i ja popatrzyliśmy po sobie.

- Musicie zrozumieć - ciągnął Bahadim, zacierając ręce z jakimś upiornym zadowoleniem. - W Nepalu są trzy ośrodki władzy.

Singha Durbar i pańcajat to jedno, międzynarodowe organizacje pomocy to drugie, a Sekretariat Pałacu, który pracuje bezpośrednio dla króla Birendry - trzecie. Formalnie nie jest określone, kto za co odpowiada, ale w praktyce nie można nic zrobić bez króla i jego doradców.

- Ale co z rządem? - spytał George, krzywiąc się na myśl o wysiłku, jaki do tej pory włożył.

- Rząd pańcajatowy nie ma znaczenia w tym, co was interesuje - Bahadim rozłożył ręce. - Jak często mawia król, systemowi pańcajatów grozi zagubienie w labiryncie demokracji. Wy musicie zwrócić się do prawdziwej administracji.

- Przecież to właśnie próbowaliśmy zrobić!

- Tak. No cóż, w takim razie musicie iść do Sekretariatu Pałacu.

- Spostrzegł wyraz twarzy George'a i wzruszył ramionami. - To trochę skomplikowane.

- Pan to mówi poważnie! - George już miał chwycić się za głowę, żeby nie pękła. - Ale dlaczego? Dlaczego to jest takie skomplikowane?

- Cóż - Bahadim kreślił palcami jakieś diagramy. - W administracji jest jedenaście ministerstw i dwanaście departamentów, na których czele stoją ministrowie albo dyrektorzy. Wszyscy mają zastępców, sekretarzy odpowiedzialnych, zastępców sekretarzy i nominowanych referentów. Nie ma jednak drabiny służbowej. Każdy odpowiada przed tym przełożonym, którego sobie wybierze. Przełożeni zaś wydają polecenia podwładnym na każdym poziomie, bez wiedzy ich bezpośrednich kierowników. Rodzi to problemy i żeby sobie z nimi poradzić, trzeba stworzyć i zapłacić wiele nowych stanowisk pracy na każdym poziomie, w większości wypadków bez wiedzy Ministerstwa Finansów. Administracja publiczna rozrosła się więc tak bardzo, że Ministerstwo Finansów wstrzymało finansowanie agencji, zgadzając się przy tym na wypłaty dla poszczególnych urzędników. Powołano Komitet Nadzoru Służby Publicznej, żeby się tym zajął, ale po jakimś czasie rozwiązano go, bo nie dawał żadnych widocznych rezultatów. Podobnie jak import indyjskich specjalistów. - Bahadim wzruszył ramionami. - Trudno zatem ustalić odpowiedzialność za decyzje.

George oparł łokcie na stole i złapał się za głowę.

- Boże! Jakim cudem to się tak pogmatwało?

Bahadim uśmiechnął się, widząc naiwność George'a.

- To długa historia - odparł.

I z tą samą zgryźliwą przyjemnością przystąpił do wyjaśnień.

Zaczął od Ranów, rodziny, która rządziła krajem przez ponad sto lat.

Ranowie obsadzili urząd premiera i wszystkie inne ważne stanowiska, mieli też w garści rodzinę królewską, doili pieniądze publiczne i lokowali je na prywatnych kontach w Indiach. Jako



Hindusi, ustanowili po pewnym czasie w swojej własnej rodzinie system kastowy, tak że można było zostać Raną A, B lub C, w zależności od tego, czy zawarło się ślub poza rodziną i tak dalej. W końcu tyłu Ranów C nienawidziło Ranów A, że skłonni byli pomóc wykopać ich ze stołków.

W roku 1951 doszło do udanego przewrotu i całą rodzinę przepędzono. Ówczesny król, Tribhuvan, poparł oczywiście z całego serca ten przewrót, ponieważ razem ze swoją rodziną odzyskał wolność. Pomógł więc napisać nową konstytucję, która ustanawiała rząd demokratyczny oparty na modelu Indyjskiego Kongresu Narodowego.

Tribhuvan jednak umarł i królem został jego syn Mahendra, który chciał rządzić wszystkim sam. Ciągłe próbował przejąć władzę, a Kongres Narodowy mu się opierał, aż w 1960 udało mu się przy pomocy armii przeprowadzić zamach stanu. Wtrącił wtedy do więzienia premiera B. P. Koiralę i rozwiązał parlament. Żeby poprawić trochę wrażenie, ustanowił bezpartyjny Pańcajat Radź, typowy rząd marionetkowy. Zaczął też powoływać Ranów na swoich ministrów, żeby mieć ich stale na oku, ale oni wślizgnęli się znowu w układy, tyle że teraz pod królem, a nie nad nim. Jak tylko dorwali się do rządzenia, wrócili do swoich starych metod i pod ich kierownictwem Sekretariat Pałacu stał się rzeczywistym ośrodkiem władzy.

Kiedy w roku 1972 umarł Mahendra, kolej przyszła na jego syna Birendrę. Otóż Birendra studiował w Harvardzie i nabrał tam sporo modnych złych nawyków. Ludzie sądzili, że w odróżnieniu od swojego ojca nie będzie zainteresowany monarchią absolutną, co było prawdą, ale nie miało to znaczenia, jako że wszystko, czym Birendra nie był zainteresowany, wpadało w łapy jego sekretarzy.

Tak oto Ranowie odzyskali prawie wszystko, a król był właściwie niepotrzebny.

- I z przykrością muszę stwierdzić, że plaga korupcji jest teraz gorsza niż kiedykolwiek - ponuro oznajmił Bahadim.

George miał zrozpaczoną minę.

- To co, do cholery, mamy zrobić? - spytał.

- Cokolwiek by pan robił, trzeba to robić w pałacu. - Bahadim wzruszył ramionami. - Tam wszyscy ważniejsi ministrowie mają co rano durbar.

- A co to takiego?

Bahadim wyjaśnił, że ludzie, którzy chcą, żeby ministrowie coś dla nich zrobili, muszą pojawiać się rano na niewielkich przyjęciach i nie żałować bakszyszu ani pochlebstw. Wtedy coś może się udać.

- W takim razie - zastanowił się George - czy mógłby pan spróbować dowiedzieć się, który wydział zajmuje się tą drogą? To musiało być ogłoszone w "Nepalskiej Gazecie Urzędowej".

- Nie, nie musiało - odpowiedział Bahadim, ale zgodził się przejrzeć ją dla nas.

Zaraz następnego dnia Bahadim potwierdził jedną z historii, które George usłyszał podczas dni spędzonych w Singha Durbar.

Drogę budowali Hindusi. Fakt bezdyskusyjny. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Dziwne tylko, że trzymano to w tajemnicy.

Zapytałem więc:

- Jaki masz plan, George? To znaczy, kiedy już dotrzesz do odpowiedniej osoby, masz jakiś plan?

Nic nie odpowiedział.

Ale zabrał mnie do zakładu krawieckiego Na Ludzką Miarę na New Road, gdzie wskoczyliśmy w dwa doskonale dopasowane, zachodnie garnitury, w których wyglądaliśmy jak młodzi biznesmeni wprost z samolotu. Można się było nabrać. Poszliśmy więc do Sekretariatu Pałacu, żeby przekonać

się. co potrafimy.

Sekretariat mieścił się w przysadzistym, białym, betonowym budynku na skraju terenów pałacowych i była to jego największa zaleta - leżał zaraz za Thamelem, więc mogliśmy codziennie przejść się ulicą w pseudogarniturach z Wall Street, nabierając krowy na nasze aktówki i za dziesięć minut byliśmy na miejscu, gotowi do boju.

W środku jednak było zupełnie jak w Singha Durbar, tyle tylko, że tu wszystko było bardziej reprezentacyjne: nowe biura, nowe meble i maszyny do pisania, szykowni pracownicy w śnieżnobiałych marynarkach. Łaziliśmy od jednego biura do drugiego i czekaliśmy, aż w końcu znaleźmy każde pęknięcie w źle położonym tynku, a wszystko po to, żeby dowiedzieć się, że urzędnik, na którego czekaliśmy, z przyjemnością może z nami pogadać albo wziąć od nas pieniądze, ale nie wie nic. Nie wie nawet, kto wie.

Pułkownik John co wieczór robił nam awanturę. George'a ciągle męczyła biegunka. Zaczynało też go to wszystko wkurzać; pewnego dnia wyleźliśmy na deszcz, a George spojrzął do góry na wysokie sosny w pałacowym parku i zobaczył zwisające z gałęzi głowami w dół stado nietoperzy.

- To oni! - powiedział. - Tu się chowają, jak wyjdą z biura!

Hej! - wrzasnął na nie. - Gdzie jest, kurde, to biuro odpowiedzialne za drogę, wy wampiry?!

Gapili się na nas ludzie. Nietoperze ani drgnęły.

- George - mówię do niego - pamiętaj, że tych ludzi właściwie zachęca się do brania łapówek. Pensje mają małe, a życie w mieście sporo kosztuje. Idą do biura, a tam każdy bierze, dają im ich część łapówek zbiorowych, to co mają zrobić? Nie ma chyba sposobu, żeby tego uniknąć.

- Nie zasuwasz mi tej buddyjskiej gadki - odburknął George.

- To szuje i pułkownik John ma rację, że czasem trzeba po prostu dać komuś kopa w dupę! Jak nie są wampirami, to są hienami. Mam tylko ochotę, żeby tak jeden na mnie spadł, mógłbym wtedy ścisnąć go za tę jego pieprzoną szyję i wydusić wszystko, co wie.

Następnego dnia jego życzenie prawie się spełniło. Sekretarz w Oddziale Indyjskim Biura Pomocy Rady Rozwoju Narodowego spojrzął na George'a i twarz mu się rozjaśniła. George uśmiechnął się i wyjaśnił, że jesteśmy z Fundacji Williama T. Sloane'a Dla Popierania Rozwoju Międzynarodowego, z Houston w Teksasie. Położył też na stole odpowiedni bakszysz i spytał o budowę drogi. Tak, tak, oczywiście - sekretarz kiwnął głową. Byłoby najlepiej, gdybyśmy porozmawiali bezpośrednio z wiceministrem, panem A. S. J. B. Raną, który co rano spotyka się z gośćmi i innymi zainteresowanymi osobami na południowym patio Sekretariatu Pałacu.

- Rana - mówię do George'a, kiedy wyszliśmy. - To z tych Ranów, wiesz. Wszyscy prawdziwi Ranowie mają cztery ostatnie inicjały takie same, właśnie to S. J. B. R. - Nie wiedziałem. Ale to dobrze, to bardzo dobrze. Wreszcie docieramy do prawdziwej władzy.

Następnego dnia rano odwiedziliśmy więc durbar A. S. J. B.

Rany. Znowu wzbudziliśmy wielkie zainteresowanie, ale Georgie poradził sobie z tym w swoim zwykłym stylu, wyjaśniając, kim jesteśmy; wyglądał przy tym tak, jakby pieniądze ciążyły mu jak kamienie młyńskie, których chce się jak najprędzej pozbyć. A. Rana, elegancki typ w prostej, białej marynarce, wyraził zainteresowanie i zgodził się przyjąć nas na audiencji jeszcze tego samego dnia.

Spotkaliśmy się więc z nim, ofiarowaliśmy mu dowód uznania od fundacji, a potem George zasunął mu swoją mowę. Subwencja od fundacji, budowa dróg w Nepalu, badania możliwości przeprowadzenia aktualnych projektów. Pytania, które chcieliśmy zadać na temat przedłużenia drogi do Czuhle. A. Rana był uprzejmy i powiedział nam, że rozważy to i żebyśmy przyszli za jakiś czas. Weźmie pod uwagę ten podarunek fundacji, jak to ujął.

Wróciliśmy więc po jakimś czasie.

Nie zawsze towarzyszyłem George'owi, ale on zaczął chodzić tam codziennie. A. S. J. B. R. wydawał się za każdym razem coraz bardziej zainteresowany, zadawał rozmaite pytania dotyczące fundacji, prosił też wprost o pomoc finansową dla swojego wydziału. Od czasu do czasu rzucał jakiś kęs informacji, potwierdzający, że drogę budowali Hindusi, podawał nam liczby dotyczące kosztów albo odsyłał nas do jednego ze swoich współpracowników, którzy też prosili o pieniądze.

Kiedy jednak zobaczył, że George daje się naciągać, zrobił się trochę podejrzliwy, a potem despotyczny. Pewnego razu braliśmy udział w durbarze, podczas którego wszyscy przez cały czas mówili po nepalsku, a A. Rana spoglądał na nas i odwracał wzrok, aż stało się jasne, że jesteśmy obiektem jego żartów. I chciał, żebyśmy to zrozumieli. Zacząłem podejrzewać, że Rana wie, że oszukujemy, i naciąga nas na forszę, bawiąc się jeszcze przy tym w najlepsze.

George uważał jednak, że powinniśmy próbować dalej.

Innym razem, kiedy George był tam sam, do pokoju wpadł inny minister, krzycząc coś w gniewie na A. Ranę, który wskazał na George'a i powiedział na głos: - To przez tego Amerykanina, ciągle mnie nachodzi!

- Aha - powiedział ten drugi minister - to ten.

I obaj gapili się na George'a, dając mu do zrozumienia, że jego osoba jest w Sekretariacie dobrze znana.

- Wiesz, myślę, że Rana wrabia nas w coś, co sam kombinuje na boku - mruknął George, kończąc swoją opowieść.

Było to jednak nic w porównaniu z następnym dniem. George trafił na A. Ranę, kiedy ten właśnie wychodził, i zderzyli się nogami.

Rana nie wytrzymał i warknął oburzony:

- Niech pan mnie nie dotyka!

George nic z tego nie zrozumiał. Wy tłumaczyłem mu, że jako obcokrajowcy jesteśmy właściwie nietykalni. Nasz dotyk był nieczysty.

- Dajże spokój - odparł George, a twarz mu pociemniała.

- Tak myślą niektórzy Hindusi.

George popatrzył groźnie, a kiedy następnym razem poszedłem z nim, zauważyłem, że najpierw upewnił się, czy A. S. J. B. R. nie obserwuje nas z zaplecza gabinetu, a potem wsunął rękę do biurka i grzebał w przyborach biurowych. Innym razem, kiedy A. Rana zostawił nas samych, George wystukał nawet coś na maszynie.

- Jeszcze się przekonamy, kto kogo wrobi - wymruczał, wsuwając zapisane kartki do aktówki.

Tymczasem jednak A. Rana zdierał z nas bakszysz, żądając zapłaty za swój czas, a potem zbywając nas byle czym. George musiał odwiedzać Yongtena, żeby zdobyć więcej gotówki, a Yongten zaczął kręcić nosem.

- Nie udaje się - powiedział.

Pułkownik John był wściekły.

- Buldożery już tam są! Zaczynają, jak tylko skończy się monsun! Musimy tu coś zrobić!

Naprawdę, to było gorsze niż Singha Durbar. A. Rana i jego urzędnicy w Sekretariacie zabawiali się grą w siatkówkę z szarymi komórkami George'a, odbicie, set, ścięcie, cudownie! A tymczasem mojego kumpla ciągle męczyła biegunka i chudł coraz bardziej. Był na krawędzi załamania. Pewnego dnia A. Rana posadził nas w swoim biurze i z ostentacyjnym lekceważeniem zaczął rozmawiać z kimś przez telefon po nepalsku, co chwila wybuchając śmiechem. Potem wyłonił się ze swojego świętego zaplecza ziewając. Odprawił nas ruchem ręki.

- Muszę teraz wyjść. Wróćcie później.

Słyszałem, jak George'owi pękają hamulce. W gnieniu oka stanął przed A. Raną, zagroził mu drogę i naprawdę podniesionym głosem powiedział:

- Posłuchaj, ty mały kacyku od łapówek, albo dasz mi dokumenty tej drogi, albo skręcę ci ten twój cholerny kark.

Czegoś takiego nie wolno oczywiście nigdy robić z biurokratami z Katmandu, o czym George dobrze wiedział, bo zazwyczaj mógłby przy tych gościach występować jako pan George Relanium. Ale, jak powiedziałem, pękł.

Rana natychmiast nadał się jak kobra i zaczął wrzeszczeć:

- Niech nie myśli, że może mi grozić! Niech zaraz wyjdzie z gabinetu!

George zrobił krok w jego stronę, wyciągając groźnie palec i warcząc:

- Bo kto mi każe? Dawaj te papiery, ale już!

Rana podniósł słuchawkę telefonu i krzyknął:

- Niech pójdzie, albo wezwę policję, żeby go usunęła!

- A dlaczego mieliby przyjść? - zawołał George, którego ten pomysł rozwścieczył do reszty. - Musiałbyś im dać w łapę, żeby ich do tego namówić! A potem oni musieliby dać w łapę portierom, żeby w ogóle tu wejść! Skąd wy na to wszystko weźmiecie szmal?

Wycykacie następny program zagranicznej pomocy? Wrobicie następną agencję pomocy, żeby płaciła za wywalenie mnie z twojego biura? To wam zajmie z dziesięć lat, zanim mnie stąd wyrzucicie! - Ale ja już trzymałem go za ramiona i właściwie wyniosłem go stamtąd, stopą trzymając na odległość A. Ranę. Wrzeszczeli na siebie, a na korytarzu wszyscy wyszli z pokoi, żeby na to popatrzeć.

Niezły ubaw. Wieczorem tego dnia George był załamany.

- Spieprzyłem to, Freds, spieprzyłem.

- Owszem, spieprzyłeś.

Wypaliliśmy parę fajek haszu i poszliśmy do K.Cs, żeby się jakoś pocieszyć. Na miejscu George zaczął wlewać w siebie ogromne ilości piwa. Już wkrótce widoczne były skutki.

- Nie wiem zupełnie, co robić, Freds. Nie wiem, co robić.

Kiwnąłem głową. Prawda była taka, że mój kumpel był pokonany. No bo co mógł zrobić? Ludzie, na których się porwał, puszczały z torbami agencje rozwoju z całego świata, Bank Światowy, MFW, wszystkie te finansowe wieloryby.

Do sali wszedł Steve, przyłączył się do nas i siedzieliśmy tak, pijąc, a Steve opowiadał nam te swoje mrozące krew w żyłach historyjki z Korpusu Pokoju, jak to pałacowi skończyła się gotówka, akurat kiedy musieli kupić wybory do pańcajaty dla swoich kandydatów, pojechali więc do Teraju i wycięli tam ogromny kawał starego lasu. Drewno sprzedali do Indii, żeby natłuc forsy, a potem poszli do Banku Światowego i powiedzieli: "Ach, panowie! Śmierć lasów, ależ to dla nas okropny problem, proszę tylko popatrzeć!" i zabrali ich na ten kawał Teraju, który właśnie skończyli wycinać. Gleba stamtąd była już wtedy, oczywiście, w Bangladeszu, więc Bank Światowy dał im pieniądze, a oni prędko obsadzili młodnikiem jakieś dwanaście hektarów, założyli na środku lądowisko, a resztę zgarnęli do kieszeni. Potem przy każdej okazji zabierali tam ludzi, żeby zobaczyli wielki program zalesiania, i ciągnęli od nich pieniądze na zakończenie tego przedsięwzięcia, a forsa szła natychmiast na galowe mundury dla wojska i inne drugorzędne rzeczy.

I z taką bandą chciał się mierzyć George, przy ograniczonych funduszach i bez znajomości nepalskiego. Co on mógł poradzić przeciw takim facetom?

Chciał się upić i rozbijać sobie na głowie puszki po piwie, przynajmniej tego wieczoru. Byłby to niezły wyczyn, bo puszki były indyjskie, zrobione z grubej blachy.

- Dobra, jestem przyzwyczajony - powiedział. - Walilem głową o mur przez cały miesiąc, aż mi tam skóra zgrubiała. - Zademonstrował to. Trach! Zabrałem go do domu.

Wlekiśmy się przez wąskie ulice Thamelu, a George wlaził we wszystkie kałuże, bo rozglądał się naokoło.

- Popatrz, Freds. Popatrz na tych biednych zasrańców, popatrz tylko na nich.

- Hej, panie Nie! - krzyknął któryś.

George potrząsnął głową, prawie się przy tym wywracając.

- Jestem pan Tak! Pan Tak! Tak! Tak! Tak!

Odpędziłem ciekawskie dzieciaki i podtrzymałem go. Szedł, zataczając się niepewnie.

- Czy nie byłoby świetnie, gdyby Tybet i Nepal po prostu zamieniły się miejscami? Co, Freds? Gdyby się zaczynały po odwrotnych stronach Himalajów? Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Chiny podbiłyby Nepal.

- No właśnie! I wtedy to oni musieliby babrać się w tej biurokracji! Mogliby ją wykorzystać do kontroli wzrostu zaludnienia!

Wysyłaliby tam ludzi i patrzyli, jak znikają! Raz dwa w Chinach zostałoby tylko paru ludzi, a Ranowie opanowaliby Pekin. Chińczycy błagaliby o litość.

- Dobry pomysł.

- A tymczasem Tybetańczycy i Dalaj Lama byliby po południowej stronie i mogliby sobie w ciszy i spokoju ciągnąć ten odlotowy raj z Księżyca. Czy to nie byłoby wspaniale, Freds? Nie?

- Tak, George, byłoby. Jesteś pijany. Zupełnie się rozkleiłeś.

Wróćmy lepiej do domu. Wypalimy parę fajek i postawimy cię na nogi. •

- Dobry pomysł.

W Gwieździe czekał jednak na nas pułkownik John i nie był zbyt rozbawiony. Nie przypadło mu do gustu nasze oczywiste zaniedbanie obowiązków. To nam nie przeszkodziło, ale gdy my oddawaliśmy się odlotom, on chodził przed nami w tę i z powrotem jak sierżant prowadzący musztrę, kręcąc młynkiem modlitewnym i burcząc:

- I co my teraz zrobimy? Przepuściliście dwa tysiące rupii i guzik z tego mamy! Wpadliśmy na najbardziej podejrzaną bandę biurokratów na świecie. I co my teraz zrobimy?

George pociągnął potężnego macha i trzymał go, aż zrobił się siny.

- Aaaaaach. Nie wiem. Nie wiem! Nie wiem. No bo co my możemy zrobić? Mamy hinduską drogę, tyle wiemy. Szwajcarzy nie chcą. Dlaczego? Nie wiadomo. Hindusi ją budują. Chińczycy nie będą skakać z radości, no bo przecież Hindusom nie podobało się, kiedy Chińczycy zbudowali drogę z Lhasy do Katmandu. Prawda?

Jeśli chodzi o Nowe Delhi i Pekin, to dla nich wszystkie te drogi są tylko korytarzami ataku, i jedni, i drudzy mają paranoję na tym punkcie. Myślę, że moglibyśmy ich nastraszyć, żeby tego nie robili.

Nie wiem, może udać atak albo coś takiego...

Pułkownik chwycił go za szyję i podniósł do góry.

- TAK! - ryknął i puścił George 'a, który upadł na łóżko. - TAK! - dygotał przy tym, jakby wetknął palce do gniazdka z prądem.

- Co: tak? - spytał George, masując sobie szyję.

Pułkownik John dźgnął go palcem.

- Atak! Atak! Atak!

- Nie uda się. Te gnojki i tak się jakoś wywiną.

Pułkownik nie słuchał go.

- Przeberzemy paru Khampów za Chińczyków i urządzimy nocny atak na koszary w Czhule.

- A skąd weźmiecie chińskie mundury? - spytałem.

- Mamy tego mnóstwo - odparł ponuro. - Trzeba tylko zaszyć dziury. Tej samej nocy przejdziemy do Tybetu i zaatakujemy najbliższy posterunek armii chińskiej. - Chwilę się nad tym zastanawiał. - Przekroczymy Nangpa La, a wtedy każda strona będzie myślała, że zaatakowała ta druga. Szambhałę utrzyma się z boku.

Incydent graniczny. Chińczycy będą narzekać, Birendra spanikuje jak w siedemdziesiątym drugim, a budowa drogi stanie na dobre.

TAK! - Pochylił się i ryknął George'owi prosto w twarz: - Znakomity plan, żołnierzu!

Ale George leżał już nieprzytomny na łóżku. Następnego dnia rano nie pamiętał nawet, jaki był ten plan, a kiedy mu powiedzieliśmy, nie chciał wierzyć, że to jego pomysł.

- No nie, daj spokój, Freds. Znowu mnie wrabiasz, a ja przecież nie chcę się w to mieszać!

Pułkownik John już się pakował.

- Pomyśl o Singha Durbar - powiedział do George'a. - Pomyśl o Birendrze i Ranach. Pomyśl o A. Shumsher Jung Bahadur Ranie.

To do niego trafiło. Gderałby może, ale miał zbyt wielkiego kaca.

Podczołgał się do okna i wyjrzał na dachy Thamelu.

- Dobra - powiedział po chwili. - Zrobię to. Plan jest idiotyczny, ale lepszy niż tamto - machnął ręką w stronę Kathmandu.

Przygotowaliśmy się więc do ponownego wyjazdu, co dla pułkownika Johna oznaczało wskoczenie do land rovera, a dla mnie - spakowanie plecaka. George miał jednak listę rzeczy do zrobienia.

Najpierw zaopatrzył się w dwa wielkie kanistry nafty. Potem wykupił chyba wszystkie antybiotyki w Katmandu, w poszukiwaniu których trafił nie tylko do małych aptek na Thamelu, ale także do sprzedawców na chodnikach, którzy siedzieli na gałganach obok przekupek sprzedających kandyzowane owoce i kadzidła. Oferowali nowiutkie antybiotyki, bo zaopatrywali się u powracających z gór ekspedycji. Wśród znalezionych skarbów był zapas tinidazolu, lekarstwa na lamblie, nie zatwierdzonego w Stanach - bierze się tego cztery końskie piguły naraz, a następnego dnia wszystkie lamblie są martwe i pewnie reszta wnętrzości razem z nimi. George walnął sobie dawkę tej trucizny, na wypadek gdyby chorował właśnie na lamblie, i ślaniając się, ruszył załatwiać następną sprawę.

Jedną z nich polegała na odwiedzeniu naszego znajomego Bahadima i naradzeniu się z nim oraz wręczeniu mu notatki, którą George przygotował dla "Nepalskiej Gazety Urzędowej", wraz z kilkoma listami, napisanymi na papierze z biura A. S. J. B. Rany.

Potem jeszcze krótkie wizyty u Szwajcarów i w Sekretariacie Pałacu, oddanie następnych papierów, i już był gotów. Pułkownik John zawiózł nas do zagrody w pobliżu Końca Drogi, gdzie ukryliśmy land rovera, a dalej właściwie biegliśmy przez trzy dni prosto przed siebie, potem wokół Czhule, przez las rododendronów ze ściółką z opadłych kwiatów i w górę doliny, gdzie z hukiem ruszyły monsunowe wody. Dalej po lodowcu i do grani, przez śniegi, na przełęcz, a potem już w dół do Szambhali.

Kiedy zeszliśmy do świętej doliny, pułkownik opowiedział wszystkim o planie George'a. Khampowie poszaleli z radości, ale Mańdżuśri Rimpocze nie okazał takiego entuzjazmu.

- W żadnym wypadku nie wolno wam przy tym kogokolwiek skrzywdzić. Taka niesprawiedliwość przerosłaby znacznie wszelkie dobro, jakie mogłoby z tego wyniknąć.

Pułkownik John wysłuchał tego niechętnie, ale zgodził się, zupełnie jak Eddie Haskell:

- Oczywiście, że nie, święty Rimpocze, absolutnie nikt nie zginie. Ogień skierujemy wyłącznie przeciw rzeczom.

- Chcemy ich tylko przestraszyć - wyjaśniłem.

- Tak! - potwierdził pułkownik John, chwytając się tej koncepcji. - Chcemy ich po prostu przerazić - oznajmił i odszedł, układając w głowie plany tak potężnego przerażenia strażników po obu stronach, że niektórzy z nich mogliby umrzeć ze strachu, co byłoby bardzo przykre, ale nie my bylibyśmy winni, nie bezpośrednio.

Organizując atak, pułkownik przestawił się całkowicie na myślenie oficera Piechoty Morskiej: stworzył dwa oddziały, musztrował je, sporządzał mapy, wykresy i plany bitew. Według jego pomysłu dwa oddziały miały zgrać w czasie ataku na posterunki graniczne w Nepalu i Tybecie, tak by z obu kierunków mogły wycofać się na Nangpa La, spotkać się tam i wymknąć się, zostawiając ścigających ich Chińczyków i Nepalczyków twarzą w twarz. Pułkownik uważał, że to znakomite. Codziennie przychodziły mu do głowy nowe podstępny.

- Dobra - powiedział po jednej z takich burz mózgow. - Zejdziemy na Czhule ubrani w mundury armii chińskiej, ale co piąty człowiek będzie miał na sobie święteczną maskę demona z klasztoru.

To będzie dla Nepalczyków podświadomy szok. Będą wiedzieć, że to Chińczycy, ale w głębi duszy pomyślą sobie, że dopadły ich wszystkie demony Jamantaka.

George mocno się krzywił na te pomysły. - Nie uważasz, że to trochę przedobrzone? - sugerował. - Przecież chodzi o to, żeby żołnierze z Czhule myśleli, że atakują ich Chińczycy. Nie jestem pewien, czy święteczne maski demonów w tym pomogą.

- Oczywiście, że tak - odpowiadał pułkownik John, odsuwając obiekcje. - Będziemy manipulować ich podświadomością. Broń psychologiczna. Rozumiesz, te dziesięć lat w CIA nie poszło na marne. Tę część zadania zostawcie mnie.

- Jeżeli stacjonują tam jacyś Gurkhowie, to oni nie będą sobie zawracać głowy naszym wyglądem - ostrzegał George. - Po prostu wyjdą i będą strzelać.

- Nie ma tam żadnych Gurków - odburkiwał pułkownik John. - Tylko żandarmeria armii nepalskiej, najgorsze wojsko na świecie. - I w końcu przestał opowiadać George'owi o swoich planach.

Wreszcie wszystko było gotowe. Dwie grupy wypadowe miały wyruszyć tej samej nocy, jedna pod dowództwem pułkownika Johna do Nepalu, druga, prowadzona przez Kungę Norbu - do Tybetu.

Mańdżusri Rimpocze zezwolił nam na wykorzystanie niektórych przejść ze starożytnego tajnego systemu tuneli Szambhali, mogliśmy więc wyjść na powierzchnię dobry kawałek drogi od doliny, zaraz na grani, przy samym siodle Nangpa La.

Nangpa La jest, jak już powiedziałem, starym przejściem handlarzy soli i wełny między Tybetem a Nepalem, i właśnie tę drogę wykorzystaliby Chińczycy albo Nepalczycy, gdyby mieli zaatakować jedni drugich. Oczywiście Nepalczycy nie byliby tak głupi, żeby uderzać na Chiny, ale Chińczycy byli pewni, że tą trasą posłużyliby się Hindusi, w ogóle nie zważając na istnienie Nepalu. Przełącz nadawała się więc idealnie do naszych celów: pasowała do zmyślonego scenariusza i nie było powodu, żeby jakikolwiek pościg trafił na teren samej Szambhali. Mogliśmy przeprowadzić oba ataki i wrócić do Nangpa La przed świtem, a kiedy już byśmy zniknęli, ścigający mogli w atmosferze skrajnej paranoi załatwić sprawy między sobą.

- No nie wiem - powtarzał George. - Może powinniśmy spróbować tylko po stronie nepalskiej. Bo przecież co oni sobie pomyślą, jeśli zaatakujemy i jednych, i drugich? I

- I ci, i tamci będą myśleli, że druga strona kłamie - odpowiadał pułkownik - i obie strony będą miały podstawy, żeby tak myśleć.

Umysł pułkownika nurtowało tylko jedno pytanie: czy będzie dowodził właściwym oddziałem. Jego najgłębsza nienawiść skierowana była przeciwko Chińczykom, poza tym było prawdopodobne, że ich posterunek będzie niebezpieczniej szy do zaatakowania. Były jednak ważne powody do pozostania po stronie nepalskiej, ponieważ gdyby pułkownik i Khampowie mieli wdać się w strzelaninę z plutonem chińskim, to mogli ześwirować i wszystkich pozabijać. Nawet pułkownik zdawał sobie z tego sprawę. Z drugiej strony, sposobność pogonienia strachliwych Nepalczyków wydawała się zarówno bezpieczna, jak i zadowalająca; na lepszą zemstę za zdradę Birendry wobec tybetańskiego ruchu oporu w siedemdziesiątym drugim roku Mańdżuśri Rimpocze i tak by się nie zgodził.

Trzy dni po naszym powrocie zebraliśmy się więc w południe na dziedzińcu klasztoru. Rozdzielono maski demonów oraz arsenał karabinów i moździerzy, które wyglądały, jakby pochodziły z muzeum wojen kaszmirskich. Mnie przypadł moździerz, a George dostał plecak wypełniony amunicją do niego, na dotyk były to kamienie.

Pułkownik powiedział nam, jak się tym posługiwać. Okazało się, że moździerze rzeczywiście są zabytkowe, a amunicja do nich skończyła się Khampom dawno temu, robili więc własne ładunki wybuchowe, opróżniając naboje ukradzione Chińczykom. Kiedy taki ładunek był już w moździerzu, wpychało się przybitkę z wełny jaka, a za nią kulę armatnią, śrut albo kamienie, zależnie od tego, co było pod ręką i pasowało do lufy.

Mańdżuśri Rimpocze wyszedł na dziedziniec i pobłogosławił nas, a pułkownik John wygłosił zagrzewającą mowę. Potem dołączył do nas kuden Kalapy. Jak zwykle wyglądał na nieprzytomnego, jakby za chwilę miał umrzeć. Ubrany był w złote, ceremonialne szaty, ale nagle dostał jakiegoś ataku i cały spuchł. Tamci męczyli się, żeby nałożyć mu hełm, który ważył jakieś pięćdziesiąt kilo i wyglądał, jakby miał go przygiąć do ziemi, w dodatku zacisnęli mu pasek pod brodą zbyt mocno. Wtedy duch Dorje Drakdena wszedł w niego zupełnie. Kuden kroczył dumnie po dziedzińcu z wytrzeszczonymi oczami i charczał po tybetańsku, z czego nic nie mogłem zrozumieć.

Wymachiwał też ogromnym, drewnianym mieczem i robił krótkie wypadki w tę i we w tę, aż musieliśmy się przed nim rozstępować.

Było jasne jak słońce, że wstąpił w niego Dorje Drakden i beształ nas: srogie bóstwo, ciskające się między nami pod ciemnym niebem, w niesamowitym świetle wiecznego płomienia i głowę dając, że nieco tego ducha zapłonęło w każdym z nas, więc kiedy Dorje wskazał swoim ogromnym mieczem dolne wejście do Kalapy, rzuciliśmy się tam wszyscy.

Biegliśmy w dół, aż skończyły się mury Kalapy i znaleźliśmy się w pomieszczeniu wykutym w kamieniu, a potem posuwaliśmy się dalej tunelem oświetlonym lampkami maślanymi, aż zadudniliśmy po ciemnych schodach wiodących do podziemnej jaskini o ścianach wyłożonych złotem. To musiała być główna stacja gigantycznego systemu tuneli Szambhali.

- Jej! - jęknął George. - O tym mi nie mówiłeś.

- Nie wiedziałem o tym - odparowałem. Parę punkcików światła, pochodzących z lampek maślanych, nie ujawniało zbyt wiele, ale wydawało mi się, że ze złotej jaskini odchodziło ze dwadzieścia wejść do różnych tuneli. - Mam tylko nadzieję, że nie będziemy musieli wracać sami.

- Wypluj to słowo.

Weszliśmy do jednego z tuneli. Wyprzedzali nas Kunga Norbu i kilku Khampówz pochodniami, którzy napełniali lampki maślane i zapalali je. Lampki stały we wnękach mieszczących posągi Bodhisattwów albo demonów Bónpa, więc kiedy je mijaliśmy, witała nas otucha na zmianę z upiornymi wrzaskami. Od czasu do czasu tunel się rozwidlał, a my przeważnie skręcaliśmy w prawo, choć nie zawsze. Posuwaliśmy się truchtem, przeważnie pod górę, w niektórych miejscach były



nawet schody, zaczęło więc być ciężko. Z wyjątkiem kałuż, małych, ciekących wodospadzików i lamp we wnękach, tunele nie wyróżniały się niczym, nie można więc było stwierdzić, jak daleko zaszliśmy. Musiało to jednak być wiele kilometrów w poziomie i jakieś tysiąc dwieście metrów pod górę, bo w takiej odległości od doliny leży Nangpa La. Wreszcie zatrzymaliśmy się stłoczeni, podczas gdy ci na przedzie otwierali kamienne wrota, i wyszliśmy pod kłębiące się, wieczorne chmury monsunowe, na stromą grań jakieś trzysta metrów ponad Nangpa La. Niżej na przełęczy widać było szereg walących się czortenów i wysokie, smukłe tyczki, na których wisały kiedyś chorągwie modlitewne. Przyglądając się im, spostrzegłem jakiś ruch, a jednocześnie rozległ się ledwie słyszalny, wysoki gwizd, aż dostałem gęsiej skórki na rękach.

- Do licha! - krzyknąłem, a George syknął:

- Zasadzka!

Pułkownik pokręcił jednak tylko głową.

- Yeti - wyjaśnił. - Mańdzuśri Rimpocze zorganizował ich pomoc.

- Cholera! - rzucił George. W tej chwili nie mógł zrobić nic więcej. W dole na przełęczy cienie przesunęły się i zniknęły, i tyle ich widzieliśmy. Szybko zeszliśmy do przełęczy, stąpając po odsłoniętych głazach, tak by nie zostawić śladów, które mogłyby podpowiedzieć, skąd wyszliśmy.

Między czortenami rozdzieliliśmy się na dwie grupy i zaczęliśmy schodzić z przełęczy w przeciwne strony. Potem trzeba już było tylko dotrzymać kroku pułkownikowi, któremu wydawało się, że jest w swoim land roverze: biegał we wszystkie strony, wrzeszczał na nas i, kierując się starodawnym szlakiem handlarzy, zasuwał przez osypiska i zimne, huczące strumienie lodowcowe.

Parę godzin później dotarliśmy do lasu rododendronów nad Czhule.

Deszcz postrącał wszystkie kwiaty, które kłębiły się pod drzewami jak strzępy balonów po przyjęciu. Były ich tysiące, aż ziemia zrobiła się różowa, a na niebie wisały kłęby białych chmur, oświetlone silnym światłem pełni. Pomiędzy różową ziemią a białym niebem setki czarnych, sękatych i powykręcanych gałęzi rododendronów oblepiał wilgotny śnieg, który właśnie zaczął padać. Miejsce było niesamowite, a kiedy przez konary przeświecał podobny do latami księżyc, wyglądało jeszcze bardziej niesamowicie: różowa ziemia, poskręcane, czarne kształty, padający śnieg, chmury gnające przed księżycem, a od czasu do czasu uchwycony kątem oka ruch jakichś postaci. Dolna krawędź lasu sięgała opłotków Czhule, a koszary, w których stacjonowało wojsko nepalskie, były po naszej stronie wioski, tuż za wąską przecinką: trzy długie, piętrowe, kamienne budynki z blaszanymi dachami i drewnianymi oknami spały spokojnie głębokim, nocnym snem zwyczajnej wioski. Gdzieś w oddali szczekał pies, ale to zdarza się co noc w każdej nepalskiej wsi, nie musieliśmy się więc nim przejmować.

W ciszy zaczęliśmy rozciągać się wzdłuż krawędzi lasu, posłuszni poleceniom pułkownika, który ustawił drużyny moździerzy w półokręgu na wprost jednego z budynków koszar. George i ja trafiliśmy na koniec półokręgu, za niski, stary i gruby rododendron.

Pułkownik roześmiał się groźnie na widok dachów koszar.

- Będzie hałas, jakbyśmy grzmocili ich po głowie pokrywami od śmietnika. Macie, załóżcie maski. Będą was widzieć podprogowo.

Wręczył nam latarki i maski demonów, które założyliśmy. Na szczęście wyłupiaste oczy naszych upiórów były tak olbrzymie, że można było patrzeć przez otwory wycięte w ich źrenicach. George przemienił się w zielono-czerwono-niebiesko-złote straszdyło, szczerzące trzy albo cztery razy więcej zębów niż normalnie. Przypuszczam, że ja wyglądałem tak samo. Po rozpoczęciu zadymy mieliśmy wystrzelić dwa razy z moździerza, a potem skradać się między drzewami, oświetlając sobie twarze od dołu latarkami. Po tej podświadomej antyreklamie powinniśmy przepaść za drzewami,

żeby uniknąć ognia, który moglibyśmy ściągnąć.

Świetny plan. George'owi nie przypadł jednak zbyt do gustu, a kiedy wyciągnął kamienne pociski z plecaka, żeby załadować moździerz, jego entuzjazm zmalował jeszcze bardziej.

- Freds, co to ma być? Ty to widzisz? Te kamienie są niebieskie! Prawda, że są niebieskie? - Oświetlił je przez moment latarką.

- Freds, to są turkusy!

Pobiegł między drzewami, dogonił pułkownika i przyciągnął go z powrotem.

- Pułkowniku, co to ma być, do cholery? Strzelamy w tych gości turkusami?!

Pułkownik miał już na twarzy szczególnie groteskową maskę demona, ale i tak było oczywiste, że jej dziki grymas dokładnie odpowiada uśmiechowi pod spodem.

- Pięknie, co nie? - rzucił. - Wylecą z tych koszar, zobaczą te kamory porozrzucane dookoła i pomyślą, że niebo na nich spada. Powariują ze strachu.

George nic nie odpowiedział.

W końcu jednak potrząsnął z całej siły głową, aż maska mu się przekrzywiła i odezwał się stłumionym głosem:

- Pułkowniku, nie wydaje ci się, że jak ostrzelamy tych gości turkusami to, no wiesz, jutro rano będzie im trudno uznać, że w nocy napadł na nich oddział chińskiej armii...

Zanim jednak zdołał dokończyć pytanie i poprawić sobie maskę, pułkownika już nie było, za to rozległ się jego gwizd, który był sygnałem do rozpoczęcia ataku, i jeden z Khampów w masce, który szczególnie mocno oberwał drewnianym mieczem, podkradł się do okna, wystawił w nim swoją twarz, poświecił latarką do środka, a potem na siebie i zawył, co było sygnałem dla nas wszystkich, żeby wystrzelić z moździerzy nierówną salwą, która trwała jakieś pół minuty. Khampa przy oknie zmył się między drzewa, a ci, którzy mieli karabiny, otworzyli ogień i powystrzelili wszystkie okna w koszarach. Następnie z nieba spadł ze świstem tuzin turkusowych pocisków, niektóre z nich upadły na te blaszane dachy, które od uderzeń zaczęły straszliwie dudnić. Przez cały ten czas my, demony, tańcowaliśmy między drzewami, świecąc sobie po twarzach, a z wnętrza budynków dochodziły wrzaski szaleńczej paniki, ciesząc serce pułkownika na kilka najbliższych wcieleń.

Wszystko szło więc świetnie, przynajmniej przez kilka minut, ale niestety jednego z demonów poniosło: podbiegł do najbliższego budynku, żeby zajrzeć przez wybite okno. Czuł przy tym demoniczną niewrażliwość na ciosy, która okazała się złudna, gdyż ktoś ze środka go postrzelił. Khampa upadł, a ponieważ byliśmy z George'em najbliżej, pobiegliśmy przez przecinkę i przyciągnęliśmy go. Prawe ramię mu krwawiło i wydawało mi się, że bardzo cierpi, dopóki nie przypomniałem sobie o jego masce. W górze przetaczały się czarne chmury, noc zrobiła się ciemna, padał gęsty śnieg, od odgłosów wystrzałów można było dostać świra, a nasz demoniczny towarzysz pokazywał właśnie, że może chodzić o własnych siłach, gdy nagle trach, trach - dookoła posypały się kamienie. Dostaliśmy od naszych. Mnie rąbnęło mocno w ramię i w plecy, Khampą rzuciło na bok, ale główne uderzenie wziął na siebie George. Na szczęście turkusowe pociski pułkownika rozrywały się najczęściej na kawałki przy wystrzale, więc kiedy spadały, były raczej jak śrut niż jak kule do kręgli. Mimo to George'owi dostało się tyle, że rymnął na ziemię, obalony przez coś, co wyglądało jak materiał na parę tuzinów turkusowych koleczyków.

Poraniło mu tył głowy i ramiona. Szczęście, że miał na twarzy maskę, teraz całą pokiereszowaną. Od razu też stracił przytomność.

Teraz nasz ranny Khampa musiał nam pomóc; posłużył się swoim zdrowym ramieniem, ja wziąłem George'a z drugiej strony i migiem odciągnęliśmy go do lasu rododendronów.

Potem sprawy się zagmatwały. Świąteczne sztuczne ognie wybuchały ze straszliwym hałasem nad nepalskimi koszarami, których dachy ciągle okropnie dudniły, ale dla mnie zaczęło być oczywiste, że w Czhule rzeczywiście stacjonowali Gurkhowie, bo z jednego z budynków, ostrzeliwując się, wybiegł jakiś oddział, który nie zwracał uwagi na siłę naszego ognia i nie chciał przyjąć do wiadomości, że niebo spada. Żołnierze zaczęli strzelać do nas z hukiem, który oznaczał chyba jakieś naprawdę wielkie karabiny, a gałęzie rododendronów posypały się na prawo i lewo.

Ponieważ Mańdżuśri Rimpocze kazał nam unikać zabijania któregokolwiek z nepalskich żołnierzy, nie pozostało w tej sytuacji do zrobienia nic więcej, jak dokonać bardzo spiesznego odwrotu, ostrzeliwując się przez cały czas w demonicznym stylu chińskiej armii.

Nasi towarzysze to robili, ale ranny demon i ja musieliśmy użerać się z George'em, który odzyskał wprawdzie przytomność, ale ciągle był niezgrabny i dezorientowany. Zataczał się między nami, mamrocząc coś bez związku, jak gdyby lanie skierowało go na bardzo skróconą drogę do oświecenia, chociaż w to akurat wątpiłem. Był po prostu oszołomiony, tak że zostawaliśmy coraz bardziej w tyle za pułkownikiem i Khampami.

Wpadłem na opuszczony mózdzierz, który ciągle stał na śniegu.

"Trrr" wbijało się w nas szponami strachu, a gałęzie trzaskały nam nad głowami, potwierdzając stosowność mojej reakcji. Uznałem, że musimy wystrzelić jeszcze jeden pocisk w Nepalczyków, chociaż teraz nie jestem pewien, dlaczego tak pomyślałem, i upchnąłem w lufie ładunek wybuchowy z przybitką, kiedy odkryłem, że dookoła nie pozostał już ani jeden odłamek turkusu, ani w ogóle żaden kamień.

Kuliliśmy się więc za pnem, dając George'owi złapać oddech i myśląc, że to już koniec, gdy nagle, bez jednego dźwięku, pojawiły się przy nas ciemne, niskie postacie o długich ramionach i śmiesznych głowach. Z przerażenia prawie się roztopiłem pod maską, kiedy zobaczyłem, że jeden z nich ma na sobie baseballówkę L. A. Dodgersów.

- Budda! - powiedziałem do niego.

- Na-mas-teej - odpowiedział swoim kwiczącym głosem.

Zdjąłem maskę demona i chwyciłem jego chudą dłoń. Byłem zbyt przygnębiony, żeby okazać zaskoczenie.

- Co? - odezwał się George. - Co?

- Mamy pomoc - powiedziałem i w dużym pośpiechu pokazałem Buddzie, że trzeba naładować mózdzierz kamieniami, używając jako przykładu garści zbitych kwiatów rododendrona. Budda zrozumiał mnie źle i razem z trzema czy czterema krewniakami szybko wypchał całą lufę pogniecionymi kwiatami.

- Co jest, do cholery! - rzuciłem i odpaliłem mózdzierz, a potem yeti pomogli nam i rzuciliśmy się pod górę przez las, zostawiając z tyłu Gurków z problemem, dlaczego z nieba leci rododendronowa papka.

Kiedy w połowie doliny lodowcowej dogoniliśmy pułkownika i Khampów. nasi towarzysze porzucili nas, spłoszeni nagłą bliskością tyłu uzbrojonych obcych, choćby byli sojusznikami Szambhali.

- Dzięki, Budda! - zawołałem za ich znikającymi kształtami i razem z rannym Khampą popchnęliśmy George'a pod górę za resztą naszej bandy. Khampa zawołał do nich po tybetańsku i tamci zaczęli czekać, ale wtedy Gurkhowie znów doszli na odległość strzału, więc bez wahania puściliśmy się w stronę Nangpa La.

Zaczął padać śnieg z deszczem, a po godzinie okazało się, że strumień, przez który przeprawialiśmy się schodząc, przybrał tak bardzo, że nie daje się go przejść w bród. Pobiegliśmy w

górze i obok przewężenia w nurcie znaleźliśmy zagajnik. Khampowie ścięli tam dwa drzewa i przerzucili je przez wodę na głaz sterczący po drugiej stronie. Przez tak zaimprovizowany most puściliśmy George'a, który przechodząc, rozsunał drzewa i prawie ześlizgnął się między nimi do wody, rozwalając przy tym całą konstrukcję. Złapał się ręką jednego drzewa, nogę zahaczył o drugie, i utknął zupełnie.

- Trzymaj się! - pułkownik wrzasnął na niego wściekle. - Nie ruszaj się! Nie puszczaj! - I po tybetańsku rozkazał Khampom przejść na drugą stronę. Większość zrobiła to, nie depcząc po George'u, ale oczywiście nie wszyscy. Kiedy byliśmy już po drugiej stronie, przeczołgałem się i ściągnąłem George'a z drzew na brzeg.

Wydawało się, że to przeżycie wyrwało go z odrętwienia: zamiast mamrotać "Co? Co? Co?", powtarzał teraz bardzo wyraźnie: "Kurwa. Kurwa. Kurwa".

- No - powiedziałem, żeby go pocieszyć - przynajmniej nie mieliśmy na nogach raków.

Nic nie odpowiedział.

Przeszliśmy już największy strumień i mogliśmy wycofać się na Nangpa La bez większych problemów. Do przełęczu dotarliśmy idealnie na czas, tak że można by sądzić, że wszystko poszło zgodnie z planem. Kto wie, pułkownik może i tak myślał, bo na przełęcz przybyliśmy z oddechem Gurkhów na plecach, a oddział Kungi Norbu nadszedł z Tybetu, ciągnąc za sobą chińskie wojsko. Pomknęliśmy w górę grani, zanurkowaliśmy do naszego tunelu i zatrzasnęliśmy za sobą wejście, zostawiając Gurkhów i Chińczyków, żeby w miarę możliwości sami sobie wszystko wyjaśnili.

- Skończy się na tym, że się powystrzelają - powiedziałem do pułkownika.

- I dobrze - odburknął.

Wracaliśmy więc tunelami, z każdym krokiem coraz bardziej padnięci. Szczęście dla George'a, że biegliśmy w dół, bo po dotarciu do stacji głównej, a potem do piwnic klasztoru, wyszliśmy na dwór w jasnym świetle poranka, a to oznaczało, że byliśmy w drodze całą noc. Taki był właśnie typowy styl ataków Khampów; przypuszczam, że w ciągu ostatnich osiemnastu godzin zrobiliśmy jakieś osiemdziesiąt kilometrów, z czego strzelano do nas przez dwadzieścia pięć. Ja byłem wykończony, George prawie konał. Wyglądał, jakby ciągle miał na sobie maskę demona, i to jedną z bardziej krwawych: zapuchnięta, posiniaczona i zakrwawiona twarz, usta zaciśnięte, oczy wytrzeszczone w wyrazie niedowierzania, że wziął udział w czymś takim jak nasza wyprawa.

Wróciliśmy jednak.

Lhamo i pozostali mieszkańcy wioski otoczyli George'a opieką.

Przez kilka dni leżał zamroczony gorączką, jęcząc i stękając, a Sindu i jej dzieciak byli stale w pobliżu. Pomagali Lhamo karmić go i ocierać mu twarz, starannie omijając rany i siniaki, które doktor Choendrak opatrywał po lekarsku, ze szwami i tak dalej.

Doktor Choendrak postanowił także rozprawić się raz na zawsze z biegunką George'a i zaaplikował mu rinchen ribus, drogocenne pigułki. Składają się one ze stu sześćdziesięciu pięciu składników, w tym cennych metali rozartych na proszek oraz ogromnej ilości roślin leczniczych, i są zawinięte w kolorową bawełnę, zawiązane tęczową nicią i zapieczętowane woskiem. Żeby je sporządzić, dwudziestu aptekarzy musi pracować przez trzy miesiące; są przy tym tak silne, że zwalają po prostu pacjenta z nóg na cały dzień i jednocześnie przywracają równowagę w środku. George'a zwały z nóg na pięć dni, tak że przez pewien czas doktor Choendrak poważnie się o niego niepokoił. W końcu się jednak z tego wygrzebał, chociaż został z niego cień, ręce i nogi miał jak patyki, a zarośnięta twarz wyglądała tak, jakby dopadli go maleńcy nożownicy z maleńkimi nożami.

\*\*\*  
Mieliśmy przerwę w monsunie, kilka słonecznych dni pod rząd, więc George spędzał czas na

skale nad basenem do prania, przyglądając się mieszkańcom i ich życiu. Ciągłe był niezbyt zdrowy, nie miał wiele sił, ale tu ich nie potrzebował. Przychodzący nad basen ludzie pozdrawiali go po tybetansku, on odpowiadał po angielsku i każdy był zadowolony z takiego stanu rzeczy. Mnóstwo czasu przesypiał na skale jak kot.

Pułkownik John pojechał tymczasem do Katmandu, a kiedy wrócił, przyszedłem do George'a rozgorączkowany.

- Hej - mówię mu - chciałbyś usłyszeć, cośmy zrobili?

- Wiem, cośmy zrobili - odpowiedział ponuro.

- Ale może chciałbyś przeczytać o tym w "The International Herald Tribune"?

- Co?

Wyciągnąłem zeszczone gazety, które przywiózł pułkownik.

- Wygląda na to, że było całkiem sporo hałasu - wyjaśniłem, a George już zsunął się ze swojej skały i wyrwał mi gazety.

Pierwsza była z 29 lipca, trzy dni po naszym ataku. Na jednej ze środkowych stron znajdowała się krótka notatka zatytułowana: "Nepal protestuje przeciwko rzekomemu naruszeniu granicy przez Chiny" i nagłówek opowiadał właściwie całą historię.

Następnego dnia sprawa przeniosła się na pierwszą stronę: "Pekin oskarża Indie o atak na Tybet" - głosił tytuł nad całkiem dużym artykułem, opisującym wzajemne oskarżenia obu państw. Najwidoczniej Chińczycy byli przekonani, że ataku na ich posterunek graniczny dokonały Specjalne Indyjskie Siły Pograniczne, które przedostały się przez Nepal, żeby wyglądało, że to nie oni. A Hindusi byli przekonani, że cały ten zarzut jest kłamstwem, mającym przykryć chiński atak na Nepal, który uważali za zamach na ich własne bezpieczeństwo, jako że zdarzył się po ich stronie Himalajów.

Jak na razie, nieźle. Ale "Tribbie" z 2 sierpnia przyniosła na samej górze strony wielki nagłówek, który brzmiał: "Koncentracja wojsk na granicy chińsko-indyjskiej".

- O Boże - powiedział George, przebiegając wzrokiem artykuł, a w miarę czytania powtarzał to coraz wyższym głosem.

Sporą część pierwszej strony zajmował artykuł oraz komentarze opisujące koniec istnienia strefy zdemilitaryzowanej na granicy indyjsko-chińskiej w Kaszmirze, bezprecedensowe zgrupowanie wojsk indyjskich w Sikkimie, a także ostrzeżenia Pakistańczyków pod adresem Hindusów, żeby nie podskakiwali ich kumplom Chińczykom, oraz ostrzeżenia Ruskich pod adresem Chińczyków, żeby nie podkręcali z ich kumplami Hindusami.

- O Boże - powtarzał George.

Za to gazeta z następnego dnia mówiła właściwie tylko o konflikcie granicznym, wszystko wielkimi czcionkami. Biorąc pod uwagę fakt, że było to wydanie z Hong Kongu, poświęcające dużo miejsca sprawom azjatyckim, i tak trzeba było przyznać, że sytuacja zrobiła się podbramkowa. Donoszono o starciach pomiędzy siłami indyjskimi i chińskimi oraz pakistańskimi, niektóre z nich były naprawdę poważne. Zdjęcia z amerykańskich satelitów pokazywały ogromne zgrupowania oddziałów na granicy sowiecko-chińskiej.

- O Boże - odezwał się George. - Gdzie jest z następnego dnia? Gdzie jest gazeta z następnego dnia?

- Pułkownik przywiózł tylko tyle.

- Cooo? Wyjechał w samym środku tego wszystkiego? I nikomu nie powiedział, że to myśmy zaczęli? Ta jest z... - sprawdził datę. - Pięć dni! O Boże.

Popędził do wioski i wyzwiał pułkownika Johna od idiotów.

- Niech to jasna cholera! Mogliśmy przecież zacząć trzecią wojnę światową! - wrzeszczał do

niego.

Okazało się, że pułkownik niezbyt się tym przejmuje. Kombinował sobie, że trzecia wojna światowa mogłaby być jednym ze sposobów, żeby Tybet wydobył się spod buta Chińczyków, a skoro tak, to John nie miał nic przeciwko niej.

George zbluzgał go za to.

- Co by powiedział Mańdżuśri Rimpocze, gdybyś mu z tym wyskoczył? Zaraz by cię z tej doliny wywalił!

Co zresztą było prawdą. Pułkownik jednak tylko uparcie gryzł wargę. Wiedział, że Rimpocze wyrzuciłby go za takie egoistyczne sentymenty, ale nie miał zamiaru kłamać: tak to właśnie czuł. Jeśli świat nie powstrzymał tego ludobójstwa wtedy, kiedy krzyczało mu prosto w twarz, to kij z nim. Niech sobie popatrzy na bombki.

George'a zatkało z wściekłości. Odszedł i kopnął z całej siły biegnący wzdłuż ulicy murek z kamienia i darni, aż z wierzchu odpadło kilka kamieni. Potem zagroził, że pójdzie i powie Rimpocze o morderczych nadziejach Johna, jeżeli pułkownik nie zawiezie nas z powrotem do Katmandu, i to natychmiast.

John przystał na to i jeszcze tego samego wieczoru przeszliśmy przełęcz i dotarliśmy do land rovera, gnając całą drogę, aż zacząłem się bać, że George padnie. Następnego dnia rano byliśmy w Thamelu, gdzie życie toczyło się, jakbyśmy nie byli na krawędzi trzeciej wojny światowej, chociaż w Katmandu nie znaczyło to nic. Armageddon mógł nadejść tydzień temu, a Katmandu pewnie by jeszcze nie miało

o tym pojęcia. Dowiedziałyby się chyba jako ostatnie.

George biegał więc po księgarniach, próbując znaleźć najnowszą

"Tribbie", ale bez powodzenia, przez co dostał paranoi.

- To może być pierwszy znak - powtarzał ciągle. - To może znaczyć, że koniec już nadszedł.

W końcu znalazł gazetę, jak zwykle sprzed czterech dni: 5 sierpnia, i pierwsza strona ciągle była zapchana kryzysem. Główny artykuł opisywał w zjadliwym tonie nadzwyczajne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa ONZ. Drugi tekst informował, jak to podsłuchano przypadkiem naszego prezydenta, kiedy mówił, że skoro Ruscy

1 Chińczycy rzeczywiście się nie zgadzają, no to może powinni dać sobie po razie. Zdarzają się przecież gorsze rzeczy. Pogląd ten najwyraźniej nie spodobał się Ruskim, którzy oświadczyli natychmiast, że uważają USA za sprzymierzeńców Chin i tym samym za stronę zaangażowaną w konflikcie.

Tak to się sprawy miały. George za żadne skarby nie mógł dostać w Katmandu nowszych "Tribbie", a zresztą sytuacja była jasna.

Świat był na krawędzi wojny.

Pozostawało tylko pytanie, co my z tym zrobimy.

- Trzeba to obejrzeć z każdej możliwej strony - powiedział George. - Bogu dzięki, mam już trochę przygotowania.

Przyszło mu do głowy, że listy, które napisał na maszynie A. S. J. B.

Rany i porozdawał różnym ludziom, można by wykorzystać w obecnej sytuacji.

- Kombinowałem sobie, że Rana próbuje użyć nas jako przy- krywki do czegoś, co robił w Sekretariacie - wyjaśnił, rysując na podłodze jakieś wykresy. - Pamiętasz, jak kiedyś ktoś powiedział nam, że kontrakt na budowę drogi do Czuhle dostała chyba rodzina jakiegoś ministra? Uznałem, że może przydałoby się zrobić tak, żeby wyglądało, że tym ministrem jest Rana. W końcu to pewnie on zatwierdził tę budowę i kazał nam do siebie przyłączyć, jakby chciał nas mieć na oku, żebyśmy się

niczego nie dowiedzieli. No to napisałem stos notek wskazujących na niego i rozdałem je naokoło, jeszcze przed naszym wyjazdem. Gdyby teraz udało się nam połączyć to z odpowiednimi ludźmi...

Następnego dnia wskoczył więc w garnitur biznesmena i ruszył na Singha Durbar, a z tą swoją pokiereszowaną twarzą wyglądał tak dziwacznie, że nikt nie ośmielił się go zatrzymać. Poszedł do redakcji

"Nepalskiej Gazety Urzędowej", znalazł Bahadima i powiedział mu, żeby rozpuścił wśród odpowiednich ministrów pogłoskę, że ataku na Czhule nie dokonała armia chińska, ale że był on dziełem pewnej frakcji w Sekretariacie Pałacu, mszczącej się na innej frakcji pałacowej, która podebrała wszystkie kontrakty na drogę do Czhule.

Jeszcze tego samego popołudnia George poszedł do szwajcarskiej agencji. Listy, które tam zostawił, sugerowały, że A. S. J. B .

Rana uknuł spisek sabotujący budowę drogi do Czhule, który był częścią wiecznych awantur rodzinnych o wyższą pozycję w pałacu.

George powiedział Szwajcarom, że incydent graniczny został w rzeczywistości sfingowany i był jeszcze jedną formą walki o wpływy w rodzinie Ranów. Dodał też, że Szwajcarzy powinni wykorzystać tę informację, żeby spróbować uciszyć sprawy w Genewie, i w ogóle na scenie międzynarodowej. Szwajcarzy odparli, że już nad tym pracują.

Na zakończenie popołudnia George władował się do Sekretariatu Pałacu i odnalazł Ministerstwo Rozwoju, a w nim biuro Agencji Przyjaźni Chińskiej. Było ono, jak poinformował go Bahadim, kierowane przez pewnego Ranę, osobistego i urzędowego rywala "naszego" A. Rany. Jeszcze przed wyprawą George urobił tamtego informacją, że A. Rana oskarża go o próby sabotowania budowy drogi do Czhule. Tamtego Ranę oczywiście z miejsca trafił szlag i kiedy George wrócił teraz, żeby mu powiedzieć, że A. Rana najął ludzi, którzy sfingowali incydent graniczny, a teraz rozgłasza wśród zagranicznych organizacji, że atak zorganizował tamten gość z Agencji Przyjaźni Chińskiej, Rana od razu usiadł przy telefonie i zabrał się do roboty.

Wieczorem George był kompletnie skonany, ale leżąc na łóżku, roztrząsał jeszcze intrygi całego dnia: kto co komu powinien powiedzieć i co to będzie mogło znaczyć. A następnego dnia wpadł do ambasady chińskiej z kolejnym listem napisanym na papierze z biura A. Rany. List stwierdzał, że wtargnięcia do Tybetu dokonali Tybetańczycy, za wszelką cenę pragnący umknąć przed przeprowadzaną w tajemnicy przez wojsko nepalskie operacją likwidacji band. Jej celem było zepchnięcie wszystkich tybetańskich partyzantów do ich rodzinnego kraju i zapewnienie na drodze do Czhule całkowitego bezpieczeństwa Specjalnym Indyjskim Siłom Pogranicznym.

Na koniec George pojechał rowerem do ambasady amerykańskiej i powiedział tam, że jest przyjacielem i rzecznikiem jednej z frakcji zdelegalizowanego Nepalskiego Kongresu Narodowego, partii, która tworzyła rząd aż do królewskiego zamachu stanu w 1960. Jej członkowie chcieli poinformować Amerykanów, że obydwa przygraniczne ataki były częścią morderczej wojny toczonej w skorumpowanym Sekretariacie Pałacu. Jedna z pałacowych grup chciała powstrzymać budowę drogi do Czhule przez zaostrzenie stosunków chińsko-nepalskich. Teraz, kiedy mistyfikacja wymknęła się spod kontroli, jej sprawcy byli zbyt przerażeni, żeby się do wszystkiego przyznać. George powiedział też Amerykanom, że Kongres Narodowy ma w pałacu szpiegów, którzy to wszystko odkryli. Kongres chce, żeby cały świat dowiedział się o wszystkim, bo wtedy konflikt będzie można załagodzić.

Kiedy urzędnik ambasady, z którym George rozmawiał, poszedł, żeby przyprowadzić ambasadora albo jakąś inną szyszkę, George szybko wstał i zapytał sekretarkę o łazienkę, a potem wymknął się z budynku, spotkał się ze mną przecnicę dalej, wsiadł na rower i pojechał pierwszy,

pędząc na złamanie karku. Kiedy opowiedział mi, co mówił w ambasadzie, zauważyłem: - Hej, to prawie prawda.

- Czyli najlepsze kłamstwo - wysapał.

Wracając do Thamelu, jechaliśmy ulicą Naxal, obok samego pałacu. Zatrzymaliśmy się, żeby przepuścić krowy, a George wygiął szyję, patrząc na nietoperze zwisające z sosen w pałacowym parku.

- Mają konferencję - powiedział, śmiejąc się niewyraźnie.

Był blady i miał spoconą twarz. - Próbują coś poradzić. A ja im po prostu dałem trochę ich własnego lekarstwa. Wykapane sposoby Birendry. Rozpuść odpowiednio dużo sprzecznych informacji, będą zakłócenia. Jak w doświadczeniu z falami na lekcji fizyki. Tyle sieczki i wszystko to na... - przerwał, a ja pomyślałem, że zastanawia się, co powiedzieć. On jednak stracił równowagę i rąbnął w krowę, a potem zaliczył glebę. Przytomność stracił natychmiast.

Zawołałem taksówkę, wepchnąłem go do środka i zawiozłem do kanadyjskiej kliniki, z powrotem w pobliże ambasady amerykańskiej. Klinika była typu zachodniego: wyglądała, jakby przeniesiono ją wprost z Glendale, a kiedy ktoś źle się czuł, to już sam widok białych ścian, pastelowych reprodukcji i starych miesięczników oraz zapach środków dezynfekujących mógł przyprawić o łzy.

W klinice przyjęli George'a i dali mu coś dożylnie; tego dnia nic nie jadł i pomimo drogocennych pigułek ciągle męczyła go biegunka.

Był więc odwodniony, a w niektóre rany wdała się infekcja, bo jego system odpornościowy zrujnowały lata nadużywania antybiotyków.

Kazali mu zostać w maleńkiej części szpitalnej z dwoma łózkami, żeby się pozbierał. Trochę to trwało, a ja codziennie przynosiłem mu

"Tribbie".

Powoli, z czterodniowym opóźnieniem w stosunku do rzeczywistego czasu obserwowaliśmy, jak kryzys gaśnie i odchodzi w przeszłość. Wszyscy uznali, że był to fałszywy alarm. Pogłoski o tajnych zabiegach dyplomatycznych Amerykanów i Szwajcarów pojawiały się często, szczególnie w pokoju George'a w klinice. Decydujący ruch, to pewne. George kończył codzienną lekturę, otrząsał się i znów zasypiał.

Pewnego dnia poczłapałem przez ulewę do K.Cs ze Szwajcarami i po kilku piwach dowiedziałem się od nich, że droga do Czhule padła jak mucha. Hindusi nie zbudują jej za Chiny, a Birendra i jego banda jeszcze mniej chętnie. Zbyt niebezpieczne.

Następnego dnia po południu poszedłem więc, żeby zabrać George'a, bo Kanadyjczycy go wypisywali.

- Udało ci się, George. Teraz już nigdy nie zbudują tej drogi.

Cieszysz się, że zdecydowałeś się nam pomóc, co?

Nic nie odpowiedział.

Wzięliśmy taksówkę do Thamelu i przespacerowaliśmy się główną ulicą do Gwiazdy. Z George'a został taki cień, że uliczni handlarze nawet go nie poznawali i wciskali mu swoją gadkę, jakby był nieznajomym, a nie ich ukochanym panem Nie.

- Pieniądze zmienić? Hasz? Dywan? Zapali fajkę? Pieniądze zmienić? - a on gapił się na nich, jakby rozważał ich ofertę albo próbował ją pojąć. Sam często usiłowałem zrozumieć tę sprawę z wymianą pieniędzy, czyli to, że goście z ulicy płacą za czeki podróżne więcej, niż wynosi oficjalny kurs. Potem sprzedają te czeki drożej, niż sami zapłacili. Ten, komu je sprzedają, też chyba musi potem wziąć większą forszę. Rzecz w tym, jak to się kończy. Czy ten na końcu nacina się, sprzedając



je po oficjalnym kursie i tracąc mnóstwo pieniędzy?

Tak czy owak, George stał na ulicy i po prostu gapił się na ludzi, jakby miał kłopoty ze skupieniem wzroku, aż tamci poddawali się i odchodzili.

- Patrz - powtarzał ciągle. - Patrz, Freds, patrz. Tu jest sterta śmieci. Na samym środku ulicy.
- Owszem, George. Codziennie ją omijamy.
- Krowy to jedzą. 1 szczury. I psy. 1 dzieci.

Szliśmy dalej.

- Chodźmy do Starego Wiednia - powiedział niespodziewanie.
- Pewien jesteś, że twój organizm to wytrzyma? - spytałem.
- Wszystko mi jedno.

W rzeczywistości jednak nie było mu wszystko jedno. Był tak chory, że kiedy jedzenie trafiło na stół, zrobił się ostrożny i stwierdził, że tak naprawdę to nie powinien jeść mięsa, bo nigdy nie możemy być do końca pewni, skąd Eva je wzięła. Podziobał trochę gulaszu i zostawił mi większość ozorka, a potem siedział, wachając potrawy i przyglądając się ponuro, jak zjadam sznycel Parisienne i strudel jabłkowy obłany bitą śmietaną.

Kiedy więc wytoczyliśmy się na dwór, George czuł się dosyć kiepsko, chociaż z ostatniej "Tribbie", którą znaleźliśmy w księgarni, wynikało, że kryzys raczej się skończył. Składając gazetę, zobaczyłem krótką notatkę na ostatniej stronie, zatytułowaną: "Everest nadal najwyższy".

- Hej, posłuchaj no tego - powiedziałem i zacząłem czytać:

- "Na początku tego roku uczeni z Uniwersytetu Waszyngtońskiego zelektryzowali środowisko himalaistów, obliczając, że wysokość K2 wynosi 8859 metrów. Obecnie zespół z Włoch ponownie wykorzystał pomiary satelitarne i przywrócił Everestowi należne mu pierwsze miejsce przy wysokości 8872 metrów. Włoscy uczeni raz jeszcze sprawdzili wysokość K2 i stwierdzili, że wynosi ona 8616

metrów ponad poziomem morza. Himalaiści amerykańscy skwapliwie zgodzili się z pomiarami Włochów"... Nieźle co? Dobra wiadomość. Nie musisz już wchodzić z Kungą Norbu i ze mną na K2.

- To dobrze - odparł George.

- I ocaliłeś Szambhałę - dodałem. - Ocaliłeś najświętszą i najważniejszą na całym świecie ukrytą dolinę.

- To dobrze - odparł - ale trzeba jeszcze zorganizować tam jakieś piece naftowe.

- Niekoniecznie. Nie słyszałeś? Rimpoche zamierza wypróbować ten twój pomysł - robią ceramiczną rurę, żeby puścić nią wieczny płomień do wspólnej kuchni, może nawet do kilku. Doktor Choendrak z paroma innymi mnichami zajmują się projektowaniem i resztą spraw.

- To dobrze.

Ciągle jednak czuł się kiepsko i kiedy szliśmy przez Thamel do hotelu Gwiazda, stale rozglądał się na wszystkie strony.

- Freds, na tym dachu rośnie trawa.

- Lubię trawę na dachu.

- Freds, to jest jedna z największych ulic w stolicy i wszędzie leży błoto. - Owszem.

- A to jest stolica.

- Owszem. Trochę tak, jak w niektórych miejscach w Waszyngtonie, o ile pamiętam.

- Taa, ale mimo wszystko... - westchnął.

Natknęliśmy się akurat na żebraka z córką. Stali ramię w ramię, wyciągając ręce w naszą stronę, i wyglądali jak zawsze, przez monsun byli tylko bardziej mokrzy: żebrak ze swoim szczerbatym uśmiechem i dziewczynka w koszulini jak z plakatu UNICEF-u, zupełnie taka sama jak chłopczyk

Sindu w dolinie.

- Jej! - rzucił George, pogrzebał w portfelu, wyciągnął stamtąd garść rupii i dał je żebrakowi, który wziął pieniądze i cofnął się zdumiony.

George poszedł za nim, oglądając się na mnie.

- Freds, musimy coś zrobić, no nie?

- Właśnie coś zrobiłeś, George.

- Taa, ale coś więcej! Może moglibyśmy ich zatrudnić, żeby sprząтали nasze pokoje albo zamiatali korytarz przed drzwiami? Mieliby wtedy pracę.

- Recepcjoniści zatrudniają do zamiatania tę facetkę z dzieckiem na plecach; myślę, że to jest to samo. - W rzeczywistości żebrakowi wiodło się całkiem nieźle, jego córka była w tej okolicy warta mnóstwo rupii. W porównaniu z nimi inni żebracy mieli się dużo gorzej. Nie powiedziałem jednak tego.

- Ale może moglibyśmy... może moglibyśmy powiedzieć im, żeby posprząтали nam pokoje?

- Nie zrozumieliby cię.

Żebrak i dziewczynka wycofali się ostrożnie, a potem odwrócili się i odeszli. George zgarbił się.

- Nic nie możemy zrobić, prawda?

- Nic. Co najwyżej to, co właśnie zrobiłeś, George.

Dotarliśmy do Gwiazdy i poszliśmy na górę do naszych pokoi, gdzie przeczytaliśmy "Tribbie" do końca, wypaliliśmy ostatniego dżojnta i pośmialiśmy się z przygody z ocaleniem Szambhali, nie mówiąc już nawet o światowym pokoju. Potem wspominaliśmy wejście na Everest i jak wyrwaliśmy Buddę z rąk porywaczy, a później wypuściliśmy go na wolność. Wtedy po raz pierwszy opowiedziałem George'owi, jak podczas bitwy o Czhule pojawił się Budda i jego krewniacy, żeby pomóc nam się stamtąd wydostać.

- Nie - powiedział. - Żartujesz - nie wierzył mi. - Żartujesz chyba!

- To przecież ja tak mówię - zachichotałem.

On też się zaśmiał i gadaliśmy jeszcze dłużej, o Nathanie i Sarah, o Jimmym i Rosalynn, i o całej reszcie. Było świetnie.

George jednak nie mógł się wyluzować. Był niespokojny. Już miałem uderzyć w kimono, kiedy postanowił przejść się do K.Cs na piwo. Powiedziałem mu, żeby sobie nie dawał za dużo luzu tak krótko po wyzdrowieniu, bo ciągle wygląda jak śmierć na chorągwi, z tymi świeżymi szramami i podkrążonymi na czarno oczami, których pozazdrościłby mu każdy anorektyk, ale George zapewnił mnie, że dobrze się czuje, i wyszedł.

Parę godzin później obudziły mnie pchły z mojego materaca, sprawdziłem więc jego pokój i okazało się, że jeszcze nie wrócił. Na K.Cs było już za późno. Zaniepokojony, że mógł się uchlać i rymnąć gdzieś w rowie, wyszedłem na dwór, żeby go poszukać.

Na Thamelu było ciemno, wąskie ulice opustoszały. Żadnych odgłosów, oprócz psów szczekających gdzieś dalej. K.Cs był zamknięty, a wszędzie dookoła ciemno jak w grobie.

Prawie się o niego potknąłem. Znalazł żebraka i jego córkę, którzy spali przy ścianie piekarni Niemiecki Pumpnikiel, pod szerokim okapem, chroniącym ich przed deszczem, gdzie mogli złapać trochę ciepła z pieców po drugiej stronie muru. George

1 żebrak siedzieli tyłem do ściany, a dziewczynka leżała między nimi.

Cała trójka spała głęboko. George opierał głowę na cegle i chrapał jak piła tarczowa. Twarz miał wysuszoną, jakby przeleżał czterdzieści lat martwy na pustyni. Trąciłem lekko podeszwę jego buta, a on drgnął, rozerwał powieki i popatrzył szklistym, niewidzącym wzrokiem.

- Obudź się, chłopie - powiedziałem cicho. - Wracaj do domu.  
George nic nie odpowiedział.



## Część 4

# Królestwo podziemi

### I

Zdumiewające, jak krótko trwa niewinność młodości.

Co prawda w moim przypadku trwała prawie czterdzieści lat, ale nie zauważałem jej, dopóki się nie skończyła; nigdy więc, oczywiście, nie czułem, że trwa to długo. Co najwyżej parę sekund, a potem od razu byłem doświadczony. Wiedziałem. Chodziłem zatłoczonymi ulicami Katmandu, które kiedyś sprawiały mi taką radość - perwersyjną, ale jednak radość - i widziałem tylko brud, nędzę i kulawą gospodarkę.

Wiecie zresztą, czyja to była wina.

Pewnego dnia wieczorem leżałem więc w moim pokoju w hotelu Gwiazda, rozwalony na łóżku z "Tribbie" i zastanawiałem się, czy to, co tam piszą, to rzeczywiście prawda o świecie. Teraz już wiedziałem, że prawdopodobnie tak. Wtedy ktoś zapukał do drzwi.

Otworzyłem i zobaczyłem Fredsa Fredericksa. Wyglądał, jakby przed chwilą zszedł z Himalajów.

Zatrzasnąłem szybko drzwi i przekręciłem zamek.

- Spadaj stąd, Freds! - powiedziałem głośno. - Nie chcę cię już nigdy więcej widzieć na oczy!

Zza drzwi dobiegły stłumione protesty. Puściłem je mimo uszu, wróciłem do łóżka, wziąłem gazetę i wsadziłem w nią nos.

- Spadaj! - krzyknąłem przez drzwi. Łup, łup, łup. - Wypierdzielaj stąd!

Drzwi do mojego pokoju są na tej samej ścianie co okno, a okno ma trzy szyby: jedną dużą i po bokach dwie wąskie, osadzone na zawiasach. Można je otwierać jak małe drzwiczki obrotowe, żeby wpuścić świeże powietrze albo wypuścić dym. No i kiedy próbowałem czytać, zobaczyłem, jak ręka Fredsa obraca szybę najbliższą drzwi, potem sięga do środka i znajduje klamkę. Jednym ruchem przekręcił zamek i otworzył drzwi.

Oto jak wygląda bezpieczeństwo w hotelu Gwiazda.

I tak było to zresztą beznadziejne; Freds na pewno już się zameldował i prawdopodobnie dostał pokój obok, w którym przeważnie mieszkał. Nie udałoby mi się go uniknąć.

- Czego chcesz? - zapytałem, rzucając gazetę na ziemię.

- Niczego, George. Wróciłem właśnie ze świętej doliny i wiesz, pomyślałem sobie, że wpadnę i zobaczę, co u ciebie.

- Wszystko w porządku - odparłem. - Prawie wróciłem do mojej wagi z ósmej klasy.

- To dobrze, George, naprawdę dobrze. W ogóle, dobrze wyglądasz. Prawie nie widać tych blizn.

- Cudownie.

Freds usiadł na jedynym krześle w pokoju.

- Posłuchaj George, miałbym do ciebie małą prośbę - hej, no nie! - nie! - hej! Naprawdę małą, George! Malutką!

Tymczasem jednak byliśmy już na korytarzu, a ja trzymałem go za gardło. Nie pamiętam dokładnie, jak się tam znaleźliśmy. Niepokoiła mnie ta przypadłość, która niedawno się u mnie pojawiła. Luki w świadomości. Okresy amnezji albo wybuchy emocji. Szaleństwo - tak, o tym właśnie mówimy.

Zwolniłem uchwyt na jego gardle i spokojnie zapytałem:

- Czy będę musiał coś zrobić?

- Nic! Absolutnie nic!

- To dobrze. - Powlokłem się z powrotem do pokoju i opadłem ciężko na łóżko. Od kiedy ostatni raz miałem do czynienia z Fredsem, łatwo się męczyłem.

Prawdę mówiąc, nie mogłem patrzeć na Fredsa Fredericksa. Był węzem w moim Ogrodzie; zerwał zgniłe jabłko wiedzy i wpakował mi je do gardła, aż się zakrztusiłem. Skończyły się nepalskie przyjemności.

- No to o co chodzi? - spytałem i poczułem się, jakbym czekał na wyrok w sądzie. - O nic, George, naprawdę o nic. Uspokój się. Tylko tyle, że moi znajomi, Gaubahal i Daubahal, otworzyli właśnie nowy ośrodek turystyczny w dżungli w Czitwanie i potrzebują klientów, żeby interes ruszył z miejsca. Wiesz, coś takiego jak Tiger View, tylko że tańsze. Dadzą nam osiemdziesiąt procent zniżki, jak pojedziemy tam na tydzień.

- Nie - powiedziałem. - Nienawidzę dżungli.

- Ja też - zgodził się Freds - ale Gaub i Daub znaleźli naprawdę urocze miejsce, zaraz obok granicy Parku Narodowego Czitwan. Trochę nowych bungalów, wieże obserwacyjne i tak dalej. My mamy tylko jeść, pić, włóczyć się, oglądać ptaki, zwierzaki i inne.

Zaczęło mnie ogarniać przerażenie.

- Nie ma mowy.

Czułem, oczywiście, że czegoś nie biorę pod uwagę. Nie byłem pewien, w czym rzecz, ale wiedziałem, że coś pomijam. Ostatnim razem, kiedy Freds poprosił mnie o przysługę, sprawy potoczyły się tak, że w końcu cały mogłem się zmieścić w rękaw mojej koszuli.

Wiedziałem, że cokolwiek planuje tym razem, ja się do tego nie nadaję.

- Daj spokój, George. Widać po tobie, że przydałby ci się jakiś urlopik. Ja i tak jadę, więc byłoby super, gdybyś ty też tam był.

Zabiorą nas na przejażdżkę słoniem i tak dalej.

- Nie ma mowy. Wykluczone.

## II

Pojechałem więc na wczasy do Czitwanu. Z samego rana zabrał nas land rover pełen Niemców z RFN, którzy upierali się, że nie są Niemcami, tylko Bawarczykami, i pojechaliśmy na południowy zachód, do Teraj u, równiny na południu Nepalu stanowiącej część niziny Gangesu. Kiedyś lubiłem jeździć w tym kierunku, w stronę Pokhary i nepalskiego dzikiego zachodu, teraz jednak widziałem tylko przydrożne wsie w ruinie i wygłodzone twarze, wpatrzone w okna naszego samochodu.

Dojechaliśmy do okrutnego pustkowia, gdzie kończyła się droga. Powitał nas tam Daubahal, kierownik ośrodka. Wyglądał na zmartwionego; okazało się, że wysiadł obozowy jeep. Ośrodek leżał po drugiej stronie płytkiej, ale szerokiej rzeki, i bez jeepa nie można się tam było dostać, nie mieliśmy więc gdzie spędzić nocy. Przeprawa przez rzekę land roverem nie wchodziła w rachubę, samochód by utonął. Daubahal, niski i przejęty Hindus, przeprowadził przez radiotelefon ożywioną rozmowę i po jakiejś godzinie na drugim brzegu pojawiły się słonie. Za ich głowami siedzieli poganiacze. Zwierzęta powoli przeszły rzekę, w jednym miejscu zanurzając się aż po szyje.

- Świetnie! - krzyknął Freds. - Przeprawimy się na słoniach.

Tak też zrobiliśmy. Słonie uklęknęły na rozkaz, a my wspięliśmy się po gumowatej skórze ich zgiętych nóg na olbrzymie, drewniane siodła przymocowane pasami do grzbietów. Siodła te były właściwie kwadratowymi platformami z drewnianymi barierkami wspartymi w rogach na drewnianych słupkach. Usiedliśmy przechyleni przez barierki, krzyżując nogi wokół tych słupków, po

czterech na jednym słoniu, nie licząc poganiaczy, którzy, gdy tylko zajęliśmy miejsca, zaczęli okładać słonie, żeby wstały, potem wspięli się po ich trąbach i zajęli miejsca za głowami. Wkroczyliśmy do rzeki.

Siedziałem na grzbiecie słonia po raz pierwszy i zrobiła na mnie wrażenie wysokość, na jakiej się znajdowaliśmy - jakieś cztery albo pięć metrów - oraz nieregularność naszego ruchu. Platforma była sztywno zamocowana, a trucht słonia rzucał nią we wszystkie strony.

Zauważyłem, że słonie chodząc, wysuwają jedną nogę naprzód i trzymają ją jak słup, kiedy przenoszą na nią ciężar. Potem zwalniają ją i noga zgina się gwałtownie w kolanie. Rogi platformy, spoczywające na ramionach zwierzęcia, unoszą się wolno, a potem opadają wraz z ugięciem kolana, do rytmu, w którym nie mogłem się połapać.

Ruchy były raczej przypadkowe, jakbyśmy znajdowali się na małej tratwie, pod którą ze wszystkich stron toczą się fale. Ktoś ze skłonnościami do choroby morskiej miałby sporo problemów, a godzina takiej jazdy musiała się skończyć bólem krzyża.

Zagłębiliśmy się więc w dżunglę Czitwan, sunąc pod wysokimi drzewami, które, jak poinformował nas Daubahal, były drzewami saal. Miały po dziesięć albo piętnaście metrów i rosły dość daleko od siebie. Roślinność pod nimi była względnie rzadka. Nie była to taka dżungla, jaką sobie wyobrażałem: gęsta, soczysta zieloność w rodzaju amazońskiej albo kongijskiej. I tak było jednak dość gęsto i w miarę zielono - i jak dla mnie, całkiem wystarczająco.

Ośrodek, do którego dobrnęliśmy przed zachodem słońca, okazał się miłym kręgiem nowych, drewnianych bungalowów, z wysypanymi żwirem ścieżkami, kwitnącymi krzewami, pomostem do wchodzenia na słonie i świetlicą z wielkim barem, gdzie wszyscy zeszli się radośnie. Pierwszy raz widziałem wtedy bar urządzony jak w filmie Afrykańska królowa, który nie wyglądał na totalną podróbkę.

Pociągaliśmy sobie mai tais i kamikadze z ponczu owocowego, aż pomysł przyjazdu w to miejsce zaczął wydawać się naprawdę dobry, a potem rozeszliśmy się przy świetle latarni. Freds i ja dostaliśmy wspólny bungalow.

Przez jakiś czas wszystko wyglądało tak, jak było obiecane. Spędzaliśmy wczasy w dżungli. W Himalajach już samo przedostanie się z jednego miejsca w drugie jest niezłym zajęciem; tutaj byliśmy w jednym miejscu i nie było dokąd pójść. Nie można wędrować samemu, bo w dżungli łatwo zabłądzić, a poza tym coś mogłoby tam człowieka stratować albo zjeść. Jeep nawalił, nie można więc było pojeździć po wąskich, zabłoconych ścieżkach, które ktoś kiedyś powycinał w buszu. Wieżę widokową w obozie zbudowano natomiast z jakiegoś powodu spory kawałek od bungalowów, tak że pójście do niej w nocy byłoby ryzykowne, zresztą i tak nie było tam żadnego oświetlenia, więc nawet jeśli ktoś by się odważył na taką wyprawę, to i tak nie zobaczyłby nocnego życia. A ponieważ za dnia z wieży nie było co oglądać, stała zupełnie nie wykorzystana.

Pozostawały więc przejażdżki na słoniach. Codziennie rano budzono nas o świcie i jeszcze przed śniadaniem fundowano nam przejażdżkę po dżungli. Przyjemność była taka, jakby spędzić kilka godzin na ohydnie pomalowanym, metalowym koniku przed supermarketem, w dodatku podskakującym ostro i nieregularnie. Nikt, kto ma więcej niż pięć lat, nie lubi jeździć na tych przyrządach, nawet jeśli działają sprawnie, a i małe dzieciaki w połowie jazdy zaczynają się zastanawiać, czy to naprawdę dobra zabawa. Po godzinie już by wiedziały. W założeniu mieliśmy wypatrywać zwierząt, ale prawda jest taka, że dzikie zwierzęta to w większości stworzenia płochliwe, uciekają więc, gdy usłyszą, że się zbliżacie. Jazda na słoniu nie jest zatem najlepszym sposobem, żeby się do nich podkraść. Powiem szczerze:

ani razu nie zobaczyliśmy nic żywego. To znaczy, z wyjątkiem nosorożca od czasu do czasu.

Najwyraźniej mają one słaby wzrok i słuch, a sądząc po minie, ich iloraz inteligencji też nie jest rewelacyjny; raz się spojrzy na takiego nosorożca i już się wie, dlaczego wymarły dinozaury. Nie trzeba komety, żeby wytluc te stwory.

Nosorożcom, na które się natknęliśmy, nie spodobały się nasze słonie, a słonie nie polubiły nosorożców. Gdy tylko takiego zobaczyliśmy, słonie zatrzymywały się, a nosorożce gramoliły się z błotnych kąpiel, a potem stawały i zezowały na nas. Wszyscy byliśmy naprawdę cicho; poganiacze łagodnie popędzali swoje bestie w stronę nosorożca, aż podeszliśmy na dwadzieścia, trzydzieści metrów do takiego dziwnego, pancierzowego stwora, coś jak skrzyżowanie czołgu i pana Magoo z kreskówek, który ma pysk dinozaura, wielce podejrzliwą minę i wygląda tak nie na miejscu, jakby ktoś wyciągnął go z dna morza i wypuścił tutaj na trawę. Absolutna cisza, oprócz trzaskania migawek aparatów. Prawie warto było wybierać się na te przejażdżki, żeby zobaczyć coś tak dziwnego.

Nosorożec gramolił się z powrotem w błoto, a my telepaliliśmy się przez morza traw do obozu, żeby zjeść śniadanie i wrócić do łóżek.

Po obfitym obiedzie siadaliśmy wokół Daubahala i patrzyliśmy, jak się wiję, zwiesza ramiona, zagląda do notesu, a w końcu podnosi długopis, jakby właśnie wpadł na jakiś pomysł, i oznajmia radośnie:

- Dobra! Po południu - przejażdżka na słoniach!

A wszyscy jęczą na cały głos i narzekają, że mają odbite nerki albo że ich polisa nie obejmuje usług kręgarza. Większość ostatecznie odmawia i spędza popołudnie w barze, pijąc jak przystało na ludzi rozsądnych.

Freds, oczywiście, uwielbiał przejażdżki na słoniach i często udawało mu się mnie namówić, żebym się z nim wybrał. Nie było zresztą aż tak trudno, bo jako kumpel od spraw turystycznych współczułem Daubahalowi. Kiedy klienci jęczą, narzekają i wyśmiewają zajęcia, óre się dla nich zaplanowało, to naprawdę się to przeżywa. Wspinaliśmy się więc po schodach na pomosty do wsiadania, wchodziliśmy na słonie i całe popołudnia jeździliśmy po dżungli - bez celu, niewygodnie, nieciekawie.

Muszę jednak przyznać, że zdarzały się odjazdy. Dowiedzieliśmy się, że dżungla Czitwan dzieli się na różne strefy. Sporą część pokrywał las saal, ale trafiały się też gęstsze kępy chaszczy i niższych drzew, zarośla bambusowe, otwarte obszary porośnięte trawą słoniową, której nazwa dobrana była trafnie, bo roślina wyglądała jak zwykła trawa, tyle że miała pięć metrów wysokości ("Jak sobie kupię dom na przedmieściu, to ją posieję. Wyobrażasz to sobie?" - powiedział Freds). Było też sporo zwirowisk naniesionych przez płytkie rzeki.

Od czasu do czasu napotykaliśmy nosorożca albo widzieliśmy, jak zmyka jeleń aksis. Raz wypatrzyliśmy szakala. Wszędzie migały kolorowe ptaki, a wśród nich jedno brązowo-błękitne stworzenie, które wyglądało jak zrobione z klejnotów. W dole jednego ze strumieni znaleźliśmy odcisnięty na piasku wyraźny trop tygrysa.

- Kurka wodna - powiedział Freds, wychylając się tak, że prawie wypadł. - To jest dopiero kociak, co?

Bawarczycy zrobili zdjęcia tropów, bardziej do tygrysa nie zamierzaliśmy się zbliżyć i patrząc z góry na ślady, nie żałowałem tego ani trochę.

Pewnego dnia, idąc o zachodzie słońca do domu, dotarliśmy do polany nad jednym ze strumieni, skąd można było zobaczyć pasmo wzgórz na północy, jeden z pierwszych progów Himalajów. To były tylko zielone wzgórza, ale i tak miały pewnie ze trzy tysiące metrów, i gdy się tak telepałem wzdłuż nich, przyszło mi do głowy, że ja znajduję się na indyjskiej płycie tektonicznej, a tamto pasmo leży na płycie azjatyckiej. Wtedy poczułem to zderzenie (wstrząsy i zgrzyty). W ostatnich



promieniach słońca powietrze było zadymione i ciemnoczerwone, a trawa brązowa, Freds patrzył na mnie i szczyrzył zęby jak wariat, a ja czułem, jak po kościach rozlewa mi się ciepło. W tej chwili mógłbym tkwić gdzieś w korku na autostradzie z Los Angeles, a tymczasem byłem w środku Azji, w dżungli, na grzbiecie słonia. Nie mogłem nie odwzajemnić uśmiechu Fredsa. No więc oprócz szkód spowodowanych przez dwanaście godzin na grzbiecie słonia w ciągu zaledwie trzech dni, nasze wczasy w Ośrodku Turystycznym Królewskiej Dżungli Czitwan okazały się zupełnie w porządku. Było to naprawdę nic w porównaniu z tym, w co Freds wpakował mnie ostatnio parę razy, kiedy razem podróżowaliśmy. Naturalnie zrobiłem się przez to wyjątkowo niespokojny. W miarę jak coraz bardziej nic się nie działo, rosły we mnie podejrzenia i niejasny lęk. Mój niepokój karmił się najdrobniejszymi zdarzeniami, jak zniknięcie Fredsa na całe popołudnie. Albo widok mojego kumpla rozmawiającego z jednym z treserów słoni.

- Freds, wydawało mi się, że mówiłeś, że nie znasz nepalskiego.

- Bo nie znam, George. Rozmawiałem po tybetańsku.

- A ten treser słoni jest, jak przypuszczam, Tybetańczykiem.

- Owszem.

Tybetański treser słoni. Zastanówcie się nad tym.

Ja się zastanowiłem, pewnego wieczoru w barze, i zacząłem się denerwować. Piłem kamikadze, żeby odpędzić bezimienny lęk, i wkrótce zrobiło mi się lepiej. Potem czułem się jakby trochę za dobrze, zawlokłem się więc do naszego bungalowu i poszedłem spać.

Nie wiem, ile czasu minęło do chwili, kiedy Freds obudził mnie, zrzucając z łóżka na podłogę. Musiał być środek nocy; ciągle byłem pijany, tak że nie pamiętałem, gdzie jestem. Ale kiedy Freds powiedział:

"Chodź, George, musisz mi pomóc", miałem na tyle przytomności umysłu, żeby wrzasnąć: "Nie!" i spróbować wczołgać się pod łóżko Freds wywlókł mnie jednak stamtąd. Niestety, położyłem się w ubraniu, wcisnął mi więc tylko buty na nogi.

- Chodź - powiedział podnieconym szeptem. - Jesteś nam potrzebny, popilnujesz Sunjaszy. To potrwa jakąś godzinę, a w tym czasie Dawa i ja sprawdzimy tę jaskinię, którą znaleźliśmy.

- Sunjaszy?

- No wiesz, największej słonicy.

### III

Nie znałem największej słonicy, ale kiedy Freds wywlókł mnie na podest, rozpoznałem ją od razu, bo spędziłem wiele godzin na jej I

grzbiecie, zaznajmiając się z nią, z jej obwisłą, pomarszczoną, szarą skórą, która przesuwała się w przód i w tył na masywnych barkach, gdy kroczyła przed siebie, i z różowymi plamami na jej karku, i z tuzinem kosmyków włosów na głowie, z których każdy był grubości grafitu ołówka. Imponująca bestia, do tego dobrze kierowana przez poganiacza Dawę, który usadowił się już na swoim miejscu na szyi słonicy, z nogami zaczepionymi za nasadę jej uszu. Poganiacze słoni kontrolują swoich pupili za pomocą żelaznego pręta, który wygląda jak pogrzebacz, ryje że ma ostrzejszy koniec. Wielu z poganiaczy w obozie używało tych prętów bez litości, wałąc słonie raz po jednej, raz po drugiej stronie głowy, żeby skłonić je do zmiany kierunku, i digając ostrym końcem, żeby przymusić je do ruszenia z miejsca, kiedy się ociągały. Niektórzy poganiacze upuszczali słonion krew na każdej przejażdżce. Było też paru łagodniejszych i Dawa był jednym z nich; prowadził Sunjaszę, mówiąc do niej, albo co najwyżej kopiąc ją lekko piętami. Nigdy nie widziałem, żeby używał pręta.

Dawa rozmawiał właśnie z Fredsem po tybetańsku, a ja zobaczyłem nagle mimo ciemności, że

wygląda na Tybetańczyka; wyglądał jak Khampowie z Szambhali. W końcu też dotarło do mnie, że Freds mówił coś o zbadaniu jaskini.

- Freds - zacząłem, kiedy słonica ruszyła. Mimo że szybko trzeźwiałem, musiałem mocno trzymać się barierki, a pocierane od siodła nogi założyłem za narożny słupek. - Co ty mi znowu chcesz zrobić?

- Nic, George. To po prostu przejażdżka. A poza tym, kiedy ja ci w ogóle coś zrobiłem? Chciałem go trzasnąć, ale nie miałem wolnej ręki.

- Wpakowałeś mnie na całą noc do jamy w śniegu\*na południowym wierzchołku Everestu - odparłem rozeźlony. - Kazałeś mi przez miesiąc babrać się w nepalskiej biurokracji! Zrobiłeś ze mnie most!

- Niechcący. A poza tym dzisiaj to co innego.

- Powiedz mi, o co chodzi, albo zaraz stąd wyskoczę.

- Nie gorączkuj się, miałem ci wszystko powiedzieć, jak tylko będziemy kawałek od obozu. - No to gadaj. Co jest z tą jaskinią?

- Pamiętasz te tunele, z których korzystaliśmy przy ataku na Czhule? To jeden ogromny system, większy niż byś się spodziewał. Pod Katmandu też jest ich mnóstwo, ale że sporo się tam ostatnio buduje, więc większość wejść jest albo zabudowana, albo zamurowana. Dla ludzi z Szambhali to kłopot, bo używają tuneli, żeby transportować różne rzeczy i żeby po kryjomu schodzić do Katmandu...

- Poczekaj no - przerwałem, czując, jak kotłują się we mnie kamikadze i robi mi się niedobrze. - Chcesz mi powiedzieć, że tunele biegną od Szambhali aż do samego Katmandu?

- A jak! Oczywiście! Tunele są pod całymi Himalajami. I całe mnóstwo pod Katmandu. Spróbowałem to sobie uzmysłowić.

- Ale teraz mają kłopoty, bo wyjścia w Katmandu są zamurowywane - ciągnął Freds - i chcą odnaleźć stare wejście tutaj, w Teraju. Przez parę ostatnich wieków trochę o nim zapomniano, więc Dawa i ja kręciliśmy się po okolicy, żeby je znaleźć, i myślę, że się nam udało, ale, cholera, ono jest tuż obok Tiger View.

- Tuż obok Tiger View.

- Taa, to jeden z tych wielkich, drogich ośrodków, coś jak Tiger Tops. Zaraz obok tego Tiger View jest mała odkrywka skalna, w której mieści się jaskinia. Dawa jest pewien, że to jest właśnie jedno z wejść do systemu tuneli. Musimy więc sprawdzić to nocą.

- W nocy dookoła Tiger View jest pełno tygrysów, nie?

- Taa, ale Sunjasza je odstraszy.

- Freds, dlaczego ja tu jestem? - westchnąłem.

- Żeby czynić dobro, George. Wszyscy tu po to jesteśmy.

- Chodzi mi o to, dlaczego jestem tutaj z tobą dzisiaj w nocy?

Po co mnie zabrałeś?

- Dawa i ja sprawdzimy tę jaskinię i upewnimy się, że to wejście do tunelu, a w tym czasie potrzebujemy kogoś, kto by został z Sunjasza i przypilnował, żeby sobie gdzieś nie odeszła. To proste.

Przez chwilę było mi tak niedobrze, że nie mogłem nic odpowiedzieć. - Okłamałeś mnie - rzuciłem w końcu. - Powiedziałaś, że to tylko wczasy.

- No wiesz, pomyślałem sobie, że będzie lepiej, jak nie wspomnę o tej sprawie, żebyś się nie denerwował. Wyobraź sobie, że to poszukiwanie skarbów.

- Poszukiwanie skarbów nocą, w dżungli, z tygrysami. Na grzbiecie ukradzionego słonia.

- Nie jest ukradziona, pożyczamy ją tylko.

Dałem spokój.

Sunjasza przedzierała się przez las pod baldachimem drzew saal.

Księżyc był w pierwszej kwadrze, było więc trochę światła: czarne kształty na czarnym tle, czasem promień księżyca wydobywał niesamowite drzewa i zwisające pnącza. Sunjasza robiła tyle hałasu, że nic innego nie było słychać, ale kiedy Dawa zatrzymał ją, żeby się rozejrzeć, nocne odgłosy dżungli otoczyły nas jak dobra ścieżka dźwiękowa w kinie: skrzypienia, szelesty, ćwierkanie owadów, daleki krzyk ptaka, niski charkot zwierzęcia. Było dużo bardziej dżunglasto niż za dnia, a świadomość, że tygrysy odbywają tu swoje nocne przechadzki, dodawała emocji, których brakowało w świetle dnia. Freds miał pewnie rację, kiedy mówił, że żaden tygrys nie będzie się kręcić obok przechodzącego słonia, ale i tak byłem niespokojny.

Bujaliśmy się tak bardzo długo, tak długo, że prawie zasnąłem.

Wtedy Freds trącił mnie łokciem i zobaczyłem jasną poświatę z prawej strony.

- Tiger View - powiedział. - Zapalają te światła, żeby było widać tygrysy.

- Aha.

- Już tylko kawałek. To jest gdzieś tu blisko.

- Dobrze.

Posuwaliśmy się w ciemnościach. Usadawiłem się między słupkiem a barierką.

W końcu Dawa zatrzymał Sunjaszę. Miejsce wydawało mi się z początku takie samo jak każde inne, ale potem w świetle księżyca zauważyłem mały, ciemny pagórek, skalny kopiec porośnięty krzakami, na którego czubku rosło parę niskich drzewek. Reflektory z Tiger View ciągle były niedaleko, ale tym razem z tyłu, między nami a naszym obozem, jak oceniłem.

Freds i Dawa zsunęli się z Sunjaszy.

- Hej! - zawołałem za nimi.

- Przywiązujemy ją do tego drzewa - odpowiedział z dołu Freds. - Trzymaj stopy na jej szyi, żeby wiedziała, że tam jesteś.

Wrócimy najszybciej, jak się uda, pewnie nie później jak za godzinę.

- Hej! - zaprotestowałem, ale ich już nie było. Zostałem sam na grzbiecie słonia, nocą, w środku dżungli. Macie typowe postępowanie Fredsa. Jednak mimo całego zdenerwowania uznałem to za drobnostkę w porównaniu do sytuacji, w które pakował mnie przedtem. Usadawiłem się na grzbiecie Sunjaszy, pewnie opierając buty na szerokiej szyi zwierzęcia, ona zaś ułożyła się przed kępą bambusa i przystąpiła do nocnej przekąski. A ja w pijackim otępieniu myślałem, że ujdzie mi to na sucho. Nie było nawet tak zimno. Przyzwyczailem się do tego, że w Nepalu wychodzi się w nocy na dwór i momentalnie się zamarza, ale tutaj, w Teraju, było tylko lekko chłodno i wilgotno, a ja przecież siedziałem na samym czubku całkiem wydajnego piecyka. Oparłem więc brodę o barierkę i spróbowałem trochę podrzemać, nie zwracając uwagi na odgłosy dżungli.

Już mi się prawie udało, kiedy zauważyłem, że dookoła nic nie słychać. Było to dość dziwne. Przede mną Sunjasza podniosła swoją wielką głowę i wyciągnęła tułów, węsząc w powietrzu potężnymi sapnięciami.

Nagle wygięła głowę do tyłu, aż prawie zderzyliśmy się czołami, i ryknęła, jakby ktoś rąbnął w brzuch czterdziestu waltornistów, a potem zerwała się z miejsca. Nie miałem okazji zauważyć, czym przywiązali ją Freds i Dawa, ale o ile mogłem się zorientować, ciągnęliśmy za sobą drzewo saal; w każdym razie pędziliśmy z rykiem przez dżunglę. Żeby ratować życie, musiałem z całej siły chwycić się barierki przed sobą. Oszalała Sunjasza była głucha na moje krzyki. Chciała się stamtąd jak najszybciej wydostać, a ja mogłem łatwo zgadnąć, dlaczego. Tygrys! Pobiegnie za nami, wsko- czy tu

i zje mnie! Gałęzie chłostały mnie po całym ciele, gdy Sunjasza przedzierała się między drzewami, pędząc szybciej, niż można sobie wyobrazić. Słonie potrafią ostro biec, a kiedy taki przyspieszy, to jakby znaleźć się na dachu pociągu, który wypadł z szyn i okropnie trzęsie na nierównościach. Jakaś gałąź uderzyła mnie w czoło, a potem wszystko się rozmazało. Wydawało mi się, że moje przeżycie zależy od tego, czy uda mi się ją zatrzymać, a nie widziałem innej możliwości, jak tylko przeleźć pod barierką i zsunąć się na miejsce poganiacza, dosiadając jej i opierając buty pod uszami zwierzęcia.

Udało mi się tego dokonać, ale okazało się, że miejsce nie jest zbyt bezpieczne; nie było się czego złapać. Pochyliłem się do przodu, chwyciłem ją za powiewające uszy i szarpnąłem z całej siły. Sunjasza podrzuciła głowę, prawie mnie z siebie strząsając, ale rąbnąłem plecami o barierkę platformy i tylko straciłem oddech.

W tej chwili słoń zwolniło do kłusu.

- Dobra Sunjasza - zawołałem do niej, żałując, że nie znam więcej nepalskich odzywek poganiaczy. - Sunjasza - powiedziałem najłagodniej jak potrafiłem. Zrozumiała. Powtarzałem jej imię jak mantrę, aż zwolniła trochę krok, ale nie zrobiła nic poza tym. Nie miałem pojęcia, czy wie, gdzie jesteśmy. Być może skierowała się z powrotem do stajni w obozie, równie dobrze mogła jednak się zgubić. Wydawało mi się, że przez lewe ramię ciągle widzę daleki poblask reflektorów z Tiger View.

Nie miałem wyrzutów sumienia, że zostawiłem Fredsa i Dawę na pagórku na całą noc. Jeżeli jednak Sunjasza po prostu się zabłąkała, to rano byłbym w takiej samej sytuacji jak teraz. Spróbowałem więc nią nieco pokierować. Trochę tak, jakby uczyć się prowadzić samochód, który sam toczy się z górki, tyle że nie groziło mi żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo z wyjątkiem nisko przelatujących gałęzi od czasu do czasu. Kopnięcie pod lewym uchem skierowało ją chyba trochę w prawo. Kolejne kopnięcia pod uszami potwierdziły, że zwierzę obraca się o kilka stopni, jeśli kopie się wystarczająco mocno, żeby przekonać je do swoich zamiarów. Tłukłem ją więc pod płatem lewego ucha, aż zawróciliśmy na drogę, którą przyszliśmy.

Wtedy zwolniła i w końcu zatrzymała się. - Dalej, Sunjasza. - Ani drgnęła. - Ruszaj!

Wyraźnie nie chciała zrozumieć. Stała jak zamurowana. Właśnie w takiej sytuacji ostrzejsi poganiacze podnieśliby pręty i dźgaliby zwierzę po głowie, na zmianę z waleniem po obu stronach za uszami.

Widziałem raz słonia, który nie chciał przejść przez mostek, a zmuszony tymi metodami wszedł wprost do potoku i wyszedł po drugiej stronie obok mostu, co było nadzwyczaj trudne. Inni poganiacze posługiwali się takimi sposobami na równinie, żeby skłonić zwierzęta do galopu i pokazać turystom, jak szybko może biec słoń.

Podejrzewam, że w tej chwili posłużyłbym się takim prętem, ale nie miałem niczego podobnego. Sunjasza pozostała nieczuła na moje pięści i buty, a jedynym efektem szczypania delikatnych płatów uszu było niecierpliwe podrzucanie głowy.

W końcu przechyliłem się do przodu i zacząłem szeptać w olbrzymie uszy.

- Bistarre - powiedziałem, co znaczy "wolno". Większość trekkingowców uczy się tego słowa od swoich tragarzy pierwszego dnia w Nepalu. - Bistarre, Sunjasza, bistarre.

Jednocześnie szturchałem ją po bokach głowy butami, jak kowboj na rodeo, próbujący wydobyć wszystko ze znudzonego konia.

Słonica ruszyła naprzód.

Potem pozostawało już tylko kierować nią powoli, korzystając z reflektorów Tiger View jako punktu odniesienia. Kiedy dotarłem na miejsce, gdzie jak sądziłem, powinien znajdować się pagórek, okazało się, że nie ma tam nic. Kręciłem się w kółko, aż na niego trafiłem. Światła z Tiger View

podpowiedziały mi nawet, po której stronie górkę byliśmy, kiedy Sunjasza postanowiła się oddalić.

Zatrzymywaliśmy się właśnie, gdy nagle słonica szarpnęła głową.

- Nie! - wrzasnąłem, przekonany, że znowu startujemy do biegu, ale to tylko Dawa wspiał się na grzbiet zwierzęcia. Freds wciągnął się po pasach od platformy.

- Hej, chłopie - powiedział. - Wybacz, że tak długo to trwało, ale znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. Chyba się nie nudziłeś?

- Nie - odpowiedziałem.

## IV

W drodze powrotnej Freds postanowił przyjrzeć się Tiger View.

- Hej, jesteśmy tuż obok, a ciebie to nie ciekawi? Przecież możemy zobaczyć jakiegoś tygrysa, z tych, co tam podchodzą.

- Sunjasza nie lubi, gdy w pobliżu są tygrysy.

- Będziemy się trzymać na odległość. No, już. - I powiedział coś krótko do Dawy, a Sunjasza ruszyła wolno przez ciemność w stronę poświaty reflektorów. Zatrzymaliśmy się, kiedy między drzewami saal dało się dojrzeć oświetloną polanę, a nad nią niewyraźne kształty wielkich wież obserwacyjnych ośrodka turystycznego.

Na polanie widać było młodą owcę, właściwie jagnię, przywiązane do palika w stratowanej i zakrwawionej trawie. Na skraju oświetlonego kręgu leżały poharatane, na pół zjedzone resztki innego jagnięcia.

Żywe jeszcze jagnię kuliło się żałośnie, od czasu do czasu opuszczając głowę, żeby skubnąć połamaną trawę. Linka, która wiązała je do palika, była napięta, zwierzę odsunęło się możliwie najdalej od niego.

- Boże - powiedziałem wstrząśnięty. - To przynęta?

- Tak myślę - odparł Freds. - Słyszałem, że w ten sposób gwarantują ci, że jeżeli przyjedziesz do Tiger View, to na pewno zobaczysz tygrysy. Robią tak prawie co noc, więc tygrysy się na tym poznały i przychodzą tu na małe co nieco. Chore, nie? - W przyćmionym świetle uśmiech Fredsa miał zawzięty wygląd. - Pamiętam, że jeden gość u mnie w akademiku miał wielkie akwarium i trzymał w nim belonę, taką rybę, a karmił ją małymi ciernikami, złotymi rybkami czy jeszcze tam czymś. No i ta belona leżała sobie na dnie akwarium, aż tu nagle ciach - i już po złotej rybce, rozumiesz. Myśmy wtedy zapalali faję, siadaliśmy dookoła i gapiliśmy się, a czuliśmy się jak hitlerowcy. Ale to...

- Ktoś tam patrzy z tych wież?

- No pewnie! O to przecież chodzi! A tygrysy zabijają strasznie niechłujnie, zdarza im się zacząć jeść, zanim taki zwierzak jest całkiem martwy, więc wiesz...

- Ohyda. Spadajmy stąd, zanim się zacznie. - No dobra. Chociaż właśnie przyszło mi do głowy, że trzeba by może... no wiesz, trzeba by zrobić... właściwie, to trzeba...

- Trzeba co, Freds?

Ale on już był zajęty rozmową z Dawą, jednocześnie wychylając się z platformy.

- Freds - szepnąłem ostro, wciągając go z powrotem za pasek.

- Co ty, kurde, robisz?

- Szukam jakiegoś kamienia albo czegoś takiego... - Dawa wpadł mu w słowo, mówiąc coś szybko po tybetańsku i pokazując na reflektor.

- Freds - ostrzegłem go. - Nie obchodzi mnie, co ci się lęgnie w głowie, ale nie podoba mi się to.

Ale Freds słuchał Dawy, kiwał głową i mruczał:

- Wspaniale, wspaniale, znakomity pomysł, szkoda, że sam na to nie wpadłem.

Myślę, że nawet mnie nie usłyszał.

Kiedy Dawa skierował Sunjaszę w stronę wielkiego obozu, chwyciłem Fredsa za ramiona i potrząsałem nim.

- Freds, co ty robisz?!

- Chcemy trochę nastraszyć tych psycholi. To nie potrwa dłużej jak minutę, George. Już miałem rzucić kamieniem w reflektor, ale Dawa wymyślił, żeby podejść do prądnicy. To dużo lepszy pomysł. Dalej, skacz ze mną. Zsuń się po pasach.

- Nie, Freds! - Ale on już ciągnął mnie za sobą i nie było innego wyjścia, tylko złapać się pasów od platformy i zjechać łagodnie na dół. Kiedy rąbnąłem o ziemię, Freds już brał coś z góry od Dawy. Sztylet wielkości maczety. A może i była to maczeta.

- Boże - powiedziałem. Dawa i Sunjasza oddalali się już ociężale, nie miałem więc wyboru, - Freds, powiesz mi natychmiast, co robisz, albo rzucę się na ciebie i będę cię trzymał, aż to wydusisz.

- Ciii, George, teraz trzeba być cicho - wyszeptał. - Dawa będzie tu krążył i odetnie im prąd, a kiedy reflektory pogasną, my uratujemy owieczkę. Te bogate dranie będą się miały nad czym zastanawiać.

- Cholera. - Ciii.

- Za długo przebywałeś w towarzystwie pułkownika Johna, wiesz o tym, Freds?

- Ciii!

Zatrzymaliśmy się w mroku zaraz przed oświetloną polaną. Znowu zauważyłem, że dookoła nie słychać żadnych hałasujących ptaków ani zwierząt. Stuknąłem Fredsa w ramię i wyszeptałem mu do ucha:

- Freds, posłuchaj! Nic nie słychać! Tu się chyba kręci jakiś tygrys!

- Lepiej się spieszymy - odmruknął.

Wydawało mi się, że kulimy się tam całe wieki. Owca na polanie rozglądała się ogromnymi oczami, od czasu do czasu pobekując.

Rozumiałem ją doskonale.

Nagle zgasł wielki reflektor. Z wieży widokowej rozległy się niezadowolone głosy. Freds wybiegł na polanę, a ja za nim. Owca beczała z przerażenia. Freds odciął linkę i chwycił zwierzę, zanim zdążyło się ruszyć.

- Masz, George - szepnął. - Potrzyj ją przez moment, a ja przyciągnę resztki tej martwej na schody wieży. Jak przyjdzie jakiś tygrys, będą mogli zrobić dobre zdjęcia - zarechotał jak pułkownik John i cisnął mi w pierś uratowaną owcę. Chwyciłem ją i usłyszałem raczej, niż zobaczyłem, jak Freds zbiera zmasakrowane resztki poprzedniej przynęty. Przyszło mi do głowy, że gdyby jakiś tygrys przypadkiem przechodził w pobliżu i chciał skorzystać z ciemności, to owca i ja stanowilibyśmy znakomitą ofertę "dwa-w-jednym", pobiegłem więc za Fredsem, aby być bliżej jego sztyletu, albo przynajmniej mieć pewność, że gdyby sprawy miały tak się potoczyć, to i on będzie zjedzony. Owca miała jednak własne zdanie. Walczyła dziko, chcąc się wyrwać i kiedy byłem obok Fredsa, odepchnęła się ode mnie wszystkimi czterema nogami; wpadliśmy na Fredsa i wszyscy troje zwaliliśmy się na ziemię. Wylądowałem na paćkowej plamie, będącej najwyraźniej wnętrznościami owcy, którą Freds niósł do wieży, ale wykopała mnie stamtąd żywa owca, której sznur okręcił mi się wokół przedramienia. - Ja tu już prawie kończę - wyszeptał Freds, chwytając oddech. - Trochę więcej cierpliwości.

Chciałem wrzasnąć, ale nie byłem pewien, czy to nie zwiększy niebezpieczeństwa. Przyciągnąłem więc jagnię, zasłaniając się przed jego dzikimi kopnięciami. Prawdę mówiąc, ja też je

kopnąłem za głowę, a potem podniosłem biedne, beczące stworzenie i telepiąc się za Fredsem w stronę wieży widokowej, ścisnąłem je tak, jakbym chciał wydusić z niego oddech.

Nad nami słychać było ciągle jakieś głosy: piskliwe narzekania i ciche uspokojenia. Freds cisnął na schody to, co udało mu się odzyskać. Resztki wylądowały z plasknięciem, błyskawicznie ucinając wszystkie odgłosy z góry. W martwej ciszy słychać było dalekie głosy dżungli i jakiś szelest. Pragnąłem żarliwie, żeby to była Sunjasza. Na wieży nad nami rozległo się parę trzasków i stuków, które podejrzanie przypominały mi przekładanie strzelb czy sztucerów przez barierkę ambony. Gdybyśmy szukali schronienia na wieży, tamci mogliby nas z łatwością zastrzelić. Gdybyśmy zamiast tego spróbowali uciec, też mogliby nas zastrzelić, a gdyby tego nie zrobili, to musielibyśmy włączyć się pieszo nocą po dżungli z tygrysami, umazani krwią owcy i z żywym jagnięciem w ramionach.

Sytuacja nie była dobra i już miałem zawołać do ludzi na wieży i poprosić ich o schronienie, ale Freds poszedł sobie, więc z jękiem trzepnąłem jagnię jeszcze raz w głowę, żeby je uspokoić i poszedłem za moim kumplem. Chociaż starałem się z całej siły, to i tak czułem, że robię hałas jak przy zderzeniu samochodów, a Freds nie był wcale cichszy. Łopatkami zeszywniały mi w oczekiwaniu na chłaśnięcie kul albo pazurów. Wtedy z krzaków po prawej stronie dobiegł jakiś dźwięk. Otworzyłem usta, żeby wykrzyczeć ostatni krzyk, obróciłem jagnię, chcąc rzucić je przed siebie w ofierze, ale wtedy czarna, wielka masa zbliżającego się stworzenia okazała się być Sunjaszą, kroczącą wprost na nas. Dawa nie musiał jej nawet zatrzymywać; Freds wskoczył na platformę chyba jednym susem, a ja rzuciłem mu jagnię i sam smyrnąłem na górę, wciągając się po pasach i przelatując przez barierkę. Tak twardo wylądowałem na owcy, iż byłem pewien, że ją zabiłem, ale zabczała i kopnęła mnie, żeby pokazać, że ma się dobrze.

I pędziliśmy cwałem przez dżunglę.

## V

- Ha! - odezwał się Freds, kiedy mógł już złapać oddech. - Świetnie było, nie?

Nie potrafiłem znaleźć na to odpowiedzi.

- Teraz jak do Tiger View przyjdą jakieś tygrysy, to powinny wleźć na same schody i drapać w drzwi od wieży. Te psychole na górze będą oko w oko z naturą. Może nawet jakiś tygrys spróbuje rozpruć te drzwi, to lym w środku serducho trochę podskoczy.

- Za długo się kręciłeś przy pułkowniku Johnie.

- Może i tak.

Nagle Dawa odwrócił się i pokazał, żebyśmy byli cicho, zatrzymując jednocześnie Sunjaszę. Siedzieliśmy w milczeniu. Wyszliśmy już spod baldachimu drzew saal i znajdowaliśmy się w słoniowej trawie na skraju łąki.

- Co znowu? - sapnąłem, ale Dawa znowu gwałtownie zamachał ręką.

Freds przysunął usta do mojego ucha.

- Jeep, widzisz? - Pokazał mi, a ja spostrzegłem kwadratową bryłę na brzegu łąki. Kiwnąłem głową.

- Kłusownicy - wyszeptał Freds. - Bądź cicho, to może być naprawdę niebezpieczne.

- To może być naprawdę niebezpieczne - powiedziałem samymi wargami.

Zanim zdążyłem go powstrzymać, Freds zszedł z platformy. Ruszyłem za nim, ale Dawa położył mi rękę na ramieniu i potrząsnął głową. Siedzieliśmy w ciszy przez jakieś trzy, cztery minuty. Wreszcie Freds wrócił, podnosząc do góry jakiś duży, stożkowaty przedmiot. Wziąłem go od niego; okazał się ciężki i dziwny w dotyku.

Położyłem go na platformie obok ogłuszonej owcy.

- Co to znowu za cholera? - wyszeptałem do Fredsa, który gramolił się obok mnie. - Róg nosorożca - odparł półszepsem. - Odrąbują go, rozumiesz?

Zamienił szybko parę słów z Dawą i znów ruszyliśmy, wycofując się cicho i powoli, a potem okrążając łąkę kłusowników.

- Dranie - powiedział Freds. - W dodatku to był jeep wojskowy. Armii nepalskiej.

- I co zrobiłeś? - spytałem.

- Przeciąłem im wszystkie opony i kabel zapłonu, a potem zwinąłem z samochodu ten róg. I odkręciłem tablicę rejestracyjną.

- Zabijają nosorożce tylko dla tych rogów?

- No. To znowu ci pieprzeni Chińczycy - myślą, że róg nosorożca indyjskiego jest afrodyzjakiem.

- Afrodyzjakiem?

- Taa. Ci Chińczycy chyba uważają, że jeszcze za słabo się rozmnażają.

- I to był jeep armii nepalskiej?

- Taa, ale to nic nie znaczy. Mogli go ukraść, pożyczyć albo może to żołnierze kombinują na boku.

Nagle w drzewach po prawej stronie rozległ się krzyk i trach!

trach! trach! Ktoś do nas strzelał. Jedna z kul bzyknęła nam nad głowami jak końska mucha i Sunjasza ruszyła cwałem. Nawet kiedy uciekała przed tygrysem, nie biegła tak szybko; Dawa nachylił się i krzyczał jej coś do uszu, a słoń biegł z łoskotem, szybciej niż cokolwiek innego po takim terenie, może z wyjątkiem nosorożca.

Ciągle słyszałem z tyłu strzały, ale wyglądało na to, że oddalamy się od nich.

Wtedy spostrzegłem, że nasza platforma przekrzywia się w lewo i z każdym łomoczącym krokiem zsuwa się coraz niżej na szeroki bok Sunjaszy.

- Pas się obluzował! - wrzasnął Freds, trzymając się przechylonej barierki. - George, złap tę linę obok pasa i trzymaj ją!

Schyliłem się więc pod barierkę, sięgnąłem w dół i namacałem linę, która najwidoczniej owijała Sunjaszę wzdłuż. Z liną owiazaną na ręce i kolanem zaczepionym o narożny słupek udało mi się zatrzymać zsuwanie platformy. Kiedy jednak przyjąłem tę pozycję, nie miałem innego wyjścia, jak tylko tak zostać. Dawa, zdenerwowany kłusownikami, całą drogę do obozu popędzał Sunjaszę, a ja zwisałem głową w dół, rozciągnięty na prawym boku słońca i ostro drapany przez każdą mijaną gałąź.

- Spokojnie, George, trzymaj się tam, jesteśmy prawie w domu.

W końcu dotarliśmy do obozu i zwolniliśmy do cichego marszu.

Przy pomoście Freds i Dawa wyplątali mnie z pasów od platformy, spuścili na ziemię i przytrzymali. Dawa zajął się Sunjaszą i owcą, a Freds zaprowadził mnie do naszego domku. Padłem na łóżko i wkrótce pogrążyłem się w głębokim śnie zapomnienia.

Godzinę później przyszli pracownicy ośrodka i zaczęli łomotać w drzwi, żeby nas obudzić. Daubahal wsadził głowę do pokoju, blask wschodzącego słońca otaczał jego uśmiechniętą twarz.

- Przejazdźka na słońcach! - oznajmił.

A na kolację była baranina.

## VI

Następnego dnia przekazaliśmy róg nosorożca policjantom nepalskim, których wezwał



Daubahal, podaliśmy im też zapamiętany przez Fredsa numer tablicy rejestracyjnej: 346. Nie mogliśmy odpędzić od siebie przeczucia, że róg i tak skończy w Chinach, tyle że inną drogą.

Spojrzałem w popękane lustro pod prysznicem i zobaczyłem, że wyglądam jak męczennik, który usiłował nawrócić Malajów i został żywcem obdarty ze skóry; a czułem się jeszcze gorzej. Wróciliśmy jednak do land rovera po drugiej stronie rzeki, ostatni raz przeżywając mękę przejażdżki na słoniach, i odjechaliśmy. Wieczorem byliśmy w Katmandu i jeśli o mnie chodzi, to nasza przygoda z dżunglą dobiegła końca. Ostatecznie. Nigdy więcej. Biorąc wszystko pod uwagę, nie było tak źle. W porównaniu do innych wypadów w towarzystwie Fredsa, kiedy byłem mielony jak kotlet, ten był niczym.

Nocny spacer. Wielka sprawa! Koniec historii. Świetnie. Znakomicie. Szkoda, że tym razem tak krótko.

Ale oni jeszcze ze mną nie skończyli.

Bo dzień po tym, jak wróciliśmy, ktoś zapukał do moich drzwi. Rzadko mnie ktoś odwiedza w moim pokoju, podniosłem więc palnik turystyczny, zamierzając rąbnąć nim Fredsa w twarz, gdyby to był on, i szarpnąłem drzwi, krzyżąc: - Czego chcesz? - To rzeczywiście był Freds, ja się zamachnąłem, on się schylił, a palnik poszybował na podwórze Gwiazdy i zadzwonił o bruk.

Za Fredsem jednak stali jacyś ludzie, a był to nikt inny jak Nathan Howe i Sarah Hornsby.

- Nathan! - zawołałem. - Sarah!

- George! - odpowiedzieli, speszzeni moim powitaniem.

Poza tym jednak wyglądali tak samo jak ostatnim razem, kiedy ich widziałem, czyli dwa lata wcześniej. Nathan ciągle miał perfekcyjną, gęstą brodę i nosił odpowiednią do niej marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach, uznałem więc, że dostał już posadę na uniwersytecie albo dostanie ją natychmiast, gdy tylko zobaczy go jakiś rektor. Nasz uczciwy, dobrze ostrzyżony, prawdomówny i bezkompromisowy Nathan. A Sarah ciągle wyglądała jak najseksowniejsza bibliotekarka na świecie, a ci z was, którzy odwiedzają biblioteki, wiedzą, że to znaczy naprawdę sexy i jeszcze z tą odrobiną powagi, od której można zwariować. Nie jestem zwolennikiem gorących powitań w stylu New Age, ale postanowiłem zmienić przyzwyczajenia, żeby uścisnąć Sarah, i opłacało się. Podając rękę Nathanowi, zauważyłem obrączki na ich palcach, spytałem więc:

- A to co? Pobraliście się?

Kiwnęli głowami. Nathan, ten fuksiarz, uśmiechnął się szeroko.

- Wspaniale! - powiedziałem. Pozbierałem się i zaprosiłem ich do pokoju.

- Wchodźcie do środka!

- Co ci się stało, George? - spytała Sarah, kiedy już weszli.

- Wyglądasz, jakbyś miał wypadek.

- Bo miałem - wyjaśniłem. - Zgodziłem się wyświadczyć Fredsowi przysługę.

- Było trochę emocji - dodał Freds, siadając na podłodze w swoim ulubionym miejscu.

- Zabawne - powiedział Nathan, kiedy już usadowił się na krześle, a Sarah na łóżku. - My też chcieliśmy prosić cię o przysługę. W zeszłym tygodniu dowiedzieliśmy się od Fredsa, że ciągle tu mieszkasz, ale nie mogliśmy cię zastać.

- No, to dlatego, że razem z Fredsem... - Zauważyłem, jak policzki Fredsa pokrywa rumieniec. Gapiałem się na niego, a on zwiesił głowę i próbował schować się pod podłogę. - ...razem z Fredsem musieliśmy pomóc znajomym w prowadzeniu ośrodka turystycznego w dżungli, co nie, Freds?

Freds kiwnął głową, ciągle skulony.

- Aha, tak było - mruknął.

No więc Freds nie umie kłamać. Nie chodzi o to, że nie potrafi znakomicie obchodzić prawdy

albo jej przemilczać, albo naginać ją tak, jak mu wygodnie. Jako ktoś nie raz przez niego otumaniony i wciągnięty w obłąkańcze poczynania, szczerze szanuję jego spryt i nierzetelność. Ale do autentycznego kłamstwa prosto w oczy nie ma kwalifikacji. Czerwieni się, robi miny, zezuje, żeby się przekonać, czy się na niego patrzy, jąka się. Opowiada takie bzdury, że nie nabrałby się na nie nawet pięciolatek.

Wpatrywałem się więc w niego.

- Kiedy Nathan i Sarah pytali cię o mnie, wspomnieli pewnie, że chcą mnie poprosić o przysługę, prawda?

- Nie przypominam sobie - wymruczał.

- Ale Nathan na pewno pamięta - powiedziałem, przesuwając się na łóżku, tak że teraz patrzyłem na Fredsa bardziej z góry. - Prawda, Nathan? Nie mówiłeś Fredsowi, o co wam chodzi?

- No cóż, owszem - odparł Nathan, z zaciekawieniem przechylając głowę. - Myślę, że powiedziałem.

- A zaraz potem Freds przybiegł tutaj, zbajerował mnie i wyciągnął do dżungli. To chyba wystarczy, żebyście zaczęli podejrzewać, że on nie chce, żebym wam pomógł. - Nachyliłem się i krzyknąłem Fredsowi do ucha: - Prawda?

- Zapomniałem - powiedział Freds. Podniósł głowę i popatrzył na nas. Wyglądało to, jakby tuż za nim stał wielki wykrywacz kłamstw z rzędami migających, czerwonych lampek i wyjąca syreną.

Oczy zrobiły mu się takie, jakby miały odwrócić się do środka. - Po prostu zwyczajnie zapomniałem, to wszystko, i kiedy ci moi kumple z ośrodka w Czitwanie poprosili mnie, żebym przywiózł jakiegoś znajomego, pomyślałem oczywiście o George'u.

Zaczerwieniona twarz z jakiejś wsi na Południu, długie blond hippisowskie włosy związane w kucyk - na całym świecie nie znalazłoby się gorszego kłamcy. Mrugał sto razy na minutę, usta miał rozdziawione, desperacko spoglądał to na jedną twarz, to na drugą, próbując znaleźć w nas odrobinę wiary.

- A poza tym - wrzasnął do mnie - posłuchaj tylko, czego oni od ciebie chcą, to sam się przekonasz, czy i tak nie powinienem cię stąd zabrać.

- Nathan - powiedziałem opanowanym tonem - co chcecie, żebym zrobił?

- No cóż - zaczął Nathan, patrząc z troskliwym zaniepokojeniem na naszego zakłamanego przyjaciela - pracuję teraz dla Agencji Rozwoju Azji Południowej, próbuję poprawić tu warunki życia.

Kiwnąłem głową. To pasowało do Nathana i zresztą sam to całkowicie pochwalałem.

- To świetnie. A ty? - zwróciłem się do Sarah.

- Dalej prowadzę badania zwierząt - odparła. - I idą dobrze, tak że oboje możemy tu być.

- Jest wspaniale - dodał Nathan. - Pracuję teraz nad projektem założenia systemu kanalizacyjnego w północno - zachodniej części Katmandu. Nie mają tu kanalizacji, a naprawdę tego potrzebują - sam wiesz, te sterty śmieci na ulicach i tak dalej.

- Wiem - powiedziałem. - To dobry pomysł.

- Dzięki. W każdym razie, plany już są zrobione i wszystko szło dobrze, dopóki projekt nie trafił do Sekretariatu Pałacu. Tam, nie wiadomo dlaczego, utknął. A ja pamiętałem, jak świetnie sobie poradziłeś z Królewskimi Liniami Lotniczymi i jakie masz doświadczenie z biurokracją w Katmandu, więc miałem nadzieję, że moglibyśmy zatrudnić cię jako konsultanta, żebyś nam pomógł załatwić zatwierdzenie i wprowadzenie w życie tego projektu.

Zachowałem kamienną twarz.

- Z przyjemnością ci pomogę, Nathan.

- Co? - wrzasnął Freds, zrywając się na równe nogi. - Co to ma znaczyć: "z przyjemnością ci pomogę?" To ja do ciebie przychodzę i proszę, żebyś mi pomógł z nepalską biurokracją, a ty mi mówisz, żebym spadał, potem Nathan cię prosi, żebyś jemu pomógł z nepalską biurokracją, i ty mówisz: "z przyjemnością ci pomogę".

- Owszem.

- To nie fair.

- Nic mnie to nie obchodzi. Chcę zrobić coś dla tego miasta, a założenie kanalizacji to pierwsza rzecz, jakiej można by sobie życzyć. Ani trochę nie zmieni charakteru miasta, tylko tyle, że dzieci będą zdrowsze. Na przykład mój kumpel żebrak i jego dziewczynka.

Dlaczego byś chciał w czymś takim przeszkodzić, Freds?

Freds patrzył na nas z wściekłością.

- George i tak nic a nic wam nie pomoże - powiedział do Nathana. - Z biurokracją w ogóle sobie nie radzi; cały miesiąc próbował nam pomóc; udało mu się tylko wydać dwa tysiące rupii i wkurzyć na siebie mnóstwo ludzi. Żaden z niego pożytek.

- Zapytaj A. S. J. B. Rany, jaki ze mnie pożytek - powiedziałem ostro. - Załatwiłem tego gościa! A poza tym, skoro myślisz, że im nie pomogę, to po co mnie zaciągnąłeś do dżungli, gdzie nie mogli mnie znaleźć?

- Nie zaciągnąłem.

- Zaciągnąłeś.

Sarah wstała, podeszła do Fredsa i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Freds - powiedziała - jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Nie musisz się tak dręczyć. Możesz nam powiedzieć, co cię męczy.

Ścisnęła go za ramię. Freds wziął głęboki oddech.

- No więc - zaczął, wycierając twarz dłońmi - czuję, że będę musiał. George'owi już o tym mówiłem...

- Mówiłeś mi?

- Taa. Ten system tuneli, pamiętasz?

Zwrócił się do Nathana:

- Nathan, jesteś moim najdawniejszym przyjacielem, więc ci zaufam, ale dla ciebie to będzie twardy orzech, bo musisz mi przysiąc tajemnicę, a to może się kłócić z tym projektem, nad którym pracujesz. Nathan podniósł brwi w zdumieniu.

Freds wziął następny potężny oddech i wypuścił go.

- Cholera, najlepiej wam to pokażę. I tak mi nie uwierzycie, dopóki sami nie zobaczycie.

## VII

Freds zaprowadził nas do dosyć zamożnej dzielnicy handlowej między Thamelem i Durbar Square, składającej się z wąskich ulic z rzędami jedno- i dwupiętrowych budynków z cegły i drewna w stylu, który jest trochę ruderowaty i z lekka dziewiętnastowieczny, ale całkiem solidny. Główna ulica nie ma tam oficjalnej nazwy, ale zagranicznicy nazywają ją Freak Street z powodu wiecznego ruchu, kolorów i handlarzy haszu. Jest przy niej bardzo dużo sklepów i kramów, gdzie odbywa się intensywny handel jedzeniem, książkami, dywanami i sprzętem górskim.

Freds skręcił z Freak Street w wąski pasaż, który prowadził do sklepu z dywanami naszego znajomego, Yongtena. Yongten prowadził także kantor i musieliśmy poczekać chwilę pomiędzy klientami zastanawiającymi się, który dywan kupić, a tymi, którzy stali w kolejce po zamianę czeków podróжных na rupie. W końcu jednak Yongten kiwnął do nas głową, zamienił z Fredsem parę słów i

zaprowadził nas na zaplecze, a potem przez drzwi, które stanowiły fragment tylnej ściany, wycięty i wstawiony w zawiasy.

Znaleźliśmy się w wąskim pomieszczeniu, które wyglądało jak prześwit między budynkami, tyle tylko, że było zadaszne. Używano go pewnie jako magazynu, bo pod jedną ze ścian piętrzyły się stare skrzynki. Yongten zapalił lampę gazową, podał ją Fredsowi i zamknął drzwi do sklepu. Przy świetle latarni odsunęli następnie z Fredsem jedną stertę skrzynek, odsłaniając następną ścianę z surowego drewna, z wyciętymi w niej drzwiami, wysokimi najwyżej do pasa.

Drzwi zabezpieczały potężne, żeliwne zawiasy oraz rygiel i zamek.

Yongten wyjął z marynarki klucz wielkości mojej dłoni i otworzył zamek. Następnie razem z Fredsem pociągnęli za drzwi i odemknęli je.

Z ciemnego, kwadratowego otworu dmuchnął w nas wilgotny, chłodny powiew. - Trzymajcie się mnie - powiedział Freds i przykucnął, żeby zmieścić się w wejściu. Ruszyliśmy za nim w trójkę, a Yongten zamknął za nami drzwi.

- Uwaga, sufit jest na początku niski.

Kuliliśmy się za Fredsem, wyciągając ręce dla ochrony przed obniżeniami drewnianego sufitu. Ściany dookoła były z cegieł, za podłogę służyła ubita ziemia. Potem szliśmy po bruku, schodami w dół, aż wreszcie mogliśmy się wyprostować.

Lampa odkryła coś, co wyglądało na niską, okrągłą galerię.

W wielu miejscach światło w ogóle nic nie pokazywało, trudno więc było dokładnie określić kształt grotu, w której się znaleźliśmy.

- To stary system tuneli - cicho odezwał się Freds, kiedy skupiliśmy się dookoła lampy. - Ten wylot wyciosano niedawno, bo ostatnie nie zabudowane wejście w Katmandu znajdowało się na terenach pałacowych i parę lat temu przykryły je fundamenty nowego budynku. Dlatego Mańdźuśri Rimpocze chciał, żebyśmy odnaleźli wejście w dżungli. To w sklepie Yongtena nie jest zbyt dobre.

Yongten wynajmuje od kogoś te pomieszczenia i wszystko może się zdarzyć, rozumiecie.

- Kto to jest Mańdźuśri Rimpocze? - Chciał wiedzieć Nathan.

- I co to wszystko ma wspólnego z projektem kanalizacji?

- To długa historia - odparł Freds. - George, chcesz im opowiedzieć?

- Jasne, że nie.

Freds poprowadził nas więc dalej w dół tunelu, opowiadając jednocześnie Sarah i Nathanowi o naszych niedawnych przygodach w Szambhali. Tamci słuchali z zapartym tchem; nie widziałem na tyle dobrze ich min, żeby wyobrazić sobie, co myślą o tej opowieści, ale odbierałem silne fluidy zdziwienia i niedowierzania, potwierdzane jeszcze przez pełne zdumienia spojrzenia, które od czasu do czasu wymieniali.

Zeszliśmy do obszernego, kwadratowego tunelu, gdzie otoczyły nas ściany z obrobionego kamienia. Potem przejście znowu się rozszerzyło, z żadnej strony nie było widać ścian. Freds zaprowadził nas do schodów biegnących w dół długim łukiem obok czegoś, co musiało być olbrzymią, wydrążoną grota. Nie chciało się wierzyć, że zbudowała to ręka ludzka. Może tylko obkuto naturalną jaskinię.

Schody miały od zewnętrznej strony grubą, drewnianą poręcz; byłem za nią wdzięczny. Poręcz opierała się na rzeźbionych i malowanych słupkach, drewno było gładkie od dotyku dłoni. Ściany jaskini upstrzone były niszami mieszczącymi posągi Buddy albo demonów Bónpa; przypominało mi to tunel w górach łączący Szambhalę i Nangpa La. Część tego samego systemu, jeśliby wierzyć Fredsowi.

Zeszliśmy pewnie kilkaset stopni w dół, zanim dotarliśmy na dno jaskini. Światło lampy

wydobyło tam refleks długiej galerii. Ruszyliśmy wzdłuż niej i natrafiliśmy na małe komnaty wyciosane w skałę, niektóre wyłożone starannie cyzelowanym brązem, niektóre srebrem, a jedna - czymś, co wyglądało na czyste złoto.

Freds wprowadził nas do tej ostatniej. Jej ściany, podłoga i sufit były zakrzywione tak, że miało się wrażenie przebywania w środku gigantycznego jaja. Światło lampy odbijało się od otaczającego nas żółtego metalu. Wyrzezbiono w nim tybetańskie litery układające się w Om Mani Padme Hum, powtarzane bez końca, tak że pokrywały całe wnętrze komnaty; drobne ślady dłuta: czarne, brązowe, ciemnożółte albo nawet białe, zależnie od tego, jak padało na nie światło.

Om Mani Padme Hum - klejnot w kwiecie lotosu. Wydawało się, że sami tam jesteśmy - w środku klejnotu. '

- Pustelnia - rzeczowo objaśnił Freds. - Padma Sambhava, guru, który przyniósł buddyzm do Tybetu, zszedł tu kiedyś. Powiadają, że kiedy odszedł, ściany zmieniły się w złoto od razu pokryte napisami.

Nathan i Sarah rozglądali się wokoło z otwartymi ustami, jak wyjęte z wody ryby. Ja pewnie wyglądałem dość podobnie.

System tuneli, jak wyjaśnił dalej Freds, miał centrum w Szambhali i stamtąd rozchodził się we wszystkie strony.

- Nie tylko pod Himalajami - stwierdził - i dochodzi nie tylko do Katmandu. On ma tysiące lat i dla Szambhali jest bardzo ważny, wiecie, wpływanie na bieg spraw, próby ocalenia świata przed samozniszczeniem. Widziałem, jak Nathan i Sarah próbują przełknąć tę wiadomość i nie udaje im się to do końca. Mnie samemu, chociaż przecież byłem w Szambhali i przebiegłem całe kilometry w tunelach, trudno było to pojąć; im musiało być trudniej. Podszedłem do jednej ze ścian i przeciągnąłem palcami po literach. Metal był stary, na krawędziach wyrzeźbionych liter zostały ślady dłuta. Kiedy dotknąłem ściany, wydawało mi się, że wyczuwam słabe drgania. Płomień w lampie migotał, ściany leciutko drżały, powietrze wypełniał delikatny szum.

Ledwie dawało się wyczuć, że nad naszymi głowami tętni zatłoczone życiem Katmandu.

## VIII

- Posłuchaj, Freds - odezwał się Nathan, kiedy cali i zdrowi usiedliśmy znowu w moim pokoju w Gwieździe i doszliśmy trochę do siebie po tamtym przeżyciu - te tunele są bardzo interesujące i jestem pewien, że środowisko archeologiczne będzie nimi zafascynowane. Ale nie można pozwolić, żeby coś takiego przeszkodziło w poprawieniu warunków zdrowotnych ludzi, którzy teraz tu mieszkają! Trzeba zachować właściwe priorytety. Wiesz, ta wyłożona złotem grota robi wrażenie, ale tak naprawdę, to nie ma przecież żadnego znaczenia, gdzie ten Padma Jakiś tam ukrył się parę tysięcy lat temu. Liczy się to, żeby mieszkańcy miasta mogli żyć zdrowiej! Przyzwoity system kanalizacji to podstawowy krok w tym kierunku, bo przecież bez tego mieszkają w swoich własnych śmieciach, a w tych warunkach nie sposób uniknąć chorób. Kanalizację trzeba zbudować!

Zwrócił się do mnie:

- George, musisz nam pomóc przepchnąć ten projekt przez Sekretariat.

- No nie! - włączył się Freds, sięgając przez łóżko i potrząsając mnie za ramię. - Musisz pomóc zastopować to na amen! Te tunele to nie tylko starożytna historia - nalegał. - Ciągłe się ich używa, prowadzą prosto do Szambhali, a jak zaczną kopać i natrafiają na nie, ograbiają je, dojdą nimi aż do Szambhali i ją też ograbiają, a wtedy wszystko, co zrobiliśmy latem, żeby ocalić dolinę, pójdzie na marne!

Nathan w ogóle nie rozumie, co to oznacza! - Rozumiem - odparł Nathan. - Ale to kwestia

pomocy mieszkańcom miasta. Sam wiesz, jak to wygląda bez kanalizacji pod ulicami - same ulice zamieniają się w ścieki.

- To prawda - dodałem.

Nathan przytaknął, ale Freds pokręcił głową i powiedział:

- Daj spokój, George, przypomnij sobie dolinę.

Sarah spojrzała na mnie zza okularów. Freds i Nathan kłócili się dalej i obaj bardzo się zapalili.

Sarah próbowała ich uspokoić, ale oni mierzyli się wściekłymi spojrzeniami i podnosili głosy.

W końcu ich powstrzymała, a wtedy obaj popatrzyli na mnie ostro, żebym lepiej był po czyjejs stronie. Jakby to w ogóle była moja wina.

- Hej - powiedziałem, podnosząc ręce. - Nie patrzcie tak na mnie.

- Dużo zrobiłeś dla doliny - zdecydowanie stwierdził Freds.

- To prawda.

- Wiesz doskonale, że kanalizacja jest tu potrzebna, bo inaczej choroby nigdy się nie skończą. -

Nathan spojrzał na mnie ze śmiertelną powagą.

- To też prawda.

I zgadzałem się tak ze wszystkim, co powiedzieli, aż obaj byli na mnie wściekli. Nie mogli znieść mojego gadania, a ja nie chciałem ustąpić. Albo nie mogłem. Obaj byli moimi przyjaciółmi i obaj mieli rację. Nie miałem pojęcia, co robić. Przeciągałem więc, aż mieli mnie całkiem dosyć.

## IX

W końcu poszli sobie, a ja położyłem się do łóżka i spałem jak zabity, kiedy Freds zsunął mnie pod ścianę i usiadł obok. Wetknął mi w usta zapaloną fajkę z haszem i głośno wypuścił dym.

- Gotuj się, brachu, musimy jeszcze raz iść do środka ziemi.

- Co? - Odepchnąłem go i zacząłem zrzucać okruchy haszu, które wyleciały z fajki i rozsypały się po całym łóżku, zarzając się jak maleńkie brykiety węgla drzewnego i dymiąc intensywnie. Zanim znaleźliśmy je i postrącaliśmy, moje jedyne prześcieradło było zniszczone, a ja zupełnie się obudziłem i nieźle nawaliłem; podejrzewam więc, że Freds był zadowolony.

- Niech cię cholera, Freds. Która jest godzina?

- Czas ruszać, brachu. Muszę ci pokazać takie święte tunele, których Nathan i Sarah nie powinni oglądać.

- Teraz?

- Taa, zbieraj się. To będzie prawdziwa przygoda, spodoba ci się.

- Nienawidzę twoich przygód, Freds.

- Z tą będzie inaczej. Zbieraj się, to sam zobaczysz.

Naciągnąłem więc koszulę i spodnie i po omacku zawiązałem buty. Wyszliśmy na ciemne, puste ulice Thamelu i skierowaliśmy się do pasażu, przy którym był sklep Yongtena. Sklep był zamknięty i zastawiony deskami, ale kiedy Freds zapukał do drzwi, Yongten nam otworzył; podobnie jak wielu mieszkańców Katmandu spał tam, gdzie handlował, na twardej pryczy ustawionej obok zwojów grubych dywanów. Nie wydawał się zaskoczony tym, że nas widzi, i trochę pogadał z Fredsem po tybetańsku, zanim zaprowadził nas na zaplecze. Tam zamiast lampy gazowej wzięliśmy dwie latarki i ruszyliśmy wąskim przejściem do niskich drzwi, a potem w dół tunelu.

Na dole w świetle latarki było niesamowicie. Kiedy podnosiliśmy światło znad wybojów pod nogami, promień ciął ciemność w różne strony, wydobywając rzeczy, których nie widziałem przy skupionym blasku lampy gazowej: masywną, drewnianą belkę nad jednym ze skrzyżowań, rzeźbioną i pomalowaną w skomplikowane, żółto-czerwono-zielone wzory, wykrzywioną maskę demona z

wyłupiastymi oczami na końcu jednego ze ślepych zaułków, gruby słup z poskręcane go srebra, a poza tym wszędzie niespodziewane głębie, tam gdzie promień latarki roztopiał się w ciemności, nie sięgając niczego.

Wielkie jaskinie, nie kończące się tunele - deptałem Fredsowi po piętach, mając nadzieję, że moja latarka wytrzyma dłużej niż pół godziny, na jakie wystarczają zazwyczaj te hinduskie modele, bo gdybym przypadkiem odłączył się od Fredsa, to nigdy bym nie znalazł drogi powrotnej. Kiedy schodziliśmy po schodach w jaskini, Freds nagle zatrzymał się.

- George, kopiesz mnie w łydki.
- O, przepraszam.
- Tędy. Tym razem pójdziemy na pomoc.

Wydawało się nam, że wędrujemy już godzinę, choć mogło to być nie więcej niż dwadzieścia minut. Mijaliśmy sale i nisze po obu stronach, a kiedy oświetlałem je latarką, wybuchały surowymi kolorami mandali albo odblaskiem wypolerowanego metalu. Słysząc było tylko nasze kroki i oddechy, w pewnym miejscu jednak zatrzymaliśmy się, a z oddali doleciał nas cichy brzęk, a potem jakieś szepty.

- Hej - odezwał się Freds - złamiesz mi ramię, jak je będziesz tak ścisnął.
- Posłuchaj - syknąłem.
- Słyszę. Właśnie z nimi przyszliśmy się spotkać.

Zagwizdał jak na Star Trek, a potem skierował latarkę w dół tunelu i trzy razy zapalił ją i zgasił, pozostawiając wyłączoną.

- Świeć na ziemię - powiedział do mnie.

Zbliżały się czyjeś kroki. Słyszeliśmy je, choć były daleko i trwało wieczność, zanim do nas doszły, coraz głośniejsze i potężniejsze.

Z całej siły powstrzymałem się, żeby nie podnieść latarki i nie oślepić tego, kto nadchodził, ale Freds nie pozwolił mi się ruszyć, dopóki kroki nie zbliżyły się i mogliśmy rozróżnić niewyraźną sylwetkę tuż poza zasięgiem drgającego światła. Postać też trzymała latarkę opuszczoną.

Freds zapalił swoją latarkę i skierował ją na ścianę. W odbitym świetle postać mogła nas widzieć, a my jego, mniejszego nagle w innym oświetleniu.

Był to Bahadim Shrestha, nasz przyjaciel z "Nepalskiej Gazety Urzędowej".

- Pan Freds - odezwał się - pan George! Cieszę się, że znowu was widzę.
- Bahadim! - wykrzyknąłem zdumiony. - Ale numer!
- W istocie - odparł z lekkim uśmiechem. Freds wyjaśnił szybko, dlaczego tu jesteśmy, zaś Bahadim zmarszczył brwi, gdy usłyszał o proponowanym systemie kanalizacyjnym.

- To byłoby w najwyższym stopniu niedogodne, w rzeczy samej.

- Pokaż lepiej George'owi nad czym ty tu pracujesz, dobra?

Chcę, żeby sam to zobaczył.

Bahadim bacznie mi się przyjrzał, zastanawiając się nad tym pomysłem. Wreszcie kiwnął głową.

- Musisz przyrzec, że nikomu o tym nie powiesz. I od tej chwili musimy być bardzo, bardzo cicho. Właśnie przypadkiem narobiliśmy hałasu i nie byłoby korzystnie, aby ci nad nami nas usłyszeli.

Ruszyliśmy więc na palcach za Bahadimem w dół tunelu i natrafiliśmy na grupę ludzi pracujących przy świetle jedynej świeczki.

Zgasiliśmy latarki i po chwili ze zdumieniem stwierdziłem, że jeden płomień naprawdę oświetla całkiem sporo. Znajdowaliśmy się w szerokim, okrągłym pomieszczeniu, przykrytym sufitem z ziemi i

podtrzymywanym przez kilka drewnianych belek. Pod świeżymi dziurami w suficie tworzyły się piramidy z błota, a w dziurach umocowano drabiny. Bahadim zaprowadził mnie do jednej z drabin, która wyglądała na wykonaną na miejscu, bo szczeble umieszczono między dwiema żerdziami za pomocą sznura. Szarpnął za linkę zwisającą przy szczeblach i za chwilę po drabinie zszedł niewysoki Hindus; poruszał się powoli i cicho. Bahadim wskazał na szczyt drabiny i wyszeptał mi do ucha:

- Wejź na górę i spójrz przez peryskop.

Spróbowałem najniższego szczebla i stwierdziłem, że mnie utrzyma, wpakowałem się więc przez otwór w ciemność, aż rąbnąłem głową w ziemię. Sklepienie tunelu było oświetlone przez coś, co początkowo uznałem za małą latarkę, a co okazało się peryskopem, o którym mówił Bahadim. Przyłożyłem oko do jego końca i w małym skrawku lusterka zobaczyłem niewielki wycinek jasno oświetlonego pokoju: jakieś biurko, za nim puste krzesło i ścianę.

W polu widzenia przesunął się jakiś zamazany, brunatny cień, a potem znowu wróciła tamta sceneria. Po jakimś czasie uznałem, że to wszystko, i zszedłem z drabiny. - Widziałeś? - Bahadim znów wyszeptał mi prosto do ucha.

Kiwnąłem głową.

- Co to było? - teraz z kolei ja szepnąłem.

- Gabinet króla.

Cofnąłem głowę, gapiąc się na niego.

- Naprawdę - wyszeptał.

Pokazałem na inne otwory w suficie, w których tkwiły drabiny.

Ponownie skinął głową, a czerwona kropka na jego czole zamigotała.

- Biura Sekretariatu Pałacu - wyszeptał. - Gabinet konferencyjny ministrów. Prywatne pokoje króla. Odnaleźliśmy wszystkie ważne miejsca pałacu.

Jeszcze raz rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem, że siedzący w kółku na podłodze ludzie zajęci są budowaniem następnego miniperyskopu z posklejanych taśmą kartonowych rurek i maleńkich, okrągłych lusterek, jakie wszywa się w miejscowe ubrania. Inne rurki z kartonu, wycięte w kształcie staroświeckich trąbek lekarskich, służyły za mikrofony.

Bahadim dostrzegł, że posyłam mu wzrokiem pytania i poprowadził mnie z powrotem drogą, którą tu przyszliśmy, a potem w bok, przez boczny tunel do małej komnaty. Na podłodze stał tam świecznik, kuchenka naftowa, filiżanki i imbryk. Bahadim zasiadł po turecku przed kuchenką i zaczął przyrządzać dla nas herbatę, zupełnie jakbyśmy byli w jego biurze, w "Gazecie".

- Owszem - zaczął, kiedy nalał już nam do filiżanek parującą herbatę - znajdujemy się pod pałacem. Te tunele były tu zawsze, ale ostatnio zaczęliśmy urządzać posterunki obserwacyjne, żeby się lepiej zorientować, co dzieje się w Sekretariacie.

- Szpiegujecie ich?

- Tak. Widzisz, mówiłem to już poprzednim razem, kiedy się spotkaliśmy, że z zewnątrz nie sposób stwierdzić, jak w pałacu zapadają decyzje. A bez tej wiedzy nie możemy się tym decyzjom skutecznie przeciwstawiać.

- Ale kim wy właściwie jesteście?

- Jesteśmy odłamek Nepalskiego Kongresu Narodowego, naj- większej partii opozycyjnej. Widzisz, w Nepalu oficjalnie panuje system bezpartyjny. Pañćajat Radź. Ale partie opozycyjne i tak istnieją, a największą jest nasz Kongres Narodowy. Pragnęlibyśmy, żeby Nepal stał się demokracją parlamentarną z prawdziwym rządem, innym niż ci ludzie nad nami. - Pokazał kciukiem na sufit. - Niestety, Kongres Narodowy jest bardzo podzielony. Mamy odłamek, na którego czele stoi G. P. Koirala, inny z Ganesh Man Singhem i trzeci z K. P. Bhattaraiem. Każdy jest trochę na bakier z



pozostałymi, co w połączeniu z faktem, że oficjalnie jesteśmy nielegalni, oznacza, że niezbyt dobrze wypadamy w wyborach. Zatem... - westchnął. - Przegrywamy wybory do partii pańcajatowej. Rządzą Ranowie z pałacu i nic się w Nepalu nie zmienia.

Kiwnąłem głową. Miałem okazję przyjrzeć się temu osobiście, przy okazji moich żalonych i nieskutecznych usiłowań zastopowania budowy drogi sposobami dyplomatycznymi.

Twarz Bahadima rozjaśniła się.

- Teraz jednak jest nadzieja! Kiedy jeden z nas odkrył te tunele, nasz odłam partii postanowił przystąpić do działań bezpośrednich, w oczekiwaniu na dzień, gdy otrzymamy więcej głosów w legalnym rządzie. Zbudowaliśmy ten system, żeby przypatrywać się, jak pracują Ranowie z pałacu, a kiedy odkrywamy ich plany, robimy co możemy, żeby im przeciwdziałać, w zależności od konkretnej sprawy.

- Znakomity pomysł - przyznałem.

Bahadim kiwnął głową.

- Zbudowaliśmy także rodzaj, że tak powiem, rządu podziemnego. - Wskazał diagramy na barwnej tkaninie rozpostartej pod naszymi stopami. - Pomoc zagraniczna dla Nepalu pochodzi z wielkich agencji międzynarodowych albo z innych krajów, a większość z tego idzie tam, gdzie skierują to Ranowie. Często do przedsiębiorstw, których właścicielami są oni sami. Wielkie pieniądze, wielkie programy, wielkie opóźnienia, a rezultaty - małe. W Nepalu wciąż powtarza się ta sama historia. Ludzie nic z tego nie dostają.

Sami rozpoczęliśmy więc programy pomocy; funduje je kilku nowo wzbogaconych Nepalczyków, którzy nas popierają. Sumy są niewielkie i przeznacza się na najdrobniejsze sprawy: irygacja poje- dynczego pola, założenie sklepu z kosztami, małej tkalni dywanów i temu podobne. Ze względów bezpieczeństwa nasz sztab znajduje się tutaj, w tunelach. Z czasem mamy jednak nadzieję stać się prawdziwym rządem Nepalu - bo to my naprawdę pomagamy naszemu narodowi, rozumiesz?

- No jasne - odparłem.

Szczerząc zęby, Freds przyłożył palec do ust.

- Nie mówcie za głośno, chłopaki. Wszystko zdradzicie.

- Przepraszam, strasznie się tym podniecam. Rozumiesz? - Bahadim uśmiechnął się.

Kiwnąłem głową.

- Posłuchaj - powiedziałem szeptem - na Thamelu jest żebrak, żebrak z małą dziewczynką i nie mają gdzie mieszkać, ani też żadnej pracy. Moglibyście im pomóc?

- Możemy spróbować - Bahadim też szeptał. - Podaj mi ich nazwiska... Aha, nie znasz. Cóż, odwiedzę cię, to może mnie do nich zaprowadzisz. Zobaczymy, co da się zrobić.

Kiwnąłem głową z podziwem i spojrzałem na Fredsa. Posłał mi uśmiech i powiedział:

- Rozumiesz teraz, o co mi chodzi?

## X

Zrozumiałem, o co mu chodziło. I kiedy przedzieraliśmy się przez ciemność z powrotem do wyjścia za sklepem Yongtena, kolosalny system tuneli nabrał dla mnie innego znaczenia. Ciągłe były to ruiny starożytnego, dawno zapomnianego królestwa, ale teraz stały się też chyba zaczątkiem funkcjonowania nowego rządu Nepalu, rządu podziemnego, stworzonego do walki przeciwko skorumpowanemu panowaniu króla Birendry i Ranów z pałacu. Okrutnie się ucieszyłem, że coś takiego istnieje.

Kiedy więc następnego dnia po południu Nathan obudził mnie, pukając do drzwi, czułem się niezręcznie i z całych sił starałem się go zniechęcić. Ale Nathan nie jest z tych facetów, których

można łatwo zniechęcić, dlatego on z kolei chciał mi pokazać, czego może dokonać jego program kanalizacji. Łaziliśmy po północno-zachodnich dzielnicach Katmandu, nie tylko po Thamelu, ale też po rządzie] odwiedzanych osiedlach na obrzeżach miasta, nad rzeką Wisznumati. Prawie nie było tu cudzoziemców, sami miejscowi. Wielu z nich pracowało w branży turystycznej na Thamelu, ale było jasne, że dużo z tego nie wyciągali.

Domki stały gęsto, małe i stare, z cegieł robionych ręcznie i tak koślawych, że budynki pochylały się wariacko. Ulice między nimi były błotnistymi rynsztokami, a wszystko razem wyglądało tak, jak wyobrażam sobie elżbietański Londyn, oprócz świętych krów i małych toyot śmigających na klaksonie. To było mieszkanie biedoty Katmandu, strefa brudu, ścisku i nędzy, zupełnie niepodobna do fikuśnego i malowniczego centrum. W tej okolicy zagranicznik był bogaty jak król. Kiedyś lubiłem to uczucie, dawno temu.

Tu i tam, na skrzyżowaniach albo w szerszych miejscach ulic leżały rosące latami sterty odpadków, tarmoszone przez deszcz, krowy, kozy, psy, szczury, dzieci i żebraków. Patrzyliśmy na te zgraje kłębiące się wokół śmietników, a Nathan opowiadał mi o projekcie.

Agencja Rozwoju Azji Południowej, sponsor tego planu, była chyba najgorzej zarządzaną agencją pomocy zagranicznej, jaka działała w Nepalu. Przez niechlujną księgowość stała się jednym z tych osławionych kominów do puszczenia pieniędzy z dymem. Pieniądze, które miały pomóc ludziom, w rzeczywistości kończyły po drodze w kieszeniach biurokratów.

Nathan przyjął posadę oferowaną przez agencję, która wreszcie postanowiła skończyć z tym stanem rzeczy, a pierwszym krokiem było założenie biura w Katmandu, gdzie całą obsadę stanowił właśnie Nathan. Przedtem interesy agencji załatwiano podczas krótkich wypadów z głównego biura w Manili. To oczywiście oznaczało, że nikt nie wiedział, co się dzieje w Nepalu. Rezultatem były tragicznie chybione programy pomocy; wielu z nich sprzeciwili się nawet sponsorzy agencji, co było rzadkim wydarzeniem.

- Ale do tego programu kanalizacji wszyscy są nastawieni entuzjastycznie - wyjaśnił Nathan - i sam rozumiesz, dlaczego.

- Taa.

Doszliśmy do brzegu rzeki Wisznumati i tu, w promieniach słońca, pod postrzępioną watą chmur widać było całą historię: kobiety piorące ubrania na płycznach, śmieci wyrzucane z wozów na wielki stos na brzegu, podmywany nieustannie przez prąd rzeki, prowizoryczne szałas sklecone tuż nad wodą, wychudzone dzieci, buszujące po pustych żwirowiskach, a wszędzie wokół nas - ślady starych pól gówna. Poniżej rzeka łączyła się z Bagmati, która przepływała obok uniwersytetu i kilku miejskich szpitali. Przy takich zanieczyszczeniach trudno było sobie wyobrazić, żeby ludność miasta mogła być kiedykolwiek zdrowa.

W drodze powrotnej przeciskaliśmy się przez tłoczne, zabłocone uliczki do thamelskiego mrowiska i wszędzie dookoła było widać, że miejscowi starają się jak mogą, żeby zarobić na życie dzięki niewyczerpanemu bogactwu, jakie reprezentowali przybysze z Zachodu. Niektórym się to udawało, innym mniej, a jeszcze inni z jakichś powodów zupełnie sobie nie radzili: mieszkali na ulicy i żebrali, żeby nie umrzeć z głodu. Ja sam robiłem, co mogłem, żeby pomóc dwojgu takim ludziom, mężczyźnie i jego córeczce, aż kiedyś wieczorem Freds nawalił się, pogroził mi palcem i powiedział, że tym dwojgu wiedzie się całkiem nieźle, bo ludzie tacy jak ja zwracają uwagę na bystrą i żalospną dziewczynkę, a obok żyją starzy ludzie, samotni i zapomniani, jeszcze kilka szczebli niżej w drabinie Społecznej. Efekt był taki, że się poddałem. Nie wiedziałem, co robić, nie wiedziałem, jak pomóc. Katmandu nie było już takie, jak kiedyś.

A teraz Nathan pokazywał na górę śmieci w uliczce zaraz za hotelem Gwiazda i pensjonatem

Katmandu i mówił: "Rozumiesz, o co mi chodzi?"

A ja mogłem tylko powiedzieć: "No tak, rozumiem, o co ci chodzi".

## XI

Tak zatem stały sprawy, kiedy Nathan i Sarah wpadli do mnie do pokoju, żeby dowiedzieć się, czy coś postanowiłem, a Freds i ja rozpalaliśmy akurat fajkę haszu. Nathan uznał naturalnie, że coś knujemy, i jego wargi wykrzywiły się w szczerzej pogardzie dla mnie.

- Nie mam pojęcia, dlaczego myślałem, że będziesz chciał pomóc nepalskim biedakom - stwierdził gorzko. - To przecież tylko jeszcze jeden trekking, do końca wykorzystasz uroki tego kraju, co? Żałuję, że cię w ogóle poznałem.

- Hej, zaraz! - Poczuję się dotknięty. - Ja też żałuję, że cię poznałem. Szczerze mówiąc, żałuję, że ukradłem i przeczytałem ten twój list do Fredsa, bo jak bym tego nie zrobił, to nigdy bym się z wami nie skumał i ciągle bym się tu dobrze bawił, i twarz miałbym w całości, i nie ważyłbym sześćdziesiąt kilo! - Trudno było na niego nie krzyczeć. - A ty!? - krzyknąłem więc. - Ty byś nigdy nie spotkał Fredsa i nie uratowałbyś tego przygłupa yeti i nie zamotałbyś tu Sarah!

- Ukradłeś list? - spytał Nathan, ignorując całą resztę tego, co powiedziałem.

- A tak. Ukradłem. Ciekawie wyglądał.

- Nic dziwnego, że nam nie pomożesz! No bo przecież... jakie zasady... przecież... kto by mógł ukraść list?

- Ja.

Freds głośno wciągnął dym.

- I tak nie ma z niego żadnego pożytku przy biurokracji. Lepiej wam pójdzie bez niego. Próbowaliśmy go namówić, żeby nam pomógł, ale tamci grali sobie jego mózgiem w siatkówkę. Nie widzicie, jak on wygląda? Bezużyteczny. Popatrzcie. Singha Durbar! - wrzasnął na mnie. - Widzicie? Kuli się, jak tylko usłyszysz tę nazwę.

- Ty niewdzięczny draniu - powiedziałem do niego. - Zapytaj tylko swojego Mańdźuśri Rimpocze, jaki był ze mnie pożytek.

- Gdyby miało nam lepiej pójść bez niego - Sarah zwróciła się do Fredsa - to nie przekonywałbyś nas, żebyśmy zrezygnowali z jego pomocy. "

- To prawda - przytaknąłem. Tylko Sarah wydawała się zwracać uwagę na to, co powiedziałem o pomaganiu jej i Nathanowi, i przez całą kłótnię przyglądała mi się z lekkim uśmiechem, aż poczułem przyływ kłótniwości. - Powinieneś być mi wdzięczny - warknąłem na Nathana - a jak nie, to rzeczywiście mogę pomóc Fredsowi i wtedy wpakujesz się po uszy. Masz, siadaj i wypal z nami fajkę pokoju. - Wykluczone - odparł, zakładając ręce. - Próbuję rozmawiać poważnie.

- Sztywniak.

- Degenerat.

- Histryk. Kłamca. Włamywacz. Hycel.

Skóra na policzkach Nathana zrobiła się jasnoczerwona, z wyjątkiem wąskiej linii tuż nad brodą. Uznałem to za interesujące zjawisko i próbowałem wymyślić więcej określeń dla Nathana, kiedy wkroczyła Sarah i kazała nam przestać zachowywać się jak idioci:

- Tracimy tu tylko czas, a nie ma go wiele.

- Racja - przyznał Nathan i widać było, jak niepokój walczy w nim z oburzeniem. - Ten Rana nie chce się zgodzić...!

- Rana? - spytałem. - Który Rana?

- A co cię to obchodzi? - zaczął Freds, ale uciszyłem go.

- Czasem nie A. S. J. B. Rana?
  - Owszem, ten. Znasz go?
  - Myślałem, że przerwałem jego karierę.
  - Raczej nie. Właśnie ostatnio mianowano go szefem Urzędu do Spraw Pomocy Zagranicznej w pałacu.
  - Awans! To nie może być ten sam.
  - A co cię to obchodzi? - rzucił znowu Freds. \*
  - Cholernie obchodzi! - ryknąłem na cały głos.
  - Cicho! - głośno włączyła się Sarah. - Przestańcie się sprzeczać!
- Spojrzeliliśmy na nią.
- To niepotrzebne - powiedziała, śmiejąc się z nas. - Po minie George'a widzę, że ma plan. - Usiadła obok, objęła mnie ramieniem i uściśnięła. - Łatwo to poznać. Masz plan, prawda, George? Zabawne, ale pewien plan naprawdę przychodził mi do głowy. To było jak natchnienie. '
  - To prawda - odparłem, czując ciepło.
- Nathan i Freds gapili się na mnie niepewnie.
- Pierwsza część - zacząłem, rozważając całą sprawę - polega na tym, że obaj dacie mi mapy: Nathan - proponowanego systemu kanalizacyjnego, a Freds - starych tuneli. Możecie to zrobić? Kiwnęli głowami.
  - Dobrze. Druga część planu jest taka, że pójdziemy na kolację do Starego Wiednia i przyjrzymy się tym mapom.
  - To żaden plan. - Nathan nie był zadowolony.
  - Owszem. Ja naprawdę mam pomysł. - I rzeczywiście, kiedy to mówiłem, zaczęło mi się rozjaśniać w głowie. Objąłem Sarah i też ją uściśniłem, a wtedy wszystko wpadło na swoje miejsce jak długi szereg kostek domina. - Nie wiem tylko, czy to się uda.

## XII

Zatem wieczorem, po jednej z sutych, austro-węgierskich uczt Ewy, rozsiedliśmy się w obszernej kabinie na zapleczu gospody Stary Wiedeń, grzejąc się do rytmu fal modrego Dunaju w zapachu kiszonej kapusty, skubiąc resztki strudla jabłkowego i sącząc sznapsy oraz cappuccino. Wyciągnąłem ołówek i jeden z moich żółtych, niemieckich planów Katmandu, po czym starannie naniosiłem nań informacje z map Nathana i Fredsa.

- Patrzcie - powiedziałem - przecinają się tylko w trzech miejscach, a żadne z nich nie jest jakąś ważną częścią systemu tuneli.
- Taa, ale łączą ze sobą duże sale - zauważył Freds. Poza tym to wszystko jedno: jak się tam raz wejdzie, odkryje się cały system.
- Wiem, wiem. Ale powiedzmy, że zasypałbyś tunele w tych miejscach. - Pokazałem to, wymazując odpowiednie części systemu Fredsa. - Wtedy, jeśli będą budować kanalizację, znajdą trochę dziwnie luźnego błota, ale to żadna sprawa, pod miastem muszą być dziwne rzeczy. Położą więc kanalizację i nikt nic nie zauważy.
- Ale poszczególne części systemu będą od siebie odcięte! - sprzeciwił się Freds.
- Pewnie, ale zawsze możecie zejść głębiej. Popatrz, jak oni skończą, możecie przekopać się pod kanalizacją, założyć następne bajeranckie schody, a na koniec będzie i kanalizacja, i wasz system tuneli, sprawiedliwie.
- To mnóstwo pracy - zauważyła Sarah. - Skąd Freds zdobędzie ludzi do czegoś takiego?

- Freds ma przyjaciół na północy - odparłem. - To zresztą ci sami, którzy korzystają z tych tuneli. Gdyby się do tego wzięli, w parę dni byłoby po wszystkim. Z pułkownikiem Johnem w akcji byłoby po wszystkim w parę godzin.

Freds kiwał głową. Nathan kiwał głową. Sarah nachyliła się, żeby pocałować mnie w policzek. Wznieśliśmy toast za plan, a ja zgodziłem się przystąpić do działań i sprawdzić, w jaki sposób nasz A. Shumsher Jung Bahadur Rana chce wykorzystać projekt kanalizacji dla własnych celów.

### XIII

Moje poprzednie spotkanie z A. S. J. B. R. skończyło się w tonacji nieprzyjemnej, kiedy więc pewnego dnia rano, niedługo po naszej kolacji, wszedłem na jego durbar, miałem przygotowany gruby plik bakszyszu od Agencji Rozwoju Azji Południowej oraz gładkie przeprosiny za drobny incydent, którym zakończyła się nasza ostatnia rozmowa. Zamierzałem wytłumaczyć mu, że nie wytrzymały mi nerwy, gdyż byłem poważnie chory, a wśród moich najbliższych przyjaciół zdarzył się przypadek obłąkania. Kombinowałem sobie bowiem, że kiedy tylko można, najlepiej jest zawsze posłużyć się prawdą.

Kiedy jednak podszedłem do A. Rany, ten odwrócił się w moją stronę, skinął głową i czekał, chcąc się dowiedzieć, kim jestem i "czego chcę. Nie poznał mnie.

Spędziłem w jego biurze pięć miliardów godzin, ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, skończyło się na wzajemnych wyzwiskach, a on mnie nie pamiętał. Tak daleko byłem poza jego światem.

Szok był taki, że potrwało chwilę, zanim pozbierałem myśli. Biorąc pod uwagę charakter naszego ostatniego spotkania, to oczywiście dobrze, że mnie nie rozpoznał, ale mimo wszystko byłem wkurzony.

Że też on mnie zapomniał po tych wszystkich mękach... Przełknąłem zdenerwowanie i zabrałem się do roboty. Przedstawiłem się jako reprezentant Agencji Rozwoju Azji Południowej, co natychmiast obudziło jego zainteresowanie, niewątpliwie z powodu złej reputacji, jaką agencja zyskała za lipną księgowość. Powiedziałem mu o projekcie kanalizacji, a on kiwnął głową i powiedział, żebym przyszedł do jego biura po południu. Znałem już ten film i nie miałem ochoty oglądać go jeszcze raz.

Mimo wszystko jednak postanowiłem spróbować i zacząłem znajomą procedurę wizyt i wpłat. Nic z tego nie wyniknęło, chociaż udało mi się potwierdzić parę rzeczy na temat jego nowego stanowiska. Była to prawda; jakimś sposobem wykaraskał się z zaklęcia, jakie na niego rzuciłem przy Wielkim Incydencie Granicznym. Więcej nawet: wyszedł z tego z awansem. Nie mieściło mi się to w głowie.

- Ach, proszę panu, wygląda na to, że tak się składa, że jestem odpowiedzialny za kryzys, który niemal ściągnął nam na karki Hindusów i Chińczyków! Może nawet rozpoczął trzecią wojnę światową!

- W porządku. Awansuje pan na szefa Urzędu do Spraw Pomocy Zagranicznej.

W porządku. Jeszcze jedna wielka tajemnica Nepalu.

Zwiększyło to mój i tak znaczny szacunek dla makiawellicznych talentów A. S. J. B. R. do pięcia się w górę; teraz obchodziłem się z nim tak ostrożnie, jak tylko potrafiłem. Ale już po tygodniu takiej procedury "obiecaj i wyłudź" stwierdziłem, że moja cierpliwość do przesiadywania u niego w biurze wyparowała całkowicie. Nie mogłem tego znieść. Od ostatniego razu żywiłem wobec niego mnóstwo złej woli - szczerze mówiąc, nienawiści - i chociaż dobrze się złożyło, że mnie nie pamiętał, ta sprawa dalej się jątrzyła. Po prostu nie mogłem wytrzymać tego ciągłego wyczekiwania

na niego.

Umówiłem się więc na spotkanie z Bahadimem i spytałem go, czyjego system szpiegowski obejmuje obserwację biura A. Rany.

Bahadim kiwnął głową.

- Wiesz, jak to jest w Nepalu - organizacje pomocy zagranicznej są u nas jednym z najpotężniejszych ośrodków władzy. A. Rana nie jest w tej dziedzinie osobą najważniejszą, ale wygląda n"to, że szybko idzie w górę, a pod jego biurem mamy tunel. Chciałbyś przyjrzeć mu się razem z nami?

- Chłopie! - Złapałem się za serce. - Pojęcia nie masz, jak to wspaniale. Od lat nie usłyszałem lepszej wiadomości!

Bahadim przyjrzał mi się dziwnie, a ja powstrzymałem się, żeby go nie ucałować. Wiadomość naprawdę strasznie mnie ucieszyła i byłem cały w skowronkach następnego dnia, gdy Bahadim i jedna z jego ekip wprowadzili mnie przez sklep Yongtena do tuneli. Poszedłem z nimi do centrum podpałacowego i za Bahadimem wlałem najedną z drabin. Miejsca na jej wierzchołku wystarczyło ledwie dla nas dwóch; była tam mała, niska, gliniana jama, z wyższym od reszty fragmentem, przykrytym drewnianym dachem. Był to kąt podłogi na zapleczu biura A. Rany. W szparę przy ścianie wetknięto mały peryskop i słuchawkę. Spojrzałem w peryskop i po chwili dostrzegłem róg biurka i ścianę. Nie było widać żadnych ludzi. Kiedy jednak Bahadim wyjął zatyczkę ze słuchawki, usłyszeliśmy jakieś głosy z góry, rozmawiające głośno i szybko po nepalsku.

Umówiłem się z Nathanem, żeby odwiedził biuro A. Rany, bo miałem nadzieję, że sprowokuje to w świątyni zaplecza jakąś rozmowę o naszej sprawie. Usadowiliśmy się z Bahadimem i czekaliśmy przez jakiś czas, kiedy usłyszałem nazwisko mojego kumpla wypowiedziane pomiędzy potokami nepalskiego: "Pan Nathan Howe".

Wszystkie głosy oddaliły się do głównego biura, skąd dobiegał mnie tylko ton głosu Nathana rozmawiającego z A. Raną; słów nie mogłem rozróżnić.

Na koniec A. Rana wrócił na swoje zaplecze i usiadł do telefonu.

Bahadim odwrócił się tak, że mógł szeptać mi do ucha tłumaczenie tego, o czym mówiono.

- Rozmawia ze znajomym z Wydziału Robót Publicznych...

tak, o kanalizacji. Zamierza oddać kontrakt na tę pracę swojemu znajomemu. - Nagle Bahadim przestał szeptać i przez dłuższy czas uważnie nasłuchiwał. W ciemności wpatrywałem się w jego twarz.

A. Rana odłożył słuchawkę, a Bahadim wyszeptał mi do ucha: - Ten kontrakt jest już właściwie przyznany, niedługo zaczną się prace.

Grają tylko na zwłokę, nie mówiąc o tym panu Howe, bo chcą wyciągnąć od agencji więcej pieniędzy. <

- Powiedział, kiedy zamierzają zacząć?

- Nie.

Zbiegliśmy po drabinie do jaskini i poszliśmy do małego biura Bahadima w podziemiach. On zajął się zaparzeniem herbaty, a ja nerwowo ścisnąłem pięści. - Co to znaczy? Co to znaczy?

- To znaczy tylko tyle, że projekt został zaakceptowany, a A. Rana zwleka z poinformowaniem o tym agencji. To dosyć pospolita taktyka. Chce uzyskać więcej bakszyszu. Agencja Rozwoju Azji Południowej znana jest z tego, że prowadzi niezbyt rygorystyczną księgowość.

- Cholera, co za kanciarz z tego Rany - stwierdziłem.

- Mało prawdopodobne, żeby robił to sam.

- To kto w takim razie? Kto podejmuje decyzje u góry?

Bahadim nalał herbatę i wzruszył ramionami.

- Tego nie wie nikt. Ktokolwiek powie ci, ja, wie, w jaki sposób Sekretariat Pałacu podejmuje decyzje, jest kłamcą. Pałac jest, jak wy to nazywacie, czarną skrzynką. Wchodzą tam ludzie, informacje, pieniądze, prośby, wszystko wchodzi - a wychodzą decyzje. To, co się dzieje w środku, to tajemnica. Nie chcą, żeby ktoś o tym wiedział, rozumiesz. Nikt z zewnątrz. To taki nasz nepalski zwyczaj, pragnienie, żeby parę sekretów zachować tylko dla siebie. Świat jest wielki, a my - mali, czujemy więc potrzebę posiadania czegoś własnego.

Choćby paru sekretów, jeśli nie ma już nic innego.

- Ale z tego jest korupcja!

- Wiem.

- Potrzebne wam są prawa, Bahadim. Potrzebujecie jakiegoś systemu prawnego. Monarchii konstytucyjnej czy czegokolwiek.

Bahadim popijał swoją herbatę, ale żywo zamachał palcem.

- Ojej! W pałacu to są bardzo złe słowa, możesz mi wierzyć.

Monarchia konstytucyjna, oj! Kiedy inne rządy w dobrej wierze używają tego określenia, są potem kłopoty, bo dla nas to kod, rozumiesz.

Dla rodziny królewskiej to postrach, bo przypomina im o czasach, kiedy Ranowie trzymali ich w garści i decydowali o wszystkim.

A dla Ranów to postrach, bo sugeruje otwarcie systemu i koniec ich władzy.

- Myślałem, że Ranów obalono w pięćdziesiątym którymś. Tak mi mówiłeś, prawda?

Zrobił tajemniczy ruch ręką.

- To była prawie prawda. Ale od tamtego czasu znowu wślizgnęli się do władzy. Bo Szachowie zawsze żenią się z Ranami.

Królowa jest z Ranów, rozumiesz. A dwóch młodszych braci króla ożeniło się z dwiema młodszymi siostrami królowej. Ranowie stoją też na czele armii. I wszędzie - wskazał na pałac nad nimi - Ranowie. Ta rodzina rządzi krajem. Rozpaczliwie potrzeba nam monarchii konstytucyjnej, o której mówiłeś, ale Ranowie temu przeszkodzą, jeśli tylko zdołają.

Potrząsnąłem głową.

- Dla kraju nie może być z tego nic dobrego.

- Nie, oczywiście, że to nic dobrego! - Usta Bahadima zacisnęły się. - W 1951, za czasów rewolucji, Nepal, jeśli chodzi o gospodarkę, był równy Korei Południowej. Korea Południowa przeszła wojnę, a mimo to, po zaledwie trzydziestu siedmiu latach, jest tym, czym jest, tymczasem my jesteśmy tutaj, ciągle wśród najbiedniejszych krajów świata. Można oczywiście powiedzieć, że Korea ma dostęp do morza, a my nie, ale to przecież nie tylko o to chodzi. Nasza gospodarka nie ruszy do przodu, dopóki nie ruszy polityka! Tak, demokracja konstytucyjna. Po to właśnie pracujemy tu, na dole!

Jego oczy błyszczały w świetle lampy, a kiedy odstawił filiżankę, dłoń ścisnęła mu się w pięść. Widziałem, że jest śmiertelnie poważny, i wiedziałem, że znalazłem zespół, którym chciałem się posłużyć.

- Moglibyście poobserwować dla mnie biuro A. Rany? - zapytałem.

- O, tak. Jak tylko ktoś tam będzie, nasz człowiek będzie słuchał. Chcielibyśmy wiedzieć, co się dzieje z tym projektem kanalizacji. Wygląda na to, że jest jak zawsze: kontrakt dają jakiemuś koleśowi Ranów. Jego oferta nie była pewnie najtańsza w przetargu, jeśli w ogóle odbył się przetarg. Wiadomości jeszcze nie ujawniono, więc można od chętnych wyciągać kolosalne bakszysze. Większość z tych pieniędzy trafi na pewno do Indii, na konta Ranów i podwykonawców. I aż trudno sobie wyobrazić, jaką okropną kanalizację możemy za to dostać.

Kiwnąłem głową.

- Musimy wiedzieć, kiedy zamierzają zacząć. - Zawiadomię cię, jak tylko się dowiemy.

Kiedy wróciłem do Gwiazdy, Nathan już tam na mnie czekał.

- Do licha, George, z ciebie to naprawdę lepszy rutyniarz. Rozmawiałem z tym urzędnikiem od pomocy zagranicznej, z którym mnie umówiłeś, i chłopie, on mi powiedział, że projekt został zatwierdzony!

- Nie mam z tym nic wspólnego - wyjaśniłem. - Powiedział, kiedy chcą zaczynać?

- No, nie. Zostało jeszcze sporo do zrobienia, ogłoszenie przetargu i tak dalej...

- Już to zrobili - odparłem cierpko i przekazałem mu okrojona wersję wiadomości. Był wstrząśnięty.

Parę dni później zadzwonił do mnie Bahadim. Jego nasłuchujący dowiedzieli się, że wykopy pod kanalizację mają zacząć się niedługo.

Przedsiębiorca budowlany zatrudnił do pomocy szwajcarskiego inżyniera, co oznaczało, że wszystko odbędzie się trzy razy szybciej, niż gdyby tego nie zrobił.

Był więc czas, żeby narzucić ostrzejsze tempo. Freds wyjechał do Szambhali, zwerbować pułkownika Johna i Khampów do pomocy w przebudowie tuneli pod miastem. Miało trochę potrwać, zanim zjedzą do Katmandu i zabiorą się do pracy, a ja tymczasem nie miałem wiele do zrobienia. Zbadałem system tuneli i dokładnie określiłem, gdzie przetną się z nim wykopy pod kanalizację. Oznaczyłem też tunele, żeby wiedzieć, gdzie należy je zasypać. Całe godziny spędzałem pod podłogą A. Rany i słuchałem, jak bierze łąpówki, a mnie coraz bardziej brała cholera. Posprzątałem nawet swój pokój, pierwszy raz od kilku miesięcy.

Robiąc porządki, natrafiłem na małą torbę kłopotów z mojego pierwszego trekkingu w Nepalu. Nająłem się wtedy jako pomocnik, chociaż nie miałem o tym zielonego pojęcia; wszystkiego nauczył mnie nasz serdar, Szerpa. Pomiędzy różnymi pamiątkami znalazłem w torbie złożony, wytarty na zgięciach kawałek papieru. Nie pamiętałem, co to jest, więc z ciekawością go rozłożyłem.

Był to list, napisany dziwnym, spiczastym pismem, które odcyfrowałem z dużym trudem. Data 27/9/1981

Proszę uszanowanego pana, Namaste.

Pisze dla pana list dzisiaj i widziałem jak pan mieszka na podwórku w mojej szkole, aż byłem szczęśliwy dla pana i pana przewodniki. Chciałbym powiedzieć panu o złych warunkach w tej szkole podstawowej proszę wybaczyć ludzkie tu niewrażliwe i mało bogate i nie mogą dać dużo pieniędzy w szkołę. W mojej szkole nie dosyć jest mebli, żeby usadzić uczenie i mam nadzieję że pan pomoże tej szkole podstawowej pieniędzami. Jak pan ma pieniądze, ale bardzo mi smutno taki list pisać do pana. Proszę panu, ja mam naprawdę wielkie problemów w szkole. Co mam zrobić? boja też jestem biedny nauczyciel w tym społeczeństwie. Kończę już pisać.

panu oddany nauczyciel Ramadas Shrestha kierownik szkoły Usiadłem na łóżku z notatką na kolanach i zacząłem wspominać.

Pewnego dnia przybyliśmy późnym wieczorem do herbaciarni obok szkoły przycupniętej pod stromą granią przy szlaku. Sangbadanda, tak się to nazywało. W nocy mocno padało, nasza grupa była wyczerpana, połowa ludzi chorowała, następny dzień spędziliśmy więc, susząc się i dochodząc do siebie. Kiedy siedziałem w promieniach porannego słońca, podszedł do mnie jakiś młodzik ze szkoły i z uśmiechem wręczył mi tę notatkę. Po przeczytaniu jej dałem gościowi parę rupii, a oni zaprosili mnie do szkoły na rozmowę z kierownikiem i wszystkimi nauczycielami. Kierownikiem był starszy Gurkha w stanie spoczynku, który prowadził szkołę ze swojej emerytury. Jak zauważyliśmy tego ranka, musztrował dzieciaki jak na poligonie.



Nauczycielami byli młodzi ludzie, którzy słabo mówili po angielsku i cieszyli się, że mogą ze mną porozmawiać o Ameryce, amerykańskich szkołach i ich własnej szkole. Nie mieli żadnych podręczników; wszystkiego uczyli na tablicy. Wychodząc po spotkaniu z nimi, skrzyczałem jednego z moich klientów za sikanie pod murem z tyłu szkoły. Ale tu przecież wszędzie leży gówno, zaprotestował. Powoili złożyłem list i wepchnąłem go z powrotem do torby, a potem poszedłem ulicami Thamelu do podziemnego sztabu Bahadima, myśląc ciągle o tamtym kierowniku i jego szkole.

Bahadim wybrał się razem ze mną na stanowisko nasłuchowe pod biurem A. Rany i siedzieliśmy tam, słuchając, jak A. S. J. B. R. działa parę centymetrów nad naszymi głowami. W czasie jednej z jego nie kończących się rozmów telefonicznych Bahadim chwycił mnie za rękę i ścisnął.

- Targuje się z jakimś znajomym z armii - wyszeptał mi do ucha. - Sprzedają rogi nosorożców chińskim handlarzom. Kłusują w Czitwanie, na pewno.

Siedziałem tam i powstrzymywałem się, żeby nie rąbnąć pięścią w podłogę A. Rany. Co za pieprzony skurwysyn; zgarnia łapówki w kraju bez podręczników, kłusuje w kraju, gdzie nie ma już prawie nosorożców - a w dodatku mnie nie poznał! Chciałem wyć, chciałem go zabić; wtedy by mnie popamiętał. Rąbnąć z całej siły w tę jego podłogę, żeby umarł ze strachu! Ledwie się powstrzymałem przed zrobieniem tego naprawdę. Taki był pierwszy znak, że tracę panowanie nad sytuacją.

## XIV

Po tamtym wydarzeniu podobne znaki zdarzały się częściej.

Szczerze mówiąc, większość następnego tygodnia zapamiętałem niewyraźnie. Biegałem po ulicach w mieście i po tunelach pod nim, dokonując bardzo prymitywnego, często potajemnego przeglądu, żeby oznaczyć miejsca, które miały być zasypane. Jednocześnie główkowałem nad planami i scenariuszami, które opracowywałem do ostatniego szczegółu (z wyjątkiem pewnych momentów krytycznych). Rozmyślałem nad tymi pomysłami i podskakiwałem nerwowo za każdym razem, kiedy ktoś zapytał mnie, nad czym tak dumam.

- Nie, nie. Nic! Wracajmy do pracy! - wrzeszczałem i pracowaliśmy dalej.

Przybyli Khampowie pod wodzą pułkownika Johna, który krzyczał tak głośno, że słyhać by go było aż na ulicach powyżej, gdyby życie nie toczyło się tam na niezmiennym poziomie stu decybeli. Khampowie przyciągnęli ze sobą mnóstwo małych wagoników górniczych jakby dla krasnali, będących standardowym wyposażeniem w tunelach dalekiego zasięgu, którymi podróżowali, żeby do nas dotrzeć. Wagoniki te poruszały się na stałych szynach żelaznych, jak objaśnił mi Freds; w razie potrzeby można też było położyć pod miastem tymczasowe szyny.

Zaczęliśmy więc wszyscy biegać w tę i we w tę po tunelach, kopaliśmy kilofami, zgarnialiśmy ziemię na wagoniki i potykaliśmy się w ciemnościach, pchając je tam i z powrotem po nowych szynach.

Na górze zaczęły się już wykopy pod kanalizację i za parę dni robotnicy mogli przebić się do pierwszego ze starożytnych tuneli.

Wyłączali z ruchu tylne ulice i rozkopywali je indyjskimi maszynami, a ponieważ inżynier Szwajcar pojawiał się na miejscu codziennie, nurkował do wykopów, biegał po całym placu i swoim słabym nepalskim popędzał robotników, prace postępowały w miarę dobrze.

My pod spodem mieliśmy więcej do zrobienia, za to mniej środków, chociaż codziennie z mrocznych tuneli na zachodzie wyłaniali się nowi Khampowie. A pułkownik John kasował Szwajcara u góry; powrócił definitywnie do stylu Piechoty Morskiej i darł się na nas wszystkich tak głośno, iż byłem pewien, że słyszą nas na ulicach.

Gdyby nie to, że akurat zaczęło się nadzwyczaj hałaśliwe święto Dasain, źle by się to dla nas skończyło. Udało się jednak i posuwaliśmy się do przodu, prowadzeni jak niewolnicy na postronku pułkownikowego języka.

- John Wayne skrzyżowany z Ben Hurem - mruknął Freds pewnego razu, kiedy pułkownik przetoczył się obok nas. - Nie bierz tego do siebie, George, on wcale nie uważa, że to wszystko twoja wina.

- To dlaczego powiedział: "To wszystko twoja wina"? - burknąłem.

To nie było sprawiedliwe. Potrząsnąłem z całej siły głową, ale nie przejaśniło mi się. Większość ostatnich dni spędziłem pod ziemią, a za każdym razem, gdy wychodziłem ze sklepu Yongtena, okazywało się, że jest noc, i zabawy z okazji Dasain toczą się w najlepsze, przy fajerwerkach wybuchających nad głowami i pod nogami, wśród zamaskowanych postaci rozbijających się na oślep po ulicach, pijących i wydzierających się w błyskach światła. Omijając tych osobników i uciekając przed fajerwerkami, nabrałem poczucia, że pod ziemią jest normalniej niż na powierzchni, i postanowiłem najgorsze przeczekać na dole. Sarah i Nathan przynosili posiłki, które zjadaliśmy w wyłożonej złotem komnacie, leżącej niedaleko od jednego z miejsc naszych działań. Jedna świeca potrafiła oświetlić ją jak

150-watowa, nie osłonięta żarówka. Spaliśmy obok, w komnacie z brązu, kimając za każdym razem tylko po parę godzin.

Zasypywanie tunelu postępowało szybko, chociaż okazało się, że trudno jest upchać ziemię aż do samego sufitu. Pułkownik John poradził sobie z tym, wznosząc mur z jednej strony, a następnie usypując przy nim ziemię. Poszedł na całego i odtworzył według własnych wyobrażeń wygląd ziemi pod starym Katmandu: potłuczone skorupy garnków, przegniłe belki, zgubiona srebrna łyżka - kompletna archeologiczna fantazja fałszywych warstw i starych znalezisk - aż doszło do tego, że trzeba było go odciągnąć, a zasypanie przestrzeni pod sufitem i wzniesienie muru zostawić Khampom i rebeliantom z Kongresu Narodowego Bahadima.

Właśnie uporaliśmy się z pierwszą pracą, kiedy usłyszeliśmy niskie dudnienie, a tunele dookoła nas zatrzęsły się. To był pierwszy test; robotnicy dotarli do naszej nowej plomby i przekopywali się przez nią. Nathan biegał ciągle na powierzchnię, żeby zobaczyć, czy trzymają się kursu, chociaż ja byłem o to spokojny. Żeby z niego zbroczyć, musieliby ryć pod budynkami. Pozostawało tylko pytanie, czy dobrze zbadałem tunele i czy rzeczywiście zasypaliśmy odcinek pod ulicą. Obawiałem się, że mogą dokopać się akurat do jednej ze ścian wspierających i zniszczyć cały plan. A co wtedy powiedziałby mi pułkownik John? Nie doszło jednak do tego, przynajmniej nie na pierwszym przecięciu.

Następne było ledwie parę przecznic dalej, nie mieliśmy więc ani chwili odpoczynku. Tym razem chodziło o więcej niż tunel, była tam jedna z wielkich, okrągłych komnat. Dla pewności musieliśmy zapełnić ją całkowicie i jednocześnie zbudować głęboko pod nią nowe przejście, bo inaczej bylibyśmy odcięci od całego sektora. Biegaliśmy więc do wąskich tuneli ciągnących się na zachód, w kierunku Szambhali i rąbaliśmy ściany jak szaleni, patrząc tylko, czy sufit nie leci nam na głowy; wieźliśmy potem ziemię do komnaty, która wyglądała jak wyrobisko bez dna. Ekipa Bahadima robiła to jednocześnie z obchodami święta Dasain, byli więc przybrani serpentynami i konfetti, a czoła i włosy mieli upstrzone kolorowymi ziarenkami ryżu i pokryte smugami czerwonej farby; przeważnie byli też pijani.

Freds uznał to za dobry pomysł i przyłączył się do nich. Tymczasem budowniczy kanalizacji posuwali się nad nami niezwykle sprawnie, kładąc betonowe rury jak na wyścigach. Byli tuż przed komnatą, wrzuciliśmy więc najwyższy bieg i każdy pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę,

żeby ją zapełnić. Pułkownik John był wściekły, Freds - wniebowzięty.

- Odjazd, nie? - powtarzał ciągle podczas przerw.

Pożerałem kanapki, które przynosili Sarah i Nathan, i rezygnowałem z odpowiedzi. Prawdę mówiąc, czułem się dziwnie. Nie doszedłem jeszcze do siebie po letniej utracie wagi, a w dodatku wróciła moja czerwotka z Szambhali, miałem więc lekką głowę i czasem odrobinę majaczyłem.

Po jednym z posiłków Freds otworzył butelkę czangu i zapalił swoją fajkę.

- Masz - zakaszał, wypuszczając kłęb dymu - sztachnij się, kopie się dużo fajniej, jak jesteś trochę podpalony.

Niestety, przyjąłem jego propozycję i pociągnąłem haust, a on dodał:

- Zorganizowałem to właśnie od gościa na Freak Street, podobno mieszane z opium...

W tym momencie zakrztusiłem się i prawie wyplułem żebra.

Wybiegłem natychmiast z komnaty i wpadłem w tunelu na jedną z niskich belek, uderzając się w czoło. To, razem z opiumowanym haszem Fredsa sprawiło, że wpadłem w głęboki sen. No bo czy ci, którzy ciągnęli te przeładowane wagoniki z ziemią, byli dosyć niscy, włochaci, mieli długie ramiona i charakterystyczne głowy? Czy naprawdę widziałem, że jeden z nich nosił czapkę Dodgersów? Czy rzeczywiście było ich wielu, a wszyscy śmigali w ciemnościach jak gnomy, skracając pracę o cały dzień, przynajmniej jeśli idzie o zasypywanie komnaty? Nie potrafię powiedzieć wam tego na pewno.

Wiem tylko, że czułem się bardzo dziwnie i że pracowaliśmy jak szatany, popędzani dudnieniem buldożerów nad głową, a kiedy już zdążyliśmy z zasypaniem komnaty na czas, mieliśmy jeszcze jeden tunel do zapełnienia, dalej na zachód. Słaniałem się na nogach, robiąc to wszystko, kiedy pewnego razu przechodzący obok Bahadim powiedział:

- Podstuchaliśmy właśnie pana A. Ranę, jak mówił Agencji Rozwoju Azji Południowej, że projekt kanalizacji przekracza planowane koszty, i prosił ich o następny milion dolarów, żeby temu zaradzić. A potem zadzwonił do tych chińskich handlarzy, żeby omówić ofertę, jak to nazwał, stałego źródła w Czitwanie, by mogli spokojnie prowadzić fabrykę. Chińską fabrykę afrodyzjaków, to jasne! Zabawne, nie?

Wściekłem się, wypuściłem kilof z pokrytych pęcherzami rąk i puściłem się biegiem przez tunele na północ, do pałacu. Straciłem głowę.

## XV

Plan miałem taki: chciałem wdrapać się po drabinie do małej komory wyciosanej za apartamentami króla i rozwalić wąską szczelinę w tylnej ścianie szafy, przez którą podstuchiwalismy, a potem wczołgać się przez szafę do królewskich prywatnych pokojów. Grożąc czymś królowi (nie do końca wymyśliłem, czym), zaciągnąłbym go do tuneli i oddał Bahadimowi i innym członkom odłamu Kongresu Narodowego, którzy byli na dole. Mając w ręku króla, mogliby przejąć władzę w krótkim, bezkrwawym przewrocie, takim samym, jakiego w 1960 dokonał król Mahendra. Władzę objąłby Kongres Narodowy, Ranowie dostaliby po tyłku i wszystko zmieniłoby się na lepsze.

To było jak urok. Łom zabrany z jakiegoś miejsca robót posłużył do rozwalenia szczeliny w królewskiej szafie. Pode mną kilku obserwatorów z ekipy Bahadima szeptało gwałtownie: "Co panu robi!", ale nie zwracałem na nich uwagi i dalej przedzierałem się przez szczelinę do czarnej szafy z wiszącymi po obu stronach imponującymi królewskimi i wojskowymi marynarkami. Wiecie, szafa niebyła z tych w typie Imeldy Marcos, ale i tak można było w niej spacerować, co zresztą zrobiłem, podchodząc do drzwi, które odrobinę uchylilem.

Był tam, stał tyłem do mnie. Otworzyłem drzwi, jedną ręką objąłem go za szyję, w drugiej trzymając łom, żeby widział, że dostanie, jeśli będzie próbował walczyć. Nie opierał się, więc zaciągnąłem go do szafy, a tam obróciłem, warcząc:

- Tędy, przez tę dziurę, wchodź! - I wepchnąłem go przed sobą do wyrwy, którą zrobiłem w ścianie. - Na dół, po drabinie! - dodałem szybko, ale najwyraźniej nie dosyć szybko, bo we władze rozległo się opadające bum, bum, bum.

Ruszyłem za nim, zbiegłem po drabinie i znalazłem króla, podnoszącego się właśnie z ziemi. Król poprawił marynarkę i rozejrzał się po kolegach Bahadima, którzy otoczyli nas kołem. Pierwszy raz zobaczyłem jego twarz i aż się zatoczyłem, myśląc: "Skąd się, do cholery, wziął w pałacu Jeny Lewis?" Ale nie, on był tylko podobny do Jeny Lewisa, przynajmniej tak, jak Dalaj Lama był podobny do Phila Sih/csa, czyli nie bardzo, ale wystarczająco, żeby się człowiek przestraszył, kiedy wpadnie się na takiego na dnie słabo oświetlonej komnaty.

No więc było to tak; mieliśmy go: Jego Wysokość Król Birendra Bir Bikram Shah Dev stał przed nami i mrużył oczy. Faceci z Kongresu Narodowego, z których większość urobiła się po pas, żeby pozatykać tunele, oniemieli. Król oniemiał. I ja też oniemiałem.

Przez krąg przecisnął się Bahadim.

- Co to ma być, co tu się dzieje... ojej! - spostrzegł króla i zatrzymał się, skamieniały jak żona Lota. Jego usta ułożyły się w idealne O.

Wreszcie zburzył żywy obraz i rzucił się do mnie.

- Co ty robisz? - wyrzucił z siebie. - Co to jest?

- To jest król - odparłem, wskazując go łomem.

- Tak, to wiem, ale co on tu robi na dole, coś ty zrobił?

- Przewrót - powiedziałem. - To jest przewrót. Przejmujemy władzę. - Aaaa! - wrzasnął. Skrzywił się. Podskoczył w miejscu, trzasnął mnie dwa razy w ramię, wykręcił sobie dłonie, aż zacząłem się bać, że wyłamie sobie palce. Następnie wziął oddech i, powłócząc nogami, podszedł do króla, który przyglądał się całemu przedstawieniu z oszołomieniem. Jego przyciemniane okulary nie były zbyt przydatne w panującym na dole mroku.

- Wasza Wysokość - zaczął Bahadim - jest nam ogromnie przykro. Ten człowiek tutaj popełnił okropny błąd, próbując nam pomóc. Trzeba mu wybaczyć, to Amerykanin.

- Aha - odparł król.

- Proszę - powiedział Bahadim. Wyciągnął rękę do króla, cofnął ją, wyciągnął jeszcze raz i delikatnie ujął króla za ramię.

Przeszedł na nepalski i zaprowadził króla do drabiny, rozmawiając z nim po drodze.

Jakieś hałasy na górze szybu, krzyki. Bahadim wziął następny głęboki wdech i zaczął wyjaśniać coś królowi po nepalsku, z szybkością salwy karabinowej. Król kiwnął głową i zaczął wspinać się po drabinie.

Wtedy krzyki zaczęły schodzić na dół, Bahadim odwrócił się i powiedział coś żywo do swoich ludzi, którzy natychmiast zniknęli w ciemności, a potem skoczył do mnie i rąbnął mnie z całej siły w ramię.

- Głupi! Głupi! Aaach! Uciekajmy, biegaj, musimy uciekać...

Nagle z otworu zjechały wielkie, czarne buty, szukając szczebli i kopiąc króla w głowę. Bahadim chwycił mnie za ramię i pobiegliśmy w ciemność.

## XVI

Kiedy dotarliśmy do reszty naszych towarzyszy, którzy ciągle pracowali jak derwisze w

szalonym tańcu, Bahadim krzyknął, żeby zwrócić ich uwagę, i szybko, po angielsku i po nepalsku wyjaśnił, co się stało. Wszyscy przerwali pracę i wpatrywali się we mnie z niedowierzaniem. Freds i pułkownik John wystąpili naprzód i po krótkiej naradzie wszyscy rozbiegli się w różne strony; część najwyraźniej chciała zablokować tunele, w nadziei na ukrycie przed żołnierzami króla rozległości systemu, inni, w tym także cały pluton yeti, chciała się po prostu ulotnić. Freds zaprowadził nas do ukrytego wylotu bocznego tunelu, w którym nigdy jeszcze nie byłem.

- Zostańcie tutaj - powiedział do mnie i do Bahadima, a potem zniknął wraz z pułkownikiem.

Staliśmy w ciemności, nasłuchując. W tunelach panowała niesamowita cisza, przerywana okrzykami od strony pałacu - na pewno ludzie z ochrony króla. Bahadim co chwila walił mnie w ramię, mruczając coś półszepem. Wreszcie wrócił Freds, cały zdyszany. Przyłożył dłonie do ust i wrzasnął w stronę, z której przyszedł:

- Aaa! Idą tu! Uciekać!

Usłyszeliśmy krzyki i ruszyliśmy biegiem w dół wąskim, bocznym tunelem.

- Co my robimy? - spytałem Fredsa, który biegł obok mnie.

- Jesteśmy przynętą - odpowiedział. - Ten tunel schodzi do Czitwanu, wiesz, to ten, który znaleźliśmy. Pułkownik puścił goryli króla za nami i kombinuje, że uda mu się odciąć sporą część systemu, kiedy oni będą nas gonić. Chce ukryć trochę z tego, co tu jest.

Dotarliśmy do rozwidlenia i Freds skręcił w lewo. Po kilku minutach biegu odwrócił się i wrzasnął:

- Aaa! Idą tu!

- To nie będzie konieczne, jeśli tylko będę miał okazję porozmawiać z tymi ludźmi - powiedział Bahadim. - To tylko kwestia rozmowy.

- Może i tak - odparł Freds - ale na razie wygląda na to, że ich karabiny są odbezpieczone, więc chyba tymczasem nie ma co z nimi rozmawiać.

- Nie - zgodził się Bahadim i znowu palnął mnie w ramię.

- Freds - włączyłem się - przecież do Czitwanu jest ze sto pięćdziesiąt kilometrów.

- Chyba tak.

- I będziemy biec całą drogę?

- Nie, tam dalej są te małe wagoniki na szynach. O, właśnie są.

Zobaczyliśmy je w świetle latarek. Znajdowaliśmy się w okrągłym rozszerzeniu tunelu, gdzie pod jedną ze ścian stał szereg małych, drewnianych wagoników na błyszczących, żelaznych kołach. Freds podbiegł do końca szeregu i popchnął ostatni. Wagonik zaskrzypiał na szynach wpuszczonych w podłogę tunelu.

- Dalej, wchodźcie. Szybciej - rzucił, a my wskoczyliśmy do środka i ruszyliśmy w ciemność.

Freds pompował w górę i w dół czymś, co wyglądało jak wajcha starej drezyny, a wózek jechał coraz szybciej.

- Pociągnij za tamtą dźwignię, kiedy będziemy skręcać - pouczył mnie. - To hamulec.

Skierowałem latarkę przed siebie, w mknącą ciemność, ale reflektor był z tego kiepski.

- Skąd mam wiedzieć, że będziemy skręcać?

- Poczujesz to.

- Chcesz nas tak dopompować do Czitwanu?

- Jedzie się z górki. Mamy jakieś tysiąc metrów w dół, więc to raczej kwestia hamowania, niż pompowania. Za to z powrotem, to musi być harowa. Hej, nie hamuj tak mocno, jesteśmy na szynach, a tamci żołnierze będą nas gonić.

- Tak myślisz?

- To popatrz.

Za nami na krótko rozbłysło światło. Koła dudniły za głośno, żeby można było usłyszeć cokolwiek oprócz nas samych, a i to tylko wtedy, kiedy krzyczeliśmy sobie prosto w twarz, najwyraźniej jednak jechał za nami jakiś wagonik. Freds odsunął mnie i przejął hamulec.

- Zobaczmy, jak bardzo da się rozpędzić tego grata.

Sądząc z pisku kół, pędu powietrza i widoku ścian umykających w blasku latarek, sunęliśmy całkiem szybko. Naprawdę szybko. Co jakiś czas mijaliśmy posągi Buddy albo długie freski z demonami Bónpa, które wyglądały jak żywe zjawy, gdy śmigaliśmy obok nich.

W niektórych miejscach tunel opadał stromiej i wtedy wyciągaliśmy pewnie ze sto czterdzieści albo sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Freds przyzwyczał się do tej prędkości i kiedy nachylenie tunelu było trochę mniejsze, pompował mocniej, żeby wyrównać do tamtego tempa. Do hamowania przydzielił Bahadima, bo nie spodobało mu się, jak nadużywam hamulca. Nie wiem, jak długo tak pędziliśmy tunelem; czasem wydawało mi się, jakby trwało to całe dni, innym razem myślałem, że od chwili, gdy stałem razem z królem otoczony przez ekipę Bahadima, minęło zaledwie parę minut. Nigdy bym nie pomyślał, że zimno może być aż takim problemem. Powietrze na dole miało pewnie trochę poniżej zera, czyli nie najgorzej, ale przy naszym tempie było to jak wiatr o prędkości stu albo stu dwudziestu kilometrów na godzinę, wiejący prosto w twarz, a sędzę, że trzeba odjąć jeden stopień na każde cztery kilometry na godzinę, żeby otrzymać współczynnik wiatrochlodu, co oznacza, że dla nas było to jak minus trzydzieści. I naprawdę się to czuło. Nawet Freds oznajmił, że jest trochę nieprzyjemnie, a ja przyłapałem go, jak próbował rozgrzać ręce, trzymając je na zewnątrz wagonika, tuż nad jednym z bloków hamulca.

- Niewiele to daje - przyznał, szcękając zębami.

Skończyło się na tym, że ułożyliśmy się na podłodze, schowam za przednią ścianką, jadąc na ślepo i marznąc śmiertelnie.

W końcu Freds wysunął głowę, żeby spojrzeć w ciemność przed nami. Zaraz skoczył do hamulca i szarpnął nim, powodując ogłuszający pisk. Kiedy zatrzymaliśmy się i poświeciliśmy dookoła latarkami, okazało się, że jesteśmy w okrągłej komnacie pełnej wagoników.

Zeskoczyliśmy na ziemię, sztywni jak mrożone kurczaki i ruszyliśmy za Fredsem tunelem po drugiej stronie.

- Nie czuję rąk - powiedział Bahadim.

Ja nie czułem ani rąk, ani nóg.

- To tylko sto metrów - pocieszył nas Freds, dygocząc i dzwoniąc zębami. - Jej, świetne to było, nie? Jak jakaś niesamowita kolejka górską w wesołym miasteczku. Mam ochotę na jeszcze raz.

Z daleka dobiegało ledwie słyszalne, niskie dudnienie żelaznych kół po żelaznych szynach.

- Hej, ci goście ostro się do tego przyłożyli. Pospieszmy się.

Kuśtykaliśmy naprzód, bijąc się dla rozgrzewki dłońmi po ramionach. Bahadim rozgrzewał się, bijąc mnie. Po chwili dotarliśmy do długiego rzędu surowych, kamiennych schodów; musieliśmy wtelepać się na nie jak Frankenstein, bo kolana jeszcze nam do końca nie odtajały. Powietrze robiło się coraz cieplejsze, aż wreszcie powpadaliśmy na siebie, kiedy Freds stanął i zgasił latarkę.

- Okay - powiedział. - To jest wyjście.

- Gdzie?

- Tutaj.

- Gdzie?

- Jeszcze jest noc, George. - Błysnął latarką i na moment mignął przed nami zarys drzew saal.

- No nie - powiedziałem. Nie chciało mi się nocą wchodzić pieszo do dżungli. Stanowczo

odmawiałem. Ale za nami, z głębi tunelu dobiegł daleki zgrzyt i jakieś krzyki, a potem krótka seria trzasków. Przybyli goryle króla.

- Dalej - rzucił Freds i ruszył pierwszy.

## XVII

Źle jest nocą w dżungli na grzbiecie narowistego słonia, ale pieszo jest nieskończenie gorzej. Przemykaliśmy między drzewami i wśród zarośli, próbując być tak cicho, jak tylko można, a im ciszej się zachowywaliśmy, tym więcej słyszeliśmy: skrzypnięcia, szelesty, odgłosy szybkiej ucieczki, od czasu do czasu urwany wrzask ptaka.

Potem trzask gałęzi i wszystkie inne odgłosy milkły w ciemności, pozostawiając tętniącą ciszę, po której natychmiast można było poznać, że wszelkie żywe stworzenia przycupnęły, wężąc i nasłuchując nosami i uszami dużo lepszymi od naszych, i czekając, aż to coś wielkiego sobie pójdzie. Już większy sens miałyby, gdybyśmy przedzierali się z trzaskiem, śpiewając na całe gardło albo wykonując efekty dźwiękowe ze sztuk walki, ale skoro królewscy żołnierze wyszli z tunelu i posuwali się całą grupą, szperając promieniami latarek między drzewami i oświetlając czasem miejsca bardzo blisko nas, musieliśmy się pohamować i zmykać tak cicho, jak się tylko dało.

Na szczęście ludzie nie są w stanie wysledzić nikogo ani niczego nocą w dżungli, a goryle zwabiły chyba światła Tiger View. Szli w tamtą stronę, kiedy Freds potrząsnął parę razy krzakiem i wrzasnął: "Au!" Latarki zwróciły się w naszą stronę, ruszyliśmy więc biegiem; Freds robił przy tym strasznie dużo hałasu.

- Cholera, Freds - wysapałem, biegnąc za nim. - Dlaczegoś to zrobił?

- Biegnijcie za mną - odkrzyknął do nas. - Mam plan.

Prowadziliśmy żołnierzy przez las saal jakieś pół godziny. Nagle bez żadnego ostrzeżenia Freds zatrzymał się i przykucnął.

- Dobra - wyszeptał. - Teraz cicho. Jesteśmy na miejscu.

- Czyli gdzie?

- To łąka kłusowników. Widzisz? Jeep wrócił. Gdyby się nam teraz udało napuścić tych żołnierzy na kłusowników, to byłoby świetnie, co? Znajdź coś, czym można rzucać. Masz, tu są jakieś kamienie. Zaczynij nimi rzucać w jeepa.

I sam zaczął miotać kamieniami jak Sandy Koufax; zaraz rozległ się brzdęk, a potem jeszcze jeden. Dobiegły nas głosy, najpierw z tyłu, potem z boku. Żołnierze przedzierali się z trzaskiem przez dżunglę, promień latarki dosięgnął jeepa i zatrzymał się na nim.

Więcej głosów, gdzieś z głębi dżungli.

- Spadamy stąd - wyszeptał Freds i opadł na czworaki. Bahadim i ja odczołgaliśmy się za nim przez błoto i zarośla. Z tyłu słychać było nieokreślone trzaski, potem strzały. A później salwy ognia.

Czołgaliśmy się szybciej.

Wreszcie Freds wstał.

- Tu jest chyba trochę mniej gęsto, chłopaki - oznajmił.

- Wydaje mi się, że raczej jednak gęsto - zaoponował Bahadim. - To dżungla.

- Owszem. Ale nikt nas nie ściga. - Freds ruszył przed siebie lekkim, spacerowym krokiem.

Znowu poszliśmy za nim. Po chwili jednak odezwałem się, niezadowolony:

- To znaczy, nie ścigają nas ludzie.

- No... tak. A co, myślisz, że...? - Zatrzymał się, nasłuchując.

- Okropnie jest cicho - zauważyłem.

Znowu zaczęliśmy iść, najciszej jak potrafiliśmy.

- Okropnie cicho - teraz już szeptałem. Gdzieś wśród drzew przed nami trzasnęła gałąź. Wydawało się, że dobiegł stamtąd dźwięk, jakby oddech: niski, cichy, chrapliwy oddech. Taki chrapliwy oddech, który równie dobrze mógł warczeć, mruzczeć albo ryczeć.

- Chyba powinniśmy się gdzieś schować - zaniepokojonym głosem wyszeptał Freds.

- Jakies propozycje?

- Może na drzewo?

- Zdaje mi się, że tygrysy umieją wchodzić na drzewa - powiedziałem.

- Nie.

- Koty umieją wchodzić na drzewa - dodałem. - To dlaczego nie tygrysy? Mają pazury i są silne.

Lamparty na pewno wchodzą na drzewa.

- Mimo to myślę, że lepiej nam będzie na drzewie niż tutaj.

Tak się złożyło, że podczas tej rozmowy obchodziliśmy naokoło wielkie drzewo saal z podwójnym pniem, próbując znaleźć jakieś wejście na górę, kwestia była więc istotna. Bahadim wygłosił opinię, że niektóre tygrysy umieją się wspinać, a inne - nie. Freds narzekał, że drzewa saal nie są dobre do wchodzenia, bo rzeczywiście nie były:

gałęzie wyrastały z pni dziesięć i więcej metrów nad ziemią. To z podwójnym pniem, które okrążyliśmy, wyglądało na najlepszą okazję, ale i tak nie było pewności, czy aby nie utkniemy, że tak powiem, w martwym punkcie. Staliśmy więc tak parę minut, spierając się ostrym półszepceniem o umiejętności tygrysów.

W końcu Freds przeciął węzeł, mówiąc:

- Hej, wszystko jedno, ja się na to piszę. Lepiej niech ten cholerny tygrys się nad nami napracuje, nawet jeżeli umie się wspinać.

- A jak chcesz na to wejść? - spytałem.

- Coś jak normalna wspinaczka - mruknął. - Na pewno nie gorzej niż pięć osiem albo dziewięć.

- I spróbował.

Kosztowało go to wiele starań, a i tak za każdym razem zjeżdżał na ziemię.

- Dobra, dobra. Pięć jedenaście, pięć dwanaście. Może z sześć. Wreszcie udało mu się i wciągnął się do rozszczepienia między pniami. Podsadziłem Bahadima na plecach i wspiałem się za nim.

Freds wybrał pień wyglądający na bardziej zmutowany i prowadził nas po połamanej korze i czymś, co w dotyku przypominało wielkie mrówki.

Kiedy już dociągnęliśmy się do miejsca, gdzie zaczynały się gałęzie, zrobiło się od nich gęsto i wspinając się wyżej, mogliśmy odsunąć się trochę jeden od drugiego. Trwało to jednak dość długo, a przez ten czas Freds i ja handryczyliśmy się o tygrysy i ich zdolności do wspinaczki. W dżungli ciągle panowała martwa cisza, przerywana tylko okropnie głośnymi hałasami, które najwyraźniej robiliśmy od czasu do czasu; sprawa była więc dla nas poważna.

- Cholera, nie masz o tym zielonego pojęcia! - mówił Freds.

- Nie oglądałeś nigdy Dzikiego krdlestwa!

- Oczywiście! I jestem pewien, że pamiętam tygrysy na drzewach, jak wciągają za sobą całego jelenia. One śpią na drzewach!

- To były lamparty, George. Te w kropki to lamparty, te w paski - tygrysy. A tygrysy wykorzystują drzewa tylko do ocierania. Są za wielkie, żeby mogły się wspinać, chyba łamią gałęzie albo to jest tak jak z tym, dlaczego nie mogą istnieć zmutowane, gigantyczne mrówki, wiesz, dwa razy większe, cztery razy cięższe czy coś takiego.

Nie mogłem zrozumieć, jak to się ma do naszej sytuacji.



- Są silne i mają pazury.

- Kurde, pazury nic ci nie pomogą, jak masz zejść po drzewie!

Dlatego strażacy ściągają zawsze koty z drzew! A tutaj nie ma żadnych strażaków, żeby pościągać tygrysy, i one o tym wiedzą. Tygrysy nie są takie głupie jak koty. Mózg mają przynajmniej dziesięć razy większy.

- Wielkość mózgu nie ma nic wspólnego z inteligencją.

- Powiedz to robakowi.

Wspinaliśmy się coraz wyżej. Bahadim zauważył, że zawsze był pewien, iż dżunglę czitwańską zamieszkują i lamparty, i tygrysy.

- Kurde mol! - odciął się Freds. - Masz może jakieś lepsze propozycje?

- Nie, nie - odparł Bahadim. Przyznał także, że jako schronienie przed tygrysami polecano właśnie drzewa. W najgorszym razie było się bezpiecznym przed nosorożcami. Ktoś też mówił, że jeżeli wejdzie się dostatecznie wysoko, to gałęzie będą tam tak cienkie, że nie utrzymają ani lampartów, ani wspinających się tygrysów, w przypadku gdyby one rzeczywiście istniały.

Wchodziliśmy więc najwyżej, jak tylko mogliśmy.

W końcu zaklinowałem się w wąskim zakrzywieniu, trzymając się obiema rękoma krótkich gałązek i kołysząc się przy tym mocno.

Ziemi w ogóle nie było widać. Przez liście w górze dostrzegłem gwiazdy. Freds i Bahadim hałasowali z obu moich stron, widziałem ich przez gałęzie.

- Wyżej już nie mogę - powiedziałem, próbując zająć wygodniejszą pozycję. Kołysanie było naprawdę mocne. - Jezu, Freds! - Zwróciłem się w jego stronę. - W co ty mnie ciągle pakujesz!

- To nie Freds wpakował nas w tę okropną sytuację! - wybuchnął Bahadim. - To ty, George'u Fergusson, to wszystko nam zrobiłeś! To ty obraziłeś Jego Wysokość Króla Birendrę!

Najwyraźniej w pośpiechu ucieczki Bahadim nie miał okazji w pełni wyrazić swojego niezadowolenia z przebiegu spraw. Podczas jazdy wagonikiem było za głośno, a każdym innym razem byliśmy za bardzo zajęci. Teraz mieliśmy, że tak powiem, czas wolny i Bahadim ostro na mnie wsiadł. Wyzwał mnie od wszelkich możliwych głupców, jakich tylko udało mu się wymyślić. Sporo razy musiał przechodzić na nepalski, żeby użyć najtrafniejszego zwrotu. --

- Mieszać się do spraw Nepalu! Rozrabiać, jak się nie ma pojęcia, co się dzieje! Głupiec! Idiota! Jesteś jeszcze jednym aroganckim, głupim Amerykaninem, co pcha łapy tam, gdzie cię nie chcą, a z tymi zamachami terrorystycznymi nie jesteś lepszy niż Ram Rają Prasad Singh od podkładania bomb! Aaa! I jakie masz usprawiedliwienie dla takiej głupoty! Czy u ciebie w kraju wszystko jest takie doskonałe, że musisz przyjeżdżać do nas i rozwiązywać nasze problemy? Nie! Nie! Jeździcie po całym świecie i udajecie, że każdemu umiecie rozwiązać problemy, a połowę tych problemów stwarzacie sami, wysyłając żołnierzy i oddając się lichwie, i wybuchając w nas waszymi fabrykami chemicznymi! A tam u was nie ma żadnych biedaków, żeby im pomóc? Nie ma problemów politycznych? Nie macie w ogóle korupcji w waszym własnym wojsku? Tak, tak, jak najbardziej tak! To dlaczego nie narozrabiasz we własnym kraju i nie zostawisz biednej reszty świata w spokoju! Bardzo proszę, porwij swojego własnego króla, jak masz na coś takiego chęć! Porwać króla Nepalu! Idiota! Idiota! IDIOTA! - Po czym nastąpiła długa wiązka po nepalsku.

- Hej - włączył się Freds. - Daj mu spokój, dobra? Facet miał po prostu pomysł.

- Po prostu miał pomysł! Pomysł, żeby porwać króla i obalić rząd!

- No pewnie - przytaknął Freds. - A dlaczego nie?

Bahadim nie mógł się z tym pogodzić.

- Popatrz tylko - tłumaczył Freds. - Wy robicie właściwie to samo, prawda? Macie niezależny

rząd pod miastem, prawda? To dlaczego nie mielibyście przejąć władzy? Ojciec króla też tak zrobił.

Gdybyście byli do tego gotowi, to moglibyście być cholernie zadowoleni, że George tak po prostu daje wam króla. Mogłoby się to wam spodobać.

- Nie! - odparł Bahadim. - Nigdy! Ty tego nie zrozumiesz.

- Chyba nie - przyznał Freds.

Bahadim wziął głęboki oddech. Był tak zmartwiony, że aż trzęsły się gałęzie, na których siedział.

Wreszcie zebrał się w sobie i uspokoił. Po chwili spróbował nam to wytłumaczyć.

- My tu, w Nepalu, jesteśmy lojalni wobec króla. Kochamy naszego króla. To nasz król, król niepodległego Nepalu, nad którym nigdy nie panowało obce państwo.

- Taa, ale to kawał drania.

- Nie! To nieprawda. Król Birendra nie jest draniem. Może ludzie tak mówią, bo jest królem, albo dlatego, że jego najmłodszy brat to nicpoń. I Ranowie, którzy go otaczają- królowa, armia, jego doradcy - są wszędzie dookoła i przez to nie może działać do końca tak, jakby chciał. Nie jest takim silnym królem, jak jego ojciec,

przyznaję. Ale to rozważny człowiek i wie, skąd biorą się nepalskie problemy. On chce zmian.

- Chce? - Freds i ja spytaliśmy jednocześnie.

- Tak, tak. Król Birendra chciałby reform politycznych, które pomogłyby reformom gospodarczym. Przygnębiają go te wszystkie programy pomocy, biurokracja, korupcja i Ranowie. Widzicie, on chciałby państwa konstytucyjnego. Ale brakuje mu władzy, żeby to osiągnąć. Wielu ludzi chciałoby mieć pałac w garści. Król jest niewolnikiem systemu kastowego i władzy Ranów. Są od niego bogatsi i kontrolują wojsko. Król musi więc współpracować z nami.

- Z wami!?! - wrzasnąłem.

- Tak. Pamiętasz, powiedziałem ci, że pracujemy pod miastem, żeby pomóc ludziom, a fundusze dostarczają bogaci Nepalczycy, którzy sympatyzują z naszą sprawą?

- Birendra? - Nie kryłem zdumienia.

- Tak - odparł Bahadim. - Skontaktowaliśmy się z nim i wie o naszych działaniach. Pomaga nam. W ten sposób może rozpocząć zmiany tak, żeby Ranowie o tym nie wiedzieli. Jest naszym protektorem. Porozumiewamy się przez tamtą szczelinę w szafie. To nasz król, kochamy go. Ma swoje wady, ale się stara, i to, co w Nepalu dzieje się źle, to nie jego wina, przynajmniej nie całkiem. Robi, co może, i my tak samo.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? - byłem wstrząśnięty.

- Bo to nie twoja sprawa! Mówiłem ci, w Nepalu trzymamy niektóre sprawy w tajemnicy, bo to są nasze nepalskie sprawy. Nie może się przecież rozejść, że król działa przez podziemny rząd! Gdyby do tego doszło, interweniowałiby Ranowie. Zachowałem to więc w tajemnicy przed tobą.

- W takim razie to wszystko twoja wina, tak? - zauważył Freds. - Gdybyś po prostu powiedział George'owi, nigdy nie próbowałby wam pomóc w taki właśnie sposób.

Bahadim odpowiedział coś zgryźliwie po nepalsku.

Siedziałem kołyszając się i rozmyślałem.

- Więc skoro król o was wie - zwróciłem się do Bahadima - to powinniście móc załatwić sprawę z tunelami i cały ten bajzel. - Tak - odparł krótko. - Niektórzy goryle są zaufanymi króla i wiedzą o nas. Prawdopodobnie sądzili, że pokonał nas Ram Raja Prasad Singh albo jakaś inna grupa terrorystyczna. Kiedy będą mniej zdenerwowani i znajdzie się trochę czasu na wyjaśnienia, wszystko wytłumaczymy i miejmy nadzieję, że system tuneli nie zostanie ujawniony.

- To dobrze - powiedziałem i westchnąłem. - Przykro mi, Bahadim. Myślę, że straciłem tam na

chwile panowanie nad sobą.

Wariuję przez tego cholernego A. Ranę. A kiedy powiedziałeś mi to ostatnie, o interesach z kłusownikami...

- Nie martw się o to - krótko odparł Bahadim. - Sprawdziliśmy, że ten jeep, o którym powiedział Freds, należy do czitwańskiej spółki, z której korzystają siostrzeńcy A. Rany. Teraz, kiedy Freds wciągnął goryli króla do walki z tymi kłusownikami, król bliżej zainteresuje się całą sprawą. Powstrzymamy A. Ranę i prawdopodobnie wpakujemy go w naprawdę niezłe kłopoty. Chociaż może to trochę potrwać, z powodu zamieszania, jakie wywołało porwanie.

- Przepraszam. Spieprzyłem to.

Bahadim westchnął.

- W porządku - powiedział niechętnie. - Próbowałeś tylko pomóc - przerwał. - Chociaż muszę ci powiedzieć, że w tej sprawie nie chcemy twojej pomocy, dziękujemy. I wydaje mi się, że w twoim kraju ciągle jeszcze jest dużo rzeczy, przy których można by pomóc.

Zawahał się jeszcze raz i ciągnął:

- Wiesz, nasz rząd podziemny nie jest jedyny na świecie. Mamy kontakty, niektóre dzięki tunelom, inne przez informacje i to się rozciąga na wiele krajów. W tym także na twój. Pod Waszyngtonem, Londynem, Moskwą...

- Systemy tuneli? - przerwałem mu.

- Metro, pamiętasz, George? - włączył się Freds.

- Nie, nie, nie - zaprzeczył Bahadim. - To jest pod metrem.

- Tak jak ci mówiłem, George - powiedział Freds. - Tunele Szambhali są starsze i większe, niż mógłbyś sobie wyobrazić. To była naprawdę wspaniała cywilizacja. Tysiące lat, tysiące kilometrów.

- Rzeczywiście, bardzo rozległe - dodał Bahadim. - A teraz znowu się z nich korzysta, żeby podejść Ranów. Albo ich dowolny odpowiednik.

- Dobra - powiedziałem. - Będę musiał się im przyjrzeć.

Jeżeli kiedyś wrócę.

- Polecam - odparł Bahadim, a ja nie mogłem zgadnąć, czy chodzi mu o przyjrzenie się, czy o powrót.

Nie zastanawiałem się dłużej nad tym, bo czułem się trochę przytłoczony. Poza tym zdrętwiał mi tyłek. Musiałem zmienić pozycję. Podczas czołgania się przez dżunglę rązgrzaliśmy się po hipotermicznej jeździe tunelami, teraz jednak pot chłodził nas stanowczo za mocno i znowu zaczęło mi być zimno.

Horyzont, zapewne wschodni, robił się szarawy, ale do dnia pozostało jeszcze sporo i nie było nic do roboty oprócz siedzenia tu w górze, kołysania się z lekkim wiatrem i drżenia. Freds ciągnął ze swojej grzędy nie kończąca się historię własnego życia; jego głos wpadał w znajomy rytm staccato, który pojawiał się i gasł w mojej świadomości.

- Kurde, ależ tu mróz. Wierzyć się nie chce, jaka lodowata była jazda tą kolejką. Oczy mi pozamarzały! To mi przypomina, jak kiedyś robiłem ćwiczenia nowicjusza u Kungi Norbu w tajemnym Rongbuku i doszliśmy do testu na moc tumo; zabierają cię na noc do lodowcowej doliny na jakichś pięciu tysiącach metrów, rozbierają cię do naga, wylewają na ciebie parę wiader wody z lodowca, moczą ze dwadzieścia białych prześcieradeł i zostawiają cię tak, a widzisz, ty masz nie tylko się rozgrzać, ale masz jeszcze tak się rozgrzać, żeby wysuszyć te mokre prześcieradła, a im więcej ci się uda przez noc, tym lepiej wypadasz na teście. To czysta matematyka, jak egzamin na punkty; bardzo dokładnie można ustalić, kto będzie najlepszym lama. No więc, muszę powiedzieć, że jak wywalili na mnie tę wodę z lodem, wszystkie ćwiczenia tumo wyparowały ze mnie do ostatka, to

znaczy po prostu zapomniałem i stałem tam na golasa, ociekając wodą, na pięciu tysiącach metrów, w listopadzie, o ósmej wieczorem, nie ma dokąd pójść, nie wiem, co robić...

Głędził tak i głędził. Myślę, że trochę się przespałem, chociaż sztywniałem po każdym ruchu na mojej grzędzie, przypominając sobie, gdzie jestem. Niebo robiło się coraz jaśniejsze. Ręce zaczęły mnie okropnie boleć i zdałem sobie sprawę, że przez cały ten czas ścisnąłem gałęzie.

- ...no więc kiedy przyszli, wszystkie prześcieradła były już poskładane równo jak spod żelazka i suchsze niż grzanka, ale Kunga Norbu nabrał podejrzeń, a kiedy znalazł popiół, wybił ze mnie to cholerstwo kijem.

- Freds?

- Co? Hej, George! Dzień dobry! Zaraz się pokaże słońce, co?

Co za dzień! Chłopie, cudownie będzie zejść z tego drzewa, nie?

Cudownie będzie dostać się do obozu Daubahala i z powrotem do Katmandu, człowieku, będziemy mogli iść do Starego Wiednia.

Umieram z głodu, ty nie? Zjem sobie sznycel wiedeński, gulasz i strudel jabłkowy, może dwa strudle, a jak! I Dasain jeszcze się pewnie nie skończyło, Katmandu jest niesamowite w czasie Dasain, będziemy mogli wyjść na ulicę i przewietrzyć trochę mózgi, żeby to uczcić.

- Co takiego mamy uczcić? - zmęczonym głosem odezwał się Bahadim.

- No, no wiesz, zejście z tego drzewa, na przykład. Nie wiem jak ty, ale mnie nogi odpadają. Chyba się z lekka poodmrażałem na tej jeździe. To mi trochę przypomina, jak kiedyś postanowiliśmy jechać rowerami do Makalu...

- Freds! - przerwałem mu.

- Co!

- Zamknij się.

- No dobra, brachu. Niech nikt nie mówi, że się komuś narzucam, chociaż gdyby tak któryś z was chciał tu na drzewie zasnąć, to prawdopodobnie powinienem się narzucać...

Jego głos snuł się w tle porannych odgłosów dżungli. Byłem zmęczony; bardzo, bardzo zmęczony.

Jednak Freds mówił o Katmandu w taki sposób, że przed oczami stanął mi obraz miasta, siłą wtłoczył się do moich myśli. A kiedy czerwone słońce rozłupało horyzont i gęste, wilgotne powietrze wypełniło się światłem, zaczęliśmy próby zejścia z drzewa. (Gdzie są ci strażacy? Może jednak te koty nie są aż takie głupie!) Ciągle bezsilnie myślałem o mieście, o zatłoczonych ulicach, otwartych sklepach, świątyniach na rogach i ulicznych handlarzach. Wiedziałem, że nigdy się nie zmieni, że kiedy wrócimy, krowy będą dalej blokowały zwariowany ruch pojazdów, a wielkie nietoperze będą zwisać do góry nogami z sosen przy pałacu, przed urzędem pocztowym i telegraficznym stać będą stumetrowe kolejki, kramarze siedzieć będą na chodnikach, sprzedając cukierki, kadzidła, antybiotyki, nieokreślone owoce i sztuki lśniących tkanin, a wrony, chmury i tęcze będą mknąć nad głowami, na północy będą Himalaje, dzwony będą biły, w walących się uliczkach starego miasta wszystko będzie wirować i poczułem, że nie mogę się doczekać, kiedy znowu tam będę.

## XVIII

Aha, jeszcze jedno, o tych podziemnych rządach: miejcie oczy otwarte. I mówcie wszystkim, że w nie wierzycie, dobra?

# Spis treści

[Podziękowania. 4](#)

[Część 1 Ucieczka z Katmandu. 5](#)

[Część 2 Bogini Matka Świata. 36](#)

[Część 3 Cała prawda o Szangri-La. 69](#)

[Część 4 Królestwo podziemi 108](#)